



SALAMANDRA

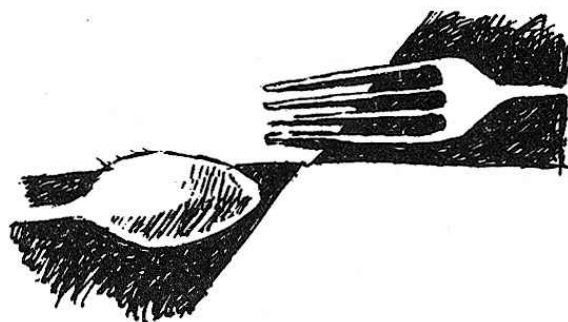
SPÓŹNIENI
KOCHANKOWIE

William Wharton

Autor
Ptaśka, Stada i Werniksu

William Wharton
SPÓŹNIENI
KOCHANKOWIE

Tłumaczenie Krzysztof Fordoński



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ 1995

Mojej żonie, Rosemary

Opowieść ta dzieje się w Paryżu pomiędzy kwietniem a listopadem 1975 roku.

Uwierzyć znaczy zobaczyć

Rozdział 1

Bum! Niespodziewanie ląduję na dłoniach i kolanach na asfalcie obok ławki stojącej w pobliżu pomnika Diderota na niewielkim placu przylegającym do bulwaru Saint Germain, naprzeciwko kościoła Saint Germaindes Pres. Trzynaście bezcennych tubek z farbą leży porozrzucanych dookoła. Moje wspaniałe sztalugi, sztalugi, które wytargowałem za trzysta franków na Marche Aligre, leżą przewrócone z jedną nogą podgiętą pod siebie, a drugą wyciągniętą w bok, jak gdyby były kulawym wielbłądem, który próbuje utrzymać się na nogach w czasie burzy. Cholera! Tego tylko mi brakowało. Nadal trzymam w dłoni pędzel, ułamany jakieś trzy cale nad moimi knykciami. Na szczęście płótno upadło pomalowaną stroną do góry, mogło więc być jeszcze gorzej. Wtedy dopiero ją zauważam. Tuż obok mnie klęczy starsza pani ubrana na czerwono. Wyglądamy teraz pewnie jak dwójka kloszardów bijących się o jeden rzucony na chodnik niedopałek. W pierwszej chwili uznaję, że wszystko to jej wina, dlaczego, u diabła, nie patrzy, gdzie lezie? Nie podnoszę się więc z kolan, staram się nie zwracać na nią żadnej uwagi i zaczynam zgarniać ku sobie rozsypane tubki z farbą, zanim jakiś idiota nadeptnie na którąś z nich. To dopiero byłby bałagan, kolorowe ślady rozbiegłyby się po całej Dzielnicy Łacińskiej, żółte, zielone, karmazynowe. Przesuwam się, by podnieść płótno i oprzeć je o ławkę, nie dostrzegam żadnych uszkodzeń. Następnym razem skryję się we wnęce za ławką, tam nie będą mi już zagrażać zwariowane podstarzałe panusie w czerwonych kostiumach. Później wracam. Kobieta podniosła się i usiadła, pociera teraz kolano. Padając na ziemię, podarła pończochy. Jedno kolano krwawi, kobieta liże palec i pociera nim skaleczenie jak kotka. Nie patrzy jednak na swoje kolano. Patrzy na mnie.

- Estce que vous etes peintre, monsieur, artiste peintre [- Czy jest pan malarzem, artystą malarzem?]? A co ona sobie, do diabła, wyobraża? Że jestem geometrą, który dokonuje pomiarów SaintGermaindesPres, abyśmy mogli postawić jego kopię na pustyni dla jakiegoś arabskiego księcia, który przerobi go później na meczet? Może znalazłoby się tam miejsce dla mojego chevalet, konia zmienionego w wielbłąda. Francuzi nie wiedząc czemu, nazywają sztalugi chevalet, co dla mojego niedokształconego francusko-amerykańskiego ucha brzmi podobnie do słowa cheval, koń. Pochyliam się i próbuję postawić sztalugi, wyciągam tylną nóżkę, potem powoli przekręcam tę, która wygięła się w bok. Wygląda na to, że nic nie jest połamane, dzięki Bogu. Mogłoby to zdusić w zarodku moją znakomicie się zapowiadającą karierę artystyczną. Choć słowo „szczep” lepiej chyba pasuje w tym kontekście niż „zarodek”.

- Oui, madame, je suis peintre, artiste peintre. [- Tak, proszę pani, jestem artystą malarzem.]

- Ach, zatem jest pan również Amerykaninem. To bardzo ciekawe. Wtedy dopiero zauważam jej laskę. Białą. Czuję się jak prawdziwy kretyn. Nieczułość, niewrażliwość, oto moje największe problemy. Opadam na kolana obok starszej pani.

- Est-ce que je peux vous aider? [- Czy mogę pani pomóc?] Wydaje mi się, że przenika mnie wzrokiem na wylot. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że odezwała się do mnie doskonałą, prawie całkowicie pozbawioną obcego akcentu angielszczyzną.

- Ach tak, zauważył pani moją laskę. Poznaje to po zmianie pańskiego głosu. Tak, może mi pan pomóc. Czy mógłby pan pomóc mi podnieść się na nogi? Jeśli spróbuję to zrobić sama, będę musiała uklęknąć, a to byłoby dość bolesne. Wyciąga ku mnie drobne, gładkie dłonie. Łagodnie pomagam jej wstać. Prawdę powiedziawszy, podnosi się sama, wykorzystując moje dłonie jako oparcie. Jak na starszą paniusią ma wcale silne ramiona. Pochylam się, podnoszę z ziemi białą laskę i wsuwam w jej dłoń. Otrzepuje się ze starannością ślepego, który nie wie, gdzie naprawdę się pobrudził. Zaczyna wykonywać swoją laską szybkie ruchy tuż nad ziemią, jakby był to radar albo wykrywaczem metali poszukiwała skarbów na plaży. Widzę, że szuka swojej torebki czy raczej torby, która leży dwa metry od niej w stronę kościoła. Podchodzę i podnoszę torbę, potem wchodzę w zasięg jej laski i dotykam jej ręki, wsuwając skórzane paski w jej dłoń, tak by mogła je uchwycić.

- Ach, proszę pana, czasami tak trudno jest być ślepą. Dziękuję za pańską uprzejmość. Bardzo mi przykro, że na pana wpadłam. A może powinnam powiedzieć, że zderzyłam się z panem? W każdym wypadku bardzo przepraszam. Widzi pan, mam swoje ścieżki, na których mogę być pewna, że na nikogo ani na nic nie wpadnę, a pan właśnie stanął na jednej z nich. Nie spodziewałam się tu pana. Musi pan bardzo cicho pracować, monsieur, w przeciwnym razie usłyszałabym pana. Oczywiście, panuje tutaj hałas ze względu na samochody. - Wskazuje laską bulwar Saint Germain. - Powinnam jednak była pana poczuć, a przy tym poczuć cudowny zapach terpentyny. Tak, powinnam była go poczuć. Chyba już się starzeję, czasami trudno jest zdać sobie z tego sprawę.

- Może stałem pod wiatr? Prostuje się, uśmiecha, patrzy mi prosto w oczy, oczywiście jeżeli niewidoma może spojrzeć komuś prosto w oczy.

- Więc jest pan amerykańskim malarzem obdarzonym poczuciem humoru. Bardzo interesujące. Nie spodziewałam się tego, a to bardzo miła niespodzianka. W moim życiu nieczęsto zdarzają się przyjemne niespodzianki. Zauważam, że nie jest ubrana wyłącznie na czerwono, już nie. Ma na głowie toczek, podobny do tego, który miała w Dallas Jackie

Kennedy, tylko że ten jest czerwony, nie różowy, spódnicę czerwoną jak płaszcz świętego Mikołaja, sweterek i płaszcz. Płaszcz jest jednak teraz dość mocno poplamiony farbami z mojej palety. Musiała otrzeć się o nią w czasie naszego zderzenia, kolizji, kataklizmu czy jak jeszcze można to określić.

- Bardzo przepraszam, madame, ale ma pani farbę na płaszczu. Jeśli zechce pani stanąć na chwilę nieruchomo, wywabię ją terpentyną. Jeśli jej teraz nie usunę, zaschnie, a wtedy nie da się już jej szczyścić.

- Czy malunek na moim płaszczu jest ładny? Gdyby tak było, wolałabym, aby tam pozostał. Cudownie byłoby mieć ręcznie malowany płaszcz, pomalowany przez amerykańskiego malarza w Paryżu, n'estce pas? Wprawdzie nie mogłabym go nigdy zobaczyć, ale byłoby to niezwykle ekscytujące.

- Obawiam się, madame, że to tylko plama sjeny palonej, ochry i karmazynowej czerwieni z odrobiną ultramaryny. Nawet w Salon de Mai nie uznano by tego za szczególnie interesującą kompozycję. Zazwyczaj nie jestem tak bardzo wygadany. Może dzieje się tak dlatego, że nieczęsto ostatnio miewam okazję, by mówić po angielsku, bawię się zatem wolnością, jaką daje mi mój własny język, choć myślę, że wynika to po części z charakteru tej kobiety, z całej sytuacji. Chcę dalej ciągnąć te małe gry słów, naszą zabawę, prawie flirt. A może dzieje się tak dlatego, że wyczuwam przez skórę, że i ona jest samotna, że i ona chce z kimś porozmawiać, poćwiczyć angielski.

- A zatem, monsieur, chyba najlepiej będzie, jeśli zdejmę płaszcz, aby mógł pan usunąć, przekształcić lub zmasać pańskie dzieło sztuki spontanicznej. Wtedy przynajmniej będzie mnie przez dzień czy dwa otaczał zapach terpentyny, pamiątka naszego spotkania. Myślę, że to będzie bardzo miłe. Jestem pewna, że będzie to o wiele lepsze od wizyt w galeriach. Zawsze czuję się w nich niepożądanym gościem. Wydaje mi się, że niektórzy malarze czują się obrażeni, kiedy na ich obrazy patrzy niewidomy, być może mają rację. Szukam tam jednak czegoś, co chciałabym zobaczyć. Z tego, co mówiła mi moja siostra Rolande, niewiele zmieniłoby się dla mnie, gdybym mogła widzieć, niewiele więc tracę. No cóż, ślepotą również miewa swoje dobre strony. Zaczyna rozpinąć guziki i zsuwa z ramion płaszcz. Jest szczupłą, zgrabną, schludną kobietą. Podchodzę do niej od tyłu i biorę od niej palto. Przekłada torbę i laskę z jednej ręki do drugiej, by wysunąć ramię z rękawa.

- Czy nie będzie pani zbyt zimno, madame? Mógłbym pożyczyć pani swoją marynarkę, ale jest prawie całkowicie pomazana farbą. Myślę, że została by bez problemu przyjęta do jakiejś galerii.

- Nie, nie obawiam się, by było mi zimno. Usiądę sobie na ławeczce u stóp monsieur Diderota. Tam właśnie szłam, kiedy spotkaliśmy się w tak nieoczekiwany czy może raczej niespodziewany sposób, nie, to nie są właściwe słowa. Jak najlepiej wyrazić to po amerykańsku, monsieur? Przysięgłbym, że znowu spojrzała mi prosto w oczy. Może nie jest wcale całkowicie niewidoma, a może udaje, gdyż z jej tylko znanych powodów bawia ją spacerować z białą laską. A może nie jest wcale Francuzką? Mówi po angielsku lepiej niż większość znanych mi Anglików czy Amerykanów, jej język jest tak precyzyjny, dobór słów tak bogaty i przemyślany.

- Czy zgodziłaby się pani na "fortune", madame?

- Oczywiście, to wprost cudowne. Amerykanin z poczuciem humoru, a na dodatek tak elegancki. Ależ tak! Odchodzi szybkim krokiem, kierując się prosto w stronę pomnika, nie stuka wcale swoją laską o chodnik, nie widać w ogóle, by była niewidoma. Nie dziwię się teraz wcale, że na mnie wpadła. Jeśli szła w takim tempie, aż dziw, że oboje przeżyliśmy to zderzenie. Gdybyśmy grali w piłkę, dostałaby czerwoną kartkę za faulowanie. Zbieram z ziemi wszystkie swoje rzeczy. Jeśli nie liczyć rozmazanej palety i złamanego pędzla, nie poniosłem specjalnych strat. Rozkładam płaszcz na ławeczce i zaczynam wycierać go jedną z moich szmatek zamoczoną w terpentynie. Wczoraj w pobliżu mojej kryjówki w Bastylli znalazłem na śmietniku trzy ręczniki. Wszystkie były mocno przetarte na środku, ale na szmatki do farby nadawały się po prostu znakomicie. Podarłem je na mniej więcej trzydziestocentymetrowe kwadraty. Teraz posługuję się najlepszą z nich. Problem polega na tym, by nie rozcierać farby bardziej niż jest to absolutnie konieczne, a jednocześnie by usunąć ją z materiału. Praca zajmuje mi około dziesięciu minut, inną częścią szmatki wycieram każdy kolor. Kiedy kończę, na płaszczu widać tylko wilgotną plamę terpentyny. W Paryżu zaczyna się już wiosna. Gałęzie kasztanowców wypuszczają dopiero pierwsze listki, które wychylają się właśnie z pąków, nie ma jeszcze nawet śladu kwiatów. Znana piosenka opowiada o kwietniu w Paryżu, gałęziach kasztanowców obsypanych kwiatami i tak dalej, ale kwiaty tak naprawdę pojawiają się dopiero w maju. Dzisiaj mamy dziewiąty kwiecień, ale choć słońce świeci jasno, temperatura zaledwie pozwala na malowanie; chłód nie sprawia już przynajmniej, że palce sztywnieją, a farba zastyga na palecie, jednak starsza pani musiała nieźle zmarznąć bez płaszcza. Przyglądam się swojemu dziełu po raz ostatni. Rzucam okiem w jej stronę i Chryste, gołębie obsiadły ją od stóp do głów! Siedzą na jej ramionach, na głowie, na kolanach, a jednego trzyma w dłoni. Jak ślepa kobieta mogła schwytać gołębia? Podchodzę do niej. Kiedy się zbliżam, większość ptaków podrywa się w powietrze, kilka siada na ziemi u jej stóp, obserwują, co się teraz wydarzy.

Nienawidzę gołębi. Jeśli zamierza pozwalać, by ją obsiadały, znaczy to, że straciłem tylko czas i terpentynę, aby usunąć plamy. Za chwilę cała będzie pokryta gołębimi kupkami, jaką więc różnicę może jej sprawić kilka plam farby? Cholera, gołębie to latające szczury, nic więcej! Zwraca się ku mnie, kiedy dzieli nas jeszcze około trzech metrów.

- Ach, to amerykański malarz przyszedł do nas z wizytą. Proszę się nie przejmować, moi skrzydlaci towarzysze przylecą z powrotem, kiedy przekonają się, że jest pan moim przyjacielem. A zatem podniesiony zostałem do rangi przyjaciela. Czy może to tylko dosłowny odpowiednik francuskiego ami? Jeśli zaś chodzi o gołębie, w zupełności wystarczy, że nie będą srać na mnie czy na mój obraz.

- Oczyściłem pani płaszcz z farby. Zapach powinien wkrótce się ulotnić. Mam nadzieję, że nie będzie przeszkadzał gołębiom. Cóż Nie szkodzi przynajmniej spróbować zachowywać się uprzejmie? Starsza pani podnosi się i wkłada płaszcz. Poprawia ramiona, sprawdza dłonią, czy kołnierz jest właściwie ułożony, zapina guziki. Wszystko to robi szybkimi, swobodnymi ruchami, bez pośpiechu, ale bardzo efektywnie. Zwraca oczy w moją stronę. Wydają mi się zupełnie normalne, nie dostrzegam ani katarakty czy bielma. Wyglądają na całkowicie zdrowe, wrota prowadzące do duszy.

- Czy mógłby pan posiedzieć ze mną przez chwilę, monsieur le peintre? Nieczęsto zdarza mi się z kimś porozmawiać, a zwłaszcza z malarzem, amerykańskim malarzem. Dziwne, ale zdaje mi się ostatnio, że gram rolę w filmie, jednym z tych ruchomych obrazów, o których słyszałam. Siada, a ja siadam obok niej. Kamienna ławka jest bardzo zimna, zauważam, że ona siedzi na małej, dmuchanej poduszczone. Sięga do swej torby i wydobywa z niej drugą, identyczną, zwiniętą w małą paczuszkę rozmiarów cygara.

- Proszę, może pan na niej usiąść, w przeciwnym razie może pan zachorować na nerki. Boże, jak gdybym słyszał moją matkę! Wydaje mi się, że potrafi czytać w moich myślach, nie tylko „widzieć”, choć jest niewidoma. Czuję się dość głupio, ale nadmuchuję poduszczkę i wsuwam ją pod siedzenie. Jest wygodna i nie przepuszcza zimna, a poza tym jest o wiele bardziej miękka od twardego kamienia. Starsza pani naprawdę wie, jak radzić sobie z takimi sprawami. W dzień taki jak dzisiejszy, kiedy świeci słońce, szybko robi się ciepło. Jednak kiedy tylko zostanie zasłonięte przez nadciągające czarne i białe chmury, podrywa się chłodny wietrzyk i natychmiast robi się zimno. Teraz jednak słońce oświetla cudowne francuskie chmury takie jak na obrazach impresjonistów, nigdzie indziej takich nie widziałem. Mam nadzieję, że pewnego dnia zbiorę w sobie dość odwagi, by samemu spróbować je namalować. Przeklęte gołębie naprawdę wróciły. Wygląda na to, że nie zwracają na mnie zbyt wiele uwagi, jak gdyby starsza pani była w stanie zapewnić im

czarodziejską opiekę. W tej chwili cała jej uwaga skupiona jest na ptakach. Obserwuję ją, a nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie dziwnego. Ma niewielki składany przyborek ze skóry, dobry mechanik mógłby nosić w podobnym swoje klucze, ten jest tylko odrobinę mniejszy. Otwarty przyborek leży obok niej na ławce, w środku znajdują się niewielkie nożyczki, dwie pincetki, duża i mała, różne metalowe dłutka, wykałaczki, krótkie, patyczki z watką na końcu, niewielkie buteleczki pachnące alkoholem i kilka małych pilników. Widzę też butelkę ze środkiem odkażającym. Sam nie wiem, jak ona to robi, wysuwa przed siebie palec, nie kładzie na nim nawet nic do jedzenia, i kilka z tych zwariowanych gołębi podlatuje natychmiast, by na nim usiąść. Wybiera jednego z ptaków, powoli i delikatnie kładzie dłoń na jego grzbiecie. Kiedy gołąb kuli się, podnosi go do góry. Delikatnie rozkłada jego skrzydła i przesuwa wzdłuż nich palcem. Jeśli natrafi na uszkodzone pióro, próbuje je wyprostować, jeśli pióro jest złamane, wrywa je szybkim szarpnięciem, dotyka wrażliwymi palcami pochewki i zakrapia ją odrobiną środka odkażającego. Bada w ten sposób całe ciało ptaka, sprawdza, maca, poprawia. Wygląda na to, że gołębiom bardzo się to podoba, traktują to jak szwedzki masaż. Nie trzepocą skrzydłami, aby wyrwać się z jej rąk, żadnej paniki, odprężają się i poddają jej woli. Później bada łapki, szukając łusek, jak sądzę, wygładza lub spiłowuje stwardnienia, przycina pazurki, jeżeli jest to konieczne, czyści ich okolice, myje całą łapkę. Gdybym był gołębiem, chciałbym, by ktoś dbał tak o mnie. Nie srałbym wtedy na pomniki. Jeden z ptaków ma zainfekowany staw, w miejscu gdzie palec łączy się z łapką. Kobieta czyści go starannie, delikatnie, ale fachowo, szuka opuchlizny i aplikuje na chore miejsce alkohol i środek odkażający. Skończywszy opatrywać kolejnego gołębia, sięga pewnym ruchem do każdej z dziesięciu torebek, które ustawiła obok swego uda. Wybiera pojedyncze ziarenka, jak gdyby były to witaminy w pigułkach, i karmi nimi ptaka, którym się właśnie zajmuje. W tym czasie gołąb stroszy piórka, szybko dotyka wszystkiego dziobem, sprawdzając, co z nim zrobiła. Gołąb wybiera ziarna, później łagodnym ruchem kobieta wypuszcza go z dłoni. Kolejne ptaki podrywają się do lotu, wykonując kilka kółek w powietrzu, a potem lądują na posągu Diderota na szybką kupkę. Wygląda na to, że ich ulubionym miejscem jest pióro w dłoni pisarza, sama dłoń i głowa. Obsiadły całą postać Diderota. Siedzi na nim o wiele więcej gołębi niż na starszej pani, ale nic dziwnego, jest od niej dziesięć razy większy. Posąg pokryty jest białą warstwą ptasiego kału, zasłaniającego zieloną patynę. Patrząc, jak kobieta opatruje w ten sposób pięć czy sześć gołębi. Jestem nazbyt zafascynowany, by choćby pomyśleć o powrocie do pracy. Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego. W liceum hodowałem kanarki, kochałem wprost ich śpiew. Ale gołębie potrafią jedynie gulgotać bez przerwy,

sam ten dźwięk doprowadza mnie do wymiotów. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie widziałem, by ktoś zajmował się ptakami tak jak ta starsza pani. Wykonując te wszystkie czynności, nie przerywa rozmowy ze mną, najczęściej to ona zadaje pytania. Jest skoncentrowana na ptaku, którym się zajmuje, ale co pewien czas „spogląda” w moją stronę i uśmiecha się do mnie. Zaczynam rozumieć, że poznaje, gdzie jestem, po głosie, zapachu, Bóg wie czym jeszcze. Domyślam się, że robi to, aby nie krępowała mnie jej ślepotą. Udaje dla mnie, że widzi. Ja jednak czuję się skrepowany, nic nie mogę na to poradzić. Nadal nie potrafię domyślić się, jak to możliwe, że patrzy mi prosto w oczy. Dziwne.

- Od dawna mieszka pan w Paryżu, monsieur le peintre?

- Od prawie pięciu lat.

- A jednak ma pan nadal silny amerykański akcent. Skoro tak długo mieszka pan w Paryżu, powinien pan mówić o wiele lepiej po francusku. Wielki Boże, powiedziałem do niej może piętnaście słów po francusku. Nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

- Obawiam się, że nie mam ucha do języków, madame. Staram się nauczyć francuskiego, ale to bardzo trudne. Mówię teraz o wiele lepiej niż rok temu, a to już pewne osiągnięcie. Moja rozmówczyni koncentruje się na lotce, którą należy usunąć. Byłaby świetnym chirurgiem, jej dłonie są tak szybkie i pewne.

- Ma pan zatem dobre oczy, a ja dobre uszy. Razem wiele moglibyśmy dowiedzieć się o świecie, gdybyśmy tylko potrafili się tym podzielić. Prawie nikt nie wykorzystuje swoich talentów. Dopiero gdy utraci się jeden z posiadanych darów, zaczyna się dostrzegać i doceniać pozostałe. - Tu przerywa na długą chwilę, ostrożnie usuwa pióro i zakrapia pochewkę środkiem odkażającym. - Teraz będziesz czuł się o wiele lepiej, Orlando. Będziesz mógł latać szybciej od samochodów, a pióro wkrótce ci odrośnie. - Ponownie odwraca się w moją stronę i uśmiecha. - Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że rozmawiam z moimi gołębiami. Każdemu z nich nadałam imię, to moi jedyni przyjaciele, cała moja rodzina. Stara niewidoma kobieta bywa czasami bardzo samotna.

- Ja sam mówię do gołębi, madame, czasami to jedyne stworzenia, z którymi mogę porozmawiać. - Nie mówię jednak, że najczęściej przeklinam je, kiedy podrywają się nagle z furkotem skrzydeł za moimi plecami, właśnie wtedy, kiedy próbuję skoncentrować się na malowaniu. Można dostać ataku serca, kiedy całe stado gołębi podrywa się nagle do lotu. - Nie znam ich jednak tak jak pani, madame. Kiedy do nich mówię, wydaje się im pewnie, że mówię do siebie, nie są w stanie niczego się ode mnie dowiedzieć. Nigdy nie byłem z nimi tak blisko jak pani.

- No cóż, przychodzę tutaj codziennie od trzydziestu lat. Od końca wielkiej wojny siedzę tutaj od dziesiątej rano aż do czasu, gdy dzwony wybiją południe. Gołębie w stadzie zmieniają się, ale samo stado pozostaje to samo. Znają mnie pisklęta i ptaki, które przylatują się z innych stad. Widzi pan, gołębie to najłagodniejsze, najufniejsze, najmniej agresywne stworzenia na ziemi. Jestem przekonana, że są w stanie się porozumiewać, mają swoją mowę, ale choć słucham ich zawsze uważnie, nie zdołałam poznać ich języka. Ludzie mogą jednak wiele się od nich nauczyć, dowiedzieć się, jak powinni żyć. Żyję na ulicach, zdarza mi się więc spotykać najróżniejszych wariatów, ale tym razem trafiłem na okaz specjalny - niewidomą staruszkę, która chce rozmawiać z gołębiami w nadziei, że nauczą ją, jak powinni żyć ludzie. Zaczynam obawiać się, że spotkałem następnego świra. Rozwinąłem w sobie szósty zmysł, który pozwala mi na odróżnienie prawdziwych wariatów. Ta kobieta zdaje się jednak inna. Oprócz tego, co mówi o gołębiach, wydaje mi się normalniejsza, mądrzejsza, inteligentniejsza od wszystkich ludzi, z którymi zdarzyło mi się od dłuższego czasu rozmawiać. Czuję jednak też, że pora już wracać do mojego malowania. Postanowiłem namalować tę kobietę u stóp pomnika. Zdecydowanie przyda mi się wyraźna barwna plama w tle, czerwony świetnie by wyglądał na tle zieleni drzew w parku przy kościele. Naszkicuję jedynie sylwetkę Diderota, zarys brązu, kilka gołębi i skłon w stronę kościoła po przeciwnej stronie ulicy.

- Pora wracać do pracy, madame. Światło się zmienia, a ja chciałbym skończyć dzisiaj podmalówkę.

- Co pan maluje? Czy może kościół? Nadal nie potrafię przyjąć do wiadomości, że jest niewidoma. Kiedy mówi coś takiego, wydaje mi się, że żartuje, ale zdarzało mi się to już przecież z ludźmi widzącymi. Siedzę sobie przed interesującym mnie widokiem, starając się oddać go maksymalnie wiernie, a oni stają obok, rozglądają się dokoła zaskoczeni i w końcu pytają, co właściwie maluję. Takie pytania doprowadzają mnie do szaleństwa, nie najlepiej działa to również na moją wiarę we własne możliwości. Z początku wydawało mi się, że żartują, ale tak nie jest, po prostu nie potrafią patrzeć, tak jak ja nie potrafię nauczyć się francuskiego. Ale ta kobieta jest oczywiście naprawdę niewidoma. Wie tylko, że stoję obok pomnika Diderota. Mogę przecież malować kawiarnię czy nawet Hotel Madison.

- Tak, madame. Maluję kościół, ale nie tylko. Po lewej stronie obrazu znajdzie się posąg Diderota, dalej bulwar Saint Germain i Le Drugstore, po drugiej stronie ulicy Les Deux Magots i rue Bonaparte. Na środku obrazu znajdzie się wieża kościoła, nawa przetnie obraz na pół. W tle umieściłem ogród, w którym bawią się dzieci, a na pierwszym planie

bulwar i przystanek autobusowy. Przestaje zajmować się gołębiem i słucha mnie uważnie. Przymyka oczy, jak osoba widząca, która stara się wyobrazić sobie jakiś obraz.

- Znakomicie pan to opisał, widzę to teraz w myślach. Chciałabym zobaczyć pański obraz. Cafe swoje życie przeżyłam w tej dzielnicy. Domyślam się, że jest pan bardzo dobrym malarzem, ponieważ, jak sędzę, jest pan dobrym człowiekiem. Dziękuję za oczyszczenie mojego płaszcza i za dotrzymanie mi towarzystwa. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony ze swojego obrazu, gdy już pan go skończy. Gdy to mówi, dzwony SaintGermaindesPres zaczynają bić pięknym, głuchym, pustym tonem. Najpierw kilka nut, potem crescendo, które w miarę jak tempo narasta, podnosi mnie na duchu. Właśnie w Paryżu nauczyłem się kochać dzwony. Niezbyt daleko stąd niższy ton dzwonów SaintSulpice wita południe, zaprasza na tak ważny dla Francuzów dejeuner [obiad].

Starsza niewidoma dama zaczyna składać swoje narzędzia, umieszcza je kolejno w przyborniku. Zbiera woreczki z ziarnem, potem sięga do większego i rzuca na ziemię przed siebie trochę ziarna. Zwraca się w moją stronę:

- W ten sposób nie zauważają, że odchodzę, łatwiej jest im się z tym pogodzić. Proszę mi powiedzieć, czy są wśród nich jakieś mniejsze ptaszki? Patrzę na ptaki i dostrzegam wśród gołębi kilka wróbli, które wydziobują nawet więcej, niż im się należy.

- Tak, wróble.

- Czy gołębie walczą z nimi o pożywienie? Patrzę i pewien jestem, że nie, ptaki odpychają się, aby dotrzeć do upatrzonego ziarenka, ale nie dziobią się, nie walczą pomiędzy sobą czy z małymi wróblami.

- Nie, nie walczą. Pozwalają mniejszym ptaszkom brać to, na co mają ochotę.

- Sam pan zatem widz, monsieur, jak wiele możemy nauczyć się od gołębi. - Po tych słowach bierze laskę i wyciąga dłoń w moją stronę. Wymieniamy uścisk dłoni. - Czy będzie pan tu jutro pracował nad swoim obrazem?

- Tak, pod warunkiem, że nie będzie zbyt zimno albo nie będzie padał deszcz. Podnosi głowę, przechyla ją w lewo i w prawo jak pointer szukający tropu.

- Nie, pogoda będzie taka jak dzisiaj. Mam zatem nadzieję, że zobaczymy się jutro. Obserwuję, jak odwraca się i odchodzi szybkim krokiem, z rzadka tylko posługując się swoją laską. Powiedziała, że się „zobaczymy”. Dziwne, że niewidoma mówi o widzeniu. Wracam do mojego płótna. Zostawiam wolne miejsce tam, gdzie zamierzam ją namalować. Będę musiał zapytać ją, czy nie ma nic przeciwko temu. Oczywiście, nigdy by się o tym nie dowiedziała, ale uznaję, że tak właśnie należy postąpić. Uczę się podobnych rzeczy powoli,

ale niezawodnie. Coś co jednemu człowiekowi wydaje się zupełnie oczywiste i logiczne, dla drugiego może okazać się potwornym gwałtem, każdy z nas jest inny. Szkoda, że nie nauczyłem się tego wcześniej. Zapytam ją jutro, zanim na poważnie zabiorę się do malowania. Kilka godzin pracuję nad podmalówką. Zazwyczaj idzie mi to o wiele szybciej, ale w kilku obrazach olejnych, które do tej pory namalowałem, odkryłem błędy rysunku lub kompozycji możliwe do przyjęcia czy wręcz niewidoczne na początku, które rzucają się w oczy po ukończeniu pracy. Staram się usunąć wszelkie podobne usterki. Mimo to czuję jednak, że czekają mnie problemy podobne do tych, które miałem z poprzednimi płótnami. Nawet jeśli uda mi się wykonać poprawny rysunek, nie tylko dokładny, ale odpowiednio zakomponowany, nawet jeśli podmalówka wydaje się odpowiednia, właściwa, w moim obrazie brakuje pasji. Czuję, że nie jestem w stanie zawrzeć, umieścić w moich obrazach głębokich uczuć, jakie wywołuje we mnie przedmiot moich obrazów, Paryż, życie. Czegóż w nich brakuje, pomiędzy mną a tym, co chcę powiedzieć, wyrasta ściana strachu, niepewności. Pojawia się też arogancja. Wydaje mi się, że nie potrafię rozluźnić się, wpaść w obraz, stać się jego częścią. Może przyjdzie to w miarę praktyki, kiedy mniej już będą mnie trapić problemy techniczne, mam przynajmniej taką nadzieję. Około piątej po południu światło zaczyna przygasać. Czuję, że podmalówka jest już prawie skończona, jeśli przeschnie przez noc, powierzchnia powinna być jutro rano gotowa do impastu. Zaczę od nieba, spróbuję uchwycić zmienne, czarodziejskie chmury na płynnym błękitcie nieba. Przyda mi się teraz mój błękit paryski. Kiedyś spróbuję malować na mokro, przejść bezpośrednio z podmalówki do impastu bez suszenia płótna. Tak malował Rembrandt i kilku innych wielkich Holendrów, a także niektórzy Włosi. Pakuję sztalugi, wieszam na nich płótno i ruszam do domu. Mógłbym pojechać autobusem linii 86, który dowiozłby mnie prawie do samego domu, ale lubię spacerować po Paryżu. To właśnie trzymało mnie przy życiu przez najgorsze dni. Poza tym o tej porze dnia autobusy są zazwyczaj pełne, a bardzo łatwo pobrudzić kogoś wilgotną farbą, nawet jeśli jest to tylko podmalówka. Idę bulwarem Saint Germain, przechodzę na drugą stronę przez Pont Sully, a potem ulicą Henri IV kieruję się w stronę Bastylli. Idę rue de la Roquette, potem robię sobie skrót wąską uliczką o nazwie rue Keller. Spacer ten zajmuje mi około czterdziestu pięciu minut. Sztalugi są tak lekkie, że prawie nie zauważam ich ciężaru. Chodzenie pomaga mi również zachować kondycję. Dzisiaj naprawdę będzie mi smakowała kolacja. Wchodzę w passage des Taillandiers, ulicę, przy której mieszkam. Jest wcześnie, więc domofon nie został jeszcze włączony. Prześlizguję się bez kłopotu obok loge de concierge [pokój dozorczy]. Znam nazwisko pewnego malarza mieszkającego w tym budynku, gdyby zatem zdarzyło

się, że konsjerżka zapyta mnie, dokąd idę, odpowiem, że chcę go odwiedzić. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie widziałem tego malarza, mam nadzieję, że nigdy go nie spotkam. Wchodzę na górę klatką schodową C, najmniej używaną. O tej porze większość rzemieślników poszła już do domu. Cicho, ale pewnym krokiem, jak gdybym był u siebie w domu, pobrzękując w dłoni kółkiem z niepotrzebnymi kluczami, wchodzę na samą górę, mijam ostatnie drzwi prowadzące do mieszkania, wchodzę wyżej i przez ciężkie przeciwpożarowe drzwi dostaję się na ciemny strych, le grenier. Nie ma tu żadnego oświetlenia. Wyciągam ze schowka latarkę, zapalam ją i wchodzę w wąski korytarzyk prowadzący do poszczególnych pomieszczeń na strychu, kierując się do pokoju, który uznałem za własny, choć jestem tu tylko dzikim lokatorem. Sięgam po klucz ukryty nad drzwiami i wchodzę do środka. Woń starego kurzu, suchego drewna pokrytego trocinami, stęchłe powietrze, oto zapachy mojego domu. Ustawiam sztalugi i obraz w kącie pokoju. W pochyłym suficie umieszczony jest świetlik z metalową podpórką. Otwieram go, chcąc wpuścić trochę powietrza. Szpary w drzwiach zasłaniam starą kotarą, aby nie przepuszczały światła na korytarz, i zapalam dwie świece. Zdejmuję płótno ze sztalugi i ustawiam je pomiędzy świeczkami. Rozglądam się dokoła, by sprawdzić, czy nikt tu nie grzebał. Wydaje mi się, że minął co najmniej rok od chwili, gdy wszedł tu ktoś oprócz mnie. Nie wiem nawet, który z mieszczących się na dole zakładów rzemieślniczych wykorzystywał to pomieszczenie jako magazyn. Wyciągam zza belki materac z pianki i śpiwór, które chowam tam za dnia. Wyjmuję małą kuchenkę gazową i litrowy słoik z gotowanymi warzywami. Do tego biorę butelkę wina i pół bagietki, którą kupiłem dwa dni temu. Jem tylko raz dziennie, jestem więc naprawdę głodny. Miałem już prawie ochotę podkraść gołębiom trochę ziarna. Zapalam gaz na kuchence i w starym garnku podgrzewam mój beznamiętny gulasz. Wyciągam łyżkę zza filaru i nalewam sobie szklaneczkę wina, tylko na tyle pozwalam sobie każdego dnia. Butelka za sześć franków musi starczyć mi na cały tydzień. Oprócz kosztów materiałów malarskich, wino, gaz do kuchenki, bagietki i świece składają się na całość moich wydatków. Siedzę w świetle zapadającego zmierzchu i powoli jem Porcję gulaszu. Proszę, ja, człowiek, który całe życie żywił się mięsem i ziemniakami, stałem się z przymusu wegetarianinem. Na początku strasznie narzekałem, ale teraz, po kilku miesiącach, myślę czasami, że nie potrafiłbym przełknąć steku czy nawet wypieczonego hamburgera. Czuję się przy tym o wiele lepiej. Ale możliwe, że to dlatego, iż ostatnio dużo biegam. Przyglądam się obrazowi. W tym oświetleniu, kiedy nie mogę porównywać go z rzeczywistością, wygląda o wiele lepiej. Prawdopodobnie dzisiaj nie będę malował we śnie. Cały pomysł malowania obrazów olejnych, biorąc pod uwagę koszty, to

szaleństwo, ale nie potrafię go od siebie odepchnąć. Nie mam pojęcia, jak kiedykolwiek zdołam sprzedać je dostatecznie drogo, by zwróciły mi się przynajmniej koszty płótna i farb, nie wspomnę nawet o zarobieniu kilku franków. Gdybym jednak musiał wrócić do rysunków i akwareli, poczułbym się tak, jak gdyby odrąbano mi obie nogi. Będę jednak musiał to zrobić, by ochronić moją wolność. Sztalugi kupiłem za grosze. To prawdziwe składane sztalugi, wykonane z twardego drewna z łączeniami w jaskółczy ogon i mosiężnymi okuciami. Mają pewnie z pięćdziesiąt lat, są więc starsze ode mnie. Nie mają metalowych wkładek ani dodatkowej szuflady jak te współczesne, są za to mocne i lekkie. Są tak skonstruowane, że nogi składają się do tyłu, dodatkowo je wzmacniają. W skrzynce można zmieścić praktycznie wszystko - farby, paletę, pędzle, terpentynę, werniks, olej, szmatki, można na nich ustawić płótno do rozmiaru 25 F. Całe są przy tym wysmarowane farbą, co jeszcze podkreśla ich autentyczność. Czuję dreszczyk już choćby dlatego, że wychodzę, by z nimi malować. Czuję się wtedy jak Monet, Pissarro, Cezanne czy Sisley, prawdziwy malarz w plenerze. Bardzo głęboko zastanawiałem się nad doborem farb. W pobliżu znalazłem magazyn HMB. Nie jest to sklep dla artystów, zaopatruje w farby pracujących w tej dzielnicy rzemieślników. Płacę tutaj za farby i pędzle połowę tego, co przysłoby mi zapłacić gdzie indziej. Zdecydowałem się na farby Le Franc Bourgeois, są niezbyt drogie, a nie ma w nich zbyt dużo spoiwa czy oleju. Kupuję duże tuby. Starłem się trzymać tanich kolorów, umieszczonych pod numerami 1 i 2 na sześciostopniowej skali. Kupiłem biel tytanową i czern kostną. Pamiętałem, że w czasie studiów, kiedy marzyłem o tym, że zostanę malarzem, były to moje ulubione kolory. Później kupiłem kolory ziemi. Gdyby okazało się to konieczne, malowałbym tylko nimi oraz czernią i bielą. Kupiłem sjenę paloną i naturalną, umbrę paloną i żółtą ochrę. Później nabyłem tubę jasnej ultramaryny. Razem dało to siedem kolorów. Aby uzupełnić widmo, niezbyt dużym kosztem dokupiłem jeszcze fiolet ultramarynowy, najtańszy z fioletów, wszystkie pozostałe oznaczone były numerami 5 lub 6. Do tego żółć chromową i oranż chromowy, obydwie miały mi zastąpić barwy kadmowe, które oznaczone są szóstką. Następnie wybrałem karmazyn alizarynowy. Z zieleni wybrałem zielen roślinną. Jest przezroczysta i można wykorzystywać ją do podmalówki, a zmieszana z kolorami ziemi i żółcią będzie się nadawać do malowania liści. Na koniec poszedłem na całość i nabyłem błękit paryski jako trzynasty kolor do mojej palety. Malowanie paryskiego nieba bez błękitu paryskiego byłoby prawdziwym szaleństwem. Kupiłem pędzle ze świńskiej szczeciny numer 4, 8 i 10 oraz luksus nad luksusami, borsuczy pędzel numer 6. Kosztował mnie 42 franki, co wystarczyłoby mi na życie na dwa tygodnie. Werniks przygotowuję sam z kryształów żywicy syntetycznej, którą

kupuję w HMB. Tam też nabywam puszkę białej farby akrylowej do gruntowania płótna, a także półgalonowe puszkę terpentyny i oleju lnianego. Na ogół zostawiam kilka kryształków w nylonowej pończosze, która moczy się w terpentynie. Próbuję uzyskać odpowiedni skład werniksu, najczęściej polegam wyłącznie na swoim szczęściu i wyczuciu. Najwięcej kosztuje mnie płótno. Połowę wszystkich pieniędzy wydałem na belę surowego drewna w sklepie dla malarzy. Podkradam drewniane listwy ze strychu i sam zbijam z nich blejtramy. Mocuję na nich płótno pluskiewkami, w koszu na śmieci na ulicy znalazłem młotek z ułamaną rękojeścią. Krótki trzonek w zupełności mi wystarcza, mam teraz młotek i pędzel z obłamanym trzonkiem. Płótno naciągam palcami, udaje mi się w ten sposób osiągnąć wcale niezły efekt. Pewien problem stanowiło wybranie odpowiedniego dnia na naciąganie płótna i podgrzewanie kleju do jego gruntowania. W weekendy nie ma tu jednak prawie nikogo, a konsjerżka wyjeżdża na niedziele, uznałem więc, że będzie to najlepszy dzień. Przybijanie jest okropnie hałaśliwe, a klej śmierdzi jak cholera. Na takiej właśnie pracy spędziłem całą ostatnią niedzielę, najpierw zebrałem tylko warzywa i trochę owoców na zamkniętym targu warzywnym Marche d'Aligre. Handlarze wyrzucają wszystko, co zaczyna się psuć. Gotuję swój gulasz na cały tydzień, równocześnie naciągam płótna i przygotowuję klej, wszystkie zapachy łączą się wtedy razem. Zbiłem pięć blejtramów, po naciągnięciu zagruntowałem płótno i nałożyłem dwie warstwy farby akrylowej. Naciągnąłem je ślicznie i mocno, a potem schowałem za belką. Nadałem im standardowe francuskie wymiary, dwa płótna to 15 Figure, trzy pozostałe to 25 Figure, o wymiarach mniej więcej sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów. W tej chwili pracuję nad jednym z większych, 15 Figure rozczarowało mnie, okazało się za małe. Powoli staję się prawdziwym wielkim malarzem, nie zarabiam jednak na tym ani grosza. Wszystkie te tanie rozwiązania nie będą w stanie odsunąć zbliżającej się ruiny finansowej, jeżeli nie zdołam sprzedać tych cholernych obrazów. Obliczyłem, biorąc pod uwagę jedynie wartość zużytych materiałów, a nie mojego czasu i pracy, że w każde wykończone płótno inwestuję około stu franków. Znaczy to, że powinienem dostać za nie co najmniej trzysta. Niewielu ludzi wchodzi się po ulicach z podobną sumą w kieszeni, jeszcze mniej jest takich, którzy byliby skłonni wydać ją na obraz namalowany przez byle kogo. Prawdopodobnie zdołam je sprzedać latem. Będę po prostu musiał! Nie skarzę się jednak. Wszystko na razie idzie jak należy, czuję się przy tym świetnie. Wiem, że wszystko będzie dobrze. Czuję, że pomimo przeciwności, moje życie zaczyna nabierać nowego sensu. Najgorsza jest samotność. Usiłuję z nią walczyć, ale ciągle powraca. Staram się również dbać o higienę. Raz w tygodniu chodzę do publicznej łaźni przy komisariacie policji niedaleko Marche d'Aligre. Staram się zeskrobać z ciała najgorszy

brud, a potem udeptuję ubranie, by je w ten sposób przeprać. Wykręcam mokre rzeczy, upycham je w foliowej torbie i zanoszę na strych, by tutaj wyschły. Mam drugie ubranie, które wkładam po wyjściu z kąpieli. Nadal jednak wyglądam jak żebrak. Być może sprawia to broda. Próbowałem skracać ją nożyczkami, ale kiedy nosi się udeptane, nie wyprasowane rzeczy i brodę, nawet jeśli jest się czystym, człowiek wygląda jak kloszard. Niełatwo golić się co rano bez ciepłej wody. Maszynka do golenia zwiększyłaby tylko moje wydatki, poza tym polubiłem moją brodę. Zdaje się zdejmować ze mnie przekleństwo MBI, popychać mnie we właściwym kierunku, w kierunku, który wybrałem sobie na resztę mego życia. Mniej więcej raz na miesiąc noszę rzeczy do pralni samoobsługowej. Wrzucam wszystko do jednej pralki, oprócz dresu, który piorę ręcznie, a później wkładam wszystko do suszarki, co kosztuje mnie jednego franka. Za pranie łącznie z suszeniem płacę siedemnaście franków, to dużo, jednak przez kilka następnych dni pachnę jak anioł, moje podkoszulki świecą własnym blaskiem, a dzinsy mają kanty. Kończę jedzenie, gaszę świece i przez chwilę wyglądam przez świetlik w suficie. Ciągle planuję, że wdrapię się na górę i umyję szybkę, żeby móc obserwować niebo, ale obawiam się, że właściciel mógłby zauważyć, że na strychu pojawił się nowy mieszkaniec. Pogoda poprawia się, mogę zatem zostawiać na noc otwarte okno i obserwować gwiazdy, jeżeli tylko je widać. Z doświadczenia wiem już, jak szeroko mogę otworzyć okienko, aby deszcz nie padał mi do środka. Przez zapadnięciem w głęboki sen przypominam sobie, że jutro powinienem zajść do biura American Express, aby sprawdzić, czy nie ma do mnie żadnych listów od Lorrie albo dzieci. Chcę też napisać do nich, poinformować, że u mnie wszystko w porządku i o tym, jak świetnie idzie mi malowanie.

Marzenia w mroku

Jego zapach tak bardzo różni się od zapachu innych mężczyzn, nie tylko ze względu na terpentynę. I jego głos, czasami spokojny, kiedy odpowiada na moje pytania, ale kryje się w nim pasja. A jednocześnie to smutny człowiek, samotny człowiek. Myślę, że jest dobrym malarzem. Jak to miło z jego strony, że chciał usiąść ze mną pod pomnikiem. Stopy monsieur Diderota pachniały dzisiaj stęchlizną, prawdopodobnie od deszczu i gołębi. Dzisiaj zapach ten był silniejszy niż zwykle. Nie wydaje mi się, by monsieur le peintre lubił moje gołębie. Wyczułam to w jego głosie, w sposobie, w jaki siedział, choć dostał przecież moją poduszeczkę. Wyczułam, że był skrupowany. Muszę nauczyć go kochać je tak, jak ja je Kocham. Mam nadzieję, że wróci jutro. Z drugiego pokoju nadal

dobiega mnie zapach terpentyny. Mam nadzieję, że nie byłam wobec niego zbyt bezpośrednia. Tak rzadko zdarza mi się porozmawiać z kimś, kto nie myśli tylko o mojej ślepotcie. To ich ślepotą. Tak często zdarza mi się czuć żal wobec tych, którzy muszą żyć wewnątrz świata, a nie na zewnątrz tak jak ja. To musi być dla nich naprawdę trudne.

* * *

Rozdział 2

Budzę się wraz z pierwszym brzaskiem. Wkładam szybko mój strój do biegania - szorty, koszulkę z krótkimi rękawami i dres. Najlepsze, co zabrałem ze sobą odchodząc, to dwie pary adidasów. Miałem je już od trzech lat, ale ani razu w nich nie biegałem. Nie chcę nawet myśleć o tym, co się stanie, kiedy całkiem się zedrą. Takie buty kosztują pięćdziesiąt dolarów. Jedną parę noszę na co dzień, kiedy maluję, drugiej używam wyłącznie do biegania. Przemykam się przez bramę. O tej porze spotykam jedynie wozy śmieciarzy i Algierczyków zamiatających ulice. Zaczynam codzienną rozgrzewkę, biegnę avenue LedruRollin, przez rzekę i wzdłuż lewego brzegu Sekwany. Przebiegam przez niewielki park i obok małej wystawy rzeźb na wolnym powietrzu. Biegnę dalej bulwarem, choć muszę wchodzić i schodzić po schodach. Przeskakuję stopnie po dwa naraz. Chcę, żeby krew zawrzała mi w żyłach. Biegnę tak do Pont Alexandre III, przebiegam po nim na drugi brzeg. Robi się coraz jaśniej i ruch uliczny zaczyna powoli narastać. Nie lubię biegać wśród spalin. Biegnę ulicą równoległą do nabrzeża na prawym brzegu Sekwany. Czasami drogą prowadzącą wzdłuż rzeki. Mijam wtedy budki bukinistów. Przemierzam Marais, kierując się w stronę Bastylli. Ruch uliczny przybiera na sile. Przebiegam rue de la Roquette, tą samą drogą wracałem wczoraj do domu, rue Keller i jestem u siebie. Bieg zajmuje mi zaledwie godzinę, ale budzi mnie do życia. Nie mam żadnych problemów z wejściem do środka, konsjerżka wstaje dopiero około wpół do ósmej. Spływając potem, wchodzę po schodach do mojej kryjówki, przeskakując jak zawsze po dwa stopnie naraz. Ściągam dres i wieszam go »a haczyku za drzwiami. Przepocone spodenki i podkoszulek wieszam na sznurku wiszącym wzdłuż ściany za długimi deskami. Wyciągam kawałek wykładziny, który znalazłem w śmieciach przy sklepie z dywanami na rogu rue de Charonne i avenue LedruRollin. Kładę się płasko, próbuję uspokoić oddech, odprężyć się. Mniej więcej po pięciu minutach zaczynam robić sto przysiadów połączonych z głębokimi wdechami, potem wykonuję kilka ćwiczeń jogi. Kończę pięćdziesięcioma wolnymi pompkami, przy każdej odrywam ręce od podłogi. Myślę, że nigdy w życiu nie byłem w tak znakomitej formie, a przynajmniej od chwili ukończenia liceum. Muszę dbać o kondycję. Nie mam żadnego wsparcia, żadnego francuskiego ubezpieczenia, żadnego MBI. Muszę być zdrowy. Najważniejsze jednak jest to, że dbanie o kondycję to wspaniała zabawa. Kiedy zacząłem żyć na ulicy, a minął już prawie rok, znalazłem się na równi pochyłej. Nie żywiłem się odpowiednio, nie dbałem o higienę, co wieczór wypijałem przed snem butelkę czerwonego wina, żeby móc zasnąć, a następnego dnia dopiero około południa mogłem potrząsnąć

głową bez bólu. Byłem na najlepszej drodze do tego, by stać się prawdziwym kloszardem. Trudno Wprost uwierzyć, jak szybko można się stoczyć, jeśli tylko się o siebie nie dba. Przygotowuję ucztę, którą zwykle rezerwuję sobie na niedzielę, choć mamy dopiero czwartek. Przynajmniej wydaje mi się, że to czwartek. Z wczorajszego wieczora została mi końcówka bagietki, moczę ją więc w kubku kawy ugotowanej na kuchence. Prawdziwy luksus. Siedzę oparty o zwinięte posłanie i patrzę na mój obraz. Chciałbym już do niego wrócić. W czasie przebieżki przyjrzałem się niebu, wygląda na to, że niewidoma staruszka nie myliła się, czeka nas kolejny wspaniały dzień, wprost stworzony do malowania. Chowam wszystko, odkładam strój do biegania w takie miejsce, gdzie nie będąc zbyt widoczny, może spokojnie przeschnąć, opłukuję się szybko w wodzie przyniesionej w butelkach po winie. Nie mam mydła. Odkładam w zwykłe miejsce klucz i latarkę i cicho schodzę na dół. Nikt nie przychodzi do pracy przed ósmą, nie mam więc żadnych kłopotów. Drzwi prowadzące do mieszkania konsjerżki również są jeszcze zamknięte. Na zewnątrz słońce stoi już wysoko na niebie, długie, ukośne promienie sprawiają, że wszystko zdaje się jasne i błyszczące. Dobiegają mnie zwykle dla paryskiego poranka dźwięki, warkot śmieciarek, chlupot wody spływającej rynsztokiem. Gołębie gruchają i pluszcza się w brudnej wodzie, dopiero się budzą. Patrzę, jak ślizgają się po niebie. Domyślam się, że to stadko mieszka na wieży kościoła SainteMarguerite. Myślę teraz o staruszce i o tym, co opowiedziała mi o gołębiach. Cóż za zwariowany pomysł. Muszę jednak przyznać, że wspaniale wyglądają na tle nieba, zamierzam wykorzystać je, aby nadać spójność moim obrazom, związać razem ziemię i niebo. Postanawiam przejść się dzisiaj Henri IV, trasą autobusu, aby przyjrzeć się katedrze NotreDame od tyłu. Znam takie miejsce na moście, z którego widać również niewielki ogród wciśnięty na krańcu wyspy. Na miejsce docieram około wpół do dziewiątej. Odkładam sztalugi i siadam na ławeczce, nasiąkam tym, co zamierzam namalować, pozwalam, by wszystko stało się samo. Staram się tego właśnie nauczyć. Jestem zbyt agresywny, zawsze wymuszam temat, nie zmieniam go, ale próbuję uczynić go swoim, zamiast pozwolić, by to on zmienił mnie. Oddycham głęboko, próbuję się rozluźnić, nabrać zaufania. Przez zbyt wiele lat każda chwila relaksu, „objiania się”, mogła być wykorzystana przeciwko mnie. Każdy dzień zaczynał się i kończył wyścigiem, kto pierwszy znajdzie się w biurze i kto ostatni z niego wyjdzie. Nigdy jednak nie zdawałem sobie z tego sprawy, a nie dotyczyło to jedynie mnie, ale nas wszystkich. Kiedy dzwony wybijają dziewiątą, jestem już gotów do pracy. Przesuwam się nieco w lewo od miejsca, w którym malowałem wczoraj. W ten sposób nikt na mnie nie wpadnie, a mogę wykorzystać ławkę do ułożenia butelek z werniksem i terpentyną. Zaczynam malować od nieba, od góry

obrazu, wciskam je pomiędzy drzewa, otulam dachy budynków. Lubię zakończyć niebo, zanim zajmę się resztą. Pozostałe elementy ustawiam wtedy na jego tle. W ten sposób niebo nie wchodzi mi w paradę, nie rozmazuje się w czasie dalszej pracy. Rozjaśniam właśnie szczyt wieży, kiedy podkrada się do mnie od tyłu. Naprawdę podskakuję z wrażenia. Nie usłyszałem ani nie wyczułem w żaden sposób, że się do mnie zbliża.

- Ach, monsieur le peintre, to pan. Dobrze. Czy jest pan zadowolony ze swojego obrazu w tak piękny dzień? Wyciąga w moją stronę rękę do uścisku. Moje dłonie są stosunkowo czyste, ale dostrzegam kilka plam błękitu i żółtej ochry. Szybko wycieram je szmatką i podaję Jej rękę.

- Ależ nic się nie stanie, jeśli ubrudzi pan moją dłoń farbą, ronsieur. Poczulałabym ją i starła chusteczką. Uśmiecha się, a ja próbuję domyślić się, skąd wiedziała. Oczywiście, dostrzegła chwilę wahania, zanim ująłem jej rękę, a wiedziała, że maluję. To prawdziwy Sherlock Holmes.

- Tak, madame, na razie malowanie świetnie mi idzie. Właśnie malowałem wieżę na tle nieba.

- Musi czuć się pan teraz jak gołąb, który może tam dolecieć. Czasami, kiedy zapadam w sen, próbuję wyobrazić sobie że jestem gołębiem unoszącym się w powietrzu, blisko dzwonów, nieba, ponad drzewami i ulicami. To cudowne. - Przerywa na chwilę. - Wie pan, zdarza się często, że o tym śnię. We śnie widzę. Oglądam wtedy cały Paryż pod sobą, błyszczący, migoczący magicznym światłem. W snach nigdy nie jestem niewidoma. Czyż to nie ciekawe? coś mi to mówi, znaczy to, że nie urodziła się niewidoma. Budzi się we mnie psycholog wyszkolony na potrzeby firmy. Może to również znaczyć, że lubi kłamać, a to też interesujące. Znowu zabieram się do malowania. Kobieta staje obok mnie.

- Monsieur le peintre, czy mogłabym zawrzeć z panem pewną umowę? Proszę, proszę, ciekawe co teraz. Odsuwam się od obrazu, ale nie wypuszczam z ręki pędzla. W każdej chwili mogę przyjąć pozycję en garde. Oczami wyobraźni widzę już wielki tytuł na pierwszej stronie "Le Soir". AMERYKAŃSKI MALARZ ARESZTOWANY POD ZARZUTEM ZAATAKOWANIA NIEWIDOMEJ STARUSZKI PĘDZLEM. Z tym oczywiście wyjątkiem, że wszystko to byłoby po francusku.

- Widzi pan, znam każdego ptaka w moim stadzie, jest ich razem czterdzieści sześć, ale jedynie na dotyk. Chciałabym bardzo dowiedzieć się, jak wyglądają, jakiej są barwy, jakie desenie mają na piórach, czy są to prążki, czy plamki. Jest pan artysta, nauczył się pan widzieć prawdziwie i wyraźnie, mógłby je pan zatem opisać. Urywa, a ja czekam, co będzie dalej. Wspominała coś o umowie. Czy chce w zamian zaproponować mi pieniądze?

- Jeśli zechce pan to dla mnie zrobić, monsieur, przygotuję dla pana dzisiaj w południe smaczny obiad. Zapewniam, że jestem znakomitą kucharką, sama bardzo lubię jeść. Jak już mówiłam kiedy traci się jeden dar, pozostałe zmysły nabierają mocy. Moje zmysły smaku i zapachu są bardzo silne. Myślę więc, że moje potrawy będą panu smakować. Jak mogę jej odmówić? To oznacza, że niewiele dzisiaj namaluję, ale przecież wcale mi się nie śpieszy. Na pewno nie pójdziemy daleko. Jest niewidoma, a to znaczy, że musi mieszkać gdzieś w pobliżu.

- Mieszkam niedaleko stąd, za pomnikiem monsieur Diderota, tuż obok włoskiej restauracji. Ulica nazywa się rue des Ciseaux. Mieszkam pod numerem 5, na drugim piętrze. Są tam tylko jedne drzwi. Jeśli pan przyjdzie, wystarczy zapukać. Wielki Boże, ona wydaje się mieć jakiś szósty zmysł. Zdaje mi się, że czyta w moich myślach. Urywa, teraz to ona czeka. Znam rue des Ciseaux, to ulica restauracji. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś może tam mieszkać.

- Oczywiście, madame. Z prawdziwą radością jeszcze raz będę obserwował, jak zajmuje się pani ptakami, a jeśli mnie pani zaprosi, z przyjemnością zjem wraz z panią dejeuner. Dziękuję.

- To ja panu dziękuję, monsieur. Mam nadzieję, iż nie uważa pan, że się narzucam, ale bardzo wiele to dla mnie znaczy, a poza tym z przyjemnością zjem obiad z kimś, z kim będę mogła porozmawiać po angielsku. Ponownie zaczynam malować. Wydaje mi się, że wykorzystam jej ślepotę, że nie zauważy, ale od razu orientuje się w sytuacji. Prawdopodobnie wyczuwa moje ruchy, a może słyszy skrobanie pędzla o płótno.

- Tak, proszę malować, aż uzna pan, że już pora przestać, na przykład wtedy, kiedy zdoła pan uchwycić to cudowne światło opromieniające wieżę na tle nieba. Będę na pana czekać. Po tych słowach odchodzi. Maluję iglicę i ciężką, kamienną bryłę wieży. Słowa mojej znajomej o stawianiu się gołębiem, wzlatywaniu w górę, otwartości nieba, wieży, wszystkie zdają się we mnie wsiąkać. Maluję z większą siłą, która łączy się z nową wrażliwością. Zaskakujące, jak bardzo myśl może wpłynąć na sposób postrzegania świata. Maluję tak jeszcze przez piętnaście minut czy może pół godziny, efekt jest świetny, o wiele lepszy od tego, co do tej pory robiłem. Odkładam pędzel, podchodzę i siadam obok starszej pani. Zwraca się ku mnie i uśmiecha swoim spokojnym, na wpół smutnym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam panu w ważnym momencie. Jestem niezmiernie wdzięczna za pańską pomoc. Jak pan widzi, nie zajęłam się jeszcze żadnym z moich ptaków, choć czekają już na mnie wszystkie. Rzeczywiście, gołębie obsiadły całą okolicę, a także ją samą. Zaskakujące jest to, że nie przylatują do niej wcale wróble ani inne

ptaki. Jeśli się jednak nad tym chwilę zastanowić, tylko gołębie są dostatecznie oswojone, zaprzyjaźnione z człowiekiem, by się do niego zbliżyć. Są albo bardzo głupie, albo zgodnie z tym, co ona twierdzi, najbardziej ufne. Starsza pani otwiera swoją torbę i wydobywa z niej przybornik. Stanowi to swego rodzaju sygnał. Wyciąga przed siebie palec i natychmiast zlatują ku niemu dwa ptaki, pierwszy ląduje, drugi zaś odlatuje. Starsza pani osłania go dłonią. Jak na gołębia, ptak, który usiadł na jej dłoni, ma naprawdę dziwny wygląd, jest ciemnoszary ze śladami plamek na grzbiecie. Pierś nieco jaśniejsza, na udach widzę kilka prawie białych piórek. Dziób jest żółtawy z pasemkiem błękitu czy może fioletu, nóżki żółtaworóżowe, prawie łososiowej barwy. Opisuję to wszystko starszej pani, podczas gdy ona dokonuje swojego badania, przypilnowuje zrogowacenia na jednej z łapek.

- Ta samiczka nie jest już młoda, prawdopodobnie ma co najmniej pięć lat. Nazywa się Nicole. Długo już przebywa w tym stadzie. Założyła piętnaście gniazd, większość jej piskląt już dorosła i niektóre opuściły stado. Zeszczupiała, myślę, że w tym roku założy już tylko jedno gniazdo. Z pańskiego opisu wynika, że nie jest szczególnie ładnym ptakiem, nieprawdaż? Zawsze myślałam, że okaże się jednym z najpiękniejszych. Domyślałam się, że gołąb, którego my uznalibyśmy za pięknego, niekoniecznie zostałby podobnie oceniony przez gołębie. Być może czasami najlepiej jest być niewidomym, wtedy widzi się rzeczy takimi, jakimi są naprawdę, a nie pozwala się oslepić ich wyglądowi. Delikatnie podrzuca w powietrze Nicole i następny ptak podlatuje do jej dłoni. Ten gołąb jest prawie całkowicie biały, ma jedynie nieregularne, błękitnoszare plamki. Jest duży, na szyi ma opalizującą obrózkę, cudownie różowe nóżki, prawie zupełnie pozbawione łusek i błękitne pazurki. Opisuję go najlepiej jak potrafię.

- Ach tak. Zawsze domyślałam się, że musi być biały. Strasznie się panoszy, choć pochodzi z jednego z ostatnich lęgów. Prawie zawsze przylatuje do mnie jako jeden z pierwszych, wcale nie dlatego, że potrzebuje mojej pomocy, chce tylko dostać kilka ziaren. Zaczyna podawać mu pojedyncze ziarenka, a on wyjmuje je szybko spomiędzy jej palców. Bardziej szorstkim niż poprzednio ruchem staruszka podrzuca go w powietrze. Siedzę tak i opisuję każdego lądującego na jej dłoni ptaka. Zabiera mi to ponad godzinę. Świetnie się bawię, radość sprawiają mi próby maksymalnie dokładnego opisanie każdego gołębia. Ma to w sobie coś z uważnego przyglądania się modelowi przed malowaniem. Chciałbym jednak wrócić już do swojej pracy.

- No cóż, monsieur le peintre, myślę, że to już wszystko na dzisiaj. Dwa gołębie nie przyleciały, może przyłączyły się do innego stada, a może coś im się przydarzyło. Straszne, jak wiele paryskich gołębi ginie pod kołami samochodów. Powinno powstać prawo, które

by tego zabraniało. Nie wiem, jak mógłbym opowiedzieć jej o tym, jak martwy gołąb traci barwy, jak opony miażdżą pióra tak, że w końcu ptak znika na asfalcie. W ciągu jednego dnia na ruchliwej ulicy gołąb obraca się w nicość.

- No cóż, pójdę w takim razie przygotować nasz posiłek. Jeśli skończy pan malować, kiedy dzwony zaczną bić, będę pana oczekiwać dziesięć minut później. Może pan zabrać ze sobą sztalugi i umieścić je na podeście albo w przedpokoju. Znajdzie pan tam wolne miejsce do dyspozycji. Skłania głowę i zaczyna zbierać swoje sprzęty. Wracam do mojego obrazu. Praca, którą właśnie rozpocząłem, okazuje się lepsza, niż to zapamiętałem. Zaczynam malowanie od długiej fasady nawy, staram się różnicować kolor kamienia cieniami, aby oddać plamy, które pozostawił czas, przebliski światła pośród drzew, równocześnie jednak walczę o to, by obraz stanowił całość. Zaczynam też pracować nad oświetlonymi słońcem liśćmi. Kiedy uzyskuję kolor, który moim zdaniem będzie pasować w określonym miejscu, tam właśnie go umieszczam. Pomnik Diderota wymaga starannych, choć lekkich pociągnięć pędzla, mieszam kolory nieba z kolorem guana, uzyskując barwę utlenionego brązu. Czuję teraz, że przynajmniej po części wkraczam w mój obraz, żyję wewnątrz niego. Czas ucieka niepostrzeżenie. Nagle dobiega mnie dźwięk kościelnych dzwonów. Nie zauważyłem nawet, kiedy zaczęły bić, tak bardzo oddaliłem się od rzeczywistości. Szybko pakuję swoje rzeczy, butelki z werniksem i terpentyną wkładam do kieszeni, czyszczę pędzle, zajmuje mi to zaledwie moment. Rozglądam się dookoła, by sprawdzić, czy niczego nie zapomniałem. Wszystko w porządku. Ruszam w stronę pomnika Diderota, w stronę rue des Ciseaux, a potem w dół tej niewielkiej uliczki, w stronę rue du Four. Numer piąty mieści się po lewej stronie. To stary dom, o ukośnych ścianach, widać pochodzi z czasów, kiedy zaprawa nie była dosyć silna, by utrzymać je w pionie. Klatka schodowa jest bardzo wąska, muszę zdjąć płótno ze sztalug, by manewrować nimi na zakrętach. Na drugim piętrze odkładam sztalugi i płótno, zmieszczą się pod licznikiem elektrycznym. Pukam. Drzwi otwierają się niemal natychmiast.

- Usłyszałam, że pan wchodzi. Musiał się pan zatrzymać, bo obraz nie chciał się zmieścić na zakręcie schodów, nieprawdaż? Kiwam głową, dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że muszę się odezwać. Potrzeba czasu, aby przyzwyczaić się do obcowania z niewidomą.

- Tak, omal nie poobłamywałem rogów. Wchodzę do środka. Miłe mieszkanie, ale bardzo ciemne. Okna wychodzą na podwórze. Oczywiście, ciemność wcale nie przeszkadza gospodyni. Panuje tu porządek, żadnego bałaganu, wszystko leży na swoim miejscu, ale z sufitu sypie się tynk, tapety poodklejały się od ścian i wiszą teraz w pasach, stolarka jest nie

odmalowana, pokryta brudem, który zebrał się przez lata. Dywany są wytarte. Stwarza to dziwny kontrast pomiędzy tą zadbaną kobietą, starannie nakrytym stołem, porządkiem panującym w pokoju i żalonym stanem całego mieszkania. Wystrzępione, zielone zasłonki, na których z czasem pojawiły się wyblakłe, żółtawe pasy, pogarszają jeszcze całą sytuację. Zauważam pięć drzwi, które najprawdopodobniej prowadzą do pozostałych pokoi. Starsza pani ma na sobie fartuszek, uśmiecha się do mnie.

- Proszę, jeśli chce się pan umyć albo ma jakieś inne potrzeby, toaleta i salle d'eau są tam. Prawdę powiedziawszy, jestem okropnie brudny, przede wszystkim ze względu na mój tryb życia, ale i dlatego, że właśnie skończyłem malować. Składam (niewidzialny) ukłon, posyłam (niewidzialny) uśmiech i dziękuję. Ruszam we wskazaną stronę. Wchodzę do środka, zamykam za sobą drzwi i znajduję się nagle w kompletnych ciemnościach. Otwieram drzwi i rozglądam się w poszukiwaniu włącznika, znajduję go i przekręcam, ale bez oczekiwanego skutku. Żarówka zwisa z sufitu na drucie, osłonięta zielonym abażurem. Wykręcam ją, to stara bagnetowa żarówka, typowa we francuskim domu. Przez bańkę widzę wyraźnie, że jest wypalona. Ustaliam rozkład łazienki, zamykam drzwi, podnoszę klapę i ustawiwszy swoje położenie, robię siusiu. Zdając sobie sprawę z jej superwrażliwych uszu, siusiam na ściankę muszli, aby nie robić hałasu. Mam nadzieję, że nie nasikałem na ścianę. Spuszczam wodę, otwieram drzwi i przeprowadzam szybką kontrolę. Na szczęście udało mi się zmieścić wszystko wewnątrz muszli. Przechodzę do salle d'eau, która wyposażona jest w umywalkę z kranem z zimną wodą i emaliowaną wannę stojącą na lwich łapach. Tutaj też nie można włączyć światła. Nie wspina się nawet na wannę, by sprawdzić żarówkę. Domyślam się, że skoro mieszka tutaj tylko niewidoma, żarówki wypaliły się, ponieważ nikt ich nie wyłączał, albo cienkie druciki popsuły się z czasem i przepalały przy pierwszej próbie włączenia światła. Prąd elektryczny we Francji zmienia niekiedy gwałtownie natężenie i przepala żarówki niezależnie od tego, jak starannie się z nimi obchodzić. Myję ręce, nie zamykając za sobą drzwi do łazienki. Przy wannie są krany z gorącą i zimną wodą, powyżej wisi staromodny bojler. Oddałbym akwarelę średnich rozmiarów za możliwość wymoczenia się w tej wannie, wypełnionej po brzegi ciepłą wodą. Mogę jedynie opłukać się nad umywalką. Lustro wiszące nad nią jest tak dokładnie pokryte warstwą brudu i upstrzone przez muchy, że nie widzę w nim swego odbicia. Nie powiem, by specjalnie mi na tym zależało, chciałbym tylko sprawdzić, czy nie mam na twarzy plam farby. Często zdarza mi się trzymać w zębach pędzle, nie jest to zbyt profesjonalna metoda, ale robię tak i maluję sobie plamy na policzkach. Wychodzę, starsza pani krząta się przy umieszczonej w kącie pokoju kuchence i stole, przy którym mamy jeść. Wydaje mi się, że

nie wie w ogóle, co znaczy ślepotą. Ciekawe, czy w tym pokoju są dobre żarówki. Mogę się założyć, że w całym mieszkaniu nie ma ani jednej. Wskazuje mi moje miejsce, siadam więc przy stole. Czeka już na mnie czysta serwetka i coquilles Saint Jacques, w muszlach na gorąco jako przystawka. Tego rodzaju smakołyki haute cuisine jadalem podczas oficjalnych lunchów. Oczywiście wtedy, kiedy robiliśmy interesy z Francuzami, osiągało to wręcz absurdalne wymiary, jedzenie było wspaniałe, a ceny wprost niebotyczne, ale to nie ja za to płaciłem. Wydawaliśmy wtedy CP, cudze pieniądze. Przypominam sobie restaurację o nazwie „Coq Hardi”, oddaloną od mojego biura o piętnaście minut jazdy samochodem, gdzie często jadaliliśmy, kelnerzy praktycznie karmili nas tam z ręki, jeden stał przy każdym z nas i podsuwał kolejne sztuczki i następne przysmaki. Pieniądze, które wydawałem tam przez jeden wieczór, wystarczyłyby mi teraz na sześć miesięcy. Takie przystawki, choć podane w ciemnym, zapuszczonym pokoju, stanowią pierwszy krok w stronę podobnie eleganckich posiłków. Starsza pani zdjęła czerwony kostium, teraz ma na sobie ciemnoniebieską spódnicę i ciemnoniebieski sweterek, na który wyłożyła biały kołnierzyk. Słabe światło wpadające przez okno prześwieca przez jej włosy, zaplecione w warkocze i upięte ciasno wokół głowy jak korona.

- Bon appetit, monsieur le peintre. Mam nadzieję, że moje coquilles będą panu smakować.

- Bon appetit, madame. Jestem pewien, że się pani nie myli. To jedna z moich ulubionych przystawek.

- Mademoiselle, nie madame.

- Oczywiście, mademoiselle. Bon appetit. Jemy starannie, powoli. Coquilles są po prostu znakomite, muszle napełnione mieszaniną małży, białego sosu, grzybów i armaniaku, a także malutkich krewetek wielkości paznokcia. Jak ona to robi?

- Od dawna pan maluje, monsieur?

- To bardzo złożona historia, mademoiselle. Studiowałem malarstwo wiele lat temu, później podjąłem pracę w wielkiej amerykańskiej firmie, najpierw pracowałem w Ameryce, a później we Francji. Teraz wróciłem jednak do malarstwa.

- Przeszedł pan na emeryturę?

- Tak, chyba można by to tak określić, prawdę powiedziawszy, czuję się tak, jak gdybym na nowo podjął pracę po długiej przerwie. Milczy, a ja nie chcę rozwijać tego tematu. Wspomnienia są dla mnie nadal bardzo bolesne. Przypominam sobie, że miałem zajść do biura American Express, aby sprawdzić, czy nie ma dla mnie żadnej poczty, i napisać list. Zajdę tam przed zamknięciem biura. Chcę zmienić temat rozmowy. Myślę, że

mogę teraz zapytać, czy wolno mi będzie umieścić ją na moim obrazie u stóp Diderota. Nie wiem, dlaczego odkładałem to pytanie aż do tej chwili.

- Mademoiselle, mam nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, ale chciałbym namalować panią na moim obrazie. Zamierzam umieścić panią u stóp pomnika Diderota, kiedy siedzi pani na kamiennej ławeczce ze swoimi gołębiami. Widelec zawisa w połowie drogi do ust. Odkłada go i ociera usta serwetką. Patrzy mi prosto w oczy, widzę wyraźnie, jak w jej oczach zbierają się łzy.

- Dziękuję bardzo. Będę się czuła bardzo szczęśliwa, jeśli znajdę się na pańskim obrazie. Najgorsze w ślepotcie jest uczucie, przekonanie, że nikt mnie nie widzi. Bardzo często czuję się po prostu niewidzialna. Monsieur, sprawił mi pan ogromną przyjemność, mówiąc o tym, że znajdę się na pańskim obrazie, w świecie, którego nie widzę, że będę widoczna dla wszystkich. Opuszcza wzrok i delikatnie ociera oczy rogiem serwetki. Nie miałem pojęcia, że będzie to dla niej takie ważne. W normalnej sytuacji zaraz poczułbym niepokój. Czasami kiedy malowałem akwarelki i ludzie prosili mnie, bym ich na nich umieścił, zawsze byłem przekonany, że zepsuje to cały obraz. Malowanie ludzi stanowczo nie jest moją specjalnością. Sądzę, że jest tak przede wszystkim dlatego, że nie mam w tym zbyt wiele doświadczenia. Ale jako że starsza pani nie widzi, nigdy się o tym nie dowie, mogę się więc odprężyć. Nieważne, jak okropnie ją namaluję, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Gdyby było bardzo źle, mogę ją zawsze zamalować, tylko obraz będzie o tym wiedział, a obraz jest częścią mnie. Cieszę się jednak, że o tym wspomniałem. Starsza pani wstaje od stołu, podchodzi do mnie, bez wahania podnosi talerz z muszlami i widelczykiem o trzech zębach, przechodzi do kuchennego narożnika. Dobiega mnie zapach czegoś smakowitego, co podgrzewa się już na patelni. Mam nadzieję, że nie będzie to nie dosmażone, krwiste, czerwone mięso, większość Francuzów z uporem twierdzi, że tak właśnie należy je podawać. Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie przełknąć coś podobnego po długim okresie wegetarianizmu. Jednak nie, czeka mnie jeszcze jeden z moich ulubionych przysmaków. Starsza pani musi naprawdę czytać w moich myślach. To znakomicie przyrządzone escalope d la creme champignons, śmietankowy sos został dodatkowo przyprawiony odrobiną tego samego armaniaku, co łączy obie te potrawy. Starsza pani podaje do tego pommes frites allumettes i cienkie, białe szparagi. Naprawdę świetnie wyszedłem na naszej umowie. Za podobne specjały mogę opisać każdego gołębia w Paryżu, jeśli tylko sobie tego zażyczy. Przyjemnie też je się z taką osobą, znakomity posiłek w miłym towarzystwie. Jemy, rozmawiamy o jedzeniu, gołębiami, trochę o moich obrazach, żadnych poważnych tematów. Wiem, że budzę jej ciekawość, ale to prawdziwa

dama, nie zadaje żadnych sondujących pytań. Niektórym kobietom nie przychodzi to łatwo, tyczy się to zwłaszcza Amerykanek. Wypytają o wszystko, zanim jeszcze się przedstawią. To jednak jest wspaniała kobieta ze starej szkoły, prawdziwa dama. Kiedy kończymy escalope, przynosi owoce i sery. I tym razem wszystko jest doskonale podane. Jak zdołam teraz wrócić do swego bezmięsnego gulaszu? Wreszcie parzy kawę, a potem podchodzi do wysokiego kredensu, wchodzi na niski stołeczek i wyjmuje przykurzoną butelkę. Wyciera ją szmatką i stawia na środku stołu. Kawa oczywiście jest również wspaniała. Popijamy ją małymi łyżkami. Starsza pani przygląda mi się, jeżeli może się przyglądać, znad krawędzi filiżanki.

- Proszę mi powiedzieć, monsieur. Czy w butelce naprawdę jest gruszka? Elegancka butelka Poire William. Wygląda na oryginalną, jest tak bardzo zakurzona i wyblakła.

- Tak, w środku jest gruszka.

- Ojciec przysłał ją tuż przed swoją śmiercią. Moja siostra Rolande twierdziła, że nie powinniśmy pić tego likieru, musimy zachować go w kredensie, by w ten sposób uczcie Jego pamięć.

- Bardzo rozsądne rozwiązanie.

- Monsieur, chciałabym napić się dzisiaj wraz z panem z tej butelki. Zbyt długo już czekała, nadeszła właściwa chwila. Decyzja należy do niej. Bardzo lubię ten gatunek likieru, jeśli jest odpowiednio dojrzały, można w nim wyczuć jędrność gruszek, a ta butelka na pewno ma swoje lata, widzę nawet, że trochę płynu wyparowało.

- Byłoby mi bardzo przyjemnie, mademoiselle, tylko czy jest pani absolutnie pewna, że chce pani napić się właśnie ze mną po tak wielu latach?

- Tak, jestem pewna*Ś Patrzy na mnie jasnymi, niewidzącymi oczami. - Czy wie pan, jak ta gruszka dostała się do środka butelki, monsieur? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wiem, że można namoczyć jajko w occie, co sprawia, że skorupka mięknie, wsunąć je przez szyjkę do butelki, gdzie stwardnieje na powrót, ale nigdy nie próbowałem tego robić. Myślę, że nigdy nie byłem dosyć ciekawy. Nie sądzę jednak, by coś podobnego można było zrobić z gruszką.

- Nie, mademoiselle, nie mam pojęcia. Ale ciekawe, jak to się dzieje, nieprawdaż?

- A ja wiem. Czekają, aż kwiat na gruszy zostanie zapyłony przez pszczołę, a wtedy umieszczają go w butelce, którą przywiązują do gałęzi. Gruszka rodzi się i dojrzewa wewnątrz butelki. Kiedy dojrzeje, odcinają owoc od ogonka i odwiązują butelkę, potem napełniają ją likierem zrobionym z innych gruszek. Zatykają butelkę, a gruszka zostaje w środku. Nigdy nie będzie mogła się z niej wydostać. Czyż to nie piękny, choć tak bardzo

smutny pomyśl? - Wstaje i pewnym krokiem podchodzi do szuflady, wyjmując z niej tirebouchon, korkociąg, i podaje go mnie. - Czy mógłby pan być tak miły i otworzyć butelkę? Razem napijemy się likieru, który wraz z gruszką czekał na ten dzień od ponad pięćdziesięciu lat. Wkręcam korkociąg i wyciągam korek, a starsza pani idzie do kredensu i przynosi dwa niewielkie kieliszki. Ich ścianki ozdobione są wyrzniętymi kupidynkami unoszącymi się pośród listków. Przygląda się, a przynajmniej wydaje się przyglądać, jak wyciągam korek. Pociągam nosem, aromat wypełnia cały pokój. Podaję butelkę starszej pani.

- Czy mogłaby pani nalać, mademoiselle'? Wiem, że należy to do obowiązków mężczyzny, ale to tak niezwykła okazja, nasza prywatna uroczystość, wydaje mi się więc, że pani powinna to zrobić. Bierze z moich rąk butelkę. Ma pewną rękę. Nalewając, wsuwa koniuszek kciuka do kieliszka i kiedy napój sięga brzegu, przestaje nalewać. Nigdy bym o tym nie pomyślał. Choć gdybym sam był niewidomy, pewnie bym na to wpadł. Każdy z nas cierpi na własną ślepotę. Napelniwszy oba kieliszki, odstawia ostrożnie butelkę. Podnosi swój i patrzy mi prosto w oczy.

- Proszę, zanim się napijemy, czy zechciałby pan podać mi swoje imię, monsieur. Nie chciałabym być niegrzeczna, ale wydaje mi się, że skoro mamy podzielić się tym napojem, chociaż tyle powinniśmy o sobie wiedzieć. Wydaje mi się to dość oczywiste. Nie sądzę tylko, by przez ostatni rok ktokolwiek pytał mnie o imię. Zapomniałem prawie, że w ogóle je mam.

- Przez większą część mego życia nazywano mnie Jackiem, mademoiselle. Naprawdę mam na imię John, po angielsku pisze się to JOHN. Jednak przez ostatni rok nazywałem siebie Jean, JEAN, po francusku. Jean brzmi dla mnie o wiele lepiej.

- Podoba mi się pana amerykańskie imię, Jack, tak jak angielski zbrodniarz Jack the Ripper, Kuba Rozpruwacz. Czy mogę jednak nazywać pana Jacques, po francusku? Wiem, że po angielsku znaczy foby to James, ale chciałabym jednak zwracać się do pana Jacques. Nie pyta mnie o nazwisko. To dobrze, i tak bym go jej nie podał.

- Czy mogę i ja zapytać o pani imię, zanim spróbujemy tego smakowitego napoju, likieru wyznaczonego nam przez los?

- Proszę, Jacques, mów do mnie Mirabelle.

- Ale to brzmi tak niegrzecznie, mademoiselle, to znaczy Mirabelle. Jak się pani nazywa?

- To nie ma żadnego znaczenia. Będę cię nazywać Jacques, a ty mnie Mirabelle. Wiesz, Jacques, że nie ma już nikogo, kto zwracałby się do mnie Mirabelle? Moja siostra

była ostatnia, umarła piętnaście lat temu. Nie chcę, by Mirabelle umarła. Proszę cię, Jacques, zwracaj się do mnie imieniem mojego dzieciństwa, Mirabelle. , W jej oczach ponownie dostrzegam łzy. Kieliszki brzęczą, jak gdyby zrobiono je z prawdziwego kryształu. Wiem, że powinienem teraz coś powiedzieć.

- Za nas dwoje, Mirabelle i Jacquesa, za ten cudowny dzień, wypijmy za marzenia przeszłości.

- I marzenia przyszłości. Pije, a ja wraz z nią. To absolutnie niewiarygodne. Nigdy w życiu nie piłem podobnie czystego nektaru. Smakuje tak, jak gdyby gruszki zostały zgęszczone, przedestylowane, ich aromat tak wzmocniony, że pozostała tylko esencja. Oboje pociągamy łyżek, przymykamy powieki, pozwalamy ciepłu przeniknąć nasze ciała, a potem jednocześnie otwieramy oczy i uśmiechamy się. To może być jedynie zbieg okoliczności. Nie może przecież dostrzec mojego uśmiechu, a ja nie starałem się uśmiechnąć razem z nią. Mirabelle przyciska kieliszek do piersi.

- Czuję się tak, jak gdyby mój ojciec ożył. Wydaje mi się, że znów go czuję, słyszę. Tak bardzo ci dziękuję, Jacques, za tę cudowną chwilę. Dopijamy do dna zawartość naszych kieliszków, potem na powrót zakorkowuję butelkę. Każdy łyk był taki sam jak ten pierwszy, doświadczenie wprowadzające w nowy świat.

- Jacques, nie będę piła tego likieru z nikim oprócz ciebie. Czy nie zażądam nazbyt wiele, jeśli jutro znowu zaproszę cię na dejeuner? Zastanawiam się chwilę nad odpowiedzią. Jakaś część mojej osoby nie chce wiązać się z nikim, nawet ze starą, niewidomą damą. Jednak inna część chce spędzić z nią trochę czasu. Czuję, jak kruszą się we mnie lodowe kry.

- Zgadzam się, Mirabelle. Najpierw jednak musisz przejść pewien test. Pochyliła się ku mnie, wyraźnie zaskoczona.

- Jutro będziesz musiała opisać barwę i deseń każdego gołębia, który do ciebie przyleci. Pokazać mi, czego się dzisiaj nauczyłaś. Mirabelle uśmiecha się najbardziej spontanicznym ze swych uśmiechów.

- Wiele się nauczyłam, Jacques. Na pewno cię zaskoczę. * Niedługo później podnoszę się od stołu, kieruję ku drzwiom, biorę swoje sztalugi z korytarza i wychodzę. Mirabelle odprowadza mnie do drzwi. Podziękowała, kiedy zaproponowałem, że pomogę jej sprzątać ze stołu i pozmywać naczynia.

- Dziękuję, Jacques. Chcę spędzić ten czas w samotności, tak abym mogła cieszyć się raz jeszcze naszym posiłkiem. Nie powinieneś też zostawać tutaj w tak piękny dzień, kiedy masz do skończenia obraz. Do zobaczenia. Au revoir. Schodząc po schodach, z uśmiechem

przypominam sobie moje nowe imię, Jacques. Nie jestem pewien, czy wiem, jak się to pisze. W ustach Mirabelle brzmi to trochę jak angielskie słowo „jock”. Jako student nigdy nie interesowałem się specjalnie sportem, nigdy nie sądziłem, że ktoś określi mnie tak na stare lata. Zostały mi jeszcze mniej więcej dwie godziny światła odpowiedniego do malowania. Pewne kłopoty sprawia mi ulica w tle i w prawym dolnym rogu płótna. Przez chwilę zastanawiam się nad umieszczeniem autobusu na przystanku, ale sprzeciwiałoby się to głównej myśli, którą staram się realizować poprzez swoje obrazy. Staram się malować Paryż, który wykracza poza ramy czasu, Paryż, który będzie się zdawał istnieć zawsze, a który, innymi słowy, nigdy nie istniał. Nie umieszczam na moich obrazach anten telewizyjnych, samochodów czy motocykli, a nawet rowerów. Kiedy maluję ludzi, ujmuję ich na tyle niekonkretnie, by niemożliwe było ustalenie, z jakiej epoki pochodzą ich stroje. Odkryłem też, że jeśli umieszczę na płótnie jakąś postać, niezależnie od tego, jak wiele pracy włożyłem w cały obraz, ludzie widzą go jedynie jako dodatek do tej postaci. Zauważyłem to już, malując akwarele. Namalowałem kiedyś obrazek przedstawiający całą kompozycję, składającą się z budynków i padających na nie cieni, kominów wznoszących się na tle nieba, z wrażeniem przestrzeni, ale popełniłem błąd, umieszczając na nim kobietę, która w jednym z okien wywieszała pranie. Ludzie natychmiast zatytułowali mój obraz Kobieta wieszająca pranie. Byli jednak o wiele bardziej skłonni kupić taki obraz, niż gdyby nie było na nim żadnej kobiety w oknie. To płótno sprawi mi prawdopodobnie takie same kłopoty. Nikt nie potrafi się oprzeć pokusie zignorowania nieba, drzew, kościoła Saint Germain des Pres, Les Deux Magots, Diderota, całej kompozycji, będzie to po prostu Dama. w czerwonym kostiumie z gołębiami. Tak to już się dzieje. W tym jednak wypadku, ze względu na wszystko, co się dotychczas wydarzyło, potrafię się z tym pogodzić. Rozwiązuję mniej więcej kwestię lewej dolnej części obrazu dzięki cieniom rzucanym przez drzewa w ogrodzie i kocim łbom, które były tu dawniej, ale zostały zalane asfaltem. Nie jest to może właściwe rozwiązanie, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Odkryłem, że w moich obrazach najwięcej problemów sprawia mi zakomponowanie górnego lewego i prawego dolnego narożnika. Nie zauważam nigdy, że znowu sprawiają mi kłopot aż do chwili, gdy do nich docieram. Czasami zdaje mi się, że nigdy się tego nie nauczę. Skrobię swój podpis i datę na obrazie. Są prawie niewidoczne, to jedynie zygzak zrobiony końcówką pędzla. Później odwracam płótno i piszę z tyłu jego tytuł - Mirabelle i Diderot, dopisuję datę i podpisuję się. Mirabelle naprawdę pasuje do tego obrazu. Wydaje mi się teraz, że zawsze na nim była. Słońce przestaje już oświetlać fronton kościoła, kiedy pakuję swoje rzeczy i ruszam z powrotem do domu. Jutro zacznę z następnym płótnem rozmiarów

25 F. Nie jestem jeszcze pewien, co będzie przedmiotem mojego obrazu, ale wiem, że będę malował niedaleko od miejsca, gdzie dzisiaj stałem. Kiedy zajmowałem się rysunkami i malowałem akwarelki, odkryłem, że każda, niewielka nawet dzielnica ma swoje cechy szczególne, a jeden obraz prowadzi do następnego. Zaczynam zastanawiać się nad namalowaniem placu Furstenberg. To piękne miejsce, trzy razy malowałem tam akwarele i sporządziłem co najmniej cztery czy pięć szkiców. Nie jest to typowa pułapka na turystów, choć trafia ich tam sporo. Kiedy sytuacja stawała się tragiczna, zawsze mogłem sprzedać kilka szkiców czy akwarel przedstawiających ten plac, a tworzenie ich było dla mnie cudowną zabawą, wyzwaniem stanowiła wyjątkowa prostota tematu. * Wchodzę do biura American Express na chwilę przed zamknięciem. Nic dla mnie nie ma. Wyciągani z kieszeni marynarki złożoną kartkę papieru i kopertę i piszę rozsądnie długi list ołówkiem, którego zwykle używam do szkiców. Próbuję opisać ukończony właśnie obraz, napisać też kilka słów o starszej, niewidomej damie imieniem Mirabelle. Kończę zapewnieniem, że czuję się świetnie, ale bardzo za wszystkimi tęsknię. Podpisuję się z dopiskiem „kocham was wszystkich”. Wysyłam list na nowy adres Lorrie. * Następnego ranka po biegu, przedzierając się przez miasto, łapię się na tym, że czekam na spotkanie z Mirabelle, nie chodzi mi tylko o przygotowywane przez nią przysmaki, ale o spędzenie z nią jakiegoś czasu, kiedy mogę absorbować jej siłę, witalność, czuć jej troskę, wrażliwość, współczucie. Dzień jest naprawdę piękny. Więcej słońca i mniej obłoczków, nadal jednak na niebie unoszą się spokojnie miękkie obłoczki przypominające pajęczne sieci. Dopiero kiedy zatrzymuję się i próbuję ustalić ich położenie względem ziemi, zauważam, że się poruszają. Ubrałem się dziś w swój normalny strój do malowania, pocerowaną kurtkę dżinsową, którą kupiłem na pchlim targu za dwadzieścia franków. Nie włożyłem wełnianej koszuli w zieloną kratę, którą zazwyczaj noszę pod kurtką. Koszuli brakuje wprawdzie połowy guzików, ale jest przynajmniej ciepła. W czasie porannej przebieżki zdałem sobie sprawę z tego, że nie będzie mi dzisiaj potrzebna. Powoli przekonuję się, że nie będę również potrzebował kurtki. W Paryżu czuje się pierwszą zapowiedź nadchodzącej wiosny, prawdziwej wiosny, może nawet z odrobiną lata. Docieram na miejsce i postanawiam namalować plac z góry, nieco na lewo od prowadzącej doń ulicy. Ustawiam się na placu, ponieważ chcę, aby stojące na jego środku latarnie stanowiły centrum mojego obrazu; ogniskową, wokół której reszta będzie obracać się w trzech wymiarach. Chciałbym, aby obraz wywoływał u widza wrażenie podobne do karuzeli. Przygotowuję dość staranny rysunek, pamiętając o czekającym mnie potem malowaniu. Wspaniałe, można malować coś wiele razy i za każdym razem jest to coś innego. Właśnie zamierzam nałożyć na paletę

farby do podmalówki, kiedy zdaję sobie sprawę z upływu czasu. Nie mam zegarka, zapomniałem o nim, zostawiłem go tamtej nocy, ponad rok temu, na stoliku w sypialni, kiedy pakowałem moje rzeczy. Pytam więc jednego z przechodniów o godzinę. Jest za pięć dziesiąta. Składam sztalugi, zarzucam je na plecy i ruszam za SaintGermaindesPres na plac przed kościołem. Patrzę na drugą stronę ulicy, tak, siedzi na swoim zwykłym miejscu. Próbuję podkraść się tak blisko jak tylko to możliwe, zanim mnie zauważy. Podchodzę ostrożnie. Gdyby ktoś mnie teraz obserwował, uznałby z pewnością, że naprawdę jestem Kubą Rozpruwaczem, którego specjalnością są starsze panie, ponieważ zbliżam się do niej na paluszkach. Gdy jednak podchodzę na odległość dwóch metrów, odwraca się ku mnie i uśmiecha.

- Myślałam już, że nie przyjdiesz dzisiaj, Jacques. Wiedziałam, że cię tu nie ma, czułam się rozczarowana. To bardzo miło z twojej strony, że w końcu przyszedłeś.

- Poznałaś po zapachu, prawda? Wyczułaś, że się zbliżam. Mam rację, Mirabelle? Uśmiecha się i wyjmuje dla mnie drugą nadmuchiwaną poduszczkę.

- Nie, w twoich sztalugach jest coś, co podskakuje, kiedy idziesz, jakiś metalowy przedmiot obija się o drewno. Poczulałam cię dopiero później.

- Czy śmierdzą aż tak mocno? Jak właściwie pachnę?

- Och, Jacques, chciałbyś poznać wszystkie moje małe tajemnice. Dobrze więc. Pachniesz oczywiście terpentyną pachniesz trochę potem, ponieważ tak mocno się koncentrujesz. Pachniesz też... - Urywa. - Pachniesz mężczyzną. Otacza cię specyficzny męski zapach. Nie jest to zapach tytoniu, jak u mojego ojca i wielu innych mężczyzn, nie jest to też zapach perfum, których używa dzisiaj tak wielu panów. Czasami jedynie po odgłosie butów mogę odróżnić mężczyznę od kobiety, a i to się zmienia. Masz bardzo specyficzny zapach. Nie potrafię go opisać, ale bardzo mi się podoba. Mogę jedynie porównać go do zapachu konia. Kończę nadmuchiwać poduszczkę i siadam u jej boku.

- Chyba lepiej będzie, jeśli nie usiądę zbyt blisko, Mirabelle. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak bardzo śmierdzą.

- Nie, Jacques. Chcę, byś usiadł obok mnie. Pamiętaj, że podoba mi się twój zapach. To mocna, zdrowa woń. Czy jesteś już gotów, by poddać mnie testowi? Dotknę i zbadam każdego z moich gołębi, a potem powiem ci, jak każdy z nich wygląda, czy tak? *

- Masz rację, Mirabelle, ale ja chciałem się tylko z tobą podrażnić. To przecież niemożliwe.

- Zobaczymy. Wyciąga przed siebie palec i natychmiast siada na nim gołąb, który krążył wokół od kilku chwil. Mirabelle podnosi go i bada uważnie.

- Ten jest brązoworudy, ma też dwa brązowe prożki w poprzek skrzydeł. Ma bardziej żółte oczy od pozostałych i śliwkowe nóżki. Podziwiałeś jego wygląd, powiedziałaś, że jest bardzo ładny, nawet jak na gołębia. Czy mam rację? Ma rację, w najdrobniejszych szczegółach, do tego stopnia, że powiedziała nawet to, co ja sam zdążyłem już zapomnieć.

- Nie mogę w to uwierzyć, Mirabelle. Spróbujmy jeszcze raz. Następny gołąb podlatuje do jej dłoni. Tym razem to ciężki, ciemnoniebieski ptak z prążkami na skrzydłach, zwyczajny gołąb. Mirabelle przesuwa palcem po jego szyi i masuje jego nóżki i łapki. Spogląda w moją stronę.

- Ten jest szarawobtękitny, ma dwa ciemniejsze paski na skrzydłach. Na szyi ma barwną obrózkę jak u koguta. Ma też blad różowe nóżki i oczy ciemniejsze od bursztynu. - Wypuszcza ptaka z dłoni, najpierw jednak daje mu ziarenka z jednego z woreczków. - Nie jestem pewna, czy dokładnie wiem, jakiego koloru są bursztyny, Jacques. Czy są bardziej pomarańczowe, czy może raczej żółte? * W ten sposób opisuje mi całe stado. Odtwarza doskonale wszystko, co jej wczoraj powiedziałem, z jednym tylko wyjątkiem, kiedy przylatuje niewielki, szary ptaszek, który nie pojawił się poprzedniego dnia. Mirabelle mówi od razu, że nie potrafi go opisać. Wie, że to jeden z ptaków, które nie pojawiły się wczoraj, prawdopodobnie zakłada właśnie gniazdo. Mija godzina i gotów jestem powrócić do mojej podmalówki.

- Gdzie malujesz, Jacques?

- Ustawiłem się na placu Furstenberg. Widok z góry, zamknięty u dołu rue Jacob.

- Ach, tak, to cudowny plac. Grałam tam w piłkę jako dziecko. To jedno z moich specjalnych miejsc.

- Co chcesz przez to powiedzieć? To jedno z twoich ulubionych miejsc?

- Tak, masz rację, ale to coś więcej. To bardzo skomplikowana sprawa. Idź teraz malować, a ja wyjaśnię ci wszystko w czasie dejeuner. Muszę teraz iść go przygotować. Ozisaj dostarczono mi jedzenie na cały tydzień, będziemy zatem mieli prawdziwą ucztę. Po tych słowach zaczyna zbierać swoje rzeczy. Dziwne, ale gdy przebywa się z niewidomym, w momencie kiedy przestaje się mówić, po części znika się samemu. Stoję, obserwuję ją przez kilka sekund i wracam bulwarem. Nadal jestem pod wrażeniem. Jak to możliwe, że tak szczegółowo opisała każdego ptaka? Jak to możliwe, że starsza już pani ma tak wspaniałą pamięć? Dochodzę na plac i od razu zabieram się do pracy. Nie dostrzegam wcale upływu czasu do chwili, gdy zaczynają bić dzwony Saint Germain des Pres. Namalowałem już niebo, lewą stronę placu z zarysami drzew. To wspaniała chwila w malowaniu, wszystko nadal wydaje się możliwe. Następny wspaniały posiłek. Próbuje wspomnieć coś o moim

wymuszonym okolicznościami wegetarianizmie, o tym, że nie jem już tak wiele mięsa jak dawniej. Mirabelle podała dziś zraziki wołowe z młodą fasolką i pommes Dauphine. Wszystko jest znakomicie przyrządzone. Tym razem zauważam, że prawdopodobnie stara się zmywać od razu, w kuchni panuje bowiem porządek, a wszystkie naczynia, oprócz absolutnie niezbędnych, moczą się w zlewie z gorącą wodą. Mirabelle pyta, gdzie mieszkam. Opowiadam zatem o strychu, na którym się zagnieździłem, o moim gotowaniu, bieganiu, prawie wszystko o moim obecnym życiu, łącznie z takimi szczegółami jak smród kleju i przybijanie pluskiewek. Staram się ująć to wszystko z maksymalną dozą humoru. Jeśli się nad tym zastanowić, wziąć wszystko pod uwagę, jest to przecież bardzo śmieszne. Mirabelle patrzy na mnie. W jej oczach dostrzegam koncentrację.

- Ale dlaczego tak żyjesz? Co poczniesz, kiedy przyjdą chłody?

- Przetrwalem ostatnią zimę, a wtedy nie miałem jeszcze swojego strychu. Teraz mam strych, kiedy nadejdzie zima, kupię na pchlim targu jeszcze jeden koc, to mi w zupełności wystarczy. Kończymy posiłek. Mirabelle podchodzi do kredensu, podstawia sobie stołeczek i wyjmuje butelkę Poire William. Podnoszę się, aby jej pomóc, ale zaraz siadam z powrotem. Jest dla mnie zbyt szybka. Kiedy staje na stołeczku, widzę jej nogi, szczupłe jak u trzynastoletniej czy czternastoletniej dziewczynki. Nosi jednak pończochy odpowiednie dla starszej pani, fildekosy, chyba tak się nazywają. Wraca do stołu. Wiem już, gdzie stoją kieliszki, wyjmuję je więc z kredensu. Mirabelle podaje mi butelkę.

- Jacques, proszę, tym razem nalej ty. Chcę, by ktoś mnie rozpieszczał chcę czuć się traktowana jak młoda kobieta, choćby przez chwilę. Siada, krzyżując łydki pod stołem. Wyciągam korek, zapach gruszek ponownie roznosi się po całym pokoju, Mirabelle wdycha go głęboko. Nalewam trzy czwarte kieliszka dla każdego z nas. Podaję Mirabelle jej kieliszek, podnoszę swój i oboje wznosimy je do góry.

- Za Jacquesa, jednego z najlepszych malarzy na świecie.

- Skąd możesz to wiedzieć, Mirabelle?

- Dlatego, że jestem niewidoma? Wiem tak wiele przede wszystkim dlatego, że jestem niewidoma. Wiem, że jesteś znakomitym malarzem.

- Dobrze, zatem wypijmy za Mirabelle, najlepszego niewidomego krytyka obrazów. Oby wszyscy krytycy mieli taką głębię spojrzenia. - Pociągamy po łyżeczku, wtedy przypominam sobie jej słowa. - Mirabelle, nazwałaś plac Furstenberg jednym ze swoich specjalnych miejsc. Co chciałaś przez to powiedzieć? Obiecałaś, że to wyjaśnisz. Pociąga jeszcze jeden łyżeczek likieru, opuszcza głowę, wreszcie spogląda w moją stronę.

- Widzisz, Jacques, nie jestem tak naprawdę ślepa. Patrzy mi prosto w oczy. Nie jestem zaskoczony, zastanawiam się tylko, dlaczego udawała. Dlaczego, na miłość boską, wpadła na mnie, kiedy malowałem, przecież naprawdę się wtedy pokaleczyła. Czyżbym miał do czynienia z kompletną wariatką?

- Mam absolutnie zdrowe oczy, dobre oczy. Nerwy, które powinny przenosić do mózgu to, co widzą oczy, są w doskonałym stanie. - Urywa. - Ale mój umysł nie pozwala mi widzieć. Cierpię na tak zwaną ślepotę histeryczną, aveugle hysterique. Próbowałam wszystkiego, ale od czternastego roku życia nic nie widzę.

- To znaczy, że nie widzisz mnie, choć siedzę naprzeciwko ciebie? Nie widzisz tego pokoju? Co właściwie widzisz?

- Widzę tylko obrazy, które pozostały w mojej pamięci. Mam cały mój własny świat, ale są to obrazy, które zapamiętałam z dzieciństwa. Wielu lekarzy próbowało mnie wyleczyć, sprawie, bym na powrót zaczęła widzieć. Moja siostra prowadziła mnie do psychiatrów i innych specjalistów. Wielokrotnie poddawałam się hipnozie. Jednak nadal nie widzę. Czasami sądzę, że już nigdy nie będę widzieć. Jednym ze sposobów, które miały mnie wyleczyć, pomóc mi odzyskać wzrok, było wspomnianie miejsc z dzieciństwa, miejsc, które kochałam, gdzie się bawiłam, później miałam iść w jedno z nich, zamknąć oczy i spróbować przypomnieć sobie wszystko, co tam było. Później miałam otworzyć oczy w nadziei, że zobaczę to wszystko naprawdę, ale nigdy się to nie zdarzyło. Mam w pamięci dwadzieścia dwa swoje miejsca, wszystkie w tej dzielnicy. Są dla mnie prawie jak prywatne pocztówki, pojawiają się przed moimi oczami, kiedy tylko chcę. Od wielu lat chadżam tam i koncentruję się, starając się je zobaczyć, starając się zobaczyć cokolwiek, choćby promyk światła, ale nigdy się to nie wydarzyło. Plac Furstenberg po prostu do nich należy.

- Co się wydarzyło? Jak do tego doszło, Mirabelle? To straszne.

- Dla ciebie to straszne, dla mnie jednak nie. Lekarze powiedzieli, że nie widzę, ponieważ w głębi ducha wcale nie chcę widzieć. Boję się.

- Czego się boisz, Mirabelle?

- Boję się tego, co mogłabym zobaczyć. Nauczyłam się cieszyć prywatnym światem, w którym żyję. Tak, ślepotą wiąże się z pewnymi niedogodnościami, ale jest też bardzo wygodna.

- Mój Boże, powiedz, co się stało? Dlaczego się boisz? Pociąga jeszcze łyce i przysuwa kieliszek do piersi. Aż do wczoraj nigdy nie widziałem, by ktoś robił coś podobnego. Może chce, w ten sposób osłonić go, by nikt nie mógł przypadkiem wytrącić go z jej ręki.

- Może innym razem, Jacques. Chciałabym, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, porozmawiać z tobą o czymś ważnym. Cóż może być ważniejsze od jej ślepoty? Czekam.

- Chciałabym, abyś namalował mój portret. Fakt, że umieściłeś mnie na swoim obrazie u stóp Diderota, sprawił, że poczułam się o wiele pewniej. Czuję teraz, że istnieję dla otaczającej mnie rzeczywistości, a nie tylko w świecie mojej wyobraźni, wewnątrz mego umysłu. Proszę, czy namalujesz mój portret? Nie spodziewałem się tego. To takie kłopotliwe. Pociągam łycezek Poire William, zastanawiając się nad tym, co powinienem teraz powiedzieć, jak odmówić, nie raniąc jej uczuć.

- Nie jestem portrecistą, Mirabelle. Kiedy byłem studentem, próbowałem malować portrety, ale wtedy nie potrafiłem tego robić, nie sądzę więc, bym umiał zrobić to teraz.

- Tak, jednak w przypadku tego obrazu możesz zadowolić tylko siebie. Ja nie mogę być krytykiem. Nie wiem nawet, jak wyglądam. Chcę tylko, abyś namalował obraz, przedmiot, który wyrazi choć po części, jak mnie widzisz, co wobec mnie czujesz. Będzie to miało dla mnie naprawdę wielkie znaczenie.

- Ale, Mirabelle, to przecież bardzo kosztowne. Z przyjemnością namalowałbym twój portret za darmo, ale wtedy chciałbym zatrzymać go dla siebie. Kończą mi się już pieniądze.

- I tak możesz zatrzymać później ten obraz. Tak będzie lepiej. Nie możesz jednak namalować go za darmo. Chcę zapłacić ci normalną stawkę. To zlecenie.

- To byłoby moje pierwsze zlecenie, Mirabelle. Ale nie masz pojęcia, ile może to kosztować. Muszę zażądać od ciebie trzystu franków za każdy obraz, żeby mieć dość pieniędzy na życie.

- Nie zapłacę ci trzystu franków. Urywa. A zatem wywinąłem się, po prostu nie miała pojęcia, o co prosiła. Teraz jednak widzę ją inaczej, widzę ją jako obraz. Chciałbym namalować jej portret, gdyby tylko zgodziła się do niego pozować. Chciałbym namalować jej wewnętrzny spokój, witalność, wyobcowanie, odwagę, jeżeli można je namalować. Poszłoby na to wiele oszczędności, mnóstwo farby, ale mam jeszcze trochę pieniędzy, a latem przyjadą przecież turyści. Może pojedę na wzgórze Montmartre, będę udawał małpę jak inni malarze w tym zoo, pewien jestem, że tam zdołałbym coś sprzedać.

- Jacques, muszę zapłacić ci co najmniej tysiąc franków, w przeciwnym wypadku nie, możesz malować mojego portretu. Zapłaciłabym o wiele więcej, gdybyś tylko chciał. Do diabła, a więc nie wywinąłem się! Teraz naprawdę mnie bierze. Mirabelle podnosi się od stołu i odchodzi w swój specjalny sposób, nie powłóczy nogami, ale nie podnosi ich prawie, wyczuwa nimi podłogę, jak gdyby z każdym krokiem wsuwała stopę w pantofel, szybko

podchodzi ponownie do kredensu. Jaki następny smakołyk chce z niego wydobyć? Wyciąga emaliowane blaszane pudełko z kolorowymi obrazkami. Podnosi wieczko, sięga do środka i szuka czegoś. Wyciąga ze środka jeden, dwa pięćsetfrankowe banknoty. Zamyka pudełko i odkłada je z powrotem na półkę, a potem wraca do stołu.

- Teraz wiesz już, gdzie starsza niewidoma pani chowa swoje pieniądze. Nie ukrywa ich przed samą sobą. Wyciąga w moją stronę banknoty, ale nie chce ich przyjąć.

- Mirabelle, poczekaj aż skończę twój portret. To wariactwo.

- Nie, wariactwem byłoby czekać z zapłata do chwili, gdy obraz będzie skończony. Jaka to różnica? W ten sposób już teraz będziesz miał pieniądze, podczas gdy ja mogę tylko trzymać je w pudełku i nic z nimi nie robić. Możesz kupić farby, dzięki którym obraz będzie lepszy. To ma o wiele więcej sensu. Przysuwa pieniądze bliżej mnie, przez cały ten czas patrzy mi prosto w oczy. Biorę pieniądze. Ma rację.

- Jeśli przyjdę na plac Furstenberg, gdzie teraz malujesz, czy będę mogła stanąć obok ciebie? Nie będę ci przeszkadzać, chcę poczuć, że malujesz, wiedzieć, że widzisz naprawdę to, co ja mogę tylko wspominać. Czy nie masz nic przeciwko temu? Ja nie, ale jak ona wyobraża sobie to przyjsie? Przecież będzie musiała przejść bulwar SaintGermain, a to szeroka ulica pełna pędzących samochodów, nie jest to raczej ulica, którą powinna samotnie przekraczać niewidoma starsza pani.

- Możesz pójść razem ze mną, jeśli tylko chcesz. Pomogę ci przejść bulwar SaintGermain.

- Nie, najpierw tu posprzątam. Nie masz pojęcia, jak dobrze radzę sobie w mieście. W Paryżu potrafię dotrzeć wszędzie, gdzie tylko chcę. Na bulwarze słucham ludzkich kroków. Kiedy ludzie ruszają na drugą stronę, idę wraz z nimi. Poza tym zawsze znajdzie się ktoś, kto poda ramię starszej pani w czerwonym kostiumie z białą laską. Czasami widzę siebie w ich myślach. Oczywiście, bulwar był zupełnie inny, kiedy widziałam go po raz ostatni, ale wiele mówią mi zapachy i dźwięki. A zatem wychodzę. Światło powinno być teraz wprost idealne. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że będę malował równocześnie dwa obrazy, a każdy wymaga kilku dni pracy. Będę potrzebował jednego płótna na poranne światło i drugiego na popołudnie. Naprawdę mam co zrobić z tym tysiącem franków, nawet jeśli chcę kupić tylko farby i płótno. * Maluję już od prawie godziny, kiedy spoglądając w bok, zauważam Mirabelle, która siedzi obok mnie na składanym stołeczku. Uśmiecha się.

- Och, teraz mnie zobaczyłeś. Siedzę tu już od pewnego czasu, ale byłeś tak bardzo zajęty patrzeniem, że nie wiedziałeś w ogóle, że tu jestem. Czasami jeśli patrzy się nazbyt uważnie, można nawet oślepnąć. Czyż to nie interesujące? Zabieram się właśnie do

malowania świetlnych kul stojących na środku placu. Przysięgnęłbym, że każda z nich ma nieco odmienny kolor od pozostałych. Jeśli nie przyglądać się im zbyt uważnie, można pomyśleć, że wszystkie są białe, jednak ich biel ma różne odcienie - od błękitu, poprzez zielen i żółć, aż do fioletu. Nie dostrzegłem tego do chwili, kiedy zacząłem je malować. Próbuję wyjaśnić to Mirabelle. Przymyka oczy, jak gdyby chciała przywołać obrazy ze swej pamięci. Milczymy przez chwilę.

- Jacques, czy będę ci przeszkadzać, jeśli opowiem o tym, co widzę w mojej pamięci, wsłuchując się w szmer wiatru pośród drzew, czując zapachy ulicy, farby, ciebie, co pamiętam z czasów, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką?

- Nie, z przyjemnością tego posłucham, Mirabelle.

- W moich najdawniejszych wspomnieniach plac jest ogromnym pokojem, tak jakby wcale nie znajdował się na wolnym powietrzu. Gałęzie drzew tworzyły jak gdyby parasol. Po obu stronach lamp ustawione były ławki, siadywałam na nich i wpatrywałam się w lampę, przechylałam głowę w tył i w przód, patrząc, jak przesuwa się moje odbicie. Ściany były wtedy szare, błękitno-szare, fioletowe, brązowo-szare, a kiedy padało na nie słońce, wydawały się promieniować wewnętrznym światłem, białym jak niebo pomiędzy liśćmi drzew. Teraz rozumiem, że mury pomalowane były na biało, żółto i w jasnych odcieniach brązu. Musiały być piękne, ale nie takie pozostały w mojej pamięci. Kiedy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że ulica prowadząca do rue Jacob jest bardzo długa. Jeździliśmy po niej na wrotkach przymocowanych do butów, bawiłyśmy się obręczą. Wtedy było niewiele samochodów, więcej koni. Tylko część nawierzchni była gładka, reszta wybrukowana kocimi łbami. Na rue Cardinale w ogóle nie było bruku. Okna były otwarte, na zawsze pozostaną otwarte w mojej pamięci, stały w nich kwiaty, na sznurkach wisiało pranie jak motyle na tle zieleni. Niekiedy na drzewach pojawiały się purpurowe kwiaty, kiedy opadały, zbierałyśmy je w spódniczki i obsypywałyśmy się ich płatkami. To były cudowne czasy. Urywa, nadal ma przymknięte oczy. Wniosła w to, co widzę przed sobą, tak niezwykłą świeżość, wizję jak ze snu. Dostrzegam nagle, że włączam jej uczucia do swojego obrazu. Wybieram pomiędzy tym, co sam widzę, tym, co widzi mój umysł, selektywnym widzeniem malarza i wizją, jaka powstała w umyśle Mirabelle. Podobnie jak stało się z gołębiami nad SaintGermaindesPres, latam w jej marzeniach, maluję jej pragnienia. Mirabelle opowiada dalej, wydobywa z zakamarków pamięci wspomnienia, które przechowywała, pieściła przez wszystkie te lata, mówi o tym, co minęło, ale co wydaje mi się o wiele bardziej rzeczywiste niż to, co widzę przed sobą. Wydaje mi się nagle, że sam zaczynam ślepnąć, ale po chwili zdaję sobie sprawę, że zapada już zmrok. Nie mam pojęcia,

która jest godzina, ale obraz jest prawie skończony. Nigdy nie wierzyłem, że mogę tak wiele zrobić w jeden dzień. A to, co dzisiaj namalowałem, jest dobre, oddaje moje uczucia wobec Paryża, wobec Mirabelle, i na przeróżne sposoby to, co czuła wobec Paryża jako mała dziewczynka i co czuje teraz jako stara niewidoma kobieta. Składałam sztalugi. Mirabelle przyniosła trochę ziarna dla gołębi. Wiele ptaków ze stada gnieźdzącego się na SaintGermaindesPres przylatuje na plac, aby zbierać resztki jedzenia pozostawione przez turystów i innych przechodniów. Złożywszy sztalugi, opieram je o ścianę obok Mirabelle. Ma wspaniałą składany stołeczek, żałuję, że sam nie mam podobnego, czasami plecy mnie bolą od wielogodzinnego stania. Mirabelle obraca się ku mnie.

- Czuję, że zaczyna się ochładzać. Czy naprawdę robi się już ciemno? Czy dlatego złożyłeś sztalugi?

- Masz rację, Mirabelle. Jest już tak ciemno, że wydawało mi się, że sam tracę wzrok.

- Nie, Jacques, nie tak staje się niewidomym. Siedzi na swoim stołeczku, wszędzie wokół niej pełno gołębi. Jest już wieczór. Jak sądzę, jest to pora, kiedy najsilniej odzywają się instynkty i gołębie łączą się w pary, ponieważ dwa czy trzy samczyki odbywają właśnie zaloty, nadymają się, kiwają głowami, ciągną za sobą lotki, gruchają, zataczają ciasne kręgi.

- Czy gołębie tańczą swój taniec miłości, Jacques?

- Tak, Mirabelle. Wydaje mi się, że ze wszystkich znanych mi stworzeń gołębie najwięcej czasu spędzają na zalotach.

- Wiesz przecież, że gołębie łączą się na całe życie. Tańczą dla wszystkich samiczek, ale parzą się tylko raz.

- Słyszałem to już kiedyś, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Na pewno jednak byłoby miło, gdyby okazało się, że to prawda. Podoba mi się ten pomysł.

- Naprawdę. Widziałeś kiedyś, by gołębie parzyły się na ulicy, na widoku, tak jak robią to psy, koty, a nawet inne ptaki?

- Nie, nigdy nie zwracałem na to uwagi, ale masz rację. Może coś jest w tym, że gołębie mogłyby nauczyć ludzi, jak należy żyć.

- Gołębie jedynie flirtują z samiczkami, pokazują, że o nie dbają, podziwiają je i cenią. Myślę, że to wiośnie jest najpiękniejsze. Drzę cała, gdy słyszę ich pieśń godową, tupot nóżek, gdy słucham, jak szurają piórami. Ich taniec jest pozbawiony znaczenia, ale pełen namiętności. - Podnosi ku mnie wzrok w zapadającym mroku. - Wiesz, Jacques, naszemu światu brakuje miłości. Czasami wydaje mi się, że gołębie to ostatni kochankowie Paryża. Nasze czasy są pełne seksu, ale niewiele w nich prawdziwej miłości, miłości, która

zbliża wszystkie stworzenia, która pozwala im znaleźć wyraz dla uczuć wobec innego stworzenia, woźnego i cennego dla nich. Podnosi się i składa swój stołeczek. Zarzucam go na plecy razem ze sztalugami. Podaję jej ramię. - Jacques, czy pozwolisz zaprosić się do La Palette na rue de Setne? Możemy napić się tam kawy lub czegoś innego. Od dawna przychodzą tam artyści. Po raz ostatni byłam tam piętnaście lat temu, jeszcze przed śmiercią Rolande. Proszę, chodźmy tam razem. Z taką radością jeszcze raz usłyszę i poczuję podniecenie tej kawiarni. Dziesiątki razy mijalem tę kawiarnię, nigdy jednak nie wszedłem do środka. Siedzenie w kawiarniach nie mieści się w moim budżecie. Mam nadzieję, że nie wydaję w ten sposób oszczędności Mirabelle. Nie byłoby to ani uczciwe, ani właściwe. - Jeśli tego chcesz, Mirabelle, chodźmy. Ale to ja zapłacę. Jestem teraz bogatym człowiekiem. Mam w tej chwili w kieszeni tysiąc franków. Uśmiecham się do niej, zdając sobie w pełni sprawę, że uśmiech nic dla niej nie znaczy, jest niewidoczny, nie może go zobaczyć, ale sprawia, że czuję się lepiej. Uśmiecham się do siebie. Mirabelle ujmuje mocniej moje ramię, nie ściska, przysuwa się tylko bliżej. Zapada cudowny wieczór, musimy tworzyć nie lada parę, wchodząc do La Palette. Znajdujemy wolny stolik w głębi sali i oboje zamawiamy Cointreau. To znakomity trunek po dniu ciężkiej pracy. Zapłacę zań więcej niż zwykle wydaję przez tydzień, ale wiem, że będzie warto. Mirabelle wysuwa swoje anteny, poznaję to po wręcz ekstatycznym uśmiechu na jej twarzy, wewnętrznej koncentracji. „Odbiera” z otoczenia więcej, o wiele więcej niż ja. Zamykam oczy i próbuję doświadczyć tego samego co ona. Kiedy siedzę tak z zamkniętymi oczami, na stole pojawia się Cointreau. Wiem to bez otwierania oczu. Otacza nas zapach pomarańczy. Zastanawiam się, czy poczułbym go, gdybym siedział z otwartymi oczami.

- Czyż to nie cudowne, Jacques? - Przesuwa palcem dookoła kieliszka Cointreau, obraca go w swych drobnych, spiczastych palcach o delikatnej skórze. - Czuję wszystko tak mocno, jak gdybym mogła to widzieć. Stukamy się kieliszkami, oczywiście ona wykonuje ruch jako pierwsza. Dawno już nie piłem Cointreau, nie jest może najlepsze, na pewno nie tak dobre jak Poire William, ale świetnie smakuje we wczesny wiosenny wieczór. Pociągamy napój małymi łyżkami i słuchamy. Obserwuję wchodzących i wychodzących młodych ludzi, patrzę, jak się wygłupiają. Dlaczego artyści uważają, że ciągle powinni robić z siebie widowisko? Prawdopodobnie to właśnie sprawia, że są artystami, a przede wszystkim powoduje, że w ogóle chcą nimi zostać. Chcą, potrzebują, by inni ich widzieli. Z jakichś przyczyn nie są pewni, czy istnieją. Zastanawiam się, jak wiele jest we mnie podobnych uczuć. Prawdopodobnie człowiek, który ma w życiu wystarczająco dużo miłości i akceptacji, nigdy niczego nie stworzy, nic nie zrobi. Jest samowystarczalny. Można by w

ten sposób położyć koniec istnieniu wszystkich pisarzy, poetów, malarzy, piosenkarzy, muzyków, polityków, większości tych, którzy posuwają naprzód nasz świat, a przynajmniej walczą o łączność między ludźmi. Jest już zupełnie ciemno, kiedy odprowadzam Mirabelle do domu. Zaprasza mnie do środka, ale nie mam jakoś ochoty siedzieć w ciemnym pokoju, z czego ona nie zdaje sobie w ogóle sprawy. Będę musiał kupić kilka żarówek, jeśli mam zamiar spędzać więcej czasu w jej mieszkaniu.

* * *

Wspaniale idzie mi się do domu. Otwieram drzwi, posługując się kodem, który podpatrzyłem, gdy do środka wchodzili inni mieszkańcy, cichutko wchodzę na górę i przygotowuję się do snu. Jedząc lekką kolację, obserwuję mój obraz w świetle świec. Jeśli dalej będę jadał podobne posiłki, nie skończę w tym tygodniu mojego bezmięsnego gulaszu. Marzenia w mroku Zachowuję się wprost bezwstydnie. Zastanawiam się, czy to zauważy), ale tak wiele dla mnie znaczy. Musi choć po części zdawać sobie sprawę z moich uczuć, nawet jeśli widzi. Jestem zdezorientowana. Teraz, kiedy wiem już, jak wyglądają moje gołębie, coś się zagubiło. Myślałam, że będę kochać je bardziej, a moje uczucie osłabło. Powinnam była to przewidzieć. Myślę, że jest przekonany, że jestem dziecinna, skoro wymyśliłam dla nich imiona, ale od tak dawna były moimi jedynymi towarzyszami. Mam nadzieję, że nie ma nic przeciwko temu, bym nazywała go Jacques. Nie może przecież wiedzieć, że to imię mojego ojca. Poczulałam coś negatywnego, kiedy wszedł do mojego mieszkania. Czy możliwe, że jest aż tak brudny i zaniedbany? Muszę go o to zapytać, nie mogę jednak posuwać się za szybko. Poprosiłam, aby namalował mój portret, to już bardzo wiele. Cieszę się, że to zrobiłam. Chciałam czegoś, co byłoby nasze wspólne, czegoś, co utrzymałoby go blisko mnie. Wydaje mi się, że smakują mu moje potrawy. Rozpoznają to po dźwiękach, gdy je. Jestem tak bardzo szczęśliwa, że go znalazłam. Cudownie jest mieć kogoś, z kim mogę podzielić się moją gruszką w butelce.

* * *

Rozdział 3

Następnego ranka kończę obraz Plac Furstenberg. Czuję wyraźnie, że panuję nad sytuacją. Mocne pociągnięcia pędzla pomagają mi przejść do szczegółów. Światło przebija się poprzez drzewa, posługuję się ogromną paletą barw, aby uchwycić słoneczne refleksy na bruku. Mój obraz mieści się gdzieś pomiędzy impresjonizmem i czymś całkowicie odmiennym, moją nową wizją, wizją bardzo osobistą jak u van Gogha, przekonaniem, że sposób, w który ja coś widzę, wart jest przedstawienia. Pracuję przez cały poranek, nagle czuję, że Mirabelle staje tuż za mną.

- Czuję, że jesteś zadowolony ze swej pracy, Jacques. Dzwony już biją, czy pójdziesz teraz do mnie na dejeuner, a potem zabierzesz się do malowania mojego portretu? Jak to możliwe, że wie, iż już prawie skończyłem? Czyżby wyczuwała ukryte „wibracje satysfakcji”? Skrobię swój podpis w lewym dolnym narożniku obrazu. Zdejmuję płótno ze sztalugi i wypisuję drukowanymi literami tytuł: Plac Furstenberg, datę i podpisuję się z tyłu. Czuję wręcz pokusę, by podpisać się „Jacques”.

- Tak, jestem bardzo zadowolony z tego obrazu. Jednak nie mogę jeszcze zacząć twojego portretu, ponieważ nie wziąłem ze sobą żadnego wolnego płótna. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak szybko skończę. Szkoda, że nie możesz tego zobaczyć. To najlepszy obraz, jaki dotychczas namalowałem, a ty wiele mi przy nim pomogłaś.

- Dziękuję. Bardzo się cieszę, że mogłam ci pomóc. Czy potrafisz zrozumieć, jak wiele znaczy to dla kogoś ślepego tak jak ja? Mówi to z poważnym wyrazem twarzy, ale po chwili uśmiecha się i "spuszcza wzrok" na swoje stopy. Potem znowu "patrzy" mi w oczy.

- Nie mógłbyś kupić gdzieś w pobliżu płótna? Wydaje mi się, że sklepy nie są jeszcze zamknięte.

- Płótno jest bardzo drogie, Mirabelle. Naciągnięte, zagruntowane płótno potrzebnych rozmiarów kosztowałoby około stu pięćdziesięciu franków. Sięga do swojej torebki i wyjmuje dwa banknoty stufrankowe.

- Proszę, Jacques, kup płótno. Nie wiemy, jak długo jeszcze będziesz mógł malować mój portret, starzeję się z każdym dniem. Chciałabym, abyś namalował mnie tak szybko, jak tylko to możliwe, dopóki jestem jeszcze młoda.

- W porządku, oddam ci te pieniądze dziś wieczorem, kiedy rozmiennę tysiąc franków. To jedyne uczciwe rozwiązanie. Zgadzasz się?

- Tak, jeśli tytko tego chcesz. Ale musisz się pospieszyć, żeby znaleźć sklep, zanim go zamkną. Pójdę tymczasem przygotować obiad. Prawie wszystko jest już gotowe, wstały

tylko same drobiazgi. Zobaczymy się w domu. Odchodzi. Sklep znajduje się tuż za rogiem, niedaleko od La Palette, gdzie piliśmy wczoraj Cointreau. Uznaję, że mogę zostawić sztalugi na placu. Ponownie mocuję na nich płótno. Przez te parę minut nikt ich nie ukradnie, ruszam więc biegiem w stronę sklepu, ściskając w dłoni zmięte dwieście franków. Kiedy docieram na miejsce, biją właśnie dzwony, sklep jest jeszcze otwarty. Płótno portretowe, prawdziwy len na dobrym blejtramicie, rozmiar 20 F, kosztuje sto dziewięćdziesiąt franków. Czuję się bogatym człowiekiem, ale jeśli będę dalej wydawał pieniądze w tym tempie, już niedługo stanę się kandydatem do przytułku. Biegnę z powrotem do moich sztalug, wszystko w porządku. Para elegancko ubranych Francuzów przygląda się mojemu obrazowi. Mężczyzna pyta, czy chcę go sprzedać. Chcę i jednocześnie nie chcę. Mężczyzna nalega, podczas gdy ja składam szt&lugi. Słyszając mój beznadziejny francuski, przechodzi na angielszczyznę, poprawną, choć z silnym obcym akcentem.

- Przecież musi pan być profesjonalistą, monsieur. Czy mogę zobaczyć pańskie prace w jakiejś galerii?

- Nie, nie mam galerii.

- Ale jest pan profesjonalistą. Pański obraz jest po prostu znakomity.

- Dziękuję. Nie odpowiedziałem na jego pierwsze pytanie. Myślę, że rzeczywiście jestem profesjonalistą, ale nie lubię tego określenia. Brzmi dla mnie jak "prostyutka" albo "łowca nagród". Francuskie słowo amateur znaczy "miłośnik". Jestem zatem amatorem, przynajmniej jeśli chodzi o malarstwo.

- Ile chciałby pan dostać za ten obraz, monsieur? Bardzo podoba się mojej żonie i mnie. Postanawiam podać tak wysoką cenę, by się odczepił. Jestem przekonany, że wydaje mu się, że to Montmartre, gdzie obrazy sprzedaje się za grosze.

- Ten obraz kosztuje tysiąc pięćset franków, monsieur. Muszę z czegoś żyć. Mężczyzna sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciąga lśniący portfel z ciemnej skóry, wyjmując z niego trzy banknoty po pięćset franków i wręcza mi je. Niech mnie gęś kopnie! Nie miałem nawet czasu, aby nacieszyć się tym obrazem. Ale, wielki Boże, tysiąc pięćset franków, wystarczy mi to na życie przez całe lato. Zamierzam jednak podejść do sprawy jak profesjonalista. Podnoszę oparty o ścianę obraz i odsuwam go od siebie na odległość wyciągniętego ramienia, aby spojrzeć nań po raz ostatni. Czuję się tak, jak gdybym sprzedawał jakąś część Mirabelle. Podaję mężczyźnie obraz.

- Proszę obchodzić się z nim ostrożnie, monsieur. Farba jest jeszcze wilgotna. Wyschnie dopiero za tydzień, a może nawet i dłużej.

- Nic nie szkodzi. Mieszkamy niedaleko stąd. Kochamy ten plac, raz jeszcze dziękujemy za sprzedanie nam dzieła. Ma pan ogromny talent. Po tych słowach odchodzą z moim obrazem. Kobieta ma na sobie białe futro, białe pończochy i matowobiałe pantofle. Jej fryzura wyszła spod ręki znakomitego fryzjera. Mężczyzna wygląda tak, jak gdyby był premierem Francji. Do diabła, nie rozpoznałbym premiera Francji, nawet gdybym się o niego potknął. Czuję się wewnętrznie rozdarty. Muszę powiedzieć o tym Mirabelle. Sprzedałem nasz obraz. Co ona o tym pomyśli? Zarzucam na plecy puste sztalugi i ruszam w stronę jej domu. W drugiej ręce niosę nowe płótno. Jestem już spóźniony. Zostawiam sztalugi w korytarzu, pukam, choć drzwi są otwarte. Mirabelle jest w kuchni.

- Zaczęłam myśleć, że już nie przyjdiesz. Proszę, siadajmy do stołu. Przygotowałam crepes [naleśniki] z pieczarkami i sosem serowym. Właśnie skończyłam je smażyć. Idę do toalety zrobić siusiu. Posługuję się tym samym systemem co poprzednio. Później idę do łazienki umyć ręce, zostawiając otwarte drzwi, by wpuścić do środka trochę światła. Zabrałem ze sobą kilka kawałków papieru toaletowego, nasączyłem je wodą i próbuję teraz wyczyścić choćby fragment lustra. Brud prawie wrósł w szkło. Udaje mi się oczyścić kółeczko na środku, dostatecznie duże, by zobaczyć swoje odbicie. Od dawna nie przeglądałem się w lustrze z bliska. Nie wyglądam wcale tak źle, jak się tego spodziewałem, zdecydowanie młodziej niż dwa lata temu. Gdyby nie siwe pasma w brodzie, mógłbym uchodzić za czterdziestolatka. Siadam przy stole. Mirabelle nakłada na talerze po trzy naleśniki. Pachną smakowicie. Znowu zamykam oczy i pozwalam, by przeniknął mnie zapach. Powoli staje się to nałogiem. Zanim się zorientuję, sam stanę się niewidomy.

- Mirabelle, muszę ci coś powiedzieć.

- Sklep był zamknięty i nie udało ci się kupie płótna.

- coś jeszcze gorszego. Nie mogę pominąć tego milczeniem. Muszę jej powiedzieć, tyle przynajmniej jestem jej winien.

- Sprzedałem nasz obraz, obraz z placem Furstenberg. Siedzi cicho, patrzy w moją stronę. Podaje mi butelkę białego wina PouillyFume, prosząc, bym ją otworzył. Zaczynam wkręcać korkociąg.

- Ależ to bardzo dobrze, Jacques. Powiedziałeś przecież, że musisz sprzedawać obrazy, by żyć. Zawsze możemy jeszcze raz namalować plac Furstenberg. Jest ciągle w mojej pamięci. Jestem szczęśliwa, że podzieliliśmy się jeszcze z kimś naszą wizją. Nagle ogarnia mnie ulga. Mirabelle ma rację. Mogę namalować ten obraz jeszcze raz. Namaluję go lepiej niż poprzednio. Po prostu brakowało mi wiary w siebie. I naprawdę mam w

kieszeni dwa i pół tysiąca franków, tysiąc od Mirabelle i tysiąc pięćset, które dostałem przed chwilą. Sięgam do kieszeni i wyjmuję tysiąc franków.

- Proszę, Mirabelle, weź te pieniądze, już ich nie potrzebuję. Musisz tylko zapłacić za płótno, a to już zrobiłaś. Jesteśmy kwita. Odsuwa się od pieniędzy jak od jadowitego węża.

- Nie rób mi tego, Jacques. Złożyłam przecież zamówienie. Nie mogę przyjąć tych pieniędzy, to nie byłoby w porządku. Proszę, weź je. Mają kwaśny zapach, pachną mieszaniną brudu, tanich perfum, portfelem i potem, jak wszystkie pieniądze. Proszę, zabierz je, nie mogę jeść. Kładę pieniądze na stole obok siebie.

- Dobrze, możemy porozmawiać o tym później. Na razie chciałbym zjeść te wspaniałe naleśniki i wypić to cudowne wino. Wyciągam przed siebie kieliszek, po chwili Mirabelle zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Prawdopodobnie nikt nie zauważyłby jej spóźnienia, dostrajam się do niej coraz lepiej.

- Tak, Jacques, wypijmy za sprzedaż twojego pięknego obrazu. Wiedziałam, że jesteś znakomitym malarzem. Powinieneś więcej żądać za swoje obrazy, oddajesz je zbyt tanio.

- Mam teraz więcej pieniędzy niż mogę wydać, Mirabelle. Wiem już, że praca tylko dla zarobku może zniszczyć życie szybciej niż cokolwiek innego. Jestem szczęśliwy, że tak dużo zarobiłem, ale nie mogę dopuścić do tego, by pieniądze stały się jedynym powodem, dla którego maluję. Tego już się nauczyłem.

- Nigdy nie będziesz malować wyłącznie dla pieniędzy, Jacques, chyba że będziesz głodny i samotny. Ale przedtem możesz zawsze przyjść tutaj i zamieszkać razem ze mną. Pijemy, wino jest wytrawne, odpowiednio schłodzone. Ma smak rodzynków, ale jest bardzo lekkie, niemal musujące. Pora zmienić temat.

- Gdzie kupujesz wina, Mirabelle? Za takie wino musiałaś zapłacić co najmniej tyle, ile dostałem za mój obraz.

- Te wina nie należą do mnie, zostały mi po Rolande. Kiedy pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Luwrze, dostawała skrzynkę wina na każde Boże Narodzenie. Pijałyśmy je bardzo rzadko, więc w piwnicy zostało wiele skrzynek. Cieszę się, że mogę się nim z tobą podzielić. Myślę, że Rolande również by się z tego cieszyła. Mam przynajmniej taką nadzieję. Po winie jemy wspaniałą suflet. Przypominam sobie wszystko, co słyszałem o tym, jak trudno jest przyrządzić dobry suflet, i proszę, starsza niewidoma kobieta przygotowała najlepszy suflet, jaki jadłem w swoim życiu. Mirabelle to cud. Zauważam, że przyglądam się jej przez cały czas, w myślach już zacząłem malować jej portret. Jak zwykle kończymy obiad kieliszkiem Poire William. Zbliżamy się już do dna butelki. Zastanawiam się, co Mirabelle będzie chciała zrobić z gruszką, kiedy wypijemy

cały likier. Mirabelle sprząta ze stołu i nalewa dwie filiżanki kawy. Robi najlepszą kawę, jaką kiedykolwiek piłem. Być może uważam tak dlatego, że ostatnio nie miałem zbyt często okazji do picia kawy. Słyszałem kiedyś, że sposobem, który gwarantuje pochwały gości, jest przegłodzenie ich przed posiłkiem, pewien jestem, że w przeszłości sam padałem ofiarą tej teorii, jednak u Mirabelle wszystko podane jest dokładnie wtedy, kiedy powinno. Obserwuję, jak z gracją zbiera ze stołu naczynia, wkłada je do ciepłej wody z płynem do zmywania, opłukuje i stawia na suszarce. Jej widok działa na mnie jak muzyka, uspokaja. Wiem, że nigdy nie potrafiłbym z nią zatańczyć, nie wstaję więc, opowiadam jej o ludziach, którzy kupili mój obraz. Opowiadam o tym z dystansem i uniesieniem, jakie wtedy czułem, opowiadanie jest więc bardzo śmieszne i oboje wybuchamy śmiechem. Mirabelle wychodzi z kuchni, wycierając dłonie.

- Jacques, czy jesteś teraz gotów, by namalować mój portret?

- Tak. Muszę tylko przynieść z korytarza moje sztalugi i płótno. Myślę, że będę malował przy oknie, tak by dostatecznie dużo światła padało na obraz. Ruszam w stronę drzwi. Wnoszę jakoś do środka sztalugi i płótno. W pokoju są tylko dwa okna, oba wychodzą na podwórko, niewiele tu zatem światła. Najgorsze są jednak obszarpane zasłony, nie wpuszczają prawie wcale słońca do pokoju.

- Mirabelle, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli zdejmę zasłonki, a przynajmniej je odsunę? Potrzebuję więcej światła.

- Ależ oczywiście. Zapomniałam o nich zupełnie. Przecież musiałeś siedzieć razem ze mną w kompletnych ciemnościach. Dlaczego nic nie zrobiłeś? Po raz pierwszy od chwili, gdy na mnie wpadła, sprawia wrażenie zawstydzonej i zmieszanej.

- Jest tu wystarczająco jasno, by jeść. Ale jeśli chcę cię namalować, muszę mieć więcej światła.

- Zdejmij je, proszę, I tak nikt nie może mnie tu podglądać, a trochę nawet żałuję, wtedy przynajmniej ktoś by mnie widział. Zawiesiliśmy zasłony ze względu na Rolande. Wspinam się na stołeczek, którego Mirabelle używa do wyjmowania rzeczy z kredensu. Okazuje się, że mechanizm służący do przesuwania zasłon jest kompletnie zablokowany. Zdejmuję więc całość razem z karniszami i schodzę na podłogę. Zasłony są pokryte kurzem, tak zetlałe, że drą mi się w rękę.

- Myślę, że nic nie da się już z nimi zrobić, Mirabelle. Czy mam je zostawić?

- Nie, wyrzuć je, proszę. Zapach kurzu sprawia, że czuję się tak, jak gdybym już umarła. Połóż je w korytarzu, później wyniosę je do śmietnika. Wchodzę na stołeczek, by zdjąć zasłony z drugiego okna. To samo, zakurzone, wyblakłe, rozpadają mi się w rękach.

Owijam karnisze zasłonami i wynoszę je do korytarza, tam gdzie zostawiam zwykłe sztalugi.

- Zniosę je na dół, kiedy będę szedł do domu, Mirabelle. Teraz przyglądam się oknom, które są równie brudne jak lustro w łazience. Nie zamierzam jednak myć ich teraz. Na zewnątrz jest dostatecznie ciepło, bym mógł je po prostu otworzyć.

- Mogę otworzyć okna, Mirabelle? Trochę tu przewietrzę. Jeśli będzie ci zimno, możesz włożyć jeszcze jeden sweter.

- Ależ proszę, powiedz tylko, w co mam się ubrać do tego portretu?

- Myślę, że niebieski sweter z kołnierzykiem, który masz na sobie, wystarczy w zupełności.

- Czy moje włosy są odpowiednio uczesane? Podnosi dłonie i zaczyna poprawiać szpilki do włosów.

- Wyglądasz cudownie. Odsuwam krzesło »d stołu i ustawiam je tak, by światło padające z okna oświetlało jej twarz w trzech czwartych. Otrzymuję w ten sposób dostateczny półcień, jednak widzę wyraźnie rysy nawet zacienionej części jej twarzy.

- Czy mam usiąść na tym krześle?

- Jeszcze nie. Możesz teraz pozmywać naczynia po naszym wspaniałym obiedzie, podczas gdy ja ustawię sztalugi i przygotuję wszystko do malowania. Zauważyłem, że zostawiła kilka naczyń w zlewie. Wciskam pod okno długą tylną nogę sztalug. Chcę, by na płótno padało jak najwięcej światła, ale by sztalugi nie zasłaniały mi Mirabelle. Oczy na portrecie mają pozostawać na wysokości moich oczu, a równocześnie na poziomie oczu Mirabelle. Zamierzam namalować ją półtora raza większą niż w rzeczywistości. Ustawiam obraz w pionie, powinno to akurat wypełnić płótno rozmiarów 20 F. Jestem gotowy, kiedy Mirabelle siada na krześle. Chcę, żeby odwróciła głowę nieco bardziej w stronę okna, tak by jej niewidzące oczy zdawały się wpatrzone we mnie. Szukam dynamiki tych dwóch kierunków. Zastanawiam się, czy kiedy je namaluję, jej oczy będą wydawały się puste. Dla mnie wcale tak nie wyglądają. Drugie krzesło ustawiłem przed sztalugami. Podchodzę do Mirabelle, kładę dłonie na jej policzkach i ustawiam jej głowę tak, by światło padało na nią pod odpowiednim kątem. Myślę, że po raz pierwszy dotknąłem jej twarzy. Zazwyczaj, a wiem to z niewielkiego doświadczenia, które zdobyłem malując portrety, prosi się modela, by skupił na czymś wzrok. W tym jednak wypadku jest to oczywiście niemożliwe. Mirabelle znowu czyta w moich myślach.

- Mogę trzymać głowę nieruchomo w ten sposób, ponieważ wiem, gdzie jesteś i czuję powiew od otwartego okna. Zaczynani szkicować ołówkiem 3B. Kiedy będę czuł się

pewniej, sięgnę po 6B. Nie lubię szkicować węglem, a później spryskiwać płótna utrwalaczem, czego wiele lat temu nauczono mnie w szkole. Szkicuję ołówkiem i poprawiam miękką gumką. Zaczynam rysować, najpierw skupiam się przez co najmniej piętnaście minut, umieszczam kontur na płótnie, muszę odnaleźć właściwy stosunek pomiędzy głową, korpusem i przestrzenią negatywną. Chcę umieścić twarz Mirabelle wysoko na płótnie, nie chcę jednak, by je zdominowała. Kilka razy wymazuję to, co narysowałem, zanim uzyskuję odpowiednie proporcje i kąty.

- Jacques, powiedz mi, proszę, jak wyglądam. Wydaje mi się, że nikt na mnie nie patrzy, a ci, którzy patrzą, nigdy mi nic nie mówią. Wiele razy pytałam Rolande, jak wyglądam, ale ona mówiła zawsze, że jestem dość ładna, czasami, kiedy była na mnie zła, mówiła, że jestem zbyt ładna, by mogło mi to wyjść na dobre. Ale to było wiele lat temu. Wyczuwam palcami, że się starzeję. Wydaje mi się, że nie można tego powstrzymać. Ale to przecież naturalne, nieprawdaż? - Urywa, staram się skoncentrować, uzyskać właściwy efekt, o czym ona właściwie mówi? - Czy mam siwe włosy, Jacques? Nie przyjdzie mi to łatwo, ale zamierzam być szczery. Podnoszę wzrok znad obrazu i patrzę w jej stronę.

- Białe, Mirabelle. Twoje włosy są zupełnie białe. W brwiach widzę kilka ciemnych włosów, ale włosy na głowie są całkowicie białe.

- Mój Boże! Domyślałam się tego. Dwadzieścia lat temu poczułam po raz pierwszy, że niektóre włosy stają się sztywniejsze i trudniej je ułożyć. Myślę, że były to właśnie pierwsze oznaki siwizny. Były inne od pozostałych. Wiesz, że trudno mi wyobrazić sobie samą siebie z siwymi włosami, czyż to nie zabawne? Mam siedemdziesiąt jeden lat i nie potrafię uwierzyć w to, że mam siwe włosy. Czuję się tak głupio.

- Nikt tak naprawdę nie patrzy na siebie, Mirabelle, nawet jeśli możemy widzieć. Może tak jest właśnie najlepiej, w ten sposób nie tracimy naszych złudzeń. Milczy przez chwilę. Pracuję nad wzajemnym ustawieniem oczu i nosa. Mirabelle ma cudowny, wąski, orli nos z wyraźnymi, lekko rozdętymi nozdrzami. Jej oczy, jej niewidzące oczy są szeroko rozstawione i bardzo duże. Trudno wprost uwierzyć, że nic nie widzi.

- Masz rację, być może właśnie dlatego nie widzę. Powiedz mi jednak, proszę, czy mam na twarzy zmarszczki? Oczywiście, że je mam. Czy mógłbyś mi o nich opowiedzieć? Naprawdę chcę to wiedzieć. Trochę trudno mi się skoncentrować, ponieważ pracuję właśnie nad inną częścią jej twarzy. Widzę jednak wyraźnie, że niełatwo przyjdzie mi ją namalować. Odsuwam się od płótna i patrzę.

- Tak, Mirabelle, masz zmarszczki. Tak jak i ja. Mam czterdzieści dziewięć lat, więc to oczywiste, że mam zmarszczki. Bez zmarszczek ludzkie twarze byłyby nudne. Masz

cudowną linię skupienia pomiędzy oczami, nieco na lewo, a tuż obok niej drugą, mniejszą. W poprzek czoła przechodzą cztery zmarszczki pytające, ułożone w nierównych odstępach, każda przecina całe czoło. Dwie spośród nich przecinają się po lewej stronie. Masz też bruzdy przy oczach, tak zwane zmarszczki uśmiechu, które powstają, kiedy mruży się oczy, by osłonić je przed blaskiem słońca. Oczywiście to niemożliwe, blask słońca nic dla ciebie nie znaczy, a zatem to zmarszczki uśmiechu. Bardzo często się uśmiechasz, Mirabelle. Masz także zmarszczki biegnące od ust do nosa, to najgłębsze linie na twojej twarzy, mijają usta i biegną w dół do podbródka. Tak wyglądają zmarszczki na twojej twarzy, najbardziej widoczne, choć nie najważniejsze. Mirabelle milczy przez dłuższą chwilę, wracam zatem do mojego szkicu. Dzięki temu, że wyjaśniłem jej, co widzę, widzę teraz lepiej. Przestrzeń pomiędzy oczami a ustami lepiej odpowiada długości nosa. Zawsze stanowiło to dla mnie problem przy malowaniu portretów.

- Czy mam jeszcze jakieś zmarszczki? Tym razem nie przerywam rysowania.

- No cóż, masz wszystkie zmarszczki, które przychodzą z wiekiem, kiedy skóra traci jędrność. Zwyczajne zmarszczki, które niewiele mówią o ich posiadaczu, kim jest, co myśli. Pojawiają się z wiekiem, są normalnym dowodem starzenia się skóry. Nie wspominam słowem o zmarszczkach, które właśnie rysuję, przecinających jej górną wargę, linii kurczącej się twarzy, najbardziej widocznych znakach nadchodzącej starości. Mam nadzieję, że nie będzie zadawać więcej pytań.

- Czy jestem brzydka, Jacques? Powiedziała to bardzo cicho.

- Nie, Mirabelle, jesteś piękną, dojrzałą damą. Jestem pewien, że byłaś bardzo ładną dziewczynką i śliczną młodą kobietą. Jestem dumny i szczęśliwy, że maluję twój portret. Naprawdę tak myślę. W jej twarzy, głosie, wszystkich jej ruchach jest coś mistycznego, prawie dziecięcego, coś, co sprzeciwia się wiekowi. Może ślepotą pozwala ludziom nie starzeć się tak szybko. Być może ochroniła ją przed wielką częścią nieładu, szaleństwa zwykłego życia w mieście, ochroniła ją w niezwykły sposób. Jest w niej coś dziwnego, świeżego, nowego, czystego.

- Czy myślisz, że ktoś mógłby mnie pokochać, Jacques? Proszę, bądź wobec mnie uczciwy. Cóż za pytanie! Przed udzieleniem odpowiedzi wykańczam łuk jej policzka.

- Ja cię kocham, Mirabelle. Należysz do najwspanialszych, najinteligentniejszych, najwrażliwszych i najbardziej interesujących ludzi, jakich kiedykolwiek poznałem. Znakomicie czuję się w twoim towarzystwie. Kiedy jestem z tobą, czuję, że jestem lepszym człowiekiem. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie? Nie kłamię.

- Dziękuję, Jacques. Mam nadzieję, że to już koniec tej części rozmowy.

- Chodzi mi o prawdziwą miłość, czy ktoś chciałby kochać się ze mną faire l'amour avec moi. Czy myślisz, że jakiś mężczyzna mógłby poczuć do mnie coś takiego? No cóż, zatkało mnie. Może powinienem udawać, że nie dosłyszałem. Nie mogę jednak, sposób, w jaki zadała to pytanie, domaga się odpowiedzi. Siadam wygodniej, patrzę na nią, potem na mój szkic. Prawdę powiedziawszy, biorąc wszystko pod uwagę, nawet nieźle mi wyszedł. Zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, że w ciele starej kobiety uwięziona jest mała dziewczynka. Wydaje mi się to bardzo smutne. Jak gruszka w butelce.

- Nie jest to niemożliwe, Mirabelle. Jesteś naprawdę bardzo atrakcyjną starszą panią. Tylko dlatego, że jesteś niewidoma, nie miałaś okazji, by poznać dostatecznie wielu mężczyzn, Rolande była wobec ciebie nadopiekuńcza. Jestem pewien, że jakiś inteligentny pan w twoim wieku mógłby związać się z tobą bliżej. Ponownie zabieram się do pracy. Czego jeszcze ode mnie oczekuje? Czuję się zaskoczony własnym zawstydzeniem. Nagle Mirabelle mówi prosto z mostu.

- Kiedy byłam młodsza, gdy miałam trzydzieści lat, bardzo chciałam mieć dziecko, zostać matką. Myślałam, że gdybym miała dziecko, tak bardzo chciałabym je zobaczyć, że pozwoliłabym sobie widzieć. Byłam pewna, że gdybym tylko miała po temu szansę, znalazłabym mężczyznę, który chciałby mieć ze mną dziecko, chociaż jestem niewidoma. Nie musiałyby się ze mną ożenić, a nawet mógłby mnie już nigdy nie zobaczyć. Nic by mnie to nie obchodziło. Chciałam tylko mieć dziecko. Och, jak żałuję, że cię wtedy nie znałam, Jacques. Tylko że ty byłeś wtedy małym chłopcem w Ameryce. Czas jest taki dziwny, potrafi sprawiać tyle kłopotów. Rolande była wstrząśnięta, tak bardzo była na mnie zła. Powiedziała, że to niemoralne, zapytała, skąd wytrzasnąłam podobny pomysł. Powiedziała, że nie mogłabym sama opiekować się dzieckiem, że nawet o siebie nie potrafię zadbać. Cała odpowiedzialność spadłaby na nią, przestałam więc o tym mówić, ale nie przestałam o tym myśleć. - Urywa, uśmiecha się, „patrzy”, zwracając lekko głowę w moim kierunku. - Teraz jest już zbyt późno. Jestem dziewicą, Jacques, a nie chcę umrzeć jako dziewica. Czuję w sobie wielką zdolność dawania i przyjmowania miłości pełnej namiętności, nigdy jednak nie miałam szansy. To nieuczciwe. Łzy zaczynają spływać wzdłuż zmarszczek po obu stronach nosa. Tego nie potrafię już znieść. Współczuję jej, ale jednocześnie czuję się zagoniony w ślepy zaułek. Staram się powstrzymać drżenie dłoni, szkicując linie jej podbródka. Przerywam pracę. Patrzymy sobie prosto w oczy, ona oczywiście mnie nie widzi, a ja nie widzę w niej już tylko przedmiotu mojego obrazu. Wydaje mi się, że po raz pierwszy dostrzegłem w niej kobietę.

- Wiem, że jesteś dobrym, życzliwym człowiekiem, Jacques, mogę ci zaufać, w przeciwnym wypadku nie powiedziałabym ci tego wszystkiego. Sama się sobie dziwię. Wybacz mi, proszę.

- Nie mam ci nic do wybaczenia, Mirabelle. Samotność na pewno jest dla ciebie straszna. Muszę jednak powiedzieć ci, że jestem żonatym mężczyzną. Mam rodzinę, kocham moją żonę, dzieci. Zostaliśmy rozdzieleni, ale nadal czuję się za nich odpowiedzialny. Mirabelle milczy przez długą chwilę. Przestała płakać. Ponownie pochylałam się nad płótnem, mój szkic zaczyna nabierać życia. Nie przypuszczałem, że potrafię pracować w tak silnym stresie.

- Przepraszam, Jacques. Nie wiedziałam o tym. Tak niewiele o sobie wiemy. Powinnam opowiedzieć ci coś o sobie, kiedy rysujesz. Zaslługujesz na to, by wiedzieć.

* * *

Marzenia w mroku

Poczułam się tak bardzo podniecona, kiedy nazwał obraz przedstawiający plac Furstenberg "naszym" obrazem. Sama tak właśnie o nim myślałam, stworzyliśmy go przecież wspólnie. Nie sądzę, by zauważył kiedy powiedziałam, że może u mnie zamieszkać, może nie uwierzył, że powiedziałam to na serio. Ja sama ledwo mogę w to uwierzyć. Tak dziwnie się czuję, kiedy mnie maluje. Wyczuwam prawie, że na mnie patrzy, czuję na sobie jego wzrok. Sprawia to, że czuję się bardziej rzeczywista. Nie mogłam się powstrzymać. Tak bardzo chciałam wiedzieć, co naprawdę widzi. Co więcej, chciałam wiedzieć, jak dla niego wyglądam, jak widzi mnie jako mężczyzna, nie tylko jako artysta. Czy naprawdę jestem jeszcze kobietą? Mam nadzieję, że nie przestraszyłam go, ofiarowując mu swoją miłość, ale od pierwszej chwili wiedziałam, że jest to mężczyzna, którego mogłabym pokochać całą duszą i całym ciałem, oddać mu całą siebie i czuć się obdarowaną. Muszę być ostrożniejsza, w przeciwnym razie go wystraszę. Nie sądziłam, że ma żonę, choć jednocześnie nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że jest samotny. Wydaje mi się, że on czuje tak samo jak mój ojciec, to ojciec rodziny, mężczyzna, którego kobieta mogłaby pokochać głęboką miłością. Mam nadzieję, że właściwie postąpię, jeśli opowiem mu o sobie.

* * *

Rozdział 4

- Byliśmy bardzo szczęśliwą rodziną, Jacques. Być może myślę tak tylko dlatego, że moje wspomnienia są tak stare, wytarły się od marzeń i łez. Pamiętam nadal wiele wspaniałych rzeczy. Mój ojciec zajmował się reliure, oprawą książek. Miał zakład na rue des Canettes. Odziedziczył go po swym ojcu i dziadku. Kochał swoją pracę. Czasami przynosił książki do domu, by podzielić się nimi z nami. Cudownie było czuć pod palcami gładką skórę, przesuwając palcami po szwach, tytułach wyłoczonych na ich okładkach. Był dla nas taki dobry. W niedziele i poniedziałki zabierał nas do Ogrodu Luksemburskiego, albo do Ogrodu Botanicznego czy do Ogrodu Zoologicznego w Vincennes. Kochał życie, kochał nas i kochał naszą matkę. Nie wydaje mi się, by czas zmienił moje wspomnienia. Pamiętam to wszystko tak wyraźnie. To jedna z zalet ślepoty, niewiele może przesłaniać wizje przeszłości. Nasza matka była nerwową kobietą, obawiała się tak wielu rzeczy, nigdy jednak nie bała się, gdy w pobliżu był ojciec. Pływaliśmy drewnianymi łódkami po stawie w Vincennes albo w Lasku Bulońskim. Urządzaliśmy pikniki i graliśmy w różne gry. Wiedliśmy bardzo spokojne, wspaniałe życie. Nagle, kiedy miałam zaledwie dziesięć lat, nadeszła Wielka Wojna. Mój ojciec musiał natychmiast wyjechać. Moja matka płakała całymi dniami. Później przestała płakać, ale nie uśmiechała się, poza rzadkimi chwilami, gdy przychodził list albo gdy ojciec przyjeżdżał na przepustkę. Moja siostra i ja chodziłyśmy do szkoły w Alsacienne, po drugiej stronie Ogrodu Luksemburskiego. Rolande była o trzy klasy wyżej. Byłyśmy szczęśliwymi uczennicami. Stało się to jedenastego października, wyszłam ze szkoły trzy godziny wcześniej od Rolande, ponieważ ona miała tego dnia lekcje gry na pianinie. Obie nosiłyśmy klucz na szyi, pod szkolnymi mundurkami. Bardzo dobrze to wszystko pamiętam. Weszłam do domu i zawołałam maman [mama]. O tej porze zawsze przygotowywała dla nas goutyr [podwieczorek]. Jednak w kuchni nic nie było. Nie potrafiłam wyobrazić sobie nawet, że mamy może nie być w domu. Rzadko wychodziła, zwłaszcza po powołaniu ojca. Zajrzałam do naszych sypialni, nie było tam nikogo. Drzwi do toalety były otwarte. Ostrożnie zapukałam do sypialni rodziców, a potem otworzyłam drzwi. I tam nie było nikogo. Zaczęłam się bać. Pozostała już tylko łazienka, la salle d'eau. Zapukałam, ale nikt nie odpowiedział. Otworzyłam więc drzwi, nie były zamknięte od środka. Moja matka była tam, leżała w wannie pełnej krwi! Miała otwarte oczy. Ukłękłam przy niej. Nadal nie wiedziałam, co mogło się stać. Byłam taka młoda. Było to niedługo po moich czternastych urodzinach, miałam dopiero pierwsze regles. W pierwszej chwili pomyślałam, że mama miała właśnie

miesiączkę i wykrwawia się na śmierć. Dotknęłam jej, była zimna. Krew była jedynie odrobinę cieplejsza od jej ciała. Zobaczyłam brzytwę ojca na krawędzi wanny. Nadal nic nie wiedziałam, nadal nie mogłam tego pojąć. Chciałam tylko wyciągnąć mamę z tej krwi. Włożyłam dłoń do wody, plamiąc sobie mundurek, wyciągnęłam korek. Kiedy spłynęła, moja matka osunęła się w głąb wanny. Puściłam wodę, płakałam, krzyczałam, ale nikt nie przychodził. Obmyłam moją matkę z krwi, wołałam ją, nie po imieniu, krzyczałam: "Maman, MAMAN." Gdy była już czysta, uniosłam ją za ramiona i zdołałam jakoś zaciągnąć do łóżka. Położyłam ją. Przez cały ten czas płakałam i wzywałam pomocy. Naciągnęłam nocną koszulę na jej zimne, nagie ciało. Chciałam, by wszystko było znowu dobrze, by moja matka ogrzała się, by znowu do mnie przemówiła. Pamiętam, że nie mogłam włożyć jej rąk w rękawy. Podniosłam kołdrę i wsunęłam ją pod nią. Sama rozebrałam się do koszuli i wśliznęłam obok niej. Chciałam ją ogrzać. Widziałam rany na jej przegubach, ale nie wydawało mi się, by mogła od nich umrzeć. Nie krwawiły już i skurczyły się od chłodnej wody. Myślałam tylko o tym, by trzymać ją w ramionach, ożywić ją, sprawić, by znowu stała się ciepła, by wróciła. Tuliłam ją do siebie i płakałam, aż zapadłam w sen. Kiedy Rolande wróciła do domu, znalazła nas w łóżku. Później powiedziała mi, że już chciała się cofnąć i zamknąć za sobą drzwi, myśląc, że ucieliśmy sobie drzemkę, potem jednak zauważyła krew na podłodze, weszła do zalanej krwią łazienki i wybiegła stamtąd z krzykiem. Była o trzy lata starsza ode mnie, wiedziała dostatecznie wiele, by zdać sobie sprawę z tego, że stało się coś strasznego. Próbowwała nas obudzić, ja się ocknęłam, zobaczyłam ją, później odwróciłam się i zobaczyłam oczy mojej matki, puste, wpatrzone w przestrzeń, ślepe. To ostatnie, co pamiętam, wtedy widziałam po raz ostatni - oczy mojej matki. Otwarte, ale nie widzące. Nie chciałam widzieć nic więcej. Myślę, że w głębi pragnęłam być taka jak moja matka, mieć otwarte oczy, ale niczego nie widzieć. Nie pamiętam pogrzebu, byłam jak martwa. Nie chciałam jeść, oddychać, żyć. W sypialni znaleziono telegram informujący o śmierci ojca. Wydawało mi się, że wszystko, co kochałam w swym życiu, moja matka, mój ojciec, odeszło, ja też chciałam odejść. Nasza babcia, mama mojej mamy, przeprowadziła się do nas, aby się nami opiekować. Jej mąż również nie żył. Babcia była zawsze zmęczona i Rolande musiała przerwać naukę przed ukończeniem szkoły, w klasie maturalnej, i pomagać jej w prowadzeniu domu i opiece nade mną. Kiedy miałam dwadzieścia lat, odeszła również babcia. Wstrząs, jaki spowodowała śmierć najpierw jej męża, a potem jedynej córki, mojej matki, sprawił, że coś w niej umarło. Na początku zakładano, że moja ślepotą ma jedynie charakter przejściowy, że kiedy minie pierwszy wstrząs, odzyskam wzrok. Pamiętałam

wtedy, pamiętam to do dziś, że nie chciałam widzieć. We śnie widuję często oczy mojej matki, otwarte, ślepe oczy, wiem jednak, że widziała wtedy wszystko to, czego inni nie mogą zobaczyć. Chciałam być z nią, widzieć to co ona, zobaczyć ojca. Przez wiele lat lekarze próbowali mnie wyleczyć. Robiłam wszystko, co mi radzili, ale w głębi ducha wciąż czułam okrutny strach przed widzeniem. Mój umysł nie chciał pozwolić, by ten świat dostał się do niego za pośrednictwem oczu. Nie ufał im. Przypuszczam, że ja sama nadal im nie ufam, dlatego właśnie nie widzę. Trudno to zrozumieć, prawda, Jacques? Rolande zdołała zdać maturę, dostała posadę w Ministere des Finances, ponieważ nasz ojciec zginął na wojnie. Pracowała tam przez całe życie. Miała przyjaciela, którego bardzo kochała. On również pracował w ministerstwie, był jednak żonaty i miał rodzinę. Nigdy nie mógł poślubić Rolande, a ona również nie mogła wyjść za mąż, ze względu na mnie. Przez wszystkie te lata obie mieszkaliśmy tutaj, w naszym rodzinnym mieszkaniu. Rolande i ja nigdy nie byliśmy sobie zbyt bliskie jako siostry. Dzielila nas różnica wieku, moja ślepotą, byliśmy przy tym całkowicie różnymi ludźmi. Nie była szczęśliwa. Praca nudziła ją, oprócz możliwości spotkań z przyjacielem nie dawała jej żadnej przyjemności. Nie wiem, jak wiele radości dawał jej ten związek, zwłaszcza później. Nigdy mi o tym nie opowiadała. W ogóle niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Traktowała mnie jak dziecko. Wypełniałam czas zajmowaniem się mieszkaniem, jak tylko mogłam najlepiej, gotowaniem. Zaczęłam opiekować się gołębiami. Zaczęłam też uczyć się języków, posługując się najpierw płytami, a potem kasetami. Rolande zazwyczaj spędzała ze mną popołudnia. Czytywała gazety albo słuchała radia, potem zaczęła oglądać telewizję. Czasami chodziła do kina albo na spotkania ze swoim kochankiem. Zdarzało się, że w pogodne popołudnia spacerowałyśmy razem po bulwarze. Jej przyjaciel przeszedł na emeryturę i wyprowadził się na wieś wraz z żoną, kiedy Rolande miała zaledwie pięćdziesiąt pięć lat. Był od niej o dziesięć lat starszy. Rolande bardzo źle to zniosła. Umarła piętnaście lat temu na atak serca, który zabił ją niemal natychmiast. Była wtedy w pracy, zdarzyło się to zaledwie na kilka miesięcy przed jej przejściem na emeryturę. Od tej pory mieszkam samotnie. Od czasu do czasu odwiedza mnie ktoś z opieki społecznej, aby przekonać się, że nic mi nie jest. Otrzymuję rentę wojskową po moim ojcu, ponieważ zginął na wojnie, dostaję również rentę inwalidzką ze względu na moją ślepotę. Rolande zapisała mi swoje pieniądze, mieszkanie należy do mnie, niczego mi więc nie brak. Przez wszystkie te lata nauczyłam się jakoś wypełniać mój czas. Wiesz już o gołębiach. Pomimo sprzeciwów Rolande dwadzieścia lat temu zaczęłam ćwiczyć jogę i medytować. Daje mi to wiele pociechy, moja ślepotą pomaga mi uzyskać bardzo wysoki stopień wewnętrznego spokoju. Nie przerwałam studiów nad językami.

Biblioteka przy merostwie na placu SaintSulpice ma wspaniałą kolekcję płyt i taśm, z których mogłam się uczyć. Poprzez Bibliotekę Narodową pożyczam przeróżne kasety, w tym także z muzyką. Dzięki nim nauczyłam się angielskiego, włoskiego, niemieckiego i hiszpańskiego. Mogę teraz rozumieć turystów na ulicach, sprawia mi to wiele przyjemności. Nauczyłam się też kochać muzykę, zaznajomiłam się z utworami z siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Szczególnie interesuje mnie muzyka baroku, zwłaszcza kompozycje na klawesyn. Nigdy nie nauczyłam się czytać brajlem. Wciąż pamiętam, że tak naprawdę nie jestem ślepa i pewnego dnia znowu będę widzieć. Nie chciałam zatem tracić czasu na opanowanie tego sposobu czytania. Jak już mówiłam, bardzo kocham muzykę. W dawnej sypialni Rolande stoi mój klawesyn. Mam też sporą kolekcję własnych taśm. To moja pasja. Nie gram może na profesjonalnym poziomie, ale wcale biegle. Nagrywam moją grę na taśmie, a potem ją przesłuchuję, w ten sposób mogę się uczyć. Tak samo odbywam moje lekcje języków. Słucham, potem powtarzam, starając się udoskonalić akcent. Myślę, że w swoim życiu słyszałam swój głos częściej niż ktokolwiek inny. Czy to nie dziwne, Jacques? Jestem jednak bardzo samotna. Chciałabym opowiedzieć ci pewną historię, która da ci pewne pojęcie o mojej samotności. Kiedy nauczyłam się zajmować gołębiami, tak ze zaczęły mi ufać i chciały do mnie przylatywać, robiłam na szydełku małe woreczki, które przywiązywałam do ich nóżek. Do każdego wkładałam ten sam list, który brzmiał: Każdego dnia siedzę pod pomnikiem Diderota między dziesiątą rano a dwunastą. Jeśli zechciałbyś ze mną porozmawiać, przyjdź, proszę. Mam na sobie czerwony płaszcz i kapelusz. Wysyłałam tę wiadomość z każdym gołębkiem przez ponad dziesięć lat, nikt jednak nie przyszedł. Myślałam, że gołębie są zbyt płochliwe i tchórzliwe, a może ludzie nie potrafili ich schwytać. Być może ktoś przyszedł, ale nie odezwał się do mnie, kiedy zobaczył, że jestem niewidoma. Sama nie wiem. Nigdy nie powiedziałam o tym Rolande. To była moja tajemnica. Pewnego dnia, kiedy siedziałam samotnie na ławeczce, poczułam, że zbliża się do mnie jakiś mężczyzna. Otaczał go bardzo silny męski zapach, prawie tak silny jak u niektórych kloszardów. Dotknął mojego ramienia. "Proszę, madame. Sądzę, że należy to do pani". Wziął mnie za rękę swoją szorstką dłonią. Odwrócił ją wnętrzem do góry i wysypał na nią pięćdziesiąt szydełkowanych woreczków z umieszczonymi w środku listami. Woreczki rozsypywały się ze starości. Papier zeszywniał i pękał, kiedy próbowałam je rozwinąć. Mężczyzna usiadł obok mnie, był bardzo miły. Powiedział, że sprząta wszystkie paryskie dzwonnice. Czyści każdą większą dzwonnice mniej więcej raz na dziesięć lat. Szoruje i naciera olejem lnianym wielkie dębowe belki, na których zawieszane są dzwony. Oliwi mechanizmy, a potem

sprawdza, czy dzwony nie są pęknięte, wymienia uszkodzone części. Sprząta też wieże. Podjął się tego zajęcia po wojnie, po pierwszej wojnie światowej, i wybierał się już na emeryturę. Opowiedział mi o wielu rzeczach. "Madame, większość paryskich gołębi umiera właśnie w dzwonnicach. Słabną tak bardzo, że nie są już w stanie z nich wylecieć, a potem wrócić na górę. Zwijają się więc w kulkę i zasypiają na szczycie belki wspierającej dzwon. Czasami znajduję tam całe setki gołębiich szkieletów i piór, które zmiotam do worków i wynoszę. Często znajduję umierające ptaki, ale nic już nie mogę dla nich zrobić. Gdyby zdołały wylecieć z wieży, zostałyby albo przejechane przez samochody, albo pożarte przez koty. Waśnie dzisiaj; wśród martwych gołębi znalazłem te małe wełniane woreczki z kartkami papieru. Otworzyłem jeden i przeczytałem pani list. Wyjrzałem i zobaczyłem panią. I dlatego tu jestem". Nie chciał zająć do mnie na obiad, rozpakował jednak swoje drugie śniadanie i zjadł je, siedząc obok mnie na ławce. Ma żonę i dwoje dzieci, które przeprowadziły się na południe Francji. Po przejściu na emeryturę zamierzał wraz z żoną przenieść się do nich. Jadał wraz ze mną drugie śniadanie przez kilka dni, kiedy zajmował się czyszczeniem naszej dzwonnicy. Główny zaczep jednego z wielkich dzwonów wymagał wymiany, wykucie nowego zajęło dwa dni. Na pożegnanie podarował mi klucz do wieży. Mam go już od wielu lat. Powiedział, że ofiarowuje mi go na wypadek, gdybym kiedyś zechciała wejść i spojrzeć na wszystko z góry. Powiedział, że sam przejdzie na emeryturę na wiele lat przed następnymi porządkami na tej wieży. Wydaje mi się, że chciał przez to powiedzieć, że powinnam wejść na górę i spojrzeć na dół na plac, Diderota, kawiarnię, ogród, na wszystkie te miejsca. Nie sądzę, by zrozumiał tak naprawdę, że jestem niewidoma. Wiedział, że nie widzę, ale był prostym człowiekiem i nie zdawał sobie chyba do końca sprawy z tego, co znaczy ślepotą. Od ponad dziesięciu lat trzymam ten klucz w szufladzie ze sztućcami, nigdy jednak nie weszłam na wieżę. Samotna wspinaczka mogłaby okazać się zbyt trudna. Może jednak ty chciałbyś się tam wybrać? Mógłbyś tam malować. Gdybyś zechciał zabrać mnie kiedyś ze sobą, byłabym ci bardzo wdzięczna. Teraz wiesz już o mnie co nieco, Jacques. Nie pamiętam, bym rozmawiała z kimś w ten sposób od śmierci Rolande. Niezwykle było moje życie, nieprawdaż? Na swój sposób jestem z niego zadowolona. Można prawdopodobnie uznać za dziwactwo uczenie się obcych języków bez żadnej potrzeby, ale sprawia mi to wiele radości. Czasami mogę pomóc zagubionym turystom. Ukrywam wtedy moją białą laskę, udaję, że nie jestem niewidoma. Prawdopodobnie robię to wszystko z próżności. Czy to wszystko ma dla ciebie jakiś sens, Jacques? Chciałabym tylko, abyś wiedział, dlaczego jesteś dla mnie tak bardzo ważny, dlaczego byłam wobec ciebie tak bardzo bezpośrednia. Jeśli nie rozumiesz, to nic nie

szkodzi. Czasami sama nie wiem, czego chcę. Ostatnio moje życie zdaje mi się tak bardzo puste i jałowe. Jak już powiedziałam, czuję, że coś zbliża się już ku końcowi, a ja byłam tylko niewiązącym obserwatorem. Nigdy nie uczestniczyłam w prawdziwym życiu, zawsze stałam na zewnątrz, przyglądałam się niewiązącymi oczyma. Czy nie skarżę się zbyt dużo? Nie lubię ludzi, którzy się skarżą. Tak łatwo skupić się wyłącznie na własnych kłopotach, nie dopuszczając do siebie kłopotów czy trosk innych ludzi. Od chwili, gdy zaczęła swoją historię, nie byłam już w stanie rysować. Wyciskani na paletę farby potrzebne do podmalówki. Oczyszczam wolne miejsce do mieszania farby, jestem wstrząśnięty. W czasie opowieści Mirabelle przestała płakać. Historia jej życia jest tak straszna, że trudno w nią uwierzyć. Patrzę na nią, czuję się wzruszony tak bardzo, jak nie zdarzyło mi się od wielu lat, może nawet od chwili narodzin mojego pierwszego dziecka. Podnoszę się i podchodzę do Mirabelle, opadam na kolana, a ona kładzie mi dłoń na głowie.

- Tak mi przykro, Mirabelle. Twoje cierpienie objawiło się jedynie poprzez ślepotę. Z taką otwartością podchodzisz do życia, żyjesz tak, jak gdyby nic się nie stało. Jak to robisz?

- To wydarzyło się wiele lat temu, Jacques. Chciałam opowiedzieć ci o tym wszystkim, abyś zrozumiał. Nie chciałam, by to, co kryję w swym sercu, co sprawia, że jestem tym, kim jestem, stało się między nami. Miałam nadzieję, że może nas to zbliżyć. Podnoszę się.

- Myślisz, że masz w sobie dość siły, by mi pozować, czy może powinniśmy skończyć już na dzisiaj? Czuję, że teraz mogę namalować o wiele lepszy portret, niż mógłbym to zrobić, zanim opowiedziałas mi o swoim życiu. Nawet to mieszkanie widzę teraz inaczej, kiedy wiem o radosnym życiu, które się w nim toczyło, o cierpieniu, o latach twojej samotności. Powinienem być to wiedzieć, ale nie zastanawiałem się nad tym dostatecznie głęboko. To mój wielki problem, Mirabelle, wiem o wielu rzeczach, ale nie potrafię ich poczuć.

- Czy światło jest dostatecznie silne, abyś mógł dalej malować, Jacques? Chciałabym posiedzieć z tobą jeszcze trochę. Wydaje mi się, że niewidomi potrafią siedzieć nieruchomo lepiej niż większość ludzi. Podchodzę do sztalugi i przyglądam się Mirabelle. Jest tak drobna, taka delikatna, tak bardzo samotna. Znałem tylko jej siłę, jej odwagę, jej niewiarygodne umiejętności, teraz czuję jednak, że poznałem ją lepiej, o wiele głębiej. Zaczynam od tła, wybieram błękit zmieszany z karmazynem. Zamierzałem utrzymać tło w ciepłych kolorach, posłużyć się umbrą paloną i paloną sjeną. Teraz wiem jednak, że nie byłby to właściwy wybór. To nie są barwy ślepoty, samotności. Dają zbyt wiele ciepła, bliskości, jaką przy niej czułem i czuję nadal, ale jest jej zbyt mało, by mój obraz był

prawdziwy. Wiem, że ta część portretu musi być namalowana w niej, a nie dookoła niej. Musi odbijać się swoją żywotnością na tle chłodu, którego zaznała.

- Wspominałeś o swojej żonie i dzieciach, Jacques. Czy zechciałbyś opowiedzieć mi o nich w czasie malowania? Bardzo chciałabym dowiedzieć się czegoś o nich, o życiu, które porzuciłeś. W swej ślepcie czuję, że znam cię, ale tylko tu i teraz. Nie mówiłeś mi o sobie zbyt wiele prócz tego, jak teraz żyjesz, a nie wydaje mi się to życie właściwe dla człowieka, którego znam. Czy zechciałbyś mi powiedzieć to, co możesz? Wiem, że nie będę w stanie równocześnie mówić i malować, ale zaczynam planować ułożenie farby w tle portretu Mirabelle.

- Moja historia nie jest zbyt ciekawa. Jest bardzo zwyczajna, podobna do tysięcy innych, prawie niewarta tego, by o niej mówić. Nigdy nie opowiadałem nikomu o mojej przeszłości, częściowo dlatego, że nie byłem tak do końca pewien, że sam wiem, co jest prawdą, a co sobie zmyśliłem albo czego nie zauważyłem. Często bardziej ludzi nas to, czego nie wiemy, niż to, co, jak nam się zdaje, wiemy. Jeśli jednak chcesz tego wysłuchać, postaram się ułożyć sobie wszystko w głowie tak dokładnie, jak to możliwe. Być może pomogę sobie, opowiadając ci o tym wszystkim. Nie znam nikogo innego, wobec kogo mogę spróbować okazać szczerą, co więcej, naprawdę mi na tym zależy.

- Proszę, mów dalej. Nie musisz malować, chyba że pomaga ci to w mówieniu. Rozumiem. Jeśli chcesz, mogę przygotować kawę albo herbatę.

- Nie, chcę, abyś została w gasnącym świetle słonecznym, Mirabelle. Przeszanę malować, kiedy oczy dadzą mi znać, że już pora. Jeśli się zmęczysz, powiedz mi. Gdybyś chciała usiąść na wygodniejszym krześle, powiedz albo po prostu się przesiądź. Marzenia w mroku Tak bolesne było na początku przypominanie sobie tego wszystkiego, chciałam jednak opowiedzieć Jacquesowi o tym, co się stało. Wiedziałam, że muszę to zrobić, jeśli chcę się do niego zbliżyć. Musiał poznać mnie tak, jak nikt jeszcze mnie nie poznał, nawet moja rodzina czy lekarze. Kiedy mówiłam, zdawało mi się, jak gdyby światło padło na wszystkie ciemne miejsca. Nie rozjaśniło to ciemności, ale sprawiło, że stała się bardziej widoczna. Mogłam spojrzeć na sprawy, na które nie odważyłam się patrzeć od wielu lat, w wielu przypadkach od chwili, gdy się wydarzyły. Zastanawiałam się, czy stracę wolę ukrywania się w moich prywatnych ciemnościach. W miarę jednak jak mówiłam, zdałam sobie sprawę z tego, że dzielę się z Jacquesem jedynie moim mrokiem. Nadal byłam bezpieczna, nie byłam tylko tak bardzo samotna. Czulałam, że jego serce bije razem z moim, że czuje mój ból, a moje życie już wydało się bogatsze, bardziej wartościowe, warte tego, by je przeżyć. Mam nadzieję, że nie podzieliłam się z nim tak wielką dozą bólu, by się tego

przestraszył. Co mogło wydarzyć się w jego życiu, że jest tak bardzo nieszczęśliwy? Z jednej strony chcę wiedzieć, z drugiej jednak obawiam się tego, co usłyszę.

* * *

Rozdział 5

- Nie wiem sam, od czego zacząć, Mirabelle. - Odkładam pędzle i siadam na swoim krześle, patrzę to na płótno, to na Mirabelle, głównie jednak na obraz, owoc wysiłku, który ma ożywić ją za pomocą moich oczu, mojego umysłu, moich rąk. - Aby opowiedzieć ci, jak znalazłem się na ulicach Paryża, jak zacząłem malować, muszę cofnąć się do samego początku, jeśli wszystko to ma mieć jakiś sens.

- Proszę, zacznij zatem od początku.

- Byłem dobrym uczniem, Mirabelle. Miałem kochających rodziców i dwie starsze siostry, które również mnie kochały. Wszystko chyba od tego się zaczęło. Czułem się tak, jak gdybym miał trzy kochające matki. Sprawily, że uznałem, iż jestem wspaniałym. Odkąd pamiętam, zawsze chciałem być artystą. Zachęcały mnie do tego, uważały, że to dowód mojej odmiennosci. Jednak w szkole nie mogłem wybrać przedmiotów artystycznych, ponieważ świetnie radziłem sobie z matematyką. Skierowano mnie na kursy przygotowawcze na uniwersytet. Podobały mi się, stanowiły dla mnie wyzwanie, bo miałem zajęcia razem z najlepszymi uczniami. Nie wiem, czy to coś dla ciebie znaczy, Mirabelle. To takie amerykańskie, stanowi część zupełnie odmiennego życia.

- Nie, Jacques, opowiedz mi o tym. Wiesz, że nie mogę czytać. Twoja opowieść o życiu w innym kraju jest dla mnie bardzo ciekawa. Co więcej, chcę cię poznać, wiedzieć, jak stałeś się tym, kim jesteś. Cudownym efektem ślepoty jest to, że mogę wejść w twój głos, czuć to, co ty czujesz, widzieć w wyobraźni rzeczy, o których mi opowiadasz, nic nie może mi w tym przeszkodzić. Czy to rozumiesz?

- Tak, Mirabelle, tak mi się przynajmniej wydaje. Spróbuję teraz opowiedzieć ci o wszystkich wydarzeniach z mojego życia, które moim zdaniem choćby po części miały udział w tym, że znalazłem się tutaj w tej chwili. W szkole zapisałem się do koła plastycznego, zajęcia odbywały się po lekcjach. Byłem z tego bardziej dumny niż z dobrych stopni. Mój ojciec był elektrykiem w zakładach Westinghouse'a, chciał, abym został inżynierem. Całymi dniami tyrał w brudnym kombinezonie i zawsze miał powalane ręce. Pracował razem z inżynierami w białych koszulach, garniturach i krawatach, oni nigdy nie brudzili sobie rąk. Chciał, aby jego jedyny syn był taki jak oni. Pokazywał mi swoje brudne, zniszczone dłonie, to wystarczyło. Stanowiły symbol jego osobistej klęski. Kiedy uczyłem się w liceum, wybuchła druga wojna światowa. Zostałem wyznaczony wraz z pięcioma innymi uczniami do udziału w przyspieszonym programie specjalnym. Trzy razy w tygodniu jeździliśmy do Drexel Institute w Filadelfii. Studiowałem mechanikę, a mój ojciec

nie posiadał się ze szczęścia. Jeden z członków jego rodziny miał zostać naprawdę kimś. Studia podobały mi się, ale już wtedy wiedziałem, że nigdy nie będę szczęśliwym inżynierem. Nazbyt wiele można było przewidzieć. Zadaniem mechaniki jest uczynienie wszystkiego tak przewidywalnym, jak tylko to możliwe, zlikwidowanie jakiegokolwiek prawdopodobieństwa błędu. Sztuka zaś to przeżywanie z możliwością błędu. Zbiegiem dziwnych wypadków, nazbyt skomplikowanych, by je tutaj opisywać, we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, w wieku osiemnastu lat znalazłem się w piechocie jako szeregowy. Dzięki szczęściu i przypadkowi nie zginąłem jak twój ojciec. Zrozumiałem jednak jedno: jeśli przeżyję, zostanę artystą, nie inżynierem. Miałem swoje własne, jedno jedyne życie. Moi rodzice byli bardzo szczęśliwi, kiedy wróciłem do domu w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, po trzyletniej nieobecności, nie krytykowali więc zbyt mojej decyzji. Wydaje mi się, że gdybym powiedział, że chcę występować w cyrku na trapezie, także by się zgodzili. Mój ojciec powiedział tylko: „Starczy, że spędzisz pół roku ze świrusami w szkole plastycznej, a będziesz szczęśliwy, kiedy uda ci się wrócić na politechnikę”. Studiowałem malarstwo na Uniwersytecie Stanowym w Pensylwanii. Miałem dobre stopnie, zaś rząd płacił wysokie czesne, zgodnie z ustawą o zwolnionych do rezerwy żołnierzach. Dostałem swoją życiową szansę. Ś Zaczynam delikatnie zaznaczać ciemniejsze partie jej twarzy. Dostrzegam koncentrację, empatię, chcę uchwycić je na portrecie. - Mój ojciec miał po części rację. Wydział malarski Penn, jak nazywaliśmy uniwersytet, w większości składał się z kobiet, zaś mężczyźni, wyjąwszy niewielki kontyngent weteranów, nie grzeszyli zbyt męskością. Otwarta uczuciowość, skłonność do teatralnych gestów i wrodzone poczucie wyższości sprawiały, że niełatwo się z nimi żyło. Uczyłem się jednak perspektywy, teorii koloru, uczyłem się posługiwać przeróżnymi technikami - pastelą, akwarelą, temperą. Poznawałem tajniki malowania na płótnie i różnych gatunkach papieru. Rząd płacił również za wszystkie moje materiały, mój sen stał się rzeczywistością. Znakomita część wykładowców podzielała poglądy wielu studentów. Powstawały kliki. Nauczanie miało wysoce ezoteryczny charakter, dramatyczne, erotyczne i egzotyczne abstrakcje wzbogacano pseudopicassowskimi pomysłami. Moja własna estetyka w niczym do tego nie przystawała. Uczyłem się jednak. Byłem jak wariat, tak wiele dawało mi to radości i tak bardzo mnie ekscytowało. Aby zaliczać kursy, zajmowałem się złamanymi kolorami, płynnymi krzywiznami, stosowałem łamanie powierzchni na pryzmatyczne kawałki, które malowałem potem w odpowiednio dobrane kolory. Nauczyłem się dramatyzować swoje uczucia do teatralnego wręcz poziomu. W naszych rysunkach konieczne były burza i napór, a także cierpienie przez wielkie C. Jeden z naszych

wykładowców wymagał, byśmy przywiązywali się za ręce do klamki, a potem rzucali na podłogę, aby doświadczyć prawdziwego bólu. Wszystko to było okropnie sztuczne, ale nic mnie to nie obchodziło. Pewne prace wykonywałem dla szkoły, ale równocześnie, posługując się opłaconymi materiałami, wykorzystując wielkie, znakomicie oświetlone pracownie i wszystkie otrzymane przywileje, tworzyłem własną estetykę. Byłem przekonany, do dziś w to wierzę, że świat jest piękny z natury, że widzę to i potrafię w pewien sposób pokazać innym, podzielić się moją wizją, bez całej tej sztuczności, teatralności, bez prób intelektualnej racjonalizacji. Stałem się misjonarzem swoich przekonań. Zdarzało się jednak, że myślałem, iż byłbym lepszym inżynierem niż malarzem. Czasami prostota, wyrazistość rysunku technicznego przemawiały do mnie silniej. Zdołałem przetrwać w roli wyrzutka na wydziale malarstwa, schowałem głęboko swoją osobistą estetykę, zdobyłem dobre stopnie i stałem się członkiem Honorowego Towarzystwa Sztuk Pięknych. Zacząłem jednak tracić wiarę w to, że naprawdę staję się artystą. Wykładowcy z Penn sprawiali, że stawałem się projektantem, członkiem niezwykłego bractwa czy może kapłanem. W dyskusjach o malarstwie potrafiłem przegadać każdego. Emfaza i podporządkowanie, wartość plastyczna, przejścia, kolory analogiczne, wszystkie te bzdury, które tak naprawdę niewiele miały wspólnego ze sztuką. Wszystko razem było naprawdę załamujące. Rozumiesz, Mirabelle? Wciąż chciałem nawiązać łączność z ludźmi, uczciwie wyrażając, co sam czuję. Nie tak pojmowano w Penn słowo „sztuka”. Najczęściej były to przeróżne sztuczki, które miały na celu zwrócenie na siebie uwagi, czyjejkolwiek uwagi. W szkole, na zajęciach z literatury poznałem wspaniałą dziewczynę, która studiowała na Wharton School of Business. Jej specjalnością było kierownictwo personalne. Nie miała jednak żadnego personelu, którym mogłaby kierować, żadnej rodzinnej firmy, w której mogłaby znaleźć pracę, wydawało mi się to tak dziwne, pozbawione sensu, oderwane od rzeczywistości jak moje studia artystyczne. Znakomicie się jednak razem bawiliśmy. Oboje kochaliśmy wiosłować po rzece, odwiedzać muzea, akwarium, najbardziej chyba kochaliśmy siebie nawzajem. Pobraliśmy się po ukończeniu studiów. Otrzymała propozycję pracy w koncernie farmaceutycznym, stanowisko gdzieś pomiędzy sekretarką a kierownikiem działu kadr. Ja zaś znalazłem stary garaż w południowej Filadelfii, niedaleko South Street Bridge i uniwersytetu. Zacząłem malować naprawdę, tak jak tego chciałem. Nie udawało mi się nic sprzedać, nikt nie interesował się moimi obrazami. Podjąłem pracę na nocną zmianę w agencji artystycznej, robiłem poprawki kolorów. Nie wyglądało to najlepiej. Wtedy właśnie Lorrie stwierdziła, że jest w ciąży. Wróciłem na uniwersytet i zdobyłem uprawnienia nauczycielskie, ukończyłem

specjalny kurs pozwalający na uczenie plastyki w szkołach średnich. We wrześniu znalazłem posadę, a w październiku urodziło się nasze dziecko. Próbowałem nadal malować. Lorrie wydawała się szczęśliwa w macierzyństwie, mnie przynajmniej zdołała o tym przekonać. Znaleźliśmy niewielki szeregowy domek w podupadłej dzielnicy, który był niezbyt odległy od mojego studia, a czynsz mieścił się w granicach naszych możliwości. Byłem wcale niezłym nauczycielem, ale ciągle chciałem malować. Coraz bardziej interesowałem się pewnymi teoriami, które wszyscy poznaliśmy na studiach, dotyczącymi kolektywnego sposobu widzenia. Zepchnięty w cień inżynier domagał się prawa głosu. Wydział malarstwa nie mógł, czy może nie chciał mi pomóc. Znalazłem na wydziale psychologii kogoś, kto interesował się tym, czym chciałem się zająć. Zdołał załatwić dla mnie stypendium. Czy naprawdę jesteś pewna, że chcesz tego wszystkiego słuchać, Mirabelle? Ta opowieść robi się coraz dłuższa. Prawdę powiedziawszy, opowiadam ci w ten sposób całą historię mojego życia. Poza tym jest już ciemno.

- Dla mnie zawsze jest ciemno, Jacques. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym dalej słuchać. Robi się jednak chłodno, czy mógłbyś zamknąć okno? Przygotuję kawę, będziemy mogli zjeść trochę ciasta. Wstaje i przechodzi do kuchenki. Podnoszę się i zamykam okno. Na niebie dostrzegam jeszcze świetliste smugi. Słyszę trzask zapalki i widzę płomień, Mirabelle wstawiła wodę. W zapadających ciemnościach składam sztalugi, a potem ponownie ustawiam krzesła przy stole. Mirabelle stawia na stole filiżanki z gorącą kawą i ciasto na talerzykach. Zaskakuje mnie to, że pomimo zapadających ciemności porusza się jeszcze swobodniej. Za pół godziny nie będę widział czubka własnego nosa, dla niej jednak nic się nie zmieni. Kawa i ciasto są wprost wspaniałe. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem spięty, a jednocześnie zmęczony. Mirabelle siedzi naprzeciwko mnie, każdego. Emfaza i podporządkowanie, wartość plastyczna, przejścia, kolory analogiczne, wszystkie te bzdury, które tak naprawdę niewiele miały wspólnego ze sztuką. Wszystko razem było naprawdę załamujące. Rozumiesz, Mirabelle? Wciąż chciałem nawiązać łączność z ludźmi, uczciwie wyrażając, co sam czuję. Nie tak pojmowano w Penn słowo „sztuka”. Najczęściej były to przeróżne sztuczki, które miały na celu zwrócenie na siebie uwagi, czyjejkolwiek uwagi. W szkole, na zajęciach z literatury poznałem wspaniałą dziewczynę, która studiowała na Wharton School of Business. Jej specjalnością było kierownictwo personalne. Nie miała jednak żadnego personelu, którym mogłaby kierować, żadnej rodzinnej firmy, w której mogłaby znaleźć pracę, wydawało mi się to tak dziwne, pozbawione sensu, oderwane od rzeczywistości jak moje studia artystyczne. Znakomicie się jednak razem bawiliśmy. Oboje kochaliśmy wiosłować po

rzece, odwiedzać muzea, akwarium, najbardziej chyba kochaliśmy siebie nawzajem. Pobraliśmy się po ukończeniu studiów. Otrzymała propozycję pracy w koncernie farmaceutycznym, stanowisko gdzieś pomiędzy sekretarką a kierownikiem działu kadr. Ja zaś znalazłem stary garaż w południowej Filadelfii, niedaleko South Street Bridge i uniwersytetu. Zacząłem malować naprawdę, tak jak tego chciałem. Nie udawało mi się nic sprzedać, nikt nie interesował się moimi obrazami. Podjąłem pracę na nocną zmianę w agencji artystycznej, robiłem poprawki kolorów. Nie wyglądało to najlepiej. Wtedy właśnie Lorrie stwierdziła, że jest w ciąży. Wróciłem na uniwersytet i zdobyłem uprawnienia nauczycielskie, ukończyłem specjalny kurs pozwalający na uczenie plastyki w szkołach średnich. We wrześniu znalazłem posadę, a w październiku urodziło się nasze dziecko. Próbowałem nadal malować. Lorrie wydawała się szczęśliwa w macierzyństwie, mnie przynajmniej zdołała o tym przekonać. Znaleźliśmy niewielki szeregowy domek w podupadłej dzielnicy, który był niezbyt odległy od mojego studia, a czynsz mieścił się w granicach naszych możliwości. Byłem wcale niezłym nauczycielem, ale ciągle chciałem malować. Coraz bardziej interesowałem się pewnymi teoriami, które wszyscy poznaliśmy na studiach, dotyczącymi kolektywnego sposobu widzenia. Zepchnięty w cień inżynier domagał się prawa głosu. Wydział malarstwa nie mógł, czy może nie chciał mi pomóc. Znalazłem na wydziale psychologa kogoś, kto interesował się tym, czym chciałem się zająć. Zdołał załatwić dla mnie stypendium. Czy naprawdę jesteś pewna, że chcesz tego wszystkiego słuchać, Mirabelle? Ta opowieść robi się coraz dłuższa. Prawdę powiedziawszy, opowiadam ci w ten sposób całą historię mojego życia. Poza tym jest już ciemno.

- Dla mnie zawsze jest ciemno, Jacques. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym dalej sfuchac. Robi się jednak chłodno, czy mógłbyś zamknąć okno? Przygotuję kawę, będziemy mogli zjeść trochę ciasta. Wstaje i przechodzi do kuchenki. Podnoszę się i zamykam okno. Na niebie dostrzegam jeszcze świetliste smugi. Słyszę trzask zapalki i widzę płomień, Mirabelle wstawiła wodę. W zapadających ciemnościach składam sztalugi, a potem ponownie ustawiam krzesła przy stole. Mirabelle stawia na stole filiżanki z gorącą kawą i ciasto na talerzykach. Zaskakuje mnie to, że pomimo zapadających ciemności porusza się jeszcze swobodniej. Za pół godziny nie będę widział czubka własnego nosa, dla niej jednak nic się nie zmienia. Kawa i ciasto są wprost wspaniałe. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem spięty, a jednocześnie zmęczony. Mirabelle siedzi naprzeciwko mnie, w ciemnościach ledwo dostrzegam jej oczy. Czeka. Wciągam głęboko powietrze i zaczynam mówić dalej.

- Niełatwo nam się żyło. Rodzice Lorrie również nie mogli pomagać nam finansowo. W niecały rok później okazało się, że Lorrie ponownie zaszła w ciążę. Pierworodny dostał na imię John, tak jak ja, Lorrie powiedziała, że jeśli drugie dziecko będzie dziewczynką, zgadza się na każde imię oprócz Lorrie, nie pozwoli, by jej dziecko dostało imię po angielskiej ciężarówce. Jak się okazało, był to chłopiec, daliśmy mu na imię Albert, po moim ojcu. Czuję, że okazałem się dla niego tak wielkim rozczarowaniem, że uznałem, iż przynajmniej na to sobie zasłużył. Zawsze brakowało nam pieniędzy. Musiałem zrezygnować z pracy na nocną zmianę w agencji, aby mieć czas na pisanie pracy magisterskiej. Nawet mimo to, że uczyłem plastyki w liceum, niełatwo przyszło mi zdobyć prawa dziennego studenta na uniwersytecie. W tamtych czasach przepisy były o wiele sztywniejsze. Moją pracę magisterską zatytułowałem Odmiany percepcji wizualnej oraz ich uwarunkowanie pewnymi cechami osobowościowymi. Ujmując rzecz najprościej, starałem się dowieść, iż ludzie widzą inaczej w zależności od tego, kim są. Myślę, że domyślano się tego wcześniej, ale dopiero Szwajcar nazwiskiem Rorschach, wiele lat temu, spróbował to udowodnić. Wiele pracowałem wtedy z tablicami służącymi do przeprowadzania testu nazwanego jego imieniem. Klopfer i Kelly, najwybitniejsi interpretatorzy testu Rorschacha stali się dla mnie bohaterami. Otrzymałem tytuł magistra wkrótce przed narodzinami naszego trzeciego dziecka. Daliśmy córce imię Helen, po matce Lorrie. Moja praca spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem, została opublikowana w najbardziej prestiżowych czasopismach. Kuratorium podwyższyło mi pensję o kilkaset dolarów rocznie ze względu na otrzymanie tytułu magistra, dostałem też propozycję pracy na kilka godzin w tygodniu jako szkolny psycholog. Wydawało mi się, że sprawa jest zamknięta. Udowodniłem sobie to, co, jak sądzę, wiedziałem zawsze. Mogłem otrząsnąć się z tego, co pozostawiły cztery lata na wydziale malarstwa Uniwersytetu Stanowego" w Pensylwanii, a może nawet wrócić do swoich obrazów. Mirabelle, naprawdę nie musisz tego słuchać, moja opowieść będzie coraz nudniejsza. Mirabelle wstaje. Podchodzi do ściany, przy której ustawiłem jej portret. Prawie jej nie widzę w zapadających ciemnościach.

- Jak bardzo chciałabym zobaczyć to, co ty we mnie widzisz, Jacques. Proszę, opowiadaj dalej, uważam, że to niezwykle interesujące. Zdaję sobie sprawę z tego, że opowiadam to wszystko tak dla Mirabelle, jak i dla samego siebie. Przypomina to porządkowanie kart, które rozsypały się po podłodze. To ciągle te same karty, ale teraz, kiedy oglądam je po kolei, nie są już tak bardzo niezrozumiałe.

- Mniej więcej w miesiąc po opublikowaniu mojej pracy odebrałem telefon z Kalifornii. Właśnie założono nam telefon, pomyślałem, że to żart kolegów ze szkoły, w

której uczyłem. Telefonowano z organizacji o nazwie Nard Corporation. W owych czasach nazywało się to w Ameryce „trust mózgow”, i polegało na gromadzeniu w jednym miejscu inteligentnych ludzi, którzy razem mieli rozwiązywać problemy, myśleć wspólnie. Działają na zasadzie burzy mózgow, co znaczy, że rozpatrują problem ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Mężczyzna, który do mnie zadzwonił, poinformował mnie, że z wielkim zainteresowaniem przeczytali moją pracę magisterską, chcieli dowiedzieć się, czy nie zechciałbym przylecieć do Kalifornii i porozmawiać z nimi na jej temat. Proponowali pokrycie kosztów przelotu i dietę w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów dziennie. Byłem wstrząśnięty. Za miesiąc pracy w szkole dostawałem zaledwie dwa razy więcej. Powiedziałem, że oddzwonię, muszę się zastanowić. Zapytałem Lorrie, ona zaś powiedziała, że powinienem tam pojechać. Zadzwoniłem do szkoły, tutaj nie poszło mi już tak łatwo, z początku nie chcieli dać mi wolnego, ostatecznie jednak otrzymałem pozwolenie, szkoła zgodziła się znaleźć zastępstwo na tydzień, jednak koszty miały zostać odliczone od mojej pensji. Zadzwoniłem do Nard Corporation, powiedziałem, że przyjadę. Zarezerwowali już dla mnie miejsce w samolocie i ustalili plan spotkań. Przypuszczam, że nie przywykli do tego, by ktoś odmawiał przyjęcia diety wysokości stu pięćdziesięciu dolarów za dzień. Nie wyobrażam sobie, by często im się to zdarzało, zwłaszcza w owych czasach. Był styczeń. Kiedy jednak przyleciałem do Kalifornii, powitała mnie upalna pogoda. Z wyjątkiem służby wojskowej, a wtedy zawsze było mi mokro, zimno i jechałem w niewłaściwym kierunku, nigdy nie podróżowałem, nigdy nie znalazłem się w gorącym klimacie. Z płaszczem na ramieniu poszedłem do hotelu na plaży, w którym zarezerwowano dla mnie pokój. Zaledwie piętnaście minut po moim przybyciu zadzwonił telefon, ktoś z Nard zapytał, czy nie zechciałbym wraz z niewielką grupą osób wybrać się na prywatną kolację. Wszystko wydawało się jak z filmu, znalazłem się przecież w filmowej krainie. Było tak bardzo różne od tego, co do tej pory poznałem. Kolacja była elegancka, nieoficjalna, ani gospodarz, ani goście nie wspomnieli nawet słowem o przedmiocie czekających mnie nazajutrz spotkań. Dopiero znacznie później przekonałem się, że „myślenie” Nard Corporation było w znacznym stopniu finansowane przez Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych i dlatego wszyscy ci ludzie byli tak bardzo skryci, tak czuli na punkcie bezpieczeństwa. Byłem człowiekiem z zewnątrz, obserwowano mnie, ale mimo to świetnie bawiłem się podczas tej kolacji. Następnego dnia przeszedłem parę ulic dalej do niskiego, zbudowanego z cegły budynku, oddalonego o kilka zaledwie przecznic (r)d Oceanu Spokojnego. Zatrzymano mnie już w drzwiach. Poproszono, abym poczekał, jeden z uczestników wczorajszej kolacji zszedł na dół, podpisał się na kilku papierkach, dał mi

niewielką plastikową plaketkę, którą miałem wpiąć w klapę marynarki i poprowadził mnie do środka, a potem windą na górę. Spotkanie odbywało się w zwykłym pokoju, w środku stał tylko podłużny stół i składane krzeselka. Wskazano mi miejsce przy końcu stołu. Wszystko to przypomina jakieś opowiadanie science fiction, nieprawdaż, Mirabelle? Nie wydaje mi się, by mogło cię to interesować.

- Ależ interesuje, Jacques, naprawdę.

- Krótko mówiąc, doszli do wniosku, na podstawie mojej pracy magisterskiej, artystycznych zamiłowań oraz doświadczenia w pracy z komputerem, że jestem dokładnie tym, kogo szukali. Widzisz, Mirabelle, dokonywałem analizy danych pochodzących z moich eksperymentów za pomocą prymitywnego komputera, ówczesnego cudu techniki, który przypominał kilka połączonych razem szaf grających albo automatów do gry. Posługiwanie się nim kosztowało czterysta dolarów za godzinę. Zdołałem załatwić fundusze na pół godziny. Dane musiałem wprowadzać za pomocą małych perforowanych karteczek. Jak wiele zmieniło się od tej pory. Chcieli, abym pracował w, jak to nazywali, silosie należącym do DEW. DEW* nie miało nic wspólnego z rosą, o której pomyślałem w pierwszej chwili. Był to * Dew (mg.) - rosa. System Wczesnego Ostrzegania, Distant Early Warning. Chcieli, abym nauczył się obsługiwać bardziej skomplikowane komputery, a później, bym pisał programy symulacyjne, które byłyby wyświetlane na ekranach radarów. Ludzie w silosach mieli stale poszukiwać nie zidentyfikowanych obiektów latających, co w tym wypadku oznaczało samoloty lub rakiety, które zamierzały zbombardować Stany Zjednoczone. Nie wydawało mi się to specjalnie interesujące. Za bardzo przypominało mechanikę, którą zarzuciłem. Kiedy jednak powiedzieli mi, że otrzymam za to pensję pięciokrotnie wyższą od tego, co zarabiałem jako nauczyciel, zainteresowałem się o wiele bardziej. Miałem przez miesiąc mieszkać w silosie, bez możliwości jego opuszczania. Po tym okresie miałem jechać na dwa miesiące do rodziny, która nie powinna się przeprowadzać. Przed zatrudnieniem konieczne jeszcze było przesświetlenie mnie i Lorrie ze względów bezpieczeństwa. Jeden z mężczyzn wypytał mnie o przeszłość, na wypadek, gdyby mogła sprawiać jakieś kłopoty. Nigdy do niczego się nie zapisałem, nawet do harcerstwa, ponieważ moja rodzina nie mogła sobie pozwolić na dziesięciocentową składkę raz na tydzień. Polityka nigdy nic dla mnie nie znaczyła, nie zmieniło się to do dzisiaj. Stwierdzili, że szkolenie rozpocznie się natychmiast. Obsługi komputerów będę uczył się na miejscu, na Uniwersytecie Stanowym w Pensylwanii. Kiedy zostanę już „prześwietlony”, wyślą mnie na trening w bezimienne i niedostępne miejsce. Wolno było mi powiedzieć żonie, że pracuję dla rządu, ale nic więcej. Innym miałem w ogóle nic nie mówić. Wszystko to wydarzyło się tak szybko, było tak

obezwładniające, że czułem się wprost fatalnie, Mirabelle. Ludzie, którzy przekazali mi te wszystkie informacje, wyglądali tak samo jak członkowie komisji egzaminacyjnej, przed którą broniłem mojej pracy. Pełno tu było bród, wąsów, tweedów, butów ręcznej roboty na grubych podszewkach. Nie było to dla mnie łatwe. Tej samej nocy zadzwoniłem z hotelu do Lorrie. Pewien byłem, że linia jest na podsłuchu. Powoli opanowywała mnie paranoja, ale równocześnie nowa praca zaczynała mnie fascynować. Powiedziałem jej tylko, że zaproponowano mi pracę, za którą mogę dostawać pięć razy więcej niż za uczenie w szkole, ale będę musiał spędzać wiele czasu poza domem. Wyjaśniłem, że będę pracował dla rządu jako artystainżynier, powiedziałem też, że odbędę szkolenie w Penn, potem zaś zostanę wysłany na miesięczne szkolenie, ale po nim będę mógł spędzić dwa miesiące w domu. Lorrie była tym wszystkim podniecona. Nie widziała żadnych przeszkód, była pewna, że będę w domu, kiedy urodzi się czwarte dziecko. Jak się okazało, miała rację, kończyłem właśnie szkolenie w Penn, kiedy przyszedł na świat Hank, nasze ostatnie dziecko. Lorrie kazała sobie podwiązać jajowody, nie miała jeszcze trzydziestki i uznała, że czwórka wystarczy w zupełności. W taki sposób zacząłem pracować dla rządu. Praca nie była specjalnie nudna, a nowoczesne komputery po prostu mnie zafascynowały. Stopniowo, dzięki znajomości matematyki i studiom artystycznym, zdobyłem sławę specjalisty od grafiki komputerowej; wówczas, w połowie lat pięćdziesiątych, była to zupełnie nieznaną dziedziną. Przez następne trzy lata pracowałem w CSD, filii Nard Corporation. Później koncepcja DEW jako skutecznego środka obrony została poddana szczegółowej kontroli. Wróciłem więc do kwatery głównej Nard w Kalifornii, aby pomóc przy opracowywaniu nowych programów. Przeniosłem się wraz z rodziną do San Jose w Kalifornii, niedaleko siedziby Nard Corporation. Codziennie jeździłem do pracy na rowerze, zarabiałem jeszcze więcej pieniędzy. Mieliliśmy dom u stóp wzgórza, dzieci chodziły do dobrych szkół, kupiliśmy nowy samochód. Nasze życie stawało się bajką. Wtedy na arenie pojawiło się MBI. Zaproponowali mi kontrakt i pensję dwa razy wyższą od tego, co zarabiałem w Nard. Zapewniali też bezpieczeństwo. Wiedziałem, że to największa firma komputerowa w Ameryce. W owych czasach trudno było nawet kupić ich sprzęt, można było otrzymać go jedynie w leasing. Dawało mi to ogromne możliwości awansu. Przyjaciele z Nard zachęcali mnie, bym nie zmarnował tej okazji, przyjąłem więc ofertę. Przeprowadziliśmy się zatem ponownie, tym razem do White Plains w stanie Nowy Jork. Był rok 1960, miałem zaledwie trzydzieści pięć lat. W ciągu następnych dziesięciu lat mieszkaliśmy w trzech różnych miejscach, za każdym razem kupowaliśmy nowy dom i urządaliśmy się na nowo. Mieszkaliśmy kolejno w Atlancie w stanie Georgia, Raieigh w Karolinie Północnej i

Minneapolis w Minnesocie. Prawdopodobnie żadna z tych nazw nic ci nie mówi, Mirabelle, ale uwierz, że były to miasta bardzo od siebie odległe. Moja praca stale się zmieniała. Trafiłem na tak zwaną szybką ścieżkę, przygotowywano mnie do objęcia kierowniczych stanowisk, przerzucano z miejsca na miejsce, by przekonać się, czy dobrze się adaptuję. Miałem bardzo dobre wyniki w pracy.

- Ależ, Jacques, odniosłeś przecież sukces. Jak zatem przemieniłeś się w malarza, którego spotkałam na paryskiej ulicy?

- Trochę cierpliwości, Mirabelle, już wkrótce dojdziemy i do tego. Choć może powinienem poczekać do następnego razu, wtedy opowiem ci więcej o swoim życiu. Już ciemno. Nic nie widzę, nawet twojej twarzy.

- Być może tak właśnie jest najlepiej, Jacques, siedźmy tak w ciemnościach, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Proszę, mów dalej, nie możesz tak po prostu przerwać. Napij się trochę kawy, jeszcze nie wystygła. Dolewa mi bez wahania, podczas gdy ja z ledwością dostrzegam stojącą na stole filiżankę.

- Dobrze, teraz przejdziemy do najtrudniejszej części. Nie wiem, czy potrafię opowiedzieć ci to w taki sposób, abyś zrozumiała. Wysłuchaj mnie uważnie, a potem powiesz mi, co zrobiłem i dlaczego tak postąpiłem. Proszę, Mirabelle. Przez cały ten czas, kiedy moja kariera rozwijała się pomyślnie, a ja stawałem się coraz ważniejszy dla firmy, Lorrie i dzieci cierpieli okrutnie, tylko że ja nawet tego nie zauważałem. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wielki wpływ miało to wszystko na ich życie. Łatwo jest stworzyć sobie namiastkę, która wciąż całkowicie, staje się prawdziwa, odcinając od rodziny, realnego życia. W jakiś dziwny sposób MBI, ludzie, z którymi pracowałem, stali się moją prawdziwą rodziną. Sam nie wiem, kiedy współzawodnictwo, chęć wyprzedzenia innych, utrzymania zdobytego stanowiska lub przejścia na lepsze stała się ważniejsza od samej pracy albo, co chyba jeszcze trudniej zrozumieć, jak straciłem kontakt z żoną, moim prawdziwym życiem, dziećmi, domem, miłością, byciem razem, wspólnymi sprawami. Do pracy przychodziłem przed siódmą rano, starałem się znaleźć w biurze pierwszy. Wychodziłem, zanim dzieci wstały, a wracałem dopiero po ósmej wieczorem. Dzieci były już wtedy zazwyczaj po kolacji, czasami, kiedy jeszcze były bardzo małe, dawno już spały. Lorrie wstawała rano razem ze mną, a potem czekała z kolacją do późna. Musiało to być dla niej prawdziwe piekło, a ja nawet tego nie zauważyłem! Próbuję przebić wzrokiem ciemności, aby przekonać się, czy Mirabelle to rozumie. Jej oczy stały się ciemnymi dziurami w rozmazanej twarzy. Żałuję teraz, że w ogóle zacząłem opowiadać. Może pewnymi osobistymi aspektami życia nie należy się z nikim dzielić. Tego jednak właśnie

chcę teraz uniknąć. Pragnę okazać moją słabość, pozwolić się poznać. Nie chcę już ukrywać tego, co czuję. Jestem pewien, że to właśnie była część mojej życiowej pomyłki. Wzdycham raz jeszcze i dopijam resztki zimnej kawy z filiżanki.

- Zarabiałem wtedy wprost znakomicie, Mirabelle, nigdy nie mogłem nawet marzyć o takich dochodach. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, zaledwie pięć lat temu, kiedy miałem czterdzieści cztery lata, zarabiałem ponad sto tysięcy dolarów rocznie plus opcja na akcje firmy. Każde z nas miało własny samochód, ja małe porsche, a Lorrie wielkiego chryslera kombi. Potrzebowała go, by wozić dzieciaki na mecze piłki ręcznej, lekcje tańca, pływalnię, do szkółki tenisowej, lekcje jazdy konnej czy po to, by odwozić je do domów przyjaciół. Mieliśmy dom w dobrej dzielnicy Minneapolis z pięcioma sypialniami i trzema łazienkami. Odniosłem sukces, o jakim mogłem tylko marzyć. Udało nam się, a przynajmniej ja tak uważałem. Pewnego dnia szef wezwał mnie do swego gabinetu. Podniósł się zza biurka, podszedł do mnie i uściśnął mi dłoń. Obudziło to moje najgorsze podejrzenia. Wielkie firmy, takie jak MBI, przypominają trochę wojsko, często najgorszy cios, najgorszy przydział poprzedzony jest uśmiechami i gratulacjami. "No cóż, sprawa jest już pewna, Jack. Przyszło z ostatnią pocztą. Dostałeś nowy przydział, tym razem to... Paryż, a więc Francja. Powinno ci to zabrać jakieś trzy lata. Wiesz chyba, co to znaczy. To twój wielki egzamin, czy nadajesz się na materiał międzynarodowej jakości. Zostaniesz przydzielony do MBI France, będziesz tam kierownikiem personalnym. Wspaniała fucha, naprawdę trafiłeś na szybką ścieżkę, moje gratulacje". Wielki Boże, pomyślałem, jak ja to powiem Lorrie? Wydawało jej się, że wreszcie osiadła na stałe, właśnie tutaj, w Minneapolis. Znalazła grupkę przyjaciółek, z którymi spotyka się raz na dwa tygodnie, mogą wtedy obgadać wszystkie nękające je sprawy, nazywała to grupą samopomocy. Dzieciaki polubiły szkoły. Jack miał w tym roku ukończyć liceum, miał spore szansę na to, że wygłosi mowę pożegnalną, był kapitanem szkolnej drużyny lekkoatletycznej. Próbowałem jednak podejść do sprawy z uśmiechem. "Dziękuję za dobre wieści, Fred. Oczywiście, muszę najpierw obgadać sprawę z rodziną. Będzie to dla nich spory wstrząs". „To twoja życiowa szansa, Jack. Jeśli nie załapiesz się teraz, zostaniesz na zawsze na tej karuzeli, razem ze mną, aż nadejdzie pora, by odebrać złoty zegarek z wygrawerowanym napisem jako pożegnalny prezent". Wyszedłem z gabinetu Freda. Wiedziałem, że nie powiedział mi wszystkiego, właśnie ominął go awans, przeskoczyłem go w drodze na szczyt. Powinienem być zadowolony, ale czułem się po prostu okropnie. Postanowiłem nie dzwonić, pozalaźwiałem wszystkie sprawy czekające na moim biurku i pojechałem wcześniej do domu. Chciałem znaleźć się tam o czwartej, kiedy wraca

większość rodziny. Pojechałem więc do domu i powiedziałem im o wszystkim. Lorrie wybuchnęła płaczem. Jack pobiegł na górę do swojego pokoju. Pozostała trójka patrzyła na mnie zaskoczona. Lorrie pierwsza przysłała do siebie.

- Kiedy będziesz musiał wyjechać? Czy Jack będzie mógł chociaż skończyć szkołę? Sprawdziłem to wcześniej. Chcieli, bym znalazł się na miejscu przed końcem kwietnia, to znaczy w ciągu miesiąca. Powiedziałem już, że MBI przypominała wojsko, tak często trzeba się było bardzo, bardzo spieszyć, a potem czekać. Pewien byłem, że naprawdę nie było żadnego pośpiechu czy też nagłej potrzeby, dla której musiałem znaleźć się tak szybko w Paryżu. Próbowałem wyjaśnić to Lorrie. "Ależ, Jack, to takie niesprawiedliwe. Dzieci były tutaj takie szczęśliwe. Spłaciliśmy już nasz dług. Powinni pozwolić ci wreszcie osiąść w jednym miejscu, KM zwłaszcza teraz, kiedy dzieci poszły do liceum. Czy naprawdę nic nie możesz zrobić?" "No cóż, mogę po prostu odmówić, Lorrie, tylko że w takim wypadku byłbym załatwiony. W ten sposób MBI sprawdza, czy naprawdę mają do czynienia z materiałem najwyższej klasy. Nie chciałbym stracić takiej szansy, ale postąpię zgodnie z waszym zdaniem". Wiem, że nie było to z mojej strony uczciwe, Mirabelle, wiem to teraz. Lorrie za bardzo mnie kochała, wiedziała, że zbyt mocno związałem się z firmą, by odmówić. Następnego dnia dzieci nie poszły do szkoły, a ja do pracy. Obgadaliśmy całą sprawę. Próbowałem udowodnić im, jaką wspaniałą szansą może okazać się pobyt we Francji. Mogły pójść do szkoły amerykańskiej, która cieszyła się znakomitą renomą. Jack, nasz najstarszy syn, chciał zostać, zamieszkać u naszych przyjaciół, ale Lorrie powiedziała: nie, cokolwiek robimy, robimy całą rodziną. Jeszcze w tym samym tygodniu zaczęliśmy się pakować. Pojechałem do Paryża i znalazłem dla nas dom w dzielnicy Le Yesinet. Położony był niezbyt daleko od szkoły amerykańskiej, na przedmieściu podobnym do tego w Minneapolis, tylko że tutaj budynki przypominały raczej francuskie zamki niż współczesne rancza czy angielskie domki. Generalnie było tu ciasniej, ale dom, który znalazłem, był otoczony sporym trawnikiem, mnie się podobał. Czynsz był wprost gigantyczny, ale tym zajęło się MBI. Przyjechałem do Stanów ze zdjęciami, które dostałem od agenta obrotu nieruchomościami. Lorrie mogła pojechać wraz ze mną, aby dokonać wyboru na miejscu, ale nie chciała. Powiedziała, że musi załatwić zbyt dużo spraw w Stanach. W ten sposób znaleźliśmy się na miejscu w ostatnim tygodniu kwietnia. Specjalna firma przewozowa zapakowała i przesłała wszystkie nasze meble. Wir pracy porwał mnie od razu, szybko odkryłem, jak trudna jest no praca we Francji. Nigdy nie zajmowałem się kierowaniem personelem, była to specjalność Lorrie. Facet, który przede mną zajmował to stanowisko, był Francuzem i wszyscy Francuzi, z którymi pracowałem, nienawidzili mnie z całego

serca. Domyślałam się, że obawiali się o swoje posady. Że Lorrie zdołała jakoś urządzić cały dom w ciągu miesiąca. W takich sprawach jest po prostu fantastyczna. Twierdzi, że tego nienawidzi. Uważa, że potrafi przewidzieć, kiedy MBI zdecyduje się na kolejny transfer. Staje się to w chwilę po zawieszeniu zasłon. Po pierwszych dwóch przeprowadzkach postanowiła jedynie je fastrygować. Tym razem stwierdziła, że nie zamierza ich w ogóle zakładać. Złą stroną mojej pracy była konieczność ciągłego podróżowania. Firma miała filie w całej Francji, ja zaś byłam odpowiedzialny za cały personel - a zatem zatrudnienie, aranżowanie mieszkań, organizowanie lekcji francuskiego, wywalanie, dokonywanie transferów w wypadku ostrych konfliktów personalnych, a przede wszystkim powstrzymywanie Amerykanów i Francuzów od rzucania się sobie do gardeł. Większość Francuzów zachowywała się raczej rozsądnie. MBI miało dobrą markę, zarabiali przy tym znakomicie, dostawali o wiele więcej dodatków i premii niż mogła im zaoferować jakakolwiek firma francuska. Kłopoty sprawiali najczęściej Amerykanie. Niektórzy nie potrafili dostosować się do francuskiego stylu życia. Wielu wprost nienawidziło Francji i Francuzów. Najczęściej dotyczyło to żon, które nie wiedziały po prostu, co ze sobą zrobić. Niektóre miały w kraju niezłe posady i zmuszone były je porzucić. Wywoływało to wiele konfliktów. Problem stanowiła adaptacja dzieci w szkołach. Do wyboru była normalna szkoła francuska, która była wprawdzie darmowa, ale według standardów amerykańskich okropna. Mogli wybrać szkołę dwujęzyczną, gdzie zajęcia odbywały się po angielsku i francusku, ale tam uczniowie musieli nosić mundurki. Była też szkoła międzynarodowa, nieduża, położona w centrum Paryża i pozbawiona właściwie kampusu. Z tego, co zdołałem się dowiedzieć, najlepsza była szkoła amerykańska. Położona na zachodnich przedmieściach, tam gdzie zamieszkaliśmy, ale bardzo kosztowna. Na szczęście czesne opłacało MBI. Jedynie ta szkoła prowadzona była zgodnie z amerykańskimi programami i tu właśnie chodziły dzieci większości pracowników MBI. Nasze dzieci przyzwyczajone były do typowych amerykańskich szkół na bogatych przedmieściach, ich zdaniem ta przypominała przemalowany obóz koncentracyjny: wąski, podłużny kampus z błotnistym boiskiem nie przystosowanym do futbolu amerykańskiego, bieżnia wyglądała tak, jak gdyby została właśnie zaorana. W porównaniu z Minneapolis klasy części licealnej miały rozmiary średniej szafy. Co więcej, po jednej stronie szkoły biegła autostrada, po drugiej zaś tory kolejowe, po których co dwadzieścia minut przejeżdżał pociąg. Nasze dzieci po prostu nie mogły uwierzyć własnym oczom. Tkwiłszy już w tym jednak po uszy. Czułem się winny, powinienem był lepiej przyjrzeć się całej sprawie. Od samego początku najwięcej czasu spędzałem na załatwianiu skarg pracowników MBI na szkoły. Zgłosiłem się na

ochotnika do komitetu rodzicielskiego, chciałem przekonać się w ten sposób, co można zrobić. Poza tym liczyłem, że będzie to dobrze wyglądało w moim życiorysie. Porozmawiałem z dziećmi i Lorrie. Powiedziałem, że musimy jakoś się z tym pogodzić. Wiedziałem, że szkoła nie ma sekcji baseballowej, a jedynie drużynę piłki nożnej, pływalnię i tak dalej, ale cieszyła się dobrą opinią. Twierdzono, że reprezentuje wysoki poziom, a w końcu tego właśnie należy oczekiwać od szkoły. Nie sądzę, bym ich przekonał. Powoli sprawy nabierały normalnego biegu. Lorrie była wprost fantastyczna. Starła się patrzeć na wszystko z jak najlepszej strony. Dzieci powoli przywykły do nowej szkoły, podobała im się rola grubych ryb w małym stawie, tak odmienna od tego, do czego przywykły w Minneapolis. Moja praca stanowiła ciągle wyzwanie, o wiele więcej wyzwań, niż mogłem sobie życzyć, a nie dawała zbyt wiele satysfakcji. Lorrie nie interesowała się specjalnie Paryżem. W weekendy jeździliśmy do miasta, aby odwiedzać znane miejsca, ale działo się tak głównie ze względu na mnie. Podniecały mnie muzea, galerie, energia tego miasta. Dzieciaki były przede wszystkim znudzone. Podobała im się wieża Eiffia, Łuk Triumfalny, kilka podobnych atrakcji, ale Minneapolis nie przygotowało ich na doświadczenie kulturalne, jakie mógł zaoferować Paryż. Nie było tu też McDonaldów czy Burger Kingów. Szczególnie nienawidziły nauki francuskiego. Regulamin szkoły obejmował jedną godzinę francuskiego dziennie. Na ogół uczyli go Francuzi. Miało to pewien sens, jednak oni nie rozumieli ani w ząb amerykańskich dzieciaków. Znakomita część skarg naszych dzieci dotyczyła właśnie francuskich nauczycieli. Lekcje francuskiego dla amerykańskich pracowników MBI i ich żon stanowiły dyżurny powód moich bólów głowy. MBI wynajęła prywatną firmę, która zatrudniała nauczycieli na zasadzie indywidualnych konwersacji. Już po roku stwierdziłem, że jest to źródło poważnych problemów. Firma zatrudniała młode, atrakcyjne kobiety, aby uczyły mężczyzn, i przystojnych Francuzów, którzy uczyli ich żony. Problemy pojawiły się, zanim objąłem stanowisko; musieliśmy dokonać dwóch transferów do Stanów, aby ratować sytuację rodzinną. Najczęściej to mężczyźni wiązali się z młodymi, urodziwymi nauczycielkami, choć w dwóch wypadkach doszło do romansu pomiędzy żonami a francuskimi nauczycielami. I bez tego miałem dosyć kłopotów. Zadzwoiłem więc do faceta, który zajmował się naszymi lekcjami francuskiego. Zaproponowałem, aby dla bezpieczeństwa domowych ognisk do uczenia mężczyzn kierował mężczyzn, zaś kobiety do kobiet. Odpowiedzią było typowo francuskie wzruszenie ramion. "Ależ, monsieur, wtedy nie będą uczyć się tak szybko. Mamy wiele doświadczenia". Sprawdziłem akta i odkryłem, że mój poprzednik napotkał ten sam problem, wysunął identyczną sugestię i to w rozmowie z tym samym pracownikiem.

Przemyślałem całą sprawę, po czym wysmażyłem starannie skonstruowaną notatkę, dotyczącą nazbyt bliskich stosunków z francuskimi nauczycielami. Zdecydowanie zalecałem ich drastyczne ograniczenie. Miałem nadzieję, że położę w ten sposób kres całej sprawie, ale już wtedy obawiałem się, że tak się nie stanie. Miałem rację. W ciągu dwóch miesięcy dwóch świetnych pracowników, obydwu z najlepszymi rekomendacjami i doświadczeniem, zakochało się w swoich nauczycielkach. Zatrudniłem do pomocy amerykańskiego terapeutę, specjalistę od spraw rodzinnych. W końcu obliczyłem, że biorąc pod uwagę koszt straconego czasu pracy, koszty lekcji, honoraria terapeuty i zamieszanie wśród personelu, lekcje francuskiego dla amerykańskich pracowników oraz ich żon nie mają w ogóle sensu. Większość Francuzów, z którymi mieliśmy do czynienia, i tak znała angielski. Jednak najwyższe władze MBI były przekonane, że znajomość miejscowego języka jest konieczna, a zatem lekcje trwały. Ja zaś zaczynałem marzyć o przeniesieniu gdziekolwiek indziej. Wzdycham i rozglądam się po otaczających mnie ciemnościach. Prawie wcale nie dostrzegam już Mirabelle. Dwa wąskie, brudne okna i w dzień nie wpuszczają do pokoju zbyt wiele światła, teraz panują tu wręcz egipskie ciemności.

- Mirabelle, jestem już zmęczony, nie mam sił dalej mówić. Może jutro opowiem resztę, kiedy będę malował twój portret. Jej głos dobiega rwnie z ciemności.

- Jak sobie życzysz, Jacques. W twoim głosie brzmi zmęczenie i smutek. Kiedy zamierzasz kontynuować malowanie obrazu?

- Chciałbym namalować cię w świetle poranka albo po południu, jak ci pasuje.

- Rano ćwiczę jogę i gimnastykuję się, później zajmuję się gołębiami. Może przyszedłbyś do mnie na dejeuner, a potem zabralibyśmy się do malowania. Pamiętam, że po południu sionce świeci prosto w moje okna. Tak się umawiamy. Mirabelle proponuje, abym zostawił u niej sztalugi i płótno, nie mam nic przeciwko temu. Zaprasza, abym został i zjadł wraz z nią skromną souper, ale chcę już wrócić na mój strych. Wszystko co jej powiedziałem, rozstroiło mnie wewnętrznie. Czuję się nagi i pusty. Chcę już wyjść.

- W porządku, Mirabelle, spotkamy się jutro pod pomnikiem Diderota, kiedy dzwony zaczną bić. Podnoszę się i ruszam w stronę drzwi, wpadając na stół.

- Och, tak mi przykro, Jacques, w pokoju jest przecież ciemno, nic nie widzisz. Pozwól, że zapalę światło. Podchodzi do włącznika, przekręca go, ale nic się nie dzieje. Jak przypuszczam, również ta żarówka jest przepalona.

- Czy światło się zapalifo, Jacques?

- Nie, Mirabelle. Obawiam się, że wszystkie żarówki są przepalone. Przez chwilę milczy, nagle zaczyna wydawać z siebie dziwne dźwięki. Początkowo nie potrafię ich rozpoznać, ale po chwili dociera do mnie, że chichocze, chichocze jak mała dziewczynka.

- Czyż to nie okropne, Jacques? Nawet o tym nie pomyślałam. Siedziałeś przez cały ten czas w ciemnościach, mówiąc do nikogo. Czyż nie tak?

- Nie, wiedziałem przecież, że ty tu jesteś, Mirabelle. Także zaczynam się śmiać. Śmiejemy się tak razem w ciemnościach. Czuję, że do mnie podchodzi.

- Tak mi przykro, nie pomyślałam o tym. Czy mógłbyś kupić kilka ampoules, abyś nie stawał się ślepy w moim towarzystwie? Jeśli chcesz, dam ci pieniądze.

- Nie potrzebuję pieniędzy, Mirabelle. Nie zapominaj, że jestem teraz bogatym człowiekiem. Słowa te sprawiają, że ponownie, bez żadnego powodu wybuchamy śmiechem. Stoi teraz tak blisko mnie, że mogę jej dotknąć. Wyciąga ku mnie dłonie, kładzie je na moich ramionach. Czuję delikatny zapach jej perfum, przypomina wędnącą jasnożółtą różę.

- Nic by się chyba nie stało, gdybyś pocałował mnie francuskim zwyczajem w oba policzki, prawda, Jacques? Bardzo bym tego chciała. Pochyliła się ku przodowi, w ciemnościach niewiele wprawdzie widzę, ale całuję ją w oba policzki, a potem ona całuje mnie. Przez chwilę stoimy nieruchomo.

- Muszę już iść, Mirabelle. Jestem tak bardzo zmęczony, że ledwie stoję. Nie muszę zabierać ze sobą sztalug ani płótna, pojedę więc autobusem. Dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać.

- To ja dziękuję za to, że opowiedziałeś mi o sobie. Muszę sobie wiele przemyśleć. Wiem, jak trudno jest ci opowiadać o swojej przeszłości. Dziękuję też za malowanie mojego portretu. A demain. Znajduję drzwi, otwieram je. Naciskam guzik i zapalam światło na korytarzu. Czuję się tak, jak gdybym nagle odzyskał wzrok. Wiem, że Mirabelle stoi w drzwiach, wsłuchując się w moje kroki, odwracam się, by jej pomachać, i w tej samej chwili zdaję sobie sprawę z tego, że mnie nie widzi. Kiedy docieram do domu, wyciągam tylko śpiwór i rozkładam go na podłodze. Zapalam jedną świeczkę, ale nic już nie robię. Nie jestem głodny. Chcę tylko, by przestało mi się kręcić w głowie, pragnę znaleźć zapomnienie. Rozbieram się, wsuwam do śpiwora i odnajduję je szybciej, niż się tege spodziewałem. Marzenia w mroku Poczulałam się tak okropnie, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że Jacques siedział w ciemnościach, a ja wcale tego nie zauważyłam. To taki delikatny człowiek, tak miło z jego strony, że zechciał opowiedzieć mi o swoim minionym szczęściu, że opowiedział o nim samotnej, niewidomej kobiecie, siedząc w ciemnościach. Nie wiem,

jak mogłabym dać mu do zrozumienia, że rozumiem, rozumiem tak, jak tylko niewidomi znają ciemność. Wydaje mi się, że bardzo kocha swoją żonę i dzieci. Co takiego stało się w jego życiu, co sprawiło, że żyje na ulicy, prawie jak kloszard? Być może była to straszna katastrofa samochodowa, w której zginęli wszyscy jego najbliżsi. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, co to mogło być. Kiedy mówił, wydawał się tak bardzo znużony, zmęczony wszystkim, nawet kiedy mówił o minionym szczęściu, o tych chwilach, z których powinien być bardzo dumny. Tak trudno to zrozumieć. Jednak życie, o którym opowiada, tak mało pasuje do człowieka, którego znam; nie potrafię wyobrazić sobie, by mógł tak żyć. A jego firma, MBI, która przenosi swoich pracowników z miejsca na miejsce, nie biorąc w ogóle pod uwagę ich rodzin: tak trudno to pojąć. Jak mógł do tego dopuścić?

* * *

Rozdział 6

Następnego ranka budzę się późno z uczuciem rzeźkości, gotowy do porannej przebieżki. Biegnę szybciej i ostrzej niż zwykle, nie czuję jednak wcale zmęczenia. Czuję się tak, jak gdybym naprawdę zrzucił z siebie przynajmniej dziesięć z moich czterdziestu dziewięciu lat. Przebiegając przez rue Charonne, zatrzymuję się i kupuję sobie croissanta, od wielu miesięcy nie robiłem nic podobnego. Zamierzam zjeść prawdziwe śniadanie. Kurczę, zaczynam zachowywać się jak rozpuszczone dziecko. Niewielka sumka potrafi zmienić mnie w prawdziwego bon vivanta. Napęlam miskę, przed myciem grzeję nawet trochę wody na kuchence. Mam prawie czyste rzeczy, wkładam je więc na siebie. Dżinsy są sztywne od farby, ale do tego już przywykłem. Kawa, w której maczam rogalik, jest po prostu pyszna. Wyciągam ukończone obrazy i rozstawiam je wokół siebie. Gapię się na nie. Staram się udawać, że jestem kimś innym, stać się własnym krytykiem. Żałuję teraz, że sprzedałem obraz przedstawiający plac Furstenberg, ale tysiąc pięćset franków to tysiąc pięćset franków. Wyciągam się na śpiworze i patrzę przez świetlik na błękitne niebo. Co pewien czas pojawia się i znika biała smuga chmurki. Tam w górze musi być dzisiaj dość wietrznie. Myślę o portrecie Mirabelle, o samej Mirabelle, o jej historii. Pamiętam teraz wszystko, co jej o sobie opowiedziałem. Zastanawiam się, czy powinienem opowiedzieć więcej. Zawsze mogę opuścić bardziej bolesne fragmenty, skupić się na ogólnikach, nie wchodząc w szczegóły. Nie jestem wcale pewien, czy chciałbym o tym mówić komukolwiek, nawet Mirabelle. Nie jestem też pewien, czy to potrafię. Zamknąłem to wszystko tak głęboko w sobie, myślę, że się tego, po prostu wstydzę, a przy tym te wspomnienia są tak bardzo bolesne. Jednocześnie czuję się nimi znudzony. To już skończone. Kończę rogalika i dopijam kawę. Myję filiżankę i garnuszek w misce z wodą, płuczę i wycieram. Chowam obrazy i śpiwór za belkowaniem. Nasłuchuję przez chwilę, wychodzę z pokoju, zamykam za sobą drzwi, odkładam klucz do skrytki i cicho zbiegam po schodach. Niewidzialność staje się stylem życia. Robię to wszystko prawie bez zastanowienia. Prawie nigdy nie zdarzało się, bym wychodził tak późno, chyba naprawdę się zepsułem, ale czuję się wspaniale. Nie widzę konieczności pośpiechu. Konsjerżka nie otworzyła jeszcze okiennic. Pomimo ostrego porannego biegu mam ochotę przejść się piechotą, a nie jechać autobusem. Dzień nie jest tak piękny, jak zdawał się rano. Po niebie płyną ciemne chmury, wiatr przybiera coraz bardziej na sile. Możliwe nawet, że będzie dziś padać. Sądzę jednak, że wystarczy światła, aby malować portret, nawet gdyby spadł deszcz. Przypomina mi to o żarówkach. Zachodzę do sklepu Monoprix i kupuję cztery bagnetowe, sześćdziesiąt watów, dwieście dwadzieścia

woltów. Jak to we Francji, niezależnie od tego czy chodzi o chleb, czy o żarówkę, trzeba zawsze podjąć dziesięć decyzji. Schodzę na bulwar po drugiej stronie Pont Sully, gdzie zwykle biegam. Idę wzdłuż rzeki, obserwując barki. Kiedy biegam, nie widzę zbyt wiele. Większość barek zakotwiczonych przy bulwarze nie jest już używana do transportu, mieszkają na nich ludzie. Kurczę, to brzmi jak sen, zamieszkać na barce w samym centrum Paryża. Przez rue SaintSulpice docieram do Marche SaintGermain, wewnątrz kupuję mały bukiet margerytek za jedyne pięć franków. Mirabelle nie będzie mogła ich zobaczyć, ale czuje ich zapach i dotyk. Zapach nie jest prawdę powiedziawszy zbyt piękny, ale wiem, że będą się jej podobać. Znowu próbuję się do niej podkraść. Nie mam ze sobą nic, co mogłoby zdradzić mnie brzęczeniem, na nogach mam adidasy. Odwraca się jednak, kiedy jestem od niej oddalony o jakiś metr.

- Wcześniej dziś przyszedłeś, Jacques. Dzwony jeszcze nie były, ale prawie skończyłam zajmować się ptakami.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem, Mirabelle? Skąd wiedziałeś, że to ja, a nie ktoś inny? Trzyma w dłoniach brązowego gołębia. Uśmiecha się do mnie.

- No cóż, przede wszystkim poznałam po dźwiękach wydawanych przez gołębie, z ich zachowania, że ktoś się do mnie zbliża. Nie słyszałam jednak nic, a gołębie wydawały się podenerwowane, domyśliłam się więc, że ktoś próbuje się do mnie podkraść. Kto oprócz ciebie mógłby robić coś podobnego? Poczulałam też nowy zapach, zapach świeżo ściętej trawy. Pachnie otwartą przestrzenią, sprawia, że przychodzą mi na myśli krowy i wakacje na wsi, cudowny zapach. Kończy karmić gołębia i jednym ruchem dłoni wyrzuca go w powietrze.

- Jesteś wspaniała, Mirabelle. Niczego nie potrafię utrzymać przed tobą w tajemnicy. Proszę, to dla ciebie. Delikatnie pieści jeden z kwiatków.

- I to moje ulubione marguerites, skąd wiedziałeś? Czy są żółte? Patrzy mi prosto w twarz, w kącikach jej oczu zbierają się łzy. Czuję się jednocześnie zadowolony i zakłopotany.

- Nie mów mi, że potrafisz wyczuć kolor, Mirabelle. W to już nie uwierzę. Jeśli nadal będziesz się tak zachowywać, przestanę w ogóle wierzyć, że jesteś niewidoma.

- Czyż nie byłoby to miłe? Proszę, Jacques, musisz być teraz szarmancki. Kiedy daje się damie kwiaty, należy ją również pocałować. Odwraca się ku mnie policzkiem i pochyla ku przodowi. Całuję ją w policzek i w tej samej chwili rozlega się pierwsze uderzenie wielkiego dzwonu na wieży SaintGermaindesPres. Odwraca głowę, a ja całuję ją w drugi policzek, spływa po nim łza, czuję ją, czuję jej smak na wargach. Dzwony zaczynają bić,

głębokie, prawie kakofoniczne dźwięki wypełniają powietrze. Mirabelle pochyla się i całuje mnie w oba policzki, jej usta są suche i chłodne. Ptaki podrywają się, tańczą wokół nas w rytm narastającego bicia dzwonów.

- Dziękuję ci za kwiaty. Nikt nigdy nie dawał mi kwiatów. Jedynie mój ojciec dal mi kiedyś bukiet, który sam zebrał w dniu moich dziesiątych urodzin. Nigdy o tym nie zapomniałam. Były to żółte marguerites, takie same jak te. - Ponownie zbliża je do nosa, przesuwa po nich dłonią. Odkłada je na ławeczkę i zaczyna zbierać swoje sprzęty. - Musimy już iść. Przygotowałam dla nas smakowity obiad, chcemy przecież mieć odpowiednie światło, abys mógł mnie dobrze namalować. Ś Mirabelle, proszę, czy możemy poczekać, aż dzwony przestaną bić? Nigdy dotychczas nie zauważyłem, jakie to cudowne, są jak słońce i deszcz zmieszane razem, jak tęcza dźwięków. Siadam obok niej, zamykam oczy i odchylam w tył głowę, słucham. To czyste czary. Słyszę wiatr, trzepot skrzydeł gołębi, szum samochodów. Ponad tym wszystkim unosi się metaliczny, ale potężny głos dzwonów. Dlaczego nigdy dotąd nie usłyszałem ich tak jak dzisiaj?

- Zaczynasz zachowywać się jak niewidomy, Jacques. Ja też bardzo lubię to robić. Siedzę cicho i wsłuchuję się w bicie dzwonów. Są tak bardzo odmienne od dzwonów SaintSulpice. Tamte są również piękne, ale więcej w nich godności, religijnych uczuć, są bardziej pewne siebie. W biciu tych dzwonów słyszę pytania, na które nie można odpowiedzieć. Posłuchajmy. Milknie i razem słuchamy dzwonów aż do chwili, gdy wybrzmi ostatnia wisząca w powietrzu nuta. Z odległości słyszę jak SaintSulpice odpowiada głębokim tonem. Mirabelle wstaje, a ja podnoszę się wraz z nią. Kładzie mi dłoń na ramieniu, a ja kładę swoją dłoń na jej dłoni, nie jest ciepła, ale nie jest też chłodna. Mirabelle pochyla się ku mnie.

- To takie miłe, nikt nie domyśliłby się nawet, że jestem niewidoma. Teraz jestem jedynie kobietą, która spaceruje z mężczyzną. To takie miłe, nawet nie zgadniesz jak bardzo, drogi Jacques. Idzie przede mną w stronę drzwi swojego mieszkania. Wyjmuje klucze. Przybory schowała do torby. Jedną dłonią szuka dziurki od klucza, potem bez wahania wsuwa klucz do środka, napiera, by otworzyć ciężkie drzwi. Kiedy wchodzimy, wieszka płaszcz na wieszaku, zaciąga zasłonki, które mają nie wpuszczać do środka przeciągów, i zsuwa buty. Nigdy dotąd tego nie zauważyłem, ale nigdy jeszcze nie wchodziłem wraz z nią do mieszkania. Zawsze czekała już na mnie, kiedy przychodziłem. Czuję się teraz jak słoń w składzie porcelany. Siadam na krześle stojącym obok drzwi i zdejmuję adidas. Mirabelle kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Ależ, Jacques, nie musisz tego robić. To jedynie idiosynkrazja starej, niewidomej kobiety. Będzie ci zimno w stopy. Albo nie, poczekaj, jeśli chcesz, mam coś dla ciebie. Uszyłam je wiele lat temu, ale nikt ich do tej pory nie używał. Odwraca się i podchodzi do części korytarza oddzielonej następną zasłonką. Sięga na półkę i zdejmuje parę ręcznie wykonanych kapci, prawdę powiedziawszy, są to podobne do skarpet kapcie, które można wkładać na buty.

- Możesz włożyć je na swoje buty, jeśli chcesz.

- Zdjąłem już buty, czy mogę założyć je na skarpetki?

- Jak sobie życzysz. Rusza do kuchni. Naciągam kapcie na nogi, są bardzo wygodne, mają gumkę w kostce. Ustawiam buty obok drzwi. Mirabelle jest w kuchni, myślę więc, że to dobra pora, aby wkręcić żarówki. Zaczynam od toalety. Wykręcam przepaloną żarówkę i wkręcam na jej miejsce nową, przekręcam włącznik,,niech stanie się światło" i tak też się dzieje. Podobną wymianę przeprowadzam w łazience, stając na krawędzi wanny, aby dosięgnąć oprawki. Tu też żarówka jest zepsuta, nie mam więc żadnych problemów. Żyrandol w dużym pokoju wisi nad stołem, przy którym jadamy. Wiem, że Mirabelle zdaje sobie sprawę z tego, co teraz robię. Domyślam się też, że jeśli nie życzy sobie, abym chodził w butach po mieszkaniu, nie spodoba jej się pomysł stawania na stole, przy którym będziemy jeść.

- Mirabelle, mam żarówkę i chciałbym ją wkręcić, ale jeśli nie masz drabiny, nie dosięgnę, chyba że stanę na stole. Czy nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, dziękuję tylko, że zapytałeś. Włożę na krzesło i wyżej na stół. Nawet stąd ledwo dosięgam oprawki. W żyrandolu jest miejsce na dwie żarówki. Wykręcam przepalone, a potem zastępuję je nowymi. Włącznik jest tak ustawiony, że zapalają mi się w rękę.

- Proszę, uważaj, Jacques, elektryczność może być niebezpieczna, nie zrób sobie krzywdy.

- Teraz jest już lepiej. Nie kupiłem tych żarówek dla ciebie, Mirabelle. Nie masz z nich żadnego pożytku. Tak, teraz jest świetnie, Mirabelle. A tak przy okazji, kiedy włącznik jest na dole, światło jest wyłączone, kiedy na górze, światło się pali.

- Mieszkam tu od ponad siedemdziesięciu lat, ponad pięćdziesiąt lat upłynęło od chwili, gdy stradłam wzrok. Znam przełączniki w tym domu, ale dziękuję, Jacques. A zatem żarówki nie przepaliły się, zepsuły się pod wpływem czasu, może od zmian temperatury przez lata, które upłynęły od śmierci jej siostry. A może ktoś włączył światło przez przypadek i zapomniał wyłączyć. Ale Mirabelle twierdziła przecież, że czuje ciepło

bijące od żarówek. Nie ma to przecież żadnego znaczenia. Siadam przy stole. Mirabelle stawia już przede mną zakąskę. To tarama. Zdejmuje fartuszek i siada naprzeciwko.

- Dzisiaj zjemy greckie potrawy. Czy jadłeś już kiedyś taramę?

- Tak i bardzo mi smakowała, zwłaszcza podana w ten sposób, z oliwkami i cytryną.

- Kupiłam ją na rue de Seine dzisiaj rano. Cały dzisiejszy posiłek będzie w greckim stylu.

- Myślałam, że rano zajmowałaś się jogą i swoimi ćwiczeniami.

- Zrobiłam wszystko bardzo wcześnie, a potem poszłam na zakupy. - Uśmiecha się do mnie i rozwija serwetkę; podnoszę kieliszek wina, to ona naląła. Mirabelle wyciąga swój w moją stronę. - To greckie wino, retsina. Mam nadzieję, że je lubisz.

- Za twój portret i za nas, Mirabelle. Oboje próbujemy wina. Nigdy nie darzyłem retsiny specjalnie ciepłym uczuciem, za bardzo przypomina w smaku terpentynę, ale nic nie mówię. Dla malarza terpentyna nie jest specjalnym przysmakiem. Jako dania główne podaje musakę i brochettes d'agneau, kończymy zaś jakimś lepkiem deserem. Wszystko jest bardzo smaczne. Jeśli dłużej będę tak jadał, znowu dorobię się brzuszka. Po obiedzie, kiedy Mirabelle zabiera się do zmywania naczyń, ustawiam sztalugi przy oknie i stawiam na nich jej portret w taki sposób, by mieć najlepszy widok i najlepsze światło. Pogoda pogarsza się wyraźnie. Po krótkich poszukiwaniach znajduję detergent, jakąś szmatkę i stare gazety. Zaczynam myć okna.

- Naprawdę jest aż tak źle, Jacques? Tak bardzo się wstydzę.

- Mirabelle, niewidomi nie potrzebują okien, ale jeśli zamierzam malować twój portret, muszę mieć światło. Nie masz się czym przejmować. Muszę zdrapać z szyb brud, który nazbierał się przez co najmniej dziesięć lat. Paryskie powietrze pełne jest zanieczyszczeń, a ponieważ Mirabelle gotuje w tym samym pomieszczeniu, wewnętrzne strony szyb są prawie równie brudne jak zewnętrzne, od tłuszczu, który się na nich zgromadził. Wspinam się na krzesło i wyżej na parapet, aby dosięgnąć górnych szyb. Umycie jednego okna zajmuje mi co najmniej piętnaście minut i Mirabelle kończy zmywanie, kiedy wycieram ostatnie zacieki papierowym ręcznikiem. Dla mnie wygląda to znakomicie, ale dla Mirabelle nic nie znaczy.

- Teraz możemy już zabrać się do roboty. To wspaniałe, jak pełno tu teraz światła, w porównaniu z tym, co było przedtem.

- Jacques, na tak wiele sposobów wniosłeś światło w moje życie.

- Ja myślę tak samo o tobie, Mirabelle. Chwila pełna jest napięcia, ale nie posuwamy się dalej. Siadam i próbuję wejść w portret tam, gdzie się zatrzymałem, zanim pograżę się

w opowieści o moich nieszczęściach. A nawet jeszcze do nich nie doszedłem, nie potrafiłem. Zaczynam podmalówkę twarzy i włosów. Posługuję się rozjaśnioną, rzadszą wersją karmazynu alizarynowego, którego użyłem do malowania tła. Mieszam go z żółtą ochrą. Muszę znaleźć jakąś przezroczystą żółć, może żółcień indyjską do podmalówek. Ciekawe, ile kosztuje. Mirabelle siedzi, patrząc przeze mnie w okno, z delikatnym uśmiechem na twarzy. Wydaje się taka drobna, taka krucha, ale znam już jej nieugiętość, witalność, odwagę, widzę ją teraz inaczej. Siedzi nieruchomo jak manekin.

- Nie musisz siedzieć tak sztywno, Mirabelle. Skończyłem już szkic, jeśli chcesz, możesz się odprężyć, możemy też porozmawiać. Nie wiem, czy będziesz miała ze mnie sporo pożytku, tak bardzo koncentruję się na obrazie, że marny ze mnie rozmówca. Podnoszę wzrok znad płótna, uśmiecha się i powoli obraca głowę, ćwiczenie jogi. W tej chwili zajmuję się podmalówką jej swetra. Posługuję się mieszaniną ultramaryny i odrobiny karmazynu alizarynowego. Chcę w ten sposób uzyskać ciemny, ale żywy i chłodny odcień, później wzmocnię go przy impaście. Obraz zaczyna mi się coraz bardziej podobać. Unoszę się wraz z nim, już prawie jestem gotów do tego, by dodać odrobinę bieli i dorzucić żółci, pomarańczy, czerwieni, nieco więcej barw ziemi do mojej palety, zacząć kolory ciała.

- Jacques, czy zechciałbyś opowiedzieć mi więcej o swoim przeszłym życiu? Nie mów, jeśli to dla ciebie nazbyt bolesne. Nie prosiłabym o to, ale chcę dowiedzieć się o tobie więcej, dowiedzieć się, jak stałeś się tym wspaniałym człowiekiem, którym jesteś teraz. Przystaję malować i zaczynam wyciskać na paletę nieprzejrzyste farby. Jakaś część mojej osoby chce jej powiedzieć, wie, że najprawdopodobniej będzie to dla mnie dobre, ale we wnętrzu tkwi węzeł, który zaplątał się przez wszystkie te lata i zapewnia mi teraz poczucie bezpieczeństwa. Nie wiem, czy chcę ponownie go rozplątywać. Zaczynam od pociągnięcia bladożółtą ochrą pomiędzy oczami. Przyglądam się jej jeszcze raz, aby znaleźć właściwy odcień. Uśmiecha się, jak gdyby o tym wiedziała.

- Kiedy przerwałeś opowiadanie, mieszkałeś w Paryżu razem z rodziną. Nie lubiłeś swojej pracy, ale twoja żona i dzieci zaczynały przystosowywać się do nowych warunków, do życia tutaj. Co się wtedy wydarzyło? Nadal nie wiem, jak to się stało, że zacząłeś malować na ulicach, jak znalazłeś się w moim pokoju przy rue des Ciseaux. Milknie. Do diabła, na nowo zabieram się do malowania. Jeśli chce słuchać, nie mam nic przeciwko temu.

- Mieszkaliśmy w Paryżu od trzech lat, przed końcem trzeciego roku poproszono mnie, abym został przynajmniej rok dłużej. Troje starszych dzieci skończyło już liceum i znalazło się na różnych amerykańskich uniwersytetach. Jednak Lorrie nie skarżyła się,

wydawało mi się, że się poddała. Jak już mówiłem, Mirabelle, jedną z trudności związanych z moją pracą była konieczność podróżowania częściej, niż tego chciałem. Firma posiadała filie w kilku innych miastach, w tym w Lyonie, Bordeaux i Marsylii. Musiałem odwiedzać każdą z nich przynajmniej raz w miesiącu. Oddalało mnie to od rodziny, ale dzieci wydawały się szczęśliwsze. Kiedy starsze przyjechały na wakacje z amerykańskich uniwersytetów, zdawało mi się, że kochają Paryż. Niestety, Lorrie nadal spędzała zbyt wiele czasu, wożąc małego Hanka z miejsca na miejsce i Paryż niewiele ją obchodził. Skarżyłem się wciąż, że ja, artysta, znalazłem się w mieście artystów, mieszkam w kraju impresjonistów i nie mam żadnej szansy, by z tego skorzystać. Nie miałem nawet wolnej minuty, by szkicować, wyjąwszy bazgroły kreślone w czasie rozmów telefonicznych. Hank miał w czerwcu ukończyć szkołę amerykańską. Właśnie wtedy dowiedziałem się, że mój przydział zostaje przedłużony o kolejny rok. Znaczyło to, że albo zbyt dobrze radziłem sobie ze swoją robotą, albo zamierzali mnie tutaj pogrzebać. Myślę, że dla Lorrie była to kropla, która przelała czarę. Aż do tej chwili pozostawała doskonałą żoną amerykańskiego biznesmena za granicą. Zajmowała się domem, robiła zakupy, często chodziła do szkoły jako członek PFA, pomagała dzieciom zaadaptować się w nowym miejscu. Nie miała praktycznie nic wspólnego z Francją, Francuzami i francuską kulturą. Dwa razy w tygodniu miała konwersacje z francuskiego, ale nie robiła specjalnych postępów, umiała dostatecznie dużo, by robić zakupy i dostać to, czego chciała. Kiedy tylko było to możliwe, unikała oficjalnych spotkań związanych z moją pracą, tam, gdzie rozmowy toczyłyby się głównie po francusku. Nagle zacząłem dostrzegać subtelne zmiany. Najpierw zmieniła uczesanie. Już to wystarczyło, by wyglądała jak Francuzka, zwłaszcza ze względu na piękne, ciemnorude włosy. Później zaczęła kupować bardzo modne, eleganckie stroje. Mogliśmy sobie na to pozwolić, a wyglądała wspaniale, cudownie wyróżniała się na tle pozostałych Amerykanek, które przyjechały tu ze swoimi mężami. Nawet po urodzeniu czwórki dzieci była piękną kobietą. Teraz stała się po prostu piękną. Zapisła się na kurs francuskiej kuchni w szkole kucharskiej Cordon Bieu w Paryżu. Brała lekcje tańca, lekcje pantomimy. Zaczęliśmy jadać w domu bardzo wytworne posiłki, tylko my dwoje, z eleganckimi sosami, świecami i białymi serwetkami umieszczonymi w kółkach. Wszystko to było wspaniałe. Zapisła się też na niedzielny kurs w Luwrze. Kiedy nie wyjeżdżałem, chodziliśmy do różnych paryskich muzeów, naprawdę wiedziała, o czym mówi. A to ja miałem być w naszej rodzinie artystą. Jej francuski poprawił się wprost niewiarygodnie. Nagle okazało się, że mam za żonę Francuzkę, i to bardzo seksowną Francuzkę. Faceci z pracy zaczęli żartować na mój temat. Lorrie i ja mieliśmy zawsze stosunkowo dobre życie

erotyczne, może nic specjalnego, ale na pewno satysfakcjonujące. Teraz stała się wprost nienasycona. Ciągle chciała czegoś nowego, bardziej zmysłowych, bardziej wyrafinowanych, bardziej intymnych eksperymentów. Wydawało mi się, że nie ma dla niej żadnych granic w tym, co chciała ze mną wypróbować. Podejrzewam, że dla faceta nie jest to specjalny powód do skarg, nie skarżyłem się więc, ale byłem coraz bardziej zaskoczony. Dwudziestodwuletnie małżeństwo zmieniało się w coś absolutnie nowego. Czułem się tak, jak gdybym znalazł się na planie filmu porno, w którym moja żona była reżyserem, kamerzystką i gwiazdą. Później coraz częściej zdarzało mi się słyszeć o Didierze. Didier był jej nowym nauczycielem francuskiego, jego poprzednik został przeniesiony do Lyonu. Kilka razy pytała, czy nie mam nic przeciwko temu, by zjadła razem z nim lunch, przy okazji poćwiczyła francuski i dowiedziała się czegoś nowego o francuskiej kuchni. Nie miałem, choć stało to w jaskrawej sprzeczności z moją własną notatką sprzed dwóch lat. Cieszyłem się, bo wydawała się szczęśliwsza, miała więcej zajęć niż jedynie prace domowe, zakupy, wszystko to, co do tej pory musiała robić i co dotychczas całkowicie wypełniało jej dni. Kiedy dzieci wyjechały do Stanów, miała dla siebie więcej czasu. Czuła się bardzo samotna, kiedy musiałem wyjeżdżać na te przekłete kontrole. Pewnej nocy, po szczególnie wyczerpującym stosunku, rozplakała się nagle w mych ramionach. Nie było to w jej stylu. W ogóle rzadko zdarzało się, by płakała, a szczególnie dziwne wydało mi się, że płacze po stosunku. Przytuliłem ją mocniej do siebie. Boże, powinienem był wiedzieć. Myślę, że każdy, kto zwracałby choć trochę uwagi na to, co dzieje się wokół niego, zauważyłby, że coś jest nie w porządku. Jestem pewien, że ty domyśliłabyś się wszystkiego, Mirabelle. Nie przerywam malowania, ale ręce mi drżą. Biorę głęboki oddech. Mirabelle nie miałaby mi za złe, gdybym przerwał moją opowieść w tym miejscu. Patrzy na mnie w typowy dla siebie, pełen koncentracji sposób. Jej twarz zbladła tak, że trudno nawet domyślić się jej prawdziwych kolorów. Odkładam pędzle i odwracam dłonie, przyglądając się im uważnie.

- Lorrie powiedziała, że tego popołudnia, po lunchu poszła razem z Didierem do hotelu i kochali się. Chciał tego już od kilku miesięcy, żartowali na ten temat, ale ciągle go od siebie odpychała. Dzisiaj, musiała to przyznać, ona również tego chciała. Nie potrafiła sama uwierzyć w to, co się stało, że była wobec mnie „niewierna”. Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Tak bardzo było to podobne do spraw, z którymi miałem do czynienia w pracy, odkryłem, że słucham, zachowuję się, czuję tak, jakby mówiła o kimś innym. To nie mogła być moja Lorrie. Po prostu nie potrafiłem tego do siebie dopuścić. Musiała mi jednak o tym powiedzieć. Chciała, bym o tym wiedział. W jakiś sposób, jak mi się wydaje, czuła, że jeśli będę wiedział, nie będzie to już takie złe. Tak mi się przynajmniej wtedy

wydawało. Byłem bardziej psychologiem niż sobą. Didier również nie był wolny, poza tym był o piętnaście lat młodszy od Lorrie, miał dwoje małych dzieci. Nie była tego pewna, myślała jednak, że ona i Didier się kochają. Zgodnie z tym, co mówiła, wszystko to było takie piękne i smutne, smutne dla niej, dla Didiera, dla jego żony, dla mnie. Zachowywała się tak, jak gdyby naprawdę chciała, bym powiedział jej, co ma zrobić, jakbym był jej najbliższą przyjaciółką, której chce się zwierzyć, albo jakbym był doradcą do spraw małżeńskich, nie brał w tym tak naprawdę udziału. Muszę przyznać, że to było jednym z moich problemów. MBI ceni u swoich pracowników chłodne podejście, spokój. Nauczyłem się żyć według tego kłamstwa. Moją pierwszą reakcją na prawie każdą wiadomość, dobrą czy złą, było cofnięcie się w siebie, niereagowanie, dokonanie analizy sytuacji, ustalenie, co powinienem zrobić. Podobnie postąpiłem tym razem. Nie rozplakałem się. Przytuliłem się do Lorrie, a ona płakała coraz mocniej. Zostałem głęboko zraniony, ale nie potrafiłem tego okazać, może nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Tak dobrze nauczyłem się kryć siebie przed samym sobą, że mogło się tak zdarzyć. Kiedy już się wyplakała, a ja sam uspokoiłem się na tyle, że mogłem mówić, zapytałem, czy jest pewna, że go kocha, czy chce się rozwieść. Odpowiedzią był następny wybuch płaczu. Potrząsała piękną głową, tak wspaniale ukształtowaną, uczesaną w najnowszy paryski styl, z jaśniejszymi pasemkami na tle ciemnego, naturalnego koloru włosów. Powiedziała, że kocha mnie i dzieci; Didier również kochał swoją żonę i dzieci. Może był to tylko romans, który wypali się po pewnym czasie. Nie chciała mnie okłamywać. Doceniałem to. Zacząłem jednak myśleć, że tamtego popołudnia nie po raz pierwszy poszli razem do łóżka. Znienawidziłem siebie za podobne myśli, skręcałem się w środku od bólu, który sprawiła mi ta zdrada, ale starałem się trzymać. Powoli stawało się to niemożliwe. Traciłem zdolność widzenia spraw takimi, jakimi były naprawdę. Ogarnęła mnie zwyczajna, dziecinna zazdrość, fizyczna zazdrość i chciało mi się wymiotować. Wreszcie opanowałem się. Przytuliłem się do niej, ale nadal nie zrobiłem tego, co naprawdę chciałem, płakać jak dziecko, krzyczeć, rozpaczać nad swoją stratą, nad raną, jaką odniosłem. Raz jeszcze zapytałem, co chce teraz zrobić. Powtórzyła, że nie wie. Była taka nieszczęśliwa. Chciała obiecać, że nie będzie już spotykać się z Didierem, ale nie mogła, jeszcze nie. Taki był koniec naszej pierwszej rozmowy na ten temat. Przypominałem ją sobie setki razy, zastanawiałem się, co powinienem był zrobić, co powinienem był powiedzieć. Nie spałem przez całą noc, szarpały mną przeciwstawne uczucia, z jednej strony lai czułem się wściekły, skrzywdzony, oszukany, trompe, jak mówią Francuzi, z drugiej jednak rozumiałem, współczułem Lorrie, chciałem okazać jej wsparcie. Moje dłonie przestały drżeć. Znowu chwytam pędzel, przez chwilę milczę. Próbuje

pograćzyć się w portrecie Mirabelle. Jej twarz znowu nabrała kolorów, a na policzkach dostrzegam łzy. Nie mówię nic. Robię to samo, co zawsze, próbuję odepchnąć od siebie terażniejszość poprzez skoncentrowanie się na czymś innym. Pracuję ciężko przez następne pół godziny. Mirabelle odzywa się tak cicho, że ledwo ją słyszę.

- Czy nadal ją Kochales, Jacques? Czy potrafiłeś zrozumieć, dlaczego tak właśnie postąpiła? Co stało się później? Proszę, opowiedz mi o tym, jeśli możesz. Tym razem próbuję opowiadać, nie przerywając malowania.

- Nie skończyło się na tym, Mirabelle. Nadal się spotykali. Zmieniłem Lorrie nauczyciela francuskiego, nie pytając jej o zgodę. Było to głupie, ale nic już nie mogło zmienić. Z każdego ruchu Lorrie, jej podniecenia, jej wprost maniackiej chęci zadowolenia mnie, ze sposobu, w jaki się ubierała, poruszała, spała, kochała ze mną, a nawet gotowała dla mnie, czytałem, że nadal spotyka się z Didierem, nie tylko spotyka. Poczucie winy musiało być dla niej okropne, ale nie miałem dla niej ani odrobiny współczucia. Czułem, że się od niej, od nas coraz bardziej oddalam. Było to bardzo bolesne, ale nic nie potrafiłem na to poradzić. Kiedy wróciłem z czterodniowej wizyty w Lyonie, zebrałem się na odwagę, by ostatecznie z nią porozmawiać, wszystko wyjaśnić. Leżała w łóżku. Samolot spóźnił się, było już po północy. Nadal miałem na sobie garnitur, aktówkę zostawiłem na podłodze przed drzwiami sypialni. Nie wiem, czy spała, kiedy wszedłem do sypialni. Wiedziałem, że muszę z nią szybko porozmawiać, w przeciwnym wypadku nigdy już nie będę do tego zdolny. Wyciągnąłem się na pościeli w ubraniu. Nie kłamała, nawet nie próbowała. Przyznała, że nadal spotyka się z Didierem, że on czyni ją szczęśliwszą, niż była kiedykolwiek w życiu. Uważała, że nigdy tak naprawdę nie podniecała żadnego mężczyzny, włączała w to również mnie, a raczej dotyczyło to zwłaszcza mnie, nasz związek był jedynie „wygodny”, było tak*od samego początku. Nie kłóciłem się z nią, nie byłem w stanie. Zawsze kochałem Lorrie zwy. czajną, prostą miłością chłopaka z Filadelfii, bez żadnych trzęsień ziemi, opanowała mnie po troszeczku; kiedy spotkaliśmy się i poznałem ją lepiej, dowiedziałem się, jaka jest naprawdę. Miłość jakoś przetrwała przez wszystkie te lata. Nie próbowałem nawet podawać jej w wątpliwość. Zaskakujące, jak bardzo można być naiwnym, a przynajmniej jak bardzo ja okazałem się naiwny. Wtedy Lorrie zaczęła opowiadać o sprawach, z których zawsze powinienem był zdawać sobie sprawę. Nienawidziła życia w cieniu mojej kariery, ciągłych przenosin, nigdy nie miała szansy, by się rozwinąć, cały czas pochłaniała ją opieka nad dziećmi i nade mną. Tęskni za swoją grupą samopomocy z Minneapolis, a zmieniła się tak bardzo, że nie mogła już do nich wrócić. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Leżałem na plecach z otwartymi oczami,

przynajmniej w końcu zacząłem płakać. Złość i gniew ustąpiły. Płakałem, jak oplakuje się śmierć ukochanego rodzica czy dziecka. Płakałem z rozpacz, bo wszystko okazało się daremne. Myślę, że płakałem nad Lorrie. Wyglądało na to, że szczególnie zirytował ją mój przydział na stanowisko dyrektora personalnego w Paryżu. To ona studiowała kierowanie personelem, a ja, artysta malarz, dostałem pracę, o której ona zawsze marzyła. Twierdziła, że tak się stało, ponieważ jest kobietą, a kobiety nie dostają w życiu podobnej szansy. Mówiła, że wczesne ciążę przerwały jej karierę na całe życie, wyrwały ją z rzeczywistego świata. Czuliła się oszukana, a w większości była to moja wina. Powinienem bardziej o nią zadbać. Słuchałem w ciemnościach i rozumiałem ją. Czuliła głęboką wrogość do społeczeństwa, do naszej sytuacji rodzinnej, do wszystkiego, ale przede wszystkim do mnie. Czuliła, że nie byłem jej mężem, zaspokajałem tylko jej potrzeby, dzieci prawie wcale mnie nie znały, tak naprawdę nie brałem udziału w ich życiu, to ona musiała nieść całe to brzemie. Siedziała na skraju łóżka w nocnej koszuli, oparłszy łokcie na kolanach, twarz ukryła w dłoniach. Patrzyłem na nią, ale ona nie spoglądała w moją stronę. Słuchałem. Wiedziałem, że próbowała się usprawiedliwić, zagłuszyć swoje poczucie winy, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że ma rację. Przez te wszystkie lata byłem za bardzo zajęty swoimi sprawami, swoją karierą w Nard, a potem w MBI. Nie zwracałem dość uwagi na moją rodzinę. Czekałem, aż skończy. Chciałem powiedzieć to, co należy, okazać się kochającym mężem, zrobić to, co najlepsze dla Lorrie, dla mnie, dla dzieci. Trudno mi było zapanować nad emocjami, nie chciałem, by zmusiły mnie do powiedzenia czegoś, czego będę żałował przez całe życie. Wreszcie powiedziałem: „Lorrie, nie chcę się kłócić. Przepraszam tylko, że sam nie zauważyłem wcześniej tego wszystkiego, żałuję, że przez te wszystkie lata nie zdradziłaś przede mną swoich uczuć. Masz rację, nie zwracałem dosyć uwagi ani na ciebie, ani na dzieci. Przysięgam, jeśli będę miał taką okazję, kiedy skończy się ta praca, wszystko się zmieni. Tak naprawdę nie chcę być wielką szychą w MBI. To tylko część tego zwariowanego świata, który pożera człowieka. Pomyśl, spędzimy tu jeszcze sześć miesięcy. Jeśli zechcesz, mogę przedłużyć ten okres. Baw się jak dotychczas. Wykorzystaj ten czas najlepiej jak potrafisz. Nie ma tu naszych rodziców, krewnych, przyjaciół, którzy mogliby kontrolować twoje życie. Jesteś zupełnie wolna. Kiedy Hank pójdzie we wrześniu do college'u, będziesz miała całe życie dla siebie, nikt nie będzie ci przeszkadzał. Ciesz się wolnością, jakiej nie n»iałaś dotychczas. Wykorzystaj szansę, jaką daje ci romans z Didierem, coś, czego, jak sądzisz, nigdy w życiu nie miałaś. Życie jest zbyt krótkie, zbyt ważne, by je zmarnować. Nie jestem pewien, czy jestem dość młody, czy jestem właściwym człowiekiem, by dać ci to, czego chcesz. Sam nie wiem, jak to się stało,

ale ugrzązłem. Możemy spędzić razem dwadzieścia albo trzydzieści szczęśliwych lat. Nie odrzucajmy tego ze względu na to, co w tej chwili czujemy. Mamy za sobą dwadzieścia dwa wspólne lata. No i dzieci, proszę, pomyśl o tym. Proszę tylko, abyś znalazła dla mnie trochę czasu, kiedy jestem w domu, abyś nie mówiła mi wcale o reszcie swojego życia. Obawiam się, że nie potrafię tego znieść. Możesz uważać, że to z mojej strony dziecinne, egoistyczne, ale jestem w takim samym stopniu jak każdy inny facet ofiarą męskiej zaborczości. Cała psychologia, cała reszta, wydaje się jedynie abstrakcją, nie daje prawdziwej pomocy. Dobrze?" Tak właśnie postąpiliśmy, Mirabelle. Hank skończył liceum i pojechał do kraju, studiować na mojej alma mater, Uniwersytecie Stanowym w Pensylwanii. Nadal pracowałem dla MBI, ale starałem się częściej bywać w domu, spędzać więcej czasu z żoną, być z nią, robić z nią tak wiele, jak to było możliwe. Lorrie była z każdym dniem coraz szczęśliwsza. Myślę, że na swój sposób kochała mnie wtedy bardziej niż kiedykolwiek. Nie zadawałem żadnych pytań. Pracowałem tylko jeszcze ciężiej. Lorrie i Didier postanowili kiedyś pojechać na krótki wypad do Honfleur. Zdołał jakoś uwolnić się od swojej rodziny. To było wiosną. Lorrie wyglądała cudownie w nowej sukience, jasnoniebieskiej w drobne niebieskie kwiatki, które przypominały niezapominajki. Miała ze sobą niewielką torbę, wyglądała jak współczesna wersja bohaterki którejś z powieści Colette. Pomachałem im na pożegnanie, gdy wsiadali do taksówki. Skończyłem malować twarz Mirabelle. Pojawiła się sama, bez jednej poprawki. Portrety nie są może moją mocną stroną, ale tym razem jestem pewien, że stworzyłem coś naprawdę pięknego. Ponownie przestaję malować i patrzę na nią. Jej absolutny spokój wydaje się wysysać ze mnie truciznę, wiem, że niełatwo przyjdzie mi opowiedzieć następną część mojej historii. Zaczynam pracować nad jej siwymi włosami na ciemnej podmalówce. Zagłębiam się w pukle włosów, tam gdzie je zaplotła w koronę na czubku głowy.

- Wtedy właśnie coś we mnie pękło, Mirabelle. Może zwariowałem, a może przeszedłem ciche, załamanie nerwowe. Sam nie wiem. Wszedłem do domu, kiedy taksówka zniknęła mi z oczu, wszystko wydawało się tak bardzo bezużyteczne, tak bardzo pozbawione znaczenia. Samo życie zdawało się nic niewarte. Rozejrzałem się po obszernym domu, który żył praktycznie własnym życiem, w jakiś sposób stanowił filię MBI, nie był to tak naprawdę nasz dom, a jedynie miejsce, gdzie się zatrzymywaliśmy, jak półprywatny hotel. Nalałem sobie szklaneczkę bourbona, który trzymaliśmy dla gości, i usiadłem w ciszy. Zacząłem pociągać. Nie jestem pijakiem. Nie lubię szczególnie smaku alkoholu, a już na pewno jego efektów. Kwestia kontroli zdominowała całe moje życie, nigdy nie było w nim miejsca na takie rzeczy jak alkohol. Zacząłem zastanawiać się, jak

Didier zdołał umknąć przed własną żoną na cały weekend. Jak zdołał to wytłumaczyć, a może jego żona wie o wszystkim i razem naśmiewają się z Amerykanki, która świata poza nim nie widzi, a która jest przy okazji żoną jego szefa. Czułem głęboki niesmak do całej tej sprawy, do samego siebie. Długo płakałem, zapłakany pijak. Wysączyłem w ten sposób całą butelkę, w końcu zasnąłem na kanapie? Nie zdjąłem nawet butów. Obudziłem się rano, wziąłem prysznic, tabletkę aspiryny i włożyłem dres. Zaskoczyło mnie to, że nie miałem wcale kaca. Złapałem słuchawkę i zadzwoniłem do mojego adwokata w Minneapolis. Większą część dnia spędziłem przy telefonie, ustalając szczegóły. Milton, nasz adwokat, uważał, że kompletnie mi odbiło. Pytał ciągle, czy na pewno wiem, co robię, czy u mnie wszystko w porządku. Zapewniałem go, że tak, ale tak nie było. Kiedy Lorrie wróciła do domu w poniedziałek rano, byłem trzeźwy. Trząsałem się na całym ciele, ale byłem kompletnie trzeźwy. Stałem cicho w kącie, obok skomplikowanego sprzętu stereo, kiedy zdejmowała płaszcz i szła do sypialni, aby się przebrać. Nie spodziewała się, że będę w domu, prawdopodobnie dlatego mnie nie zauważyła. Bawiła mnie moja niewidzialność, podejrzewałem, że widzę ją po raz ostatni. Kiedy ponownie weszła do jadalni, wziąłem ją w ramiona i powiedziałem, że chcę z nią porozmawiać. Poprosiłem, by ze mną usiadła. Musiałem ją wystraszyć, ponieważ nigdy nie widziałem, by tak bardzo zbladła, była tak przerażona, zaskoczona. Usiadła na kanapie obok tej, na której ja siedziałem, przesiadłem się bliżej. Wziąłem w ręce jej dłonie. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, kolana blisko siebie. Patrzyła mi prosto w oczy. Czy wiesz, Mirabelle, że kiedy zamknę oczy, widzę ją na nowo, tak samotną, taką piękną, taką przerażoną. Jestem pewien, że łatwo ci to zrozumieć, ponieważ masz tak wiele wspomnień w swojej głowie. Ja mam ich bardzo niewiele, a to właśnie jest jedno z nich. Wiem, jestem artystą, widzenie powinno stanowić mój zawód, ale niewiele scen tak wyraźnie wyryło się w mojej pamięci jak w twojej. Lorrie zapytała, co robię w domu, dlaczego nie pojechałem do pracy. Trudno mi było zacząć to, co miało położyć kres wszystkiemu, co miałem. „Lorrie, nie pracuję już w MBI. Odszedłem. Powinienem odbyć serię spotkań, ale nie zrobię tego. Zadzwoniłem do Milta, on załatwił wszystko na miejscu. Wiem, że to dla ciebie wstrząs, ale nie sądzę, byśmy mogli dalej żyć tak jak teraz. Podobne udawanie może tylko zabić to, co nas jeszcze łączy, a ja nadal cię kocham”. Czekałem, by coś powiedziała. Gdyby wypowiedziała choć jedno słowo, które mogłoby mnie przekonać, powstrzymałbym wszystko, poprosił o przeniesienie do Stanów, zaczął wszystko od nowa. Zrobiłbym wszystko, o cokolwiek by poprosiła. Ona jednak patrzyła tylko na mnie, nawet nie mrugnęła. Jej twarz była kredowobiała. „Wszystko, co mamy, należy do ciebie, Lorrie, dom, chata na wsi, oba samochody, nasze akcje i kilka

innych inwestycji, które poczyniłem. Wszystko policzyłem, możesz dalej żyć żw stylu, do jakiego przywykłaś)). Jak wiesz, istnieją fundusze powiernicze, które umożliwią dzieciom ukończenie szkół, zgodnie z tym, czego sobie życzą. Wszystko należy do ciebie, jesteś zabezpieczona na całe życie". Jej twarz była pusta, jak nie zadane pytanie bez odpowiedzi. "Nie mogę dłużej tego ciągnąć, Lorrie. Brakuje mi siły, odwagi, aby dotrzymać naszej umowy. Chcę przez resztę mego życia poszukiwać, dowiedzieć się, czy coś jeszcze mi pozostało, jakaś przyjemność, jakieś podniecenie, coś, co nadal ma dla mnie jakieś znaczenie oprócz pieniędzy, statusu, większych pieniędzy, większego statusu. Zrozum, przez cały ten czas myślałem, że robię to, czego ty chcesz. Teraz wiem już, że się myliłem. Utknąłem w zwariowanym wyścigu, który skończyć może się tylko w ten sposób. Nie jestem jedyny, ale to żadna wymówka. Czy możesz uwierzyć, że przez wszystkie te lata, robiąc wszystkie te głupie rzeczy, nadal uważałem, że w głębi serca jestem wciąż artystą? Czy to nie szaleństwo? Taka jednak jest prawda. Uważałem, że cała reszta była jedynie zbiegiem okoliczności. Żaden etap mojego życia nie był wynikiem świadomie podjętych decyzji, a jedynie wyborem tej drogi, która wydawała się rozsądna, praktyczna, najprostsza. No cóż, to już się skończyło". Lorrie milczała. Dwa razy otwierała usta, a potem zaczęła cicho płakać. Ja też się rozplakałem. „Lorrie, myślałem, że jakoś podołam, naprawdę. Wiesz, co ostatecznie mnie załatwiło?" Zamilkłem. Wziąłem głęboki wdech, próbując uciszyć narastające łkanie. Nie chciałem, by nasza rozmowa stała się bezsensownym dialogiem dwóch beks., „Ciągłe patrzyłaś na zegarek, zawsze, kiedy byłem razem z tobą. Zachowywałaś się tak, jak gdybyś czekała na pociąg albo wizytę u lekarza, czekała, aż skończy się twoje oczekiwanie. Wiedziałem, że czekasz, aż sobie pójdę, abyś mogła zadzwonić albo spotkać się z Didierem, wrócić do prawdziwego życia, a nie ciągnąć w nieskończoność prywatną farsę, jaką sobie stworzyliśmy. Pojąłem, jak mało potrzebny ci byłem do szczęścia, że stałem ci na drodze, odcinałem cię od tego, czego naprawdę chciałaś. Chcę, abyś była szczęśliwa, Lorrie, to jest dla mnie najważniejsze. Nie sądzę, bym ci w tym pomagał, pozostając razem z tobą. Muszę odejść, Lorrie. Myślałem o naszym spotkaniu przez cały dzisiejszy poranek, chciałem właściwie do tego podejść, tak by nie zranić cię bardziej niż to konieczne, nie ranić nikogo bardziej niż to konieczne. Zapakowałem już swoje rzeczy. Odejdę, gdy tylko skończymy rozmowę. Przed wszystkim nie chcę, by dzieci dowiedziały się, co naprawdę się wydarzyło, jeśli tylko można tego uniknąć, decyzja należy do ciebie. Wolalbym, abyś nie mówiła im o sobie i Didierze, dopóki nie uznasz, że musisz to zrobić. Nie chodzi tu jedynie o męską próżność, myślę, że tak będzie dla nich najlepiej. Mam nadzieję, że się z tym zgodzisz, ale jak powiedziałem,

decyzja należy do ciebie. Powiedz im to, co sama uznasz za stosowne, co twoim zdaniem nie będzie dla nich zbyt wielkim wstrząsem. Możesz powiedzieć, że przechodzę męską menopauzę, że uciekłem z jakąś inną kobietą, co tylko wymyślisz. Wiem, że i tak nie jestem zbyt ważną osobą w ich życiu. Strasznie jest zdać sobie sprawę z czegoś takiego, ale to prawda. Jak mogłem być .tak bezmyślny, taki głupi? Proszę, powiedz im, że je kocham, że zawsze będę je kochać. Przykro mi, że nie sprawdziłem się jako ojciec. To był okropny błąd z mojej strony. Biorę ze sobą carte de travail i carte de sejour. Jeśli zechcę, mogę mieszkać w Paryżu przez dziesięć lat. Nie wiem, co zrobię później. Mam nadzieję, że ponownie odnajdę się jako artysta, wrócę do punktu wyjścia, tam gdzie ostatni raz czułem, że żyję i jestem sobą. Jeśli chcesz rozwodu, lub będziesz go chciała w przyszłości, Milt przygotował wszystkie papiery. Przesłałem swój podpis, zgodnie z przepisami powinno to wystarczyć. Jeśli nie, prześlij mi po prostu wszystkie potrzebne dokumenty do podpisu. Bardzo chciałbym wiedzieć, czy jesteście zdrowi, szczęśliwi, jak wam się powodzi. Gdybyście chcieli się ze mną skontaktować, piszcie na adres miejscowego biura American Express. Będę sprawdzał pocztę co dwa tygodnie. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście dali mi znać, co u was, ale proszę, niech żadne z was nie czuje się zobowiązane do pisania. Co dwa tygodnie będę pisał na ten adres albo na adres domowy w Stanach, żeby poinformować was, że nic mi się nie stało". Wstałem, moja torba leżała obok. Lorrie nie podniosła się. Nie chciałem siedzieć tam dłużej, wołałem załatwić sprawę tak szybko, jak to możliwe. "Zabieram z domu pięć tysięcy franków w gotówce. Książeczki czekowe, polisy ubezpieczeniowe i cała reszta leżą na stole w jadalni. Łatwo ci przyjdzie się w tym połapać, gdybyś jednak miała jakieś kłopoty, zadzwoń do Milta. Życzę ci dobrego życia, Lorrie. Pomyśl o mnie czasami. Pamiętaj, że cię kocham, zawsze będę cię kochać. Gdybyś mnie potrzebowała albo chciała, bym wrócił, napisz po prostu". Odwróciłem się i wyszedłem przez szerokie drzwi balkonowe, poszedłem* na stację RER, kolejki podmiejskiej, chciałem pojechać pociągiem do Paryża. Cieszyłem się, że nie doszło do wielkiej sceny ze łzami i krzykiem. Nie sędzę, bym mógł poradzić sobie z czymś podobnym. Czułem się odrętwiały, wstrząśnięty, a jednocześnie tak, jak gdybym zdrapał z siebie warstwę czegoś, co narosło przez lata i zaczynało mnie dusić. Ogarnęło mnie uczucie, że w końcu kieruję swoim życiem, czy tego chcę, czy nie, uczucie, którego nie zaznałem od chwili, gdy odebrałem telefon z Nard Corporation. Moja opowieść kończy się w tej samej chwili, gdy kończę malować portret. Siedzę. Wiem, że nic nie zostało mi już do powiedzenia, nic też nie mogę już namalować. Opowiadając zakończenie mojej historii, zapomniałem kompletnie o Mirabelle, pozostała tylko modelem. Druga część mojego umysłu, mojej duszy została

uwolniona. Teraz wszystko się skończyło, ogarnia mnie dziwne uczucie pustki, zakłopotania. Mirabelle wstaje i podchodzi ku mnie. Po raz pierwszy naprawdę żałuję, że nie widzi. Aż do tej chwili było to jedynie mgliste pragnienie. Teraz chciałbym, by mogła zobaczyć siebie tak, jak ja ją widzę, by wiedziała, jak wiele z jej historii, wypisanej na jej twarzy, zdołałem oddać na portrecie. Wiem też, że część mojej smutnej opowieści również znalazła swoje miejsce na obrazie. Zanim zdołałem się zorientować, Mirabelle obejmuje moją głowę dłońmi i przyciska do siebie. Nie próbuję nawet się powstrzymać. Zaczynam płakać. Płacę, a moje łzy wsiąkają w ciemny sweter, do którego przytuliła moją twarz. Kiedy przestaję płakać, zapada już zmrok. Portret majaczy w ciemnościach przed moimi oczami. Mirabelle odsuwa się ode mnie i przechodzi na drugi koniec pokoju. Włącza górne światło.

- Pora już zapalić światło. Dziś wieczorem musisz zostać i zjeść ze mną souper. Nie opieram się. Zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo zmęczony jestem opieraniem się przeszłości, teraźniejszości, walką ze sobą samym. Czuję wszechogarniającą chęć poddania się, pójścia z prądem, cieszenia się drobnymi przyjemnościami, jakie ofiarowuje nam życie, przyjemnościami, które na swój sposób pokazała mi Mirabelle. Marzenia w mroku Gdy go słucham, bardziej jeszcze cieszę się, że jestem niewidoma. Nigdy, z wyjątkiem śmierci moich rodziców, która nastąpiła tak dawno temu, nie stałam się częścią okrutnego, realnego świata. Jak to możliwe, że Jacques zachował tak wiele miłości, dobroci, po wszystkim, co mu się przydarzyło? Tak, w jego głosie jest smutek, wyczuwam go w jego ruchach, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nie sądzę, bym sama potrafiła znieść podobne kłopoty. Tak się cieszę, że zechciał się tym ze mną podzielić, ale wiem teraz, że nic nie mogę już zrobić, dla mnie jest niedostępny. Żyje swoją przeszłością, swoją miłością podobnie jak ja żyję w świecie moich rodziców. Teraz żyje już tylko dla swoich obrazów. Jestem taka szczęśliwa, że mogę być chociaż częścią tego świata, jeśli nie mogę być niczym więcej. Tak bardzo chciałabym być piękna i młoda, wtedy mogłabym odgonić od niego ponure myśli, choćby na chwilę, pokazać mu, jak bardzo powinien być kochany. Jak mógł oddać swoją żonę innemu? Może było tak, jak mówi, nie potrafił wtedy kochać. To impuls kazał mi wziąć go w ramiona, ale sprawiło mi to wielką przyjemność. Myślę, że teraz wiem już, co to znaczy kochać. Czasami strata taka jak ta, której doświadczył, otwiera drzwi czułości i namiętności.

* * *

Rozdział 7

Mirabelle przechodzi do kuchni, z haczyka przy drzwiach zdejmuje fartuszek i zapala gaz. Kuchnia umieszczona jest we wnęce przylegającej do pokoju, w którym siedzę, stanowi on zatem skrzyżowanie jadalni z pokojem dziennym. Domyślam się, że dla Francuzów pomieszczenie, w którym się jada, jest główną częścią domu. Podoba mi się ten pomysł. Zawsze uważałem, że amerykański living room to pozostałość salonu, a nie wygodne miejsce do życia. Obserwuję ją. Cudownie jest patrzeć, jak lekko, z jakim wdziękiem się porusza. Ogarnia mnie uczucie pasywności, całkowitej pustki, nie zmęczenia, raczej jak gdyby ktoś spuścił z silnika zużyty olej albo przekłuł wrzód. Kiedy Mirabelle zwraca głowę w moją stronę, nie potrafię powstrzymać uśmiechu, choć wiem, że nie ma to dla niej znaczenia. Nie wiem nawet, dlaczego się ku mnie odwróciła.

- Jacques, mam nadzieję, że nie żałujesz, że opowiedziałeś mi, co przydarzyło się tobie i twojej żonie. To taka okropna historia, taka trudna, wciąż o niej myślę, staram się ułożyć ją sobie w myślach, chcę zrozumieć to, co się wydarzyło. Zaczyna nakrywać do stołu, stawia sól, pieprz, masło, połówki bagietki, dwa talerze, a na nich miseczki. Stawia wszystko wprost na blacie, a potem przynosi serwetki, których używaliśmy do obiadu, każda w kółku. Podoba mi się uczucie, że jestem u siebie, mam własną serwetkę, własne kółko do serwetek. Po raz pierwszy od chwili, gdy wyszedłem z domu, gotów jestem, by na powrót stać się częścią życia. Mirabelle przynosi z kuchni podgrzewaną płytę i ustawia ją na środku stołu, potem stawia na niej duży, metalowy garnek. Nie zdejmując kuchennych rękawic, podnosi pokrywkę. Ze środka bucha para i smakowity zapach. Wraca do kuchni, przynosi dużą chochlę. Bierze moją miseczkę i nalewa do niej zupę, nie rozlewając nawet kropli. Wydaje mi się, że widzi. Nalewa sobie zupy, siada i podrywa się ponownie.

- Och, zapomniałam o winie. Zazwyczaj nie pijam wina wieczorem, ale tak ciężko pracowałeś, że powinienes się trochę napić. Wraca i nalewa wina do kieliszków, bez chwili wahania; jedynie przyglądając się jej bardzo uważnie, można zauważyć, że jej dłonie, odmiennie niż u innych ludzi, wyszukują przedmioty, ustalają ilość, odległość. Jej dłonie przypominają motyle, są jednak spokojne, nie nerwowe. Zupa jest wyśmienita. Jemy, nie mówiąc zbyt wiele, odłamujemy kawałki bagietki i maczamy je w zupie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo byłem głodny. Mój niedzielny gulasz nie ma już żadnych szans. Odwracam się i spoglądam na obraz oparty o ścianę pod wychodzącymi na podwórze oknami.

- Jesteś zadowolony ze swojego obrazu, Jacques? Nie próbuję nawet zgadywać, skąd wie, że właśnie na niego patrzę. Czuję się tak, jak gdybym przebywał z telepatą.

- Tak, Mirabelle. Jestem z niego bardzo zadowolony. Nie wiedziałem, że potrafisz namalować tak dobry portret. Wraziłem w nim wszystko, co o tobie wiem, a jednocześnie udało mi się oddać podobieństwo. To jest dobry obraz, który miałby pewną wartość, nawet gdybyś ty nigdy nie istniała.

- Jestem taka szczęśliwa. Żałuję tylko, że nie mogę siebie zobaczyć.

- Nie wiem, czybyś się sobie podobała. W ten sposób wiesz, że to dobry obraz, ponieważ ja ci tak powiedziałem. Wiem, że nie jest to zbyt uczciwe.

- Nie, po prostu taka jest natura mojej choroby. Najczęściej czuję się szczęśliwsza, dlatego że nie widzę. Widzenie jest dla większości ludzi jedynie kwestią wygody. Nauczyłam się żyć bez tej wygody. Kończymy zupę. Mirabelle zaczyna sprzątać ze stołu, odnosi garnek i naczynia do kuchni. Podnoszę się, by jej pomóc, słyszy jednak skrzypnięcie krzesła i gestem prosi, bym usiadł.

- Nie, Jacques, bardzo lubię gotować dla ciebie i zajmować się tobą. Tak przyjemnie jest nie być samą. Samotne posiłki stanowiły najtrudniejszą część mojego życia. Kiedy będę zmywać naczynia, czy mógłbyś być tak miły i opowiedzieć mi, co wydarzyło się w ciągu roku od chwili, gdy wyszedłeś przez "szerokie drzwi balkonowe", porzucając swoją żonę, dzieci, całe swoje życie i znalazłeś się na ulicach Paryża? Chciałabym bardzo to usłyszeć, ale nie musisz mówić, jeśli to zbyt trudne.

- Mirabelle, czasami bardziej wstydzę się tego, co zdarzyło się w tym czasie niż tego, co zrobiłem wcześniej. Nawet teraz trudno mi w to uwierzyć. Odwraca ku mnie głowę, przez ramię, wydaje mi się, że przenika mnie wzrokiem.

- Słucham?

- No cóż, przede wszystkim, nie pojechałem kolejką; poszedłem piechotą z Le Yesinet, gdzie mieszkałem, do Paryża. Pogoda była taka jak dziś, spacer sprawił mi więc przyjemność, ale nie miałem wtedy kondycji. Zabrałem ze sobą torbę, niezbyt dużą, ale wydawała się przybierać na wadze z każdym krokiem. Zaskoczyło mnie, jak daleko mieszkałem od Paryża. Kiedy jeździ się tylko kolejką podmiejską albo samochodem, łatwo zapomnieć, jakie są rzeczywiste odległości, jak wielki jest świat. Pozwoliłem, by moje życie stało się swego rodzaju tunelem w o wiele większym stopniu, niż zdawałem sobie z tego sprawę. Kiedy wreszcie późnym popołudniem dotarłem do Paryża, byłem kompletnie wykończony, a na dodatek poobcierałem sobie stopy. Zameldowałem się w najtańszym hoteliku, jaki udało mi się znaleźć. Trzydzieści pięć franków za noc, bez łazienki, bez

prysznic. Umyłem się w zlewie, zrzuciłem przepocone ubranie, wciągnąłem na siebie pidżamę i położyłem się spać. Mirabelle, czy chcesz poznać szczegóły? Tak często przypominałem sobie to wszystko, że nauczyłem się tego na pamięć, dzień po dniu, minuta za minutą.

- Powiedz, ile chcesz. Mamy czas. Nie ma pośpiechu, a ja czuję się szczęśliwa, słuchając ciebie, nawet wtedy, gdy to, co mówisz, jest takie smutne.

- A zatem następnego dnia wyruszyłem na poszukiwanie tańszego hotelu. Był to dobry sposób, aby poznać te dzielnice Paryża, których nigdy przedtem nie odwiedzałem, ale miałem tak zeszywniałe nogi, że ledwo mogłem chodzić. Wiedziałem, że chcę zamieszkać w niewielkiej odległości od Luwru i Jeu de Paume, ale te dzielnice okazały się zbyt drogie. Znalazłem w końcu hotelik po czternaście franków za noc na rue Trousseau w jedenastej dzielnicy, niedaleko od miejsca, gdzie teraz mieszkam, i wprowadziłem się do niego. Przez pierwszy miesiąc chodziłem tylko po Paryżu. Zdarłem zupełnie jedną z dwóch par adidasów, które ze sobą zabrałem. Nosilem buty, które zwykle zakładałem do biura, skórzane podeszwy i góra z twardej skóry, ręczna robota. Z całą pewnością nie nadawały się do długich spacerów. Chodziłem do muzeów tylko raz w tygodniu, ale przychodziłem przed otwarciem i zostawałem aż do zamknięcia. Byłem zaskoczony tym, jak wiele ludzie stworzyli, posługując się swoimi rękami, umysłami, umiejętnościami. Szybko zdałem sobie sprawę z tego, że jeśli nie będę uważał, zacznę wydawać na muzea tyle samo ile na hotel. Nie miało to zbyt wiele sensu. Żywiłem się frytkami po sztrasbursku, kupowanymi na ulicznych straganach, kanapkami od Tunezyjczyków, czasami, kiedy miałem ochotę na coś specjalnego, zamawiałem w kawiarni jambon beurre i kawę. Wiele myślałem, to bolesny proces. Czasami szedłem tak z Vincennes do Lasku Bulońskiego i z powrotem, nie zdając sobie z tego w ogóle sprawy. Patrzyłem jednak, pozwalałem, by Paryż wsączył się we mnie. Okazał się jeszcze piękniejszy, niż to sobie wyobrażałem. Szczególnie cudowny był o poranku. Czasami, kiedy nie mogłem zasnąć, spacerowałem wieczorami, po północy i aż do wschodu słońca. Nadal jednak byłem odrętwiały, nadal nie wiedziałem, co robię, co zamierzam robić. Wiedziałem jednak, że moje pięć tysięcy franków znika w błyskawicznym tempie. W niedzielę wstęp do Luwru jest wolny, a zatem na mój dzień zwiedzania wyznaczyłem sobie niedzielę. Później, gdy zrobiło się cieplej, wyprowadziłem się z hotelu i zacząłem sypiać na bulwarach. Na Marche d'Aligre, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkalem, znalazłem dwa koce i nauczyłem się zwijać swoje rzeczy w rolkę, która służyła mi za poduszkę. Na początku przypominało to życie obozowe. Nauczyłem się odganiać ludzi, którzy próbowali mnie obrabować. Mój niewielki już plik franków trzymałem w

spodenkach boksinerskich. Przeciagnałem sznurek przez portfel, w którym trzymałem wszystkie ważne dokumenty i nosiłem go na szyi. Stawałem się coraz brudniej szy. Nie zabrałem ze sobą zbyt wiele ubrań, a te, które wziąłem, nie były na ogół zbyt praktyczne. Zrozumiałem, że nie jestem przygotowany do tego, aby przetrwać w świecie. Tam, gdzie żyłem, nie było łatwo. Spotykałem zbrojeńców, smutnych alkoholików, narkomanów, złodziei. Ci ludzie byli niebezpieczni i kompletnie nieprzewidywalni. Zacząłem jednak wyglądać tak samo jak oni, żyć jak oni, i dali mi w końcu spokój. W tym okresie nadal tonąłem w rozmyślaniach, wędrując po Paryżu. W październiku zaczęło robić się chłodniej. Został mi już tylko ostatni tysiąc franków. Byłem nie tyle przestraszony, ile zaniepokojony. Chciałem wiedzieć, co zrobię, kiedy znikną wszystkie punkty oparcia, na których zbudowałem moje fałszywe życie. Carte de travail i carte de sejour chroniłem tak samo jak pieniądze. Policja nigdy mnie o nie nie pytała, ale kilka razy, kiedy zauważyłem les flics, po prostu uciekłem. Zacząłem nocować na ławkach w metrze, mogłem tam spać, dopóki policja nie wyrzucała nas na zewnątrz. Próbowałem także sypiać na wywietrznikach metra, ale nie potrafiłem znieść odoru ciężkiego, przepracowanego powietrza. Wróciłem na bulwary, czasami znajdowałem sobie spokojny kącik na podwórku, dopóki nie wygoniła mnie z niego konsjerżka. Najgorsze jednak było to, że zacząłem pić. Z początku traktowałem to jak środek przeciwbólowy, później piłem, by zasnąć, kiedy ziemia była twarda, a wiatr zimny. Do stycznia piłem już dwa do trzech litrów taniego wina dziennie. Zaczynałem powoli tracić rachubę upływających dni. Sypiałem za dnia, bo wtedy było cieplej. Prawie stale byłem w zamroczeniu alkoholowym. Większa część pieniędzy szła na najtańsze wino, nawet po pięć franków za butelkę. Nie odżywiałem się odpowiednio. Na nogach i stopach pojawiły się wrzody. Dłonie mi puchły, skóra pękała od mrozu, wycieńczenia i kłopotów z krążeniem, wywołanych przez alkohol. Dziwne, ale dopiero po pewnym czasie zdałem sobie sprawę z tego, że jestem alkoholikiem. Myślałem zawsze, że coś podobnego nigdy mi się nie przydarzy. Pewnego ranka obudziłem się z odrętwienia i odkryłem, że zostało mi już zaledwie dwieście dziesięć franków. Był początek lutego. Spałem na bulwarze pod przęsłem Pont Neuf. Mroźny dzień, wszystko wokół zamarzło. Nie chciałem żebrać. Odpędziłem pokusę, by kupić następną butelkę wina. Wyssałem ostatnie krople z butelki, z którą położyłem się spać. Miałem dosyć zdrowego rozsądku, by zdać sobie sprawę z tego, że muszę przestać właśnie teraz, zebrać się do kupy albo będzie to już koniec. Odnalazłem siebie, siebie, którego wciąż szukałem, a to, co odkryłem, nie było specjalnie imponujące. Podejrzewam, że uratowała mnie zwyczajna, staromodna duma. Opatuliłem się brudnymi kocami i nie ruszałem przez trzy dni. Padał śnieg. Próbowałem przeszukiwać umysł,

myśleć, planować. Tęskniłem za winem. Mogłem się opanować jedynie obejmując się mocno ramionami i siedząc tak całymi godzinami. Miałem potem niebieskoczarne sińce na ramionach, tam gdzie wbijałem palce w ciało. Jednak na trzeci dzień mogłem już myśleć. Mogłem myśleć i byłem głodny. Wiedziałem, że kiedy już coś zjem, muszę się umyć, iść do łaźni publicznej i wziąć gorący prysznic, umyć włosy, wyprać ubranie, spróbować na nowo uporządkować swoje życie. Poszedłem do łaźni na placu de la Contrescarpe. Dowiedziałem się od jednego z kloszardów, że to najlepsze miejsce. Tarłem się i szorowałem swoim ubraniem i kawałkiem mydła, który znalazłem na podłodze. Staralem się domyć brudne dłonie, przeczesałem palcami włosy, chciałem w ten sposób oczyścić choć trochę włosy i paznokcie. Wykręciłem mokre ubranie i założyłem na siebie brudny dres i drugą parę butów. Wilgotne rzeczy włożyłem do torby foliowej. Owinąłem się brudnymi kocami i wyszedłem na zewnątrz. Na głowie miałem wełnianą czapkę, którą kilka dni wcześniej znalazłem w rynsztoku. Wiał silny, mroźny wiatr. Poszedłem do pralni samoobsługowej. W środku było ciepło i parno. Wyprałem wszystko, prócz tego, co miałem na sobie, również oba koce. Wyszorowałem parę adidasów, które nosiłem przez cały czas. Siedziałem, obserwując, jak moje ubranie obraca się w pralce, płucze, a potem suszy, starałem się nie myśleć o winie. Żułem bagietkę. Zdjąłem ubranie, włożyłem czyste rzeczy, a potem wrzuciłem do pralki dres i czapkę. Wielkie pranie kosztowało mnie siedemdziesiąt franków, ale teraz wyglądałem mniej więcej porządnie. Pożyczyłem nożyczki od jednego z miejscowych kloszardów i skróciłem włosy najlepiej jak potrafiłem. Znowu zaczynałem śmierdzieć, ale tym razem była to woń aktywna, a nie pasywna. Smród kloszardów był po prostu straszny, do tej pory wcale tego nie zauważałem. Nie sądzę, by wtedy spodobał ci się mój zapach, Mirabelle, kiedy mieszkałem pod mostem. Śmierdziałem potem, alkoholem, brudem i wymiocinami. Na rue Mouffetard kupiłem pomarańczę i banana. Zjadłem je, schodząc ze wzgórza. Spacerowałem w chłodnym świetle słonecznym, śnieg leżał nadal na ulicach, przeszedłem na drugą stronę rzeki, na Marche d'Aligre. Wiedziałem, że za niewielką sumę, jaką jeszcze miałem, mogę tam kupić jakiś płaszcz. Znalazłem ciepłą kurtkę dzinsową na wełnianej podpince, którą nadal noszę. Dobrze było czuć ciepło bez alkoholu. Była to niedziela, szedłem przez marche szukając czegoś taniego i pożywnego do jedzenia. Zdecydowanie wracał mi apetyt. Właśnie wtedy odkryłem, że na ulicach żyją inni ludzie, artyści i studenci, którzy krążą do zamknięcia rynku, a wtedy mogą wybierać wśród tego, co wyrzucono. Czekałem razem z nimi. Po krótkiej przepychance znalazłem kilka trochę nadpleśniałych pomarańczy, parę bardzo ciemnych bananów, dwa jabłka w brązowe plamki, kilka gumiastych cebul, nadgniłe lin marchewki, poobijanego karczocha i kilka

miękkich ziemniaków. Włożyłem to wszystko do plastikowej torby, w której zabrałem wilgotne rzeczy z pralni. My, łowcy odpadków, niewiele ze sobą rozmawialiśmy, ale łączyła nas pewna zażyłość. Nie tak jak pod mostem, gdzie nic nie było bezpieczne. Byli to ludzie bez pieniędzy, którzy próbowali przetrwać. Znalazłem się w nowej grupie. Zacząłem zaglądać w okna i na podwórka sąsiednich budynków. Wiesz prawdopodobnie o tym, Mirabelle, że jedenasta dzielnica to okolica rzemieślników, ebenistes, tapissiers, vernisseurs, którzy wytwarzają meble dla sklepów meblowych przy faubourg SaintAntoine. Włóczyłem się po podwórkach, klatkach schodowych; unikając konsjerżek, szukałem, węszyłem w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym ukryć się przed chłodem. W ten sposób znalazłem mój strych. Mieści się na końcu ciemnego korytarza, na najwyższym piętrze budynku, w którym znajdują się głównie warsztaty rzemieślnicze. W czasie jednej z moich wypraw znalazłem klucz zawieszony na belce nad drzwiami prowadzącymi do jednego z pomieszczeń na strychu. Kiedy wszedłem do środka, od razu zdałem sobie sprawę z tego, że miejsce to nie jest używane, prawdopodobnie nikt nie zachodził tu przez całe lata. Cały pokój pokrywała nie naruszona warstwa kurzu. Na podłodze była tak gruba, że wyraźnie odbijały się na niej ślady moich stóp. Przyniosłem tam moje nieliczne rzeczy i wprowadziłem się. Miałem bardzo mało pieniędzy, ale nadal potrzebowałem czegoś do spania. Nie chciałem, by zimna i twarda podłoga doprowadziła do tego, bym znowu zaczął pić wino. Poszedłem na marche we wtorek, zaraz po otwarciu. Za dziesięć franków kupiłem śpiwór z demobilu, z czasów drugiej wojny światowej, trochę tylko nadpruty i z zepsutym suwakiem, który udało mi się naprawić. Znalazłem też kawałek pianki ze zniszczonego materaca. Nawet nie pytałem, po prostu wziąłem go sobie. Nie sądzę, by ktoś inny mógł go do czegoś potrzebować, był to tylko śmieć leżący na ulicy. Obserwowałem ostrożnie konsjerżkę i kiedy nie patrzyła, wniosłem swoje rzeczy na górę. Miło było znowu mieć miejsce, które mogłem nazwać domem. Pozostałą część dnia spędziłem zastanawiając się nad sposobem ugotowania moich warzyw. Zdesperowany zjadłem je w końcu na surowo. Zostało mi już niecałe sto franków. Musiałem zatem wymyślić jakiś sposób zarabiania pieniędzy. Stanowczo nie chciałem zebrać, to przypominałoby powrót do alkoholu. Następnego ranka obudziłem się pełen energii. Włożyłem drugą parę adidasów, wciągnąłem koszulkę z krótkimi rękawami i szorty, które zupełnie bez sensu zapakowałem odchodząc z domu i nosiłem ze sobą przez cały czas. Cichaczem przemknąłem schodami i zacząłem biegać. Po przebiegnięciu około stu metrów musiałem się zatrzymać. Całkowicie straciłem kondycję, serce waliło mi jak młotem. Stałem się fizycznym wrakiem, zarówno przez lata spędzone za biurkiem w MBI, jak i przez miesiące, kiedy powoli spadałem aż na

samo dno. Zacząłem jednak od nowa. Biegałem wokół małego parku przy faubourg SaintAntoine. Jedno okążenie przebiegałem, jedno chodziłem. Nikogo tam nie było oprócz policjanta w budce strażniczej przed komisariatem policji, który obserwował mnie przez cały czas. Później pobiegłem rue de la Main d'or i z powrotem do domu. Spociłem się jak mysz. Zjadłem jedną z nadpleśniałych pomarańczy i brązowego banana. Smakowały wyśmienicie, a cukier trafił bezpośrednio do krwi. Tak właśnie zacząłem, Mirabelle. Ciągle zwiększałem dystans i moje zwiotczałe mięśnie pracownika MBI zaczęły na powrót twardnieć. Za ostatnie franki kupiłem szkicownik i piórko. Zacząłem rysować niewielkie, szczegółowe szkice Paryża, miejsc, które znalazłem i pokochałem. Po tygodniu zdołałem sprzedać pierwszy z nich. Dostałem za niego dwadzieścia pięć franków. W tym czasie miałem, już tylko dwadzieścia franków wszystkiego. W ciągu następnego tygodnia sprzedawałem dwa szkice i podniosłem cenę do pięćdziesięciu franków. Zrobiłem sobie mały znak z ceną i ustawiłem go obok składanego krzeselka, na którym siedziałem w czasie rysowania. Krzeselko kupiłem na targu za pięć franków. Płótno, z którego wykonano siedzenie, było podarte, ale naprawiłem je, posługując się igłą i nitką, które kupiłem za następne cztery franki. Naprawdę liczyłem się wtedy z każdym sous. Nocami zacząłem tęsknić za następnym dniem. Na ulicy znalazłem porzuconą maszynkę gazową. Zbiornik na gaz był pusty, więc kupiłem nową za trzydzieści franków. Palnik był zatkany, ale oczyściłem go igłą. Za sześćdziesiąt centymów kupiłem paczkę zapalek, za pięć franków pudełko świec. Zacząłem gromadzić rzeczy potrzebne do bardziej wygodnego życia.

- Jacques, kiedy słucham tego wszystkiego, chce mi się płakać. Czy musiałeś być wobec siebie tak okrutny? Czy czułeś się tak bardzo winien, tak bardzo załamany, że musiałeś siebie ukarać? To okropnie smutne.

- Nie, Mirabelle. Tylko moja bezmyślność sprawiła, że upadłem tak nisko. Nic już mnie nie obchodziło. Teraz jednak uczyłem się znowu troszczyć o siebie. Chciałem o siebie dbać, dostać z życia tyle, ile tylko mogłem. Muszę przyznać, że moje życie wydawało się bardzo piękne. Zbliżała się już wiosna, ale nadal było chłodno. Kiedy rysowałem, sztywniały mi palce, ale naprawdę się koncentrowałem, po raz pierwszy od wielu lat starałem się być równocześnie wewnątrz i na zewnątrz siebie. Znowu miałem też trochę pieniędzy. Pod koniec marca mogłem kupić już spory blok papieru do akwareli, zieloną teczkę z czarnymi troczkami i pudełko farb akwarelowych z dobrym pędzlem. Poczułem, że teraz naprawdę jestem artystą. Obok krzeselka ustawiłem większą tabliczkę głoszącą, że można u mnie kupić akwarele. Malowanie akwarel nie zajmowało mi więcej czasu niż rysowanie szkiców, a mogłem je sprzedawać po sto franków za sztukę. Sprzedałem prawie

wszystkie, które namalowałem. Znakomicie wpływało to na moje morale. Cieszyłem się z tego, że spotykam ludzi, rozmawiam z nimi. Nie czułem się już tak samotny. W pewnej chwili miałem już ponad tysiąc franków. Miałem gdzie mieszkać, co jeść, czyste rzeczy. Sam byłem czysty i malowałem. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek był z siebie tak bardzo dumny. Pewnej niedzieli znalazłem na targu chevalet, sztalugi. Zapłaciłem za nie trzysta franków, za nowe musiałbym dać tysiąc pięćset. Miałem dosyć pieniędzy, kupiłem je więc. Trzy noce spędziłem wbijając nowe gwoździe, wkręcając nowe śruby, łącząc drutem połamane części, zdrapując warstwę starej farby z palety. Całymi dniami malowałem akwarele, aż zebrałem dosyć pieniędzy na kupno farb, terpentyny, werniksu, oleju lnianego i płótna. Z deseczek znalezionych na strychu zbudowałem blejtramy, posługiwałem się przy tym znalezionymi na miejscu zabytkowymi narzędziami. Klejem i farbą do malowania ścian zagruntowałem płótna, które naciągnąłem na blejtramach za pomocą pluskiewek. Teraz mogłem już wyjść ze sztalugami na plecach i zacząć malować. Nigdy nie zrozumiesz, jak wspaniale się czułem, spacerując ze sztalugami na plecach, z głową pełną myśli o nowych obrazach. Czułem się zdrowy, byłem w świetnym nastroju, jak gdybym znowu był młody. Zabrałem się do swojego pierwszego od czasów studenckich obrazu olejnego. Namalowałem dwa, ale efekt był zniechęcający. Jak zdołam je sprzedać dostatecznie drogo, by kupić nowe płótno i farby? Odkryłem też, że niełatwo przychodzi mi wyrażać uczucia, jakie żywiłem wobec Paryża. Akwarele i rysunki były tylko dekoratywne, deskryptywne, dotykały zaledwie tego, co widziały moje oczy, a nie tego, co czuło moje serce. Poprzez obrazy olejne chciałem osiągnąć coś więcej, coś ważnego. To jednak nie zniechęciło mnie zupełnie. Wiedziałem mniej więcej, co mnie powstrzymuje. Byłem zbyt napięty, za bardzo obawiałem się okazać moje uczucia, był to stary problem, słabość, która zniszczyła całe moje życie. Nie umiałem powstrzymać się przed zamykaniem, chronieniem siebie, jak gdybym znalazł się w niebezpieczeństwie, które groziło mi ze strony czegoś nieznanego, niezrozumiałego. Teraz, kiedy chciałem się odprężyć, okazać słabość, przenieść serce i duszę na płótno, nie potrafiłem tego zrobić. Nadal jednak chciałem próbować. Znasz resztę mojej historii, Mirabelle. Malowałem właśnie mój trzeci obraz olejny, kiedy doszło do naszego spotkania. Byłem już gotów ukończyć płótno przedstawiające kościół i wrócić do malowania akwarel, aby zarobić na farby. W domu na strychu raz w tygodniu gotuję jedzenie na małej kuchence. Mam świece, mogę otwierać okienko w suficie. Kiedy wychodzę, chowam wszystkie swoje rzeczy, żeby nikt nie dowiedział się, że tam mieszkam. Jestem malarzem i mieszkam w Paryżu. Spełniło się marzenie mojego życia, nie mogę więc na nic się skarżyć. Teraz udało mi się jeszcze sprzedać obraz, który namalowaliśmy razem,

za więcej pieniędzy niż mogłem sobie wymarzyć, a ty zamówiłaś u mnie swój portret. Mam dość pieniędzy, by namalować jeszcze pięć, a może dziesięć obrazów olejnych. Widzisz teraz, dlaczego jestem tak pełen entuzjazmu? Jestem także szczęśliwy, ponieważ poznałem ciebie, Mirabelle. To taka radość. Mirabelle siedzi naprzeciwko mnie. Wstaje teraz i sięga na wysoką półkę po butelkę Poire William. Przynosi dwa kieliszki i siada ponownie przy stole.

- Proszę, Jacques, czy mógłbyś nalać dla nas likieru? Powinniśmy wypić za nasze szczęście. Czy w butelce jest jeszcze dosyć dla nas dwojga? Zazwyczaj potrafię to ocenić po wadze i dźwięku, kiedy potrząsam butelką ale ze względu na gruszkę nie jest to takie proste.

- Wystarczy akurat na ostatni raz, Mirabelle. Biorę butelkę z jej rąk i nalewam do drobnych, kruchych, ozdobnych kieliszków, które wznoszę w górę. Dopiero teraz widzę łzy, które zwilżyły jej twarz. Nie próbuje nawet ich wycierać.

- Za dobre czasy, Jacques, za nas. Stukamy się kieliszkami, pozwalamy, by otoczył nas aromat gruszek, by zbliżył nas do siebie. Zamykam oczy, aby cieszyć się nim tak jak Mirabelle.

- Chciałabym jakoś odwdzińczyć się za twój portret, Jacques.

- Już za niego zapłaciłaś, Mirabelle. Należy do ciebie.

- Nie, należy do ciebie, Jacques. Chciałam, abyś namalował go dla siebie. Nigdy nie będę mogła go zobaczyć, ważne jest dla mnie tylko to, jak ty mnie widzisz. A to może coś znaczyć jedynie dla ciebie.

- Ależ, Mirabelle...

- Nie. Wiem, co robię. Chcę być z tobą, być z tobą poprzez twój obraz. Nie o tym jednak pragnę z tobą pomówić. Chcę ofiarować ci drobny prezent w zamian za to, co ty mi dałaś. - Przyciska kieliszek do swojej piersi, tak jak robiła to wcześniej. Wpatruje się we mnie, jak gdyby czegoś szukała. - Chciałabym dla ciebie zagrać, Jacques. To jedyny dar, jaki mogę ci ofiarować. Była to do tej pory moja prywatna przyjemność, teraz chciałabym podzielić się nią z tobą. Podnosi się i prosi gestem, bym poszedł za nią. Prowadzi mnie do drzwi, których nigdy jeszcze przy mnie nie otwierała. Wewnątrz panują ciemności. Sięgam ręką do włącznika, ale, oczywiście, żarówka jest przepalona. Mirabelle musiała wyczuć, co się stało, usłyszała kliknięcie włącznika i nic nie poczuła.

- Och, zapomniałam o tym, Jacques, ale to nie ma żadnego znaczenia. Może nawet tak jest lepiej. Daj mi rękę. Wyciąga ku mnie dłoń i wprowadza mnie do środka. Z dużego pokoju wpada tu nieco przyćmionego światła. Prowadzi mnie do krzesła i gestem wskazuje,

bym usiadł. Później wraca do drzwi i zamyka je, tak że znajdujemy się w całkowitych ciemnościach. Jeśli w tym pokoju jest jakieś okno, zasłony muszą być szczelnie zaciągnięte.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Jacques. Wybacz próżność starej, niewidomej kobiety, mam nadzieję, że uznasz, iż było warto. Przechodzi przede mną. Słyszę, jak coś z brzękiem ustawia, dobiega mnie odgłos składania czy może zamykania jakichś deseczek. Wydaje mi się, że słyszę, jak Mirabelle siada. Świat jest taki inny, kiedy się go nie widzi. Donośne, czyste, przenikliwe dźwięki klawesynu pojawiają się nagle z ciemności. To kompozycja Louisa Couperina, i to jedna z moich ulubionych, trzynasta suita. Muzyka stanowiła jedyną rozkosz, jakiej nie porzuciłem w czasie pracy dla MBI. Nie gram na żadnym instrumencie, ale kocham muzykę, zwłaszcza baroku. Na ogół stawiam Bacha ponad wszystkimi Francuzami, ale Couperina cenię prawie na równi z nim. Na sprzęt stereo wydawałem więcej pieniędzy niż na cokolwiek innego. Rozrastał się stale. To niewiarygodne, czarodziejskie, że Mirabelle poznała mnie tak dobrze, nie wspomniałem przecież o tym nawet słowem, może domyśliła się, bo tak bardzo spodobała mi się muzyka dzwonów. Słucham. Nigdy dotąd nie słyszałem, by ktoś tak wspaniale zagrał tę mieszaninę precyzji i napiętności, która stanowi samo serce kompozycji Louisa Couperina. W utworach żywiołowych, jak jego preludia, wykonawca odgrywa niezwykle ważną rolę, musi nieomal instynktownie odnaleźć harmonię, rytm. Nie pamiętam tego wykonania, nagranie wydaje mi się niezwykle czyste, nie słyszę prawie wcale pogłosu. Może to Ton Koopman czy nawet Scott Ross, ale to wykonanie jest odmienne, wolniejsze, delikatniejsze. Odprężam się, ogarnia mnie spokojne napięcie. Pokój pełen jest dźwięku. Jestem oszołomiony jakością głośników, są lepsze od moich! Nagle zaskoczony zdaję sobie sprawę, że to gra Mirabelle, gra w ciemnościach, które stanowią jej życie, gra dla mnie. Kończy preludium i na chwilę zapada cisza. Czuję łzy w oczach, chcę ruszyć ku niej, podziękować. Ale zanim podniosę się z krzesła, zaczyna allemande. Nie mogę w to uwierzyć. Próbuje, podobnie jak z dzwonami, uspokoić swój umysł i czekać, sprawić, by serce prawie stanęło, wsłuchać się w muzykę. Nie sądzę, bym kiedykolwiek w swym życiu był tak oczarowany. Następnie Mirabelle gra dwa kuranty, a potem, po odpowiedniej pauzie, abym mógł odetchnąć, zaczyna prześliczną sarabandę. Nigdy nie słyszałem, by ktoś zagrał ją z taką czułością, z takim życiem. Jest to chyba jeden z najcudowniejszych utworów napisanych na klawesyn. Trwa zaledwie trzy minuty, ale zdaje się wypełniać całe moje życie. Prawie bez jakiegokolwiek przerwy przechodzi do gigiego. Zmiana tempa, urok tego żywego tańca stanowią śliczny kontrast z sarabandą. Gra chaconne i kończy znanym Tombeau de Monsieur Blancrocher. Nigdy nie słyszałem tak pięknego koncertu, choć cały trwał zaledwie pół

godziny. Kiedy ostatnia nuta cichnie, Mirabelle nie porusza się. Chcę bić jej brawo, ale to byłby gwałt. Siedzę całkowicie oczarowany.

- Dziękuję, Mirabelle. Myślę, że nigdy w życiu nie słyszałem, by ktoś tak pięknie grał Couperina. Nie potrafię wprost wyrazić, jak bardzo się wzruszyłem. Jesteś geniuszem.

- Znasz muzykę Couperina? Nigdy nie podejrzewałam o to amerykańskiego malarza. Jacques, wciąż mnie zaskakujesz. Ja ją zaskakuję! Chyba żartuje.

- Czy chciałbyś usłyszeć jakiś utwór Johanna Sebastiana Bacha, Jacques? Wydaje mi się, że większość Amerykanów woli Bacha, przynajmniej spośród tych, którzy lubią muzykę klawesynową. Jest dla mnie dość trudna ze względu na polifonię, ale zagram coś prostego. Milczę, a Mirabelle zaczyna cyklem rytmicznych tańców. Jest ich kilka, menuety, polonezy, marsze. Gra bardzo dobrze, ale ta muzyka nie sprawia na mnie tak wielkiego wrażenia jak Couperin. Mirabelle przerywa grę.

- Wiesz, napisał te tańce dla swojej drugiej żony, Anny Magdaleny. Bardzo lubię je grać. Przypomina mi to taniec. Nigdy nie tańczyłam, ale w rytm tej muzyki całe moje ciało zaczyna się poruszać. Potem gra krótkie preludium w tonacji Cdur, które Bach napisał dla swego syna Wilhelma Friedemanna. Następnie wykonuje improwizację numer 4 w Ddur. Znam ją, potrafię wychwycić temat, który przez część utworu prowadzony jest prawą, a przez część lewą ręką. Bach w wykonaniu Mirabelle nie jest tak dobry jak Couperin, ale naprawdę znakomity. Tym razem zaczynam bić brawo, ruszam w jej stronę przez ciemny pokój, nie jest już tak ciemny, kiedy moje oczy przywykły do mroku. Podchodzę do Mirabelle, która nadal siedzi przy klawesynie. Pochyliłam się nad jej kruchym ciałem i całuję ją w policzek. Zwraca się ku mnie i również całuje mnie w policzek.

- To był najcudowniejszy dar, Mirabelle. Skąd wiedziałaś, że tak bardzo kocham muzykę, a zwłaszcza muzykę baroku? To jeszcze bardziej imponujące niż twoje zwykłe czary. Mirabelle wyciąga dłoń i dotyka mojej twarzy.

- Płakałeś, Jacques. Czy nadal jesteś smutny? Chciałam sprawić, byś poczuł się szczęśliwy.

- Nie, Mirabelle, to łzy szczęścia, łzy uznania, łzy wywołane twoimi czarami, które sprawiają, że tak dobrze mnie znasz. Prostuję się i ocieram oczy. Mirabelle wstaje również, zamyka klawiaturę, obchodzi klawesyn i opuszcza skrzydło. Kiedy wchodzimy do dużego pokoju, światło dwóch żarówek, które do tej pory wydawało mi się przygaszone, zdaje się jasne jak słońce. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Wiem, że musi już być późno. Zupełnie straciłem poczucie czasu. Mirabelle siada przy stole na swoim zwykłym miejscu, gestem dłoni prosi, bym usiadł.

- Moglibyśmy napić się jeszcze odrobinę Poire William, ale nic już nie zostało.

- Muszę już iść, Mirabelle. Jest bardzo późno.

- Niewidomi nie znają czasu, Jacques. Gdyby nie kościelne dzwony, nie wiedziałabym nigdy, czy jest wcześniej, czy późno, dzień, czy noc, wszystko jest dla mnie takie samo. Możesz zostać, jeśli chcesz.

- Po wysłuchaniu tak pięknej muzyki, nie ma się ochoty nic mówić. Chciałbym jednak zapytać, jak nauczyłaś się grać. Jak stałaś się jednym z najwspanialszych klawesynistów, jakich słyszałem w swoim życiu? Mam chyba wszystkie nagrania francuskich, niemieckich, angielskich, nawet japońskich muzyków. Mam płyty i kasety Scotta Rossa, Blandine Verlet, Tona Koopmana, Kennetha Gilberta, Huguette Dreyfuss, Alana Curtisa, prawie wszystkich, ale ty jesteś co najmniej tak dobra, jeśli nie lepsza niż oni. Jak to zrobiłaś, czy ktoś o tym wie? Na chwilę zapada cisza. Mirabelle uśmiecha się do mnie. Patrzy, a przynajmniej skłania głowę ku swoim dłoniom.

- Nie jestem tak dobra. Byłeś jedynie zaskoczony. Za późno zaczęłam grać, moje dłonie zaczynają sztywnieć, są zbyt słabe, bym mogła grać naprawdę dobrze. Wyciąga ręce w moją stronę. Są drobne, mają spiczaste palce o różowych, krótko obciętych paznokciach, stawy nie są jednak zgrubiałe jak u większości starych ludzi. Jej małe palce są lekko wykrzywione, to pierwsze oznaki artretyzmu, nie bardziej jednak widoczne niż u mnie. Na grzbiecie dłoni widzę żyły i plamy wątrobowe. Skóra jest wysuszona, prawie jakby zaczynała się łuszczyć, ale to piękne, zręczne ręce. Odwraca dłonie i delikatnie kładzie je na moich. Wydaje mi się, że patrzy - najpierw na dłonie, a potem prosto w moje oczy.

- Piętnaście lat temu, kiedy Rolande umarła, zostawiła mi w spadku pewną sumę pieniędzy i swoją część mieszkania. Długo myślałam o tym, co mogłabym zrobić z tymi pieniędzmi. Miałam pięćdziesiąt sześć lat. Oprócz języków niczego się nie nauczyłam. Zajmowałam się już wtedy gołębiami, ale niewiele mogłam ofiarować światu. Muzyka zawsze stanowiła moją największą miłość. Kiedy byłam małą dziewczynką, uczyłam się gry na pianinie, uważano, że miałam talent. Ale ze względu na ślepotę nie mogłam czytać nut i zrezygnowałam z nauki. Rolande sprzedała pianino, żeby mieć więcej miejsca w pokoju, w którym sypiała. Uznałam, że ponad wszystko chcę mieć klawesyn. Odwiedziłam trzy paryskie zakłady, gdzie się je produkuje, wybrałam ten położony niedaleko od mojego domu, przy rue de Charonne. Codziennie jeździłam tam taksówką i słuchałam, jak powstaje. Czułam się tak, jakbym miała urodzić dziecko. Chciałam być blisko, by słyszeć każdy jego oddech, każde uderzenie serca. Pewna jestem, że robotnicy nie byli zbyt szczęśliwi, kiedy przesiadywałam tak długo w ich zakładzie, ale zaprzyjaźniliśmy się.

Kochali swoją pracę, wiedzieli też, że ja kocham muzykę i stworzę ją z dzieła ich rąk. To były piękne dni. Później nadszedł ów podniecający moment, kiedy mój klawesyn, moje dziecko, został tu przewieziony. Nie mogli wnieść go po schodach, zatem z podwórza wciągnięto go przez okno na linach. Nastrojono go po kilku tygodniach. Zbliżyłam się do niego. Przez dwa dni siadałam tylko na krześle i kładłam dłonie na klawiszach, dotykałam ich, później badałam struny, całą tę magiczną maszynę muzyczną, cudowny instrument dźwięku, nie próbowałam wtedy jeszcze grać żadnych nut.

- Zgromadziłem obszerną kolekcję nagrań muzyki baroku, Mirabelle, zwłaszcza utwory na klawesyn, ale sam nigdy nie grałem. Mój kontakt z muzyką polegał jedynie na słuchaniu jej na kosztownym sprzęcie stereo. Nie podejrzewam, by ktokolwiek potrafił zrobić to, co ty.

- Starannie ;' uważnie wsłuchiwałam się w muzykę z moich kaset. Ćwiczyłam samotnie bez zapisu nutowego, aż wiedziałam, gdzie na moim klawesynie znajduje się każdy dźwięk. Siadałam, dotykałam dowolnego klawisza i wiedziałam dokładnie, jaką nutę zagrałam. Grałam tak długo, aż klawesyn stał się częścią mojego ciała, a moje ciało częścią klawesynu. Wtedy zaczęłam naprawdę starannie wsłuchiwać się w taśmy i kasety. Zakładałam słuchawki, aby nie przeszkadzały mi żadne hałasy. Grałam małe kawałki po wiele razy, tłumacząc je poprzez umysł na ruchy palców. Żyłam wewnątrz muzyki. Kazałam wstawić podwójne okno w tym pokoju, tak aby moje ćwiczenia nikomu nie przeszkadzały. Czasami grałam przez całą noc; jak już mówiłam, noc i dzień nie różnią się tak bardzo dla niewidomego. Tak bardzo chciałam być sama z moją muzyką.

- To znaczy, że grasz bez muzyki, Mirabelle, to znaczy bez zapisanej muzyki, bez nut. Grasz bezpośrednio ze słuchu. Oczywiście, musisz tak grać. Mój Boże, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Tak, Jacques, pamiętaj jednak, że muzyka to przede wszystkim dźwięk, nuty to jedynie sposób dzielenia się nią z innymi. Teraz dzięki kasetom o wiele łatwiej dzielić się muzyką. Ja mogłam poznać jedynie przez to, czym jest, przez dźwięk. Me potrzebuję nut. Czasami, zwłaszcza w przypadku Bacha i utworów polifonicznych, gdy dwa, trzy a nawet cztery głosy grają ze sobą i przeciwko sobie, to bardzo trudne. Być może łatwiej by mi było, gdybym widziała to na piśmie, ale jeśli słucham uważnie, potrafię rozróżnić głosy. Wiesz, są od siebie bardzo różne. Uczę się gracie oddzielnie, a potem składam je w całość. To cudowne doświadczenie, prawie jak gdybym sama komponowała. Patrząc na nią z podziwem. Trudno mi uwierzyć, że muzyka, którą właśnie usłyszałem, została zagrana ze słuchu przez kogoś, kto nigdy nie widział zapisu nutowego. Podobnie jak wielu innych

ludzi, uwierzyłem, że nuty to „prawdziwa” muzyka, a to, co słyszę, kiedy ktoś odczytuje ją i wykonuje, jest tylko wykonaniem, niczym więcej. Mirabelle ma jednak rację, prawdziwa muzyka to dźwięki, które pojawiły się w głowie kompozytora, nuty to jedynie zapis, sposób umożliwiający podzielenie się muzyką między muzykami lub między kompozytorem a wykonawcą. Zastanawiam się, czy coś podobnego istnieje w malarstwie, coś, z czego do tej pory nie zdawałem sobie sprawy. Może to właśnie jest podstawa moich problemów, ma to pewien związek ze sprawami, nad którymi już się zastanawiałem. Jeśli Mirabelle nie widzi, ponieważ obawia się tego, co zobaczy, czy mógłbym malować z obrazów zachowanych w jej pamięci, tak jak namalowaliśmy obraz przedstawiający plac Furstenberg, tak aby była przekonana, że jeśli odzyska wzrok, jeśli pozwoli sobie widzieć obrazy, ujrzy coś, co będzie w stanie zaakceptować? W pewnym stopniu te obrazy byłyby jak nuty dla muzyki, ja wykonałbym widoki, które istnieją w umyśle Mirabelle, te same dźwięki, które pojawiły się w głowie kompozytora. Mirabelle uśmiecha się do mnie, jej dłonie nadal spoczywają na moich.

- O czym myślisz, Jacques? Czuję, jak coś kłębi się, wiruje w twojej głowie, odbieram to jak coś wręcz fizycznego. Czuję też delikatne drżenie twoich dłoni. Co to takiego? 163

- Czy podjęłabyś ze mną pewien eksperyment, Mirabelle? Obraz przedstawiający plac Furstenberg stanowił połączenie naszych wspomnień, siła twojej wizji, połączona z moimi umiejętnościami malarskimi pomogła nam stworzyć coś, czego nigdy nie zdołałbym zrobić sam. Przypominało to twój sposób uczenia się nowych utworów, najpierw słuchasz, a potem grasz je sama. Ja słuchałem twojej opowieści i malowałem ją, łączyłem ją z tym, co widziałem. Na swój sposób otworzyłaś mi oczy. - Milknę. Mirabelle patrzy na mnie niewidzącymi oczyma. Zaczynam mówić dalej w nadziei, że nie uzna tego za gwałt. - Mirabelle, gdybym zdołał namalować obrazy maksymalnie podobne do twoich wizji miejsc, które zachowałeś w pamięci, może nadeszłaby chwila, kiedy będziesz miała dosyć wiary w to, co zrobiliśmy i pozwoliłabyś sobie widzieć. Czy rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Chciałabym bardzo być przy tobie, kiedy malujesz. Mam w pamięci dwadzieścia takich miejsc w sąsiedztwie. Moglibyśmy usiąść razem i malować cudowne obrazy. Powinniśmy też namalować jeszcze raz plac Furstenberg. Jest taki piękny, a ja mam takie cudowne wspomnienia. Teraz jednak, Jacques, i ja chciałabym ci złożyć pewną propozycję.

- Proszę, proszę, następna propozycja. Najpierw miałem opisać ubarwienie gołębi w zamian za wspianały obiad. Później zaproponowałam, bym za tysiąc franków namalował twój portret. Następnie zaproponowałam, byśmy opowiedzieli sobie nawzajem o swojej

przeszłości. Co proponujesz tym razem? Mam nadzieję, że wyczuwa z mojego głosu, że powiedziałem to wszystko z uśmiechem. Boże, nie chciałbym zranić tych cudownych dłoni.

- Zapomniałeś o jednej propozycji, Jacques.

- A o czym to zapomniałem?

- Oma - że ci się oświadczyłam. Nie pamiętasz? Chyba po raz pierwszy cieszę się, że nie może mnie zobaczyć. Wydaje mi się, że spłonąłem rumieńcem. Nie 164 spuszcza ze mnie wzroku. Czasami jestem przekonany, że musi widzieć.

- Nie, Mirabelle, nie zapomniałem. Nie zdałem sobie wtedy z tego sprawy, ponieważ nie znałem cię dość dobrze, ale to była najmilsza ze wszystkich twoich propozycji. Jednak, jak już powiedziałem, jestem żonaty. Wiesz już o tym, nie potrafię pogodzić się z myślą, że mógłbym oszukiwać moją żonę i dzieci, samego siebie. Myślę, że byłoby to wykorzystywanie ciebie.

- Część z tego, co powiedziałaś, jest prawdą, ale nie są to prawdziwe powody, nieprawdaż? Zrobiłeś tak dlatego, że jestem stara, czyż nie?

- Po części tak, Mirabelle, ale z każdym dniem wydajesz się coraz młodsza.

- Tylko że naprawdę staję się coraz starsza. Czy mogę teraz złożyć ci moją nową propozycję? Uśmiecha się do mnie szeroko. Jej mowa jest rytmiczna, subtelnie modulowana, uśmiech promienny. Jak to możliwe, że tak wiekowa dama ma takie wspaniałe zęby? Niemożliwe, by była to sztuczna szczęka, wyglądają tak naturalnie. Kiedy się uśmiecha, jej wargi nie wydają się wąskie, co zdarza się osobom, które noszą sztuczną szczękę.

- Nie ma sprawy, Mirabelle.

- Czy to znaczy, że chcesz, czy że nie chcesz, bym powiedziała? Nigdy nie słyszałam podobnego zwrotu, wydaje mi się, że znaczy równocześnie dwie przeciwne rzeczy. Uśmiech znika z jej twarzy, zmarszczki koncentracji pomiędzy oczami pogłębiają się, jej dłonie bezwładnie spoczywają na moich.

- To znaczy: tak. Proszę, złóż swoją propozycję. Słucham.

- Odkąd u mnie bywasz, Jacques, zdałam sobie sprawę, że moje mieszkanie popadło w ruinę. Staralam się utrzymać w czystości wszystko w zasięgu rąk, ale szczerze mówiąc, cała pozostała część jest w okropnym stanie, czyż nie? ifiS

- Czy podjęłabyś ze mną pewien eksperyment, Mirabelle? Obraz przedstawiający plac Furstenberg stanowił połączenie naszych wspomnień, siła twojej wizji, połączona z moimi umiejętnościami malarskimi pomogła nam stworzyć coś, czego nigdy nie zdołałbym zrobić sam. Przypominało to twój sposób uczenia się nowych utworów, najpierw słuchasz,

a potem grasz je sama. Ja słuchałem twojej opowieści i malowałem ją, łączyłem ją z tym, co widziałem. Na swój sposób otworzyłaś mi oczy. - Milknę. Mirabelle patrzy na mnie niewidzącymi oczyma. Zaczynam mówić dalej w nadziei, że nie uzna tego za gwałt. - Mirabelle, gdybym zdołał namalować obrazy maksymalnie podobne do twoich wizji miejsc, które zachowałeś w pamięci, może nadeszłaby chwila, kiedy będziesz miała dosyć wiary w to, co zrobiliśmy i pozwolilibyś sobie widzieć. Czy rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Chciałabym bardzo być przy tobie, kiedy malujesz. Mam w pamięci dwadzieścia takich miejsc w sąsiedztwie. Moglibyśmy usiąść razem i malować cudowne obrazy. Powinniśmy też namalować jeszcze raz plac Furstenberg. Jest taki piękny, a ja mam takie cudowne wspomnienia. Teraz jednak, Jacques, i ja chciałabym ci złożyć pewną propozycję.

- Proszę, proszę, następna propozycja. Najpierw miałem opisać ubarwienie gołębi w zamian za wspaniały obiad. Później zaproponowałaś, bym za tysiąc franków namalował twój portret. Następnie zaproponowałaś, byśmy opowiedzieli sobie nawzajem o swojej przeszłości. Co proponujesz tym razem? Mam nadzieję, że wyczuwa z mojego głosu, że powiedziałem to wszystko z uśmiechem. Boże, nie chciałbym zranić tych cudownych dłoni.

- Zapomniałeś o jednej propozycji, Jacques.

- A o czym to zapomniałem?

- Oma - że ci się oświadczyłam. Nie pamiętasz? Chyba po raz pierwszy cieszę się, że nie może mnie zobaczyć. Wydaje mi się, że spłonąłem rumieńcem. Nie 164 spuszcza ze mnie wzroku. Czasami jestem przekonany, że musi widzieć.

- Nie, Mirabelle, nie zapomniałem. Nie zdałem sobie wtedy z tego sprawy, ponieważ nie znałem cię dość dobrze, ale to była najmiłsza ze wszystkich twoich propozycji. Jednak, jak już powiedziałem, jestem żonaty. Wiesz już o tym, nie potrafię pogodzić się z myślą, że mógłbym oszukiwać moją żonę i dzieci, samego siebie. Myślę, że byłoby to wykorzystywanie ciebie.

- Część z tego, co powiedziałaś, jest prawda, ale nie są to prawdziwe powody, nieprawdaż? Zrobiłaś tak dlatego, że jestem stara, czyż nie?

- Po części tak, Mirabelle, ale z każdym dniem wydajesz się coraz młodsza.

- Tylko że naprawdę staję się coraz starsza. Czy mogę teraz złożyć ci moją nową propozycję? Uśmiecha się do mnie szeroko. Jej mowa jest rytmiczna, subtelnie modulowana, uśmiech promienny. Jak to możliwe, że tak wiekowa dama ma takie wspaniałe zęby? Niemożliwe, by była to sztuczna szczeka, wyglądają tak naturalnie. Kiedy

się uśmiecha, jej wargi nie wydają się wąskie, co zdarza się osobom, które noszą sztuczną szczękę.

- Nie ma sprawy, Mirabelle.

- Czy to znaczy, że chcesz, czy że nie chcesz, bym powiedziała? Nigdy nie słyszałam podobnego zwrotu, wydaje mi się, że znaczy równocześnie dwie przeciwne rzeczy. Uśmiech znika z jej twarzy, zmarszczki koncentracji pomiędzy oczami pogłębiają się, jej dłonie bezwładnie spoczywają na moich.

- To znaczy: tak. Proszę, złóż swoją propozycję. Słucham.

- Odkąd u mnie bywasz, Jacques, zdałam sobie sprawę, że moje mieszkanie popadło w ruinę. Staralam się utrzymać w czystości wszystko w zasięgu rąk, ale szczerze mówiąc, cała pozostała część jest w okropnym stanie, czyż nie? IfiS

- No cóż, Mirabelle, tak, jest tu brudno. Sufity są szare od brudu, tapety odpadają od ścian. Stolarka jest czysta tylko tam, dokąd sięgasz, ale i tak bardzo dobrze dbałaś o czystość swego domu.

- Nie, Jacques, chciałabym, by mój dom był piękny. Czy mógłbyś mi w tym pomóc? Czy znasz się na tych rzeczach, na malowaniu, przyklejaniu tapet, na wszystkim, czego potrzeba, by uczynić dom pięknym? Jesteś artystą, powinienes się na tym znać.

- Zajmowałem się tym, kiedy byłem młody, Mirabelle, ale było to dawno temu, od ponad dwudziestu lat nic podobnego nie robiłem.

- Chciałabym złożyć d następującą propozycję. Mógłbyś wyprowadzić się ze swego zimnego, brudnego strychu i zamieszkać razem ze mną. Mam sypialnię rodziców, której w ogóle nie używam. Mógłbyś tam sypiać, jest tam wygodne łóżko i dobre szafy. Nie wchodzę nigdy do tego pokoju, ale pamiętam, jak wygląda. W pokoju Rołande stoi klawesyn, ale możesz zamieszkać w pokoju moich rodziców, jeśli pomożesz mi sprawie, że to mieszkanie na powrót stanie się piękne, a może jeszcze piękniejsze niż wtedy, kiedy byłam młoda. Może to pomoże mi odzyskać wzrok. Ostatnie zdanie sprawia, że zastanawiam się raz jeszcze nad moim automatycznym oporem. Wywalczyłem swoją wolność, niezależność i choć cudownie czuję się w towarzystwie Mirabelle, nie chcę tracić tego, co zdobyłem. Może jednak, gdyby poczuła, że jej dom jest piękny, jest miejscem radości i rozkoszy, pomogłoby jej to widzieć.

- Czy jesteś tego pewna, Mirabelle? Pamiętaj, że przez lata samotności wykształciłaś sobie pewne nawyki, podobnie jak i ja. Cenimy sobie naszą samotność w równym stopniu jak czasami jej nienawidzimy. Czy sądzisz, że zniosłabyś, gdyby drugi człowiek zamieszkał nagle tak blisko ciebie? Pomyśl o tym.

- Już pomyślałam. Masz rację, powinniśmy tylko spróbować, czy będzie nam to odpowiadać. Jeśli któreś z nas poczuje się nieszczęśliwe, możemy zawsze wrócić do obecnego układu. Potrzebuję dla siebie tylko poranków, wtedy odbywam lekcje języków, ćwiczenia jogi i gimnastykę. Mówiłeś, że rano biegasz, nie powinniśmy zatem wchodzić sobie w drogę. Później zajmuję się moimi gołębiami. W tym czasie mógłbyś malować. Po dejeuner, moglibyśmy malować razem, jak powiedziałeś. Wydaje mi się, że to wcale rozsądne rozwiązanie. Co o tym sądzisz? Nie potrafię powstrzymać uśmiechu, słyszę go w moim głosie i wiem, że Mirabelle też to słyszy, ponieważ odpowiada mi uśmiechem.

- Wszystko sobie obmyślałaś, prawda? Co tym razem uknułaś?

- Nic nie uknułam, możesz czuć się bezpieczny w towarzystwie starej, niewidomej damy. Chciałabym, abyś sprawił, żeby moje mieszkanie stało się piękniejsze. Mam nadzieję, że znajdziesz na to czas. Mam dość pieniędzy, by kupić wszystko, co uznasz za potrzebne, farby, dywany, może nawet jakieś nowe meble. Myślę, że wspaniale będzie zrobić to wszystko wspólnie.

- W porządku, Mirabelle, zgadzam się. Ale nie przyniosę tu swoich rzeczy z „zimnego, brudnego strychu”. Chcę mieć poczucie, że mogę tam zostać. Czy mogłabyś pokazać mi pokój, w którym mam spać? Gdy tylko to powiedziałem, zdałem sobie sprawę z tego, że nie może nic nikomu „pokazać”. Może „skierować”, „zaprowadzić”, ale nie pokazać. Samo słowo „pokazać” wiąże się z ideą widzenia. Mirabelle wstaje i przechodzi do drzwi za moimi plecami, obok pokoju, do którego zaprowadziła mnie, bym wysłuchał muzyki. Przekręca klucz w zamku.

- Widzisz, Jacques, możesz czuć się tutaj zupełnie bezpieczny. Wyciąga klucz w moją stronę, biorę go z jej ręki. Odsuwa się, by wpuścić mnie do środka. Naciskam włącznik, ale oczywiście bez żadnego efektu. W środku unosi się zapach piżma i silniejszy jeszcze niż na moim strychu zapach kurzu.

- Nie lachodzitam do tego pokoju od wielu lat, Jacques. Nadal mam tak straszne wspomnienia. Wiele czasu minęło zanim mogłam znowu wziąć kąpiel w wannie. Chyba to rozumiesz. 167 Światło z dużego pokoju rozjaśnia nieco panujący we wnętrzu mrok. Dostrzegam wielkie łóżko, a za nim szafę. Po obu stronach łóżka ustawione są nocne stoliki. W pamięci nadal mam historię sprzed wielu lat, którą opowiedziała mi Mirabelle. Przypomina mi to jadalnię panny Havisham z Wielkich nadziei Dickensa. Czy naprawdę mogę spać w tym pokoju? Obracam głowę, by spojrzeć na Mirabelle. Nie przeszła przez próg, widzę jej sylwetkę na tle światła wpadającego z dużego pokoju.

- Czy jest tu aż tak strasznie? To martwe miejsce, prawda? Czy potrafisz przywrócić je do życia?

- Myślę, że tak, ale nie dziś wieczorem. Dzisiaj pójdę do domu i położę się spać na moim „zimnym, brudnym strychu”. Jutro wrócę tu za dnia, kupię kilka żarówek i zacznę sprzątać. Rozpocznę od tego pokoju, tak bym miał dla siebie miejsce. Zgadzasz się?

- Dziękuję, Jacques, jesteś cudownym człowiekiem, a ja bardzo cię kocham. Powiedziała to w tak naturalny sposób, tak spokojnie, że wiem, że mówi poważnie. Tak właśnie to przyjmuję, ale nie odpowiadam. Wiem, że musi już być bardzo późno. Powinienem zbierać się już do wyjścia. Złapię jeszcze autobus 86, który jedzie do mojej dzielnicy.

- Masz rację, Mirabelle. Będziemy się znakomicie bawić, zmieniając to miejsce w nasze gniazdko. Muszę jednak już iść. Jutro będę biegał, a potem przygotuję płótna do malowania. Spotkamy się pod pomnikiem Diderota. Mirabelle odwraca się i podchodzi do tablicy z haczykami wiszącej obok drzwi. Przesuwa po niej dłonią i zdejmuje klucz.

- Proszę, Jacques, to klucz do mieszkania. Chcę, byś go zatrzymał. Wyciera klucz w swój fartuch.

- Wisiał tutaj od śmierci Rolande. Dziwne, jak szybko upływa czas, a przedmioty leżą na swoim miejscu nie używane, kiedy żyje 168 się tak ograniczonym życiem jak moje. Dobrze będzie mieć w domu kogoś, kto wszystkiego naprawdę dopatrzy. Dobranoc, Jacques, nie pozwól, by pogryzły cię szczury. Nadstawia policzek do pocałunku. Pochyliam się nad nią.

- Nie ma tam żadnych szczurów, które mogłyby mnie pogryźć, Mirabelle. Czasami je słyszę, ale zajmują się swoimi sprawami. Powoli całuję ją w policzek, a ona odwzajemnia się pocałunkiem. Całuję ją w drugi policzek, a ona przybliży miękkie, wąskie wargi do mojego, tuż obok ucha. Trzymam ją za ramiona.

- Dobranoc, Mirabelle, d demain. W ostatniej chwili łapię autobus i jadę do Bastylii. Gdybym pojechał jeszcze dwa przystanki, musiałbym skasować następny bilet, a z przyjemnością przejdę się rue de la Roquette, nadal pełną ludzi. Nie jestem jeszcze tak rozrzutny, by kasować bilet na dwa przystanki. Czuję zamęt. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo przywiązałem się do tego strychu, do tej dzielnicy, do swojego sposobu życia. Myślę, że Mirabelle i ja możemy sobie pomóc usunąć z naszego życia samotność, co jednak stracimy? Czas pokaże. Marzenia w mroku Tak strasznie było słuchać, jak Jacques opowiada o swoim upadku, o życiu kloszarda, alkoholu, chłódzie i brudzie. Nie potrafiłam powstrzymać leż. Byłam taka szczęśliwa, że mogłam ofiarować mu moją muzykę. Jak

cudownie, że i on kocha muzykę, tę, którą ja najbardziej lubię grać, muzykę baroku. I dla mnie był to cudowny dar. Tak często zdarza się, że to, co chcę ofiarować Jacquesowi, przemienia się w prezent dla mnie. To wprost niemożliwe, poprosiłam go, by u mnie zamieszkał!. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, co pomyślałaby o tym Rolande czy moi rodzice. Jestem jednak już stara. Mam wielkie mieszkanie, które powoli obraca się w ruinę, a Jacques nie ma nic. Jestem pewna, że przemieni je w cudowne miejsce. Jeśli tylko tu zamieszka, nawet gdy niczego nie zmieni, sprawi, że stanie się dla mnie cudowne. Mam nadzieję, że mieszkając razem, pracując razem nad urządzeniem mieszkania, nad obrazami, które chce malować razem ze mną zbliżymy się do siebie. Chcę być tak blisko niego, jak tylko to możliwe. Moje uczucia nigdy nie były tak silne. To musi być okropne, stara kobieta, która rzuca się jak młoda dziewczyna na starszego, żonatego mężczyznę. Staję się podlotkiem. Powinnam się wstydzić, ale nic takiego nie czuję.

* * *

Rozdział 8

Następnego dnia po lunchu siadani i szkicuję plan mieszkania. Posługuję się taśmą mierniczą, którą Rolande zostawiła w swoim pokoju. Szukając taśmy, mam okazję rzucić okiem na klawesyn. Jest ogromny, pomalowany na ciemnozielone, ze złotymi wykończeniami, naprawdę piękny. Szkoda, że Mirabelle nie może zobaczyć, jak śliczny jest jej instrument, jednak nie musi go oglądać, ożywia go, sprawia, że śpiewa. Kiedy kończę kreślić plan, wyjaśniam jej, co właśnie zrobiłem. Wydaje mi się, że rozumie. Zamierzam zacząć od pokoju, w którym będę sypiał, muszę mieć jednak ogólną wizję tego, co zamierzamy zrobić. Mirabelle chce, by duży pokój, w którym jadamy i rozmawiamy, był pełen światła i utrzymany w barwach słońca. Decyduję, że na ściany dam błady, ale ciepły odcień żółtego, na przykład żółcień kadmową z odrobiną bieli. Framugi i listwy podłogowe pomaluję na białe. Cała stolarka jest w tej chwili ciemnoszara, być może kiedyś była biała. Będę musiał oskrobać ją przed malowaniem. Mirabelle chce, by pokój muzyczny utrzymany był w kombinacji kolorów wody, nieba i odrobiny wiosny. Uznaję, że ścianę z oknem wychodzącym na podwórko pomaluję na szaroniebiesko. Pozostałe utrzymam w jasnym, niezbyt intensywnym odcieniu zieleni. Chciałbym, żeby sprawiały wrażenie spodnich stron liści w cieniu. Na podłogę dam dywan w kolorze ciemniejszej zieleni. Ściany nie będą pomalowane, a obite materiałem, pod 171 którym ukryję warstwę dźwiękoszczelną. Będzie mnie to kosztować mnóstwo roboty, ale nie będę za to musiał nic robić z brudnymi ścianami. Zedrę po prostu tapety. Zamierzam też wyłożyć sufit białymi płytkami akustycznymi. Chciałbym bardzo, by ten pokój był odpowiedni do gry na klawesynie, bez żadnych niepożądanych ech i wibracji. Mirabelle twierdzi, że życzy sobie, aby jej sypialnia sprawiała wrażenie zamkniętego wnętrza, nie groty, ale wnętrza czegoś żywego. Zaskakuje mnie to, że chce, by pokój utrzymany był w odcieniach czerwieni przechodzących wręcz w fiolet. Zaskakuje mnie też, że tak znakomicie pamięta nazwy wszystkich barw. Zastanawiam się, czy przez tak wiele lat jej percepcja kolorów zmieniła się, wypaczyła, przemieniła się w tak inne koncepcje. Staram się jednak wsłuchać w to, co mówi. Jej pomysły są wewnętrznie spójne, jak gdyby zastanawiała się nad nimi od dłuższego czasu. W chwili przerwy notuję je na kartce z mojego bloku rysunkowego.

- Wydaje mi się, Jacques, że chcę wrócić do łona mojej matki. Nigdy tak o tym nie myślałam, ale chyba tego wiośnie pragnę. Spać w zaciszu i ciepłe krwi. Wiem, że biorąc pod uwagę to, co mi się przydarzyło, chcę czegoś bardzo dziwnego, ale tak właśnie to sobie wyobrażam. Pragnę właśnie tego. Rozumiesz?

- Nie wiem, czy tak naprawdę cię rozumiem, Mirabelle, ale wydaje mi się, że wiesz, czego chcesz, i to właśnie dostaniesz. Chciałabyś, abym pomalował ściany, czy też wolałabyś raczej, abym wyłożył je materiałem?

- Och, proszę o materiał, będę się czuła jak wewnątrz szkatułki na klejnoty. Chciałabym też, abyś ustawił łóżko tak, by głowa znajdowała się pomiędzy oknami. Czy łóżko mogłoby być białe z białą kapą? Kiedy położę się do niego, będę czuła się jak królowa, królowa światła pośród moich ciemności. Przyglądam się jej, po raz pierwszy odsłoniła się, ukazując małą dziewczynkę, podlotka, jakim w głębi 172 serca pozostała. To takie uroczę, widzę, wręcz czuję piękno jej marzenia.

- Jesteś królową, Mirabelle. Jedyłą królową, jaką spotkałem w swoim życiu. Będziesz zatem miała łożę godne królowej. Ustalamy, że w moim pokoju będę mógł wieszać swoje rysunki i obrazy. Chcę, by utrzymany był w kolorach ziemi, ochrach, sjenach i umbrach. Zamierzam poszukać płyt korkowych i wyłożyć nimi ściany. Dzięki temu będę mógł przypinać pinezkami czy szpilkami rysunki, wbijając gwoźdźki, na których można wieszać obrazy, nie robiąc brzydkich dziur w ścianach. Wolałbym sypiać na wąskim, pojedynczym łóżku, ale łożę małżeńskie rodziców Mirabelle jest takie wielkie, dodatkowo ozdobione baldachimem, i choć jest on obwisły, sparciały i pełen kurzu, po prostu nie potrafię go wyrzucić. Co dziwne, materac jest stosunkowo wygodny, choć ma przynajmniej pięćdziesiąt lat. Wywieszam go za oknem wraz z całą pościelą, aby się przewietrzył. Mój pokój ma tylko jedno okno, pokój Mirabelle dwa, muzyczny ma również tylko jedno. Z mojego pokoju można przejść bezpośrednio do łazienki, ale toaleta znajduje się obok kuchni. To typowy stary dom, wybudowany w czasach, kiedy nie było jeszcze kanalizacji, zainstalowano ją znacznie później, adaptując wnęki czy spiżarnie. Myślę, że ta akurat toaleta była kiedyś spiżarką. Łazienka zaś została wydzielona z sypialni Mirabelle. Pokój ma zatem kształt litery L. Jeśli ustawię łóżko pomiędzy oknami, zostanie zaledwie wąskie przejście pomiędzy nogami łóżka a ścianą łazienki. Łazienka nie ma bezpośredniego połączenia z sypialnią Mirabelle. Gdyby przebić podobne przejście jak do mojej sypialni czy dużego pokoju, nie starczyłoby już miejsca na wannę. Mógłbym wprowadzić pozbyć się wanny i wstawić prysznic, aby Mirabelle miała bezpośredni dostęp do łazienki, ale przekracza to chyba moje ograniczone możliwości. 173 Pierwszy dzień zajmuje mi usunięcie pajęczyn z mojej przyszłej sypialni, posługuję się szczotką Mirabelle i drabinką. Zmiotam warstwę kurzu z sufitu i ścian. Teraz kurz unosi się już wszędzie. Zostawiam otwarte okno i zamykam drzwi. Mirabelle nadal nie chce wchodzić do środka, zostaje w dużym pokoju. Kończę pracę przy zapalonym świetle, zapada już zmrok. Naprawiłem też

jedną z lampek stojących na nocnych stolikach. Zbieram pościel, która wietrzyła się za oknem, dorzucam kilka ręczników i ruszam do pralni samoobsługowej na rue des Canettes. Mirabelle mówi, że do mojego powrotu przygotowuje souper. Kiedy z trudem wspinam się z praniem po schodach, jest już całkiem ciemno. Wyprałem również większość moich rzeczy. Mirabelle zostawiła otwarte drzwi, czeka na mnie na podeście.

- Nic ci się nie stało, Jacques? Zaczynałam się już martwić.

- Wszystko w porządku, musiałem tylko poczekać na wolną suszarkę. Mijam ją i zanoszę pranie do sypialni. Zapach kurzu ulotnił się już, wciągam więc do środka kapy i materac i zamykam okno, teraz mogłyby już tylko zawilgnąć w nocnym powietrzu. Czuję się wykończony. Padam na krzesło przy stole.

- Jacques, nic dzisiaj nie namalowałeś. Okropnie się przez to czuję.

- Masz rację, Mirabelle, ale musiałem zacząć pracę. Od jutra, niezależnie od wszystkiego, muszę poświęcić przynajmniej trzy godziny dziennie na malowanie. Mogę malować sam, kiedy ty zajmujesz się swoimi gołębiami, i razem z tobą po lunchu. Późnym popołudniem zajmę się mieszkaniem. Mirabelle przynosi kolację z kuchni. Tym razem nie jemy zupy, tylko małe naleśniki z różnymi dżemami, polanę roztopionym masłem i posypane cukrem. Na talerzu jest pewnie dziesięć czy dwanaście naleśników. 174 Zaczynam się zastanawiać, jak ona to robi. Na dotyk? Poparzyłaby sobie palce. Zaglądam do kuchni, rzeczywiście, widzę płaską patelnię bez boków, specjalnie do smażenia naleśników, i drewnianą łopatkę. Nie zamierzam jej jednak o to pytać, chcę się cieszyć, doceniać cud, jakim jest Mirabelle. Po kolacji rozmawiamy o tym, co zamierzamy zrobić. Przyniosłem ze sobą dwa płótna naciągnięte na blejtramach. Chciałbym zacząć nad nimi pracować. Muszę poszukać też farby i korka do wybicia ścian w mojej sypialni. Nie ma jeszcze dziewiątej wieczorem, kiedy zaczynam odpływać w drzemkę. Przyłapuje mnie na tym Mirabelle.

- Zасыpiasz, Jacques? Czuję, że oddalasz się ode mnie.

- Chyba tak, Mirabelle. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Ciężko dzisiaj pracowałeś, zasłużyłeś na odpoczynek. Idź do łóżka i wyśpij się. Posprzątam w kuchni, a potem położę się spać. Lubię budzić się razem z ulicą, pierwszymi autobusami, smieciarzami zamiatającymi ulice, szumem samochodów, krokami ludzi, a potem, o szóstej rano, słuchać dzwonów. Uwielbiam budzić się w ten sposób. Teraz już idź spać, spij dobrze, jutro będziemy mieli cudowny dzień. Docieram jakoś do łóżka, rozbieram się z trudnością, wciągam na siebie dres, który przyniosłem ze swojego strychu i wyprałem razem z pościelą, a potem wyciągam się na trochę zbyt

miękkim łóżku i zapadam w sen. * Następny poranek jest po prostu wspaniały. Uznaję, że pobiegam po Ogrodzie Luksemburskim. Nigdy jeszcze tego nie robiłem. Zdarzało się, że zachodziłem tam i spotykałem innych biegaczy, ale dla mnie będzie to pierwszy raz. Ubieram się w strój sportowy, kiedy pierwsze promienie słońca wpadają przez moje okno. Czuję się świetnie, nawet pomimo wczorajszej pracy nie bolą mnie mięśnie. 175 Wchodzę cicho do dużego pokoju, kieruję się do toalety na poranne siusiu i nagle staję jak wryty. Mirabelle w czarnym trykocie stoi na głowie na środku pokoju.

- Dzień dobry, Jacques. Zapowiada się wspaniały dzień. Dobrze ci się będzie biegać. Obchodzę ją dookoła. Stoi, niewzruszona jak skała, w pozycji jogi, przedramiona na podłodze, palce zaplecione za głową. Wchodzę do toalety.

- Będę biegał w Ogrodzie Luksemburskim, Mirabelle. Nigdy jeszcze tam nie biegałem.

- Powinno być cudownie. Na klombach są jeszcze na pewno krokusy i inne wiosenne kwiaty. Drzewa również niedługo powinny zakwitać. Jeszcze nie czuję ich zapachu, ale wiem, że to już niedługo. Wchodzę do toalety i zamykam za sobą drzwi. Staję jak najbliżej i siusiam na wewnętrzną ściankę muszli, aby jak najmniej hałasować. Spuszczam wodę i wychodzę. Mirabelle nadal stoi na głowie. Ciekawe, od jak dawna. Nie chcę jej przeszkadzać, być może próbuje medytować. Sam próbowałem stawać na głowie, ale potrafię utrzymać się w tej pozycji jedynie, kiedy opieram się stopami o ścianę. Mijam ją, kierując się w stronę drzwi.

- Wrócę za czterdzieści minut, Mirabelle. Mogę kupić po drodze rogaliki, jeśli chcesz.

- Świetny pomysł. Przygotuję kawę i razem zjemy spokojne śniadanie. W kieszeni spodenek mam klucze do mieszkania i dziesięć franków. Zbiegam ze schodów i ruszam ulicą w stronę parku. Na ulicach nie ma prawie nikogo. Biegnę rue des Canettes, przez plac SaintSulpice, wzdłuż Vaugirard, do parku. Wzdłuż parkanu, po jego wewnętrznej stronie zauważam co najmniej kilka osób. Wygląda na to, że biegają ustaloną trasą. Przyłączam się do nich. Dziwnie się czuję, truchtając tak razem 176 z innymi. Do tej pory bieganie stanowiło dla mnie czynność wybitnie intymną. Muszę przyznać, że ogarnia mnie duma, kiedy wyprzedzam młodszych, wyraźnie wytrenowanych biegaczy. Jogging był dla mnie początkiem nowego życia. Każdego dnia, kiedy biegam, czuję się tak, jak gdybym sodził się na nowo. Ciekawe, czy będę mógł trenować również zimą. Mógłbym biegać w dresie, ale trudno byłoby go potem wysuszyć. Będę musiał się nad tym później zastanowić. Kwiaty są wspaniałe. Cieszy mnie zwłaszcza bieganie po mniej uczęszczanej części parku, pośród

szpalerów drzew i uli. Patrzą na drzewa, rzeczywiście, pękają właśnie pierwsze pąki, widać tylko białe i różowe plamki, kilka pojedynczych kwiatów. Naprawdę nadchodzi już wiosna. Nie potrafię się doczekać chwili, gdy opowiem o tym Mirabelle. Patrzą w kierunku środka parku i fontanny z pióropuszcami wody. Nasłuchuję zegara na Pałacu Medycejskim, siedzibie Senatu, wybijającego kwadrans, aż do chwili, gdy bije trzy razy. Wtedy wybiegam bramą, którą wbiegłem do parku, wracam do domu tą samą drogą. Przystaję przy Mabillon i kupuję dwa rogaliki. Będę musiał dowiedzieć się, co Mirabelle lubi: croissants, maślane rogaliki, bułeczki z jabłkami czy rodzynkami, a może pain au chocolat. Na razie jednak kupuję dwa zwykłe rogaliki. Wbiegam po schodach na górę, a Mirabelle czeka już, by otworzyć mi drzwi. Ociekam potem i dyszę ciężko. Oddaję rogaliki Mirabelle, na cienkiej papierowej torbie widać już wilgotne plamy.

- Muszę się opłukać, Mirabelle, zaraz będę gotów do śniadania.

- Przygotowałam dla ciebie kąpiel. Gdyby była zbyt ciepła lub zbyt zimna, dolej po prostu wody. Boże, to już nazbyt wiele.

- To bardzo miłe z twojej strony, Mirabelle, ale nie powinnaś robić podobnych rzeczy. Musi ci to przeszkadzać - Spóźnieni kochankowie 177 dzać w lekcjach języków i gimnastyce. Potrafię sam o siebie zadbać.

- Wiem, ale lubię troszeczkę się tobą poopiekować. Czy masz coś przeciwko temu?

- Nie, to cudownie. Postaram się pośpieszyć.

- Jacques, czy mógłbyś podać mi swoje wilgotne rzeczy, zanim wejdiesz do wanny?

Przygotowałam już wodę na małe pranie. Wchodzę do ciepłej i parnej łazienki. Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni brałem gorącą kąpiel w wannie. Nawet w domu, w Le Vesinet najczęściej wchodziłem pod prysznic. Zrzucam strój sportowy, podaję go Mirabelle, która czeka za drzwiami i bierze mi go z rąk. Naprawdę mnie rozpieszcza! Układam się w gigantycznej wannie, starając się nie myśleć o matce Mirabelle. Temperatura wody dobrana jest doskonale, odrobinę za ciepła, ale kiedy moje ciało się do niej przyzwyczaja, jest wprost fantastycznie. Przy wannie znajduję dobre mydło o mocnym zapachu, namydlałem szybko całe ciało. Czuję się teraz niczym rzymski senator. Układam się tak, że tylko głowa wystaje mi z wody i myję głowę mydłem, nie ma tu szamponu. Ogarnia mnie poczucie winy, że każę Mirabelle czekać, ale nie potrafię się zmusić do wyjścia z wanny. Leżę o wiele dłużej niż powinno trwać najdłuższe mycie. Wspaniała, staromodna kąpiel. Wreszcie kłękam w wodzie, płuczę włosy i wyciągam korek. Woda spływa bardzo szybko, myję wannę gąbką. Kiedy jest już czysta, wychodzę. Obok wanny leży stos białych ręczników, wycieram się jednym z nich. Przechodzę bezpośrednio do swojego pokoju i

ubieram się w strój, którego używam do malowania. Wyprałem wszystko zeszłej nocy, ubrania pachną teraz świeżo i czysto. Nadal pochłapane są farbą, ale czyste. Przeczesuję włosy i wychodzę z butami w dłoni. 178 Mirabelle staje w drzwiach pokoju muzycznego.

- Jesteś zadowolony z kąpieli, Jacques? Czujesz się teraz czysty?

- Czuję się jak nowy człowiek, Mirabelle. Jestem czysty i odświeżony, mam wyprane ubranie. Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek czuł się tak czysty. Pochylam się, aby włożyć buty. Adidasy zaczynają się zdzierać, na podeszwach nie widać już bieżników, rozklejają się. Nie będzie mnie stać na kupienie nowych, a jestem już tak rozpuszczony, że nigdy nie będę mógł wrócić do butów, jakie nosiłem dawniej. Może na marcie znajdę jakieś tenisówki. Będę musiał się rozejrzeć.

- Nie musisz się stamać nowym człowiekiem, Jacques, ten stary jest dostatecznie dobry. Przynosi dzbanuszek z gorącą kawą i nalewa dla nas obojga. Tym razem kawa jest tak gorąca, że nie odważa się włożyć palca do filiżanki, trzyma go tuż przy brzegu, para i ciepło dają jej w ten sposób znać, że naląła do pełna. Siada naprzeciwko mnie. Na białobłękitnej miseczce pomiędzy nami leżą dwa rogaliki. Na talerzyku przede mną położyła pomarańczę rozkrojoną na ćwiartki.

- Psujesz mnie, Mirabelle. Jak po tak wspaniałym życiu uda mi się wrócić do roli malarza-ebrika? Biorę pomarańczę, odrywając najpierw skórkę zębami. Smak jest tak silny, tak świeży. Po biegu wszystko smakuje znakomicie, a te pomarańcze są wprost wyśmienite. Mirabelle bierze każdą ćwiartkę jak kawałek melona i wyjada miąższ ze środka. Obserwuję ją. Wspaniałe, jak uważnie można patrzeć, co robi niewidoma osoba - bez skrepowania czy też krepowania obserwowanej osoby. Powoli zjada każdy kawałek. Zastanawiam się, co pomyślałaby, gdyby mogła zobaczyć, jak odrywam miąższ zębami. Założę się, że poznała to ze słuchu. 179 Rogaliki nie są może najlepsze, ale znakomicie smakują z masłem i dżemem jeżynowym, które postawiła na stole Mirabelle.

- Nie wiedziałem, na co będziesz miała ochotę, Mirabelle, kupiłem więc zwykłe rogaliki. Co lubisz najbardziej?

- Zazwyczaj jem tylko owoce i kromkę chleba, popijając kawą. Trudno mi schodzić na dół tylko po to, by kupić croissants. Dziękuję, są znakomite.

- Ale na co tak naprawdę miałabyś ochotę?

- Najbardziej lubię być zaskakiwana, a te rogaliki były cudowną niespodzianką raz jeszcze ci dziękuję. * Po śniadaniu pakuję sztalugi i butelki z terpentyną i werniksem. Zaplanowałem sobie, że pójdę na plac Furstenberg i rano przygotuję staranny szkic, może zacznę podmalówkę. Później, po południu, jeśli utrzyma się tak wspaniała pogoda,

Mirabelle może się do mnie przyłączyć i pomóc mi, opowiadając, co widzi, czuje, tak jak robiła to poprzednio. Czekam na nią wspaniały dzień. Dokonałem pomiarów ścian w moim pokoju, aby kupić korek, czy co tam znajdę, no i farby. Mirabelle powiedziała mi już, że nie ma ani pędzli, ani wałków do malowania, będę musiał kupić je przy okazji w magazynie BHV na rue de Rivoli. Lubię ten sklep, ponieważ mogę tam znaleźć wszystko, czego mi potrzeba, wziąć to z półki i ustawić się w kolejce do kasy, bez długich dyskusji. Na miejscu znajduję się przed dziewiątą rano. Światło na placu jest cudowne. Uznaję, że wybiorę sobie inne miejsce niż za pierwszym razem. Nadal chcę malować z góry ku dołowi, plac położony jest na stoku niewielkiego wzgórza, tym razem jednak ustawiam się po drugiej jego stronie, nieco bliżej stojących na środku lamp. Znajduję sobie miejsce, w którym nie zagrażają mi 180 samochodów, a nadal mam szeroki widok. Ustawiam sztalugi, zawieszam na nich płótno, stawiam małe, składane krzeselko, które pożyczyłem od Mirabelle i zaczynam. Pierwszy szkic wykonuję ołówkiem 4H, zaczynając od dołu płótna tak, by widzieć, co na nim umieszczę. Pracuję na płótnie rozmiarów 25 Figure, podobnie jak to, które sprzedałem. Mam nadzieję, że uda mi się namalować obraz równie dobry jak tamten. Bez Mirabelle czuję się jak dziecko, które pierwszy raz w życiu wysłano do sklepu po cukierki. Ciężko pracuję przez cały poranek. Wydaje mi się, że szkic i kompozycja są nawet lepsze niż przy poprzednim obrazie. Czuję, że Mirabelle ma największy wpływ na obraz w fazie właściwego malowania. Poprzez siłę i wrażliwość swego opisu, otwiera mi oczy na kolor i fakturę przedmiotów w sposób, do jakiego nie jestem w stanie dojść sam. Aż do tej chwili pozwalałem, by szkic, kompozycja dominowały nad obrazem. Dzięki Mirabelle farba nabiera własnego życia. Przerывam, gdy dobiega mnie głos dzwonów Saint Germain des Pres. Siedzę, słuchając, jak ich dźwięk niesie się po niebie, a potem składam sztalugi. Słońce świeci, a cienie rzucane przez liście padają na plac. Przyglądam się im i zastanawiam, jak mógłbym oddać to na moim obrazie. Czasami wydaje mi się, że to niemożliwe. Po następnym wspaniałym lunchu Mirabelle składa swoje krzeselko, kładzie je na moich sztalugach i razem ruszamy na plac. Schodzę pierwszy po schodach, ponieważ są zbyt wąskie, byśmy mogli zejść po nich razem. Moje płótno rozmiaru 25 F ledwie mieści się na zakrętach. Odwracam się i obserwuję Mirabelle. Jedną dłonią przesuwają po ścianie, drugą trzyma się poręczy. Dla niej, dla niewidomej, to doskonała klatka schodowa. Słońce nie zaszło jeszcze za chmury. Mirabelle bierze mnie pod ramię i razem obchodzimy kościół, przechodząc na plac. Niewiele mówimy, cieszymy się słonecznym ciepłem po długiej zimie, cieszymy się tym, że jesteśmy razem. Kiedy docieramy na miejsce, najpierw ustawiam obydwa stołeczki. Później rozkładam sztalugi, wyjmuję paletę, nalewam werniks

i terpentynę do małych słoiczków i zaczynam się rozglądać. Cienie drzew okrytych rozwijającymi się liśćmi przesunęły się znacznie, większa część placu pogrążona jest w cieniu. Wieje łagodny wietrzyk, ale pomimo to jest tu cicho i spokojnie. Kiedy zabieram się do podmalówki, Mirabelle zaczyna opowiadać o placu takim, jakim go zapamiętała, dorzuca krótkie anegdotki, zwięzłe, celne opisy. Ma zamknięte oczy, jak gdyby zabraniała rzeczywistości wstępu do jej osobistej wizji. Co pewien czas pyta o coś, co pamięta, pyta, czy to nadal istnieje, chce, bym opisał, jak wygląda teraz. Normalnie uznałbym to za przeszkadzanie w malowaniu, ale jakoś wcale mi to nie przeszkadza. Rozmawiamy, a farba zdaje się sama spływać z mojego pędzla. Odkrywam, że podmalówka jest tym razem głębsza, ciemniejsza, a równocześnie bardziej nasycona niż zazwyczaj. Czuję się jak woźnica powożący zaprzęgiem dwóch wyszkolonych koni, które dobrze wiedzą, dokąd ciągną wóz. Oczywiście, to ja trzymam lejce, pędzel, ale siłę i kierunek nadaje Mirabelle. Czuję się nieomal zahipnotyzowany. Znalazłem się pod tak silnym wpływem, że nie chcę nawet przerywać podmalówki, aby odłożyć farby przed rozpoczęciem impastu. Będę zatem malował na mokro, zaczynam od nieba i liści na drzewach. Mówię Mirabelle, co robię.

- Jak zielone są liście, Jacques?

- Rozwinęły się już mniej więcej do połowy. Nabierają dopiero siły, są jeszcze bardziej żółte niż zielone, kiedy prześwieca przez nie słońce. 1St9.

- Czy tak jak kiedyś przybierają przeróżne odcienie błękitu, gdy odbija się w nich niebo? Albo wtedy, kiedy mają swoją prawdziwą barwę: ciemną, soczystą, zieloną? Najpiękniejszy był ich kolor, kiedy patrzyło się poprzez nie: migotliwy żółtozielony jak okna w kościele. Podnoszę wzrok, by przekonać się, że jest dokładnie tak, jak mówi. Jakże łatwo minąć obojętnie coś tak pięknego. Siedzę i wpatruję się w listki. Widzę, że barwa nieba również zdaje się zmieniać w zależności od ich koloru. Czasami jest blade, barwy błękitu paryskiego, czasami ciemne, wręcz fioletowe. To niemożliwe, przecież to ciągle to samo niebo, ale takie właśnie się wydaje.

- Kiedy byłem małą dziewczynką, lubiłem chwycić się jedną ręką za kamienną podstawę latarni i biegać dookoła niej w kółeczko tak szybko, jak tylko mogłem. Później zatrzymywałem się, trzymałem mocno słupa i patrzyłem w górę, na światła wśród liści i niebo, które nadal kręciło się wokół mnie. Czułem się wtedy tak, jak gdybym znalazła się na środku karuzeli. To było takie piękne. Przerywam malowanie, a właśnie pierwszymi pociągnięciami zaznaczałem niebo, i raz jeszcze podnoszę wzrok. Wszystko wydaje się tak bardzo nieruchome po opowieści Mirabelle o tym, co robiła jako mała dziewczynka. Czy ja

sam kiedykolwiek robiłem coś podobnego? Nie pamiętam. Wydaje mi się, że nie. Odkładam pędzel.

- Mirabelle, skusiłaś mnie. Muszę zrobić to samo co ty tak wiele lat temu, albo nigdy nie będę w stanie namalować tego placu tak, jak powinienem.

- Ależ nie, Jacques! - Śmieje się, to śmiech małej dziewczynki, ale jest w nim zadyszka starszej damy. Ś Aresztują cię.

- Nie, Mirabelle, muszę to zrobić. Idę na środek placu, chwytam lewą dłonią podstawę latarni i zaczynam biegać dookoła w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Po chwili czuję, że za moment się przewrócę, i mocno obejmuję rękami kamienną podstawę. Patrzę w górę i widzę wirujące latarnie na tle wirującego nieba. Jest tak, jak powiedziała. Czuję się tak, jak gdybym znalazł się w centrum wszechświata, gwiazdy kręcą się wokół mnie. Drzewa i niebo wyginają się i zlewają ze sobą. Stoję tak, aż wszystko się uspokoi, a potem wracam na swój stołeczek.

- Naprawdę to zrobiłeś, prawda, Jacques? Słyszałam, jak biegasz. Nadal kręci mi się w głowie i nie mogę złapać tchu. Dłonie mi drżą.

- To było tak cudowne, jak mówiłaś, Mirabelle. Czuję, że teraz mogę namalować jeszcze piękniejszy obraz. Otworzyłaś moje oczy i umysł na tak wiele spraw. Malujemy dalej, Mirabelle trochę opowiada, czasami zadaje pytania, wprost niewiarygodnie zbliża nas to do płótna. Obraz staje się niesamowitym połączeniem farby, mojego spojrzenia na plac, samego placu i magicznej wizji Mirabelle. Obraz powstaje, lecz czuję, że dzieje się to niezależnie ode mnie. Powstrzymuję oddech w obawie, że mógłbym zakłócić wibracje, które wyczuwam wokół nas. Zapada już mrok. Mirabelle zauważa to pierwsza. Ja tak głęboko zatopiłem się w obrazie, że mógłbym malować aż do nocy.

- Jacques, czy nie jest już zbyt późno na malowanie? Nie obawiasz się, że kolory za bardzo się zmieniają? Budzę się ze snu. Rozglądam się dokoła, teraz już jako ja, amerykański Jack, Jacques Mirabelle. Rzeczywiście jest już ciemno. Muszę mieć nierówno pod sufitem, by malować przy takim świetle. Pakuję się, jestem tak zmęczony, że mógłbym zasnąć od razu na środku placu. Mirabelle bierze mnie pod ramię i razem przebijamy się przez wieczorny ruch na bulwarze Saint Germain, mijamy monsieur Diderota i wchodzimy w rue des Ciseaux, a potem po ciemnych schodach do naszego mieszkania. Nadal zatopiony jestem w marzeniach, moich, Mirabelle. Odstawiam sztalugi za zasłonkę przy drzwiach i siadam przy stole. Mirabelle zapala dla mnie światło i kręci się po pokoju.

- Powinieneś wziąć kąpiel, odprężyć się, przebrać w pidżamę, a wtedy cię nakarmię. Z pewnością jesteś bardzo zmęczony. Jestem wyczerpany. Wykonuję jej polecenia, nie

budzając się ze swojego snu. W ogóle nie jestem sobą. Czuję się bardzo odprężony, zmęczony, ale jednocześnie zestrojony z całym światem, wszystkimi drobnymi sprawami, dźwiękami, cieniami, zapachami. Kiedy wchodzę do swojej sypialni, w powietrzu czuję kurz, świeży zapach wypranej pościeli i pleśni. Rozbieram się powoli, czuję jak powietrze uderza o moje ciało. Siadam na łóżku i zdejmuję buty. Przechodzę do łazienki, puszczam wodę do wanny. Rozbieram się do naga i kładę w wannie, woda opływa całe moje ciało. Nie mam ochoty na wszystkie czynności związane zazwyczaj z kąpielą, mydlenie, płukanie, zdrapywanie farby z dłoni. Chcę tylko leżeć, unosić się w ciepłe. W końcu myję się jednak, przebieram w dres i wracam do dużego pokoju.

- Teraz, kiedy odpocząłeś już trochę i odprężyłeś się, siadajmy do stołu. Myślę, że moja zupa będzie ci smakować. To soupe de pommes de terre et poireaux. Da ci się. Jemy, nie rozmawiając zbyt wiele. Zjednoczenie, jakiego doświadczyliśmy na placu, było tak głębokie, że zwyczajna rozmowa wydaje się... no właśnie, zwyczajna. Zupa jest wprost doskonała. Kruszę chleb i jem dużą łyżką, powoli, jak na mnie, prawie metodycznie. Mirabelle naląła po kieliszku wina. To zwyczajne wino stołowe, znakomicie pasuje do zupy. Siedzę, wpatrując się w pustą miseczkę.

- Chcesz jeszcze odrobinę zupy, Jacques? W garnku zostało jeszcze trochę. Potrząsam przecząco głową, nagle zdaję sobie sprawę z tego, że mnie nie widzi.

- Nie, Mirabelle. Zupa była bardzo smaczna, ale jestem już najedzony. - Patrzę na nią, wyraźnie koncentruje się na mnie, na każdym moim ruchu, każdym dźwięku. Domyślam się, że dla niewidomego stanowi to odpowiednik skupionego spojrzenia. - Nic mi nie jest, Mirabelle, odprężam się, jak mi radziłaś. Nie chce mi się spać, czuję tylko w sobie ogromny spokój.

- Chciałbyś posłuchać muzyki? Wydaje mi się, że to rozsądna propozycja. Raz jeszcze kiwam głową, zapominając o wszystkim.

- Tak, Mirabelle, z przyjemnością. Zbiera naczynia ze stołu. Próbuję jej pomóc, ale niełatwo jest nie wchodzić w drogę niewidomej, która zna swoje ścieżki. Uznaję, że lepiej będzie, jeśli usiądę i będę ją obserwował. Podziwiam skuteczność każdego jej ruchu, odkrywam drobne sposoby, jakimi nauczyła się rekompensować sobie ślepotę. Nie hałasuje naczyniami w zlewie, jak robiłaby to osoba "widząca". Brzmi to tak, jak gdyby zmywała, nie chcąc kogoś obudzić.

- Teraz posłuchamy muzyki, Jacques. Chcę zagrać ci coś, nad czym pracowałam przez cały dzisiejszy poranek. Idę w ślad za nią do pokoju muzycznego. Nie zapalam światła, nie będzie nam potrzebne. I tak wolę słuchać z zamkniętymi oczami. Otwiera

instrument i siedzi w ciszy przy klawiaturze, nie słyszę żadnego szelestu papieru nutowego. Muzyka jest w jej głowie. Siadam wygodniej. Tym razem jest to Francois Couperin, zaczyna od Tiefertocfechoc, utworu również polifonicznego, ale nie tak trudnego jak pierwsza suita, którą dla mnie zagrała. Gra doskonale. Unoszę się wraz z melodią, z dzwoniącymi rytmami. A potem chyba zasypiam, bo Mirabelle potrząsa mną delikatnie. Jest już gotowa, by kłaść się do łóżka, ma na sobie długą koszulę nocną z flaneli z marszczonym kołnierzykiem. Siadam nagle, nie wiedząc, gdzie jestem, niemal nieświadomy, kim ona jest, czuję się teraz jak mały chłopiec.

- Nie powinieneś tutaj spać, Jacques. Jest już bardzo późno, musisz się położyć. Podnoszę się z trudem.

- Przepraszam.

- Czy moja muzyka była tak bardzo nużąca, że zdołała cię uśpić?

- Nie, była doskonała," cudownie zagrana. Nic nie mogłoby być piękniejsze, czułem się tak, jak gdybym poszedł prosto do nieba, nie umierając.

- Po twoim oddechu wyczułam, że usną(es, a potem cicho chrapałeś. Rolande chrapała czasami, kiedy była bardzo zmęczona. Bierze mnie za ramię, wyprowadza do dużego pokoju i dalej do mojej sypialni. Odchyliła już kołdrę na moim łóżku. Błyskawicznie zapadam w sen. Dlaczego jestem tak bardzo zmęczony? Nie pracowałem przecież aż tak ciężko. Wsuwam się pod kołdrę, Mirabelle staje nade mną. Zaplotła włosy w długi warkocz, który przerzuciła ku przodowi przez lewe ramię. Dotyka mnie dłonią, a potem przysiadła na łóżku obok mnie. Zamykam oczy. Czuję jej dłoń na czole. Jest chłodna i lekka.

- Teraz zaśnij, Jacques, a jutro obudzisz się razem z dzwonami, wypoczęty i gotów do matowania. Zdaję sobie sprawę z tego, że weszła do sypialni swoich rodziców, obecnie mojego pokoju, po raz pierwszy od chwili, gdy spała tutaj ze swoją zmarłą matką tak wiele lat temu. To ostatnia myśl, jaką pamiętam. * Następnego dnia idę rano do sklepu BHV i zamawiam korek, farby, wałki, pędzle, wszystko to, co będzie mi potrzebne do odnowienia mieszkania. Postanowiłem malować pomieszczenia pojedynczo, aby nie robić bałaganu w całym mieszkaniu. BHV obiecuje dostawę następnego dnia. 187 Wracam do domu i opowiadam o wszystkim Mirabelle. Mówię jej, ile to będzie kosztować, wyjaśniam wszystkie rachunki, chcę, by wiedziała, w co się pakuje.

- Wszystko w porządku, Jacques. Nie wszystko potrafię zrozumieć, ale ufam ci i mam dość pieniędzy. Uczynienie pięknym tego mieszkania, domu moich rodziców, a obecnie naszego domu, to cudowny cel, by je wydać. Mam nawet książeczkę czekowa, potrafię się podpisać. Mam też swoje sposoby, aby wpisać liczby, nazwisko i daty w

odpowiednich miejscach na czeku. Chcesz, bym ci pokazała? Idzie do pokoju muzycznego i wraca z książeczką czekową. W środku ma niewielki kawałek folii z otworkami wyciętymi tak, by odpowiadały miejscom na czeku. Ciekawe, czy sama to wymyśliła, a jeśli tak, kto przygotował dla niej tę folię.

- Widzisz, potrafię sama wypisać czek. Teraz siadajmy do dejeuner, a potem pójdziemy malować plac Furstenberg. Dzień nie jest tak piękny jak wczorajszy. Słońce znika na długie chwile za szarymi chmurami. Kilka razy w czasie tego popołudnia wydaje mi się, że za chwilę spadnie deszcz, ale Mirabelle za każdym razem mówi, że nie.

- Powiem ci, gdyby miało padać, Jacques. Potrafię poznać to po powietrzu, szumie drzew i zachowaniu ptaków. Ptaki zawsze wiedzą. Ma rację. Malujemy przez cztery godziny, aż kończę mój obraz. Podjęliśmy pracę w tym samym miejscu, w którym ją przerwaliśmy, a gotowy obraz wydaje się prawie świecić własnym blaskiem. Co więcej, wiem od razu, kiedy jest już gotowy, żadnego wahania pod koniec, zastanawiania się, czy nie mógłbym go jeszcze ulepszyć. Nie mógłbym. Mirabelle również to czuje, prawie szybciej ode mnie.

- Wydaje mi się, że musi to być bardzo piękny obraz. Słyszę jego piękno w twoim głosie. Słyszę ludzi, którzy przystają, czasami mówią, Jaki jest cudowny, a czasami tylko milczą, ale ja wiem. Jakie wspaniałe popołudnie, myślę jednak, że niedługo zaczną padać. Chodźmy. * Tej nocy, kiedy kładę się już do łóżka, myśląc o swoim obrazie, słyszę, że drzwi do mojej sypialni otwierają się bardzo cicho. Światło w dużym pokoju jest zgaszone, słaby blask wpada jednak przez okno i z pewną trudnością dostrzegam Mirabelle w nocnej koszuli.

- Mogę wejść?

- Proszę, Mirabelle, wchodź. Przesuwam się w stronę drugiego brzegu łóżka. Mirabelle siada lekko na skraju. Milczy przez długą chwilę.

- Nie mogłam zosnąć. Byliśmy sobie dzisiaj; tak bliscy i teraz, w nocy, czuję się bardzo samotna. Rośnie we mnie lęk, wiedziałem chyba, że do tego dojdzie, myślałem, że jestem na to przygotowany, ale kiedy naprawdę się to stało, czuję się bardzo dziwnie. Mirabelle - podziwiam ją, szanuję, Kocham, ale nie ma we mnie ani odrobiny namiętności. Jak mogę jej to powiedzieć? Czy muszę?

- Jacques, czuję, że tak dobrze znam twój umysł i twoje serce, ale nic nie wiem o twoim wyglądzie. Nic nie wiem o mężczyznach. Ostatnim mężczyzną, który mnie dotknął oprócz lekarzy, był mój ojciec, byłem wtedy dzieckiem, a on poszedł na wojnę, gdy miałem Jedenaście lat. Nie wiem nic o tym, co czuje mężczyzna. Czuję twój zapach, słyszę cię,

kiedy dajesz mi całusa, czuję szorstkość twojej skóry, sztywne włosy w twojej brodzie, podobne do moich siwych włosów, ale to mszystko. Znowu milknie. Staram się wymyślić, co powinienem teraz powiedzieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Sięgam i biorę jej dłoń w swoją. W ciemnym pokoju jest chłodno.

- Jacques, proszę, czy mogę dotknąć twojej twarzy? Czy mogę pozwolić moim palcom, by powiedziały mi to, czego nie 189 mogą powiedzieć moje oczy, wyczuć kształt twojego nosa, ust, warg, tak bym miała w głowie twój obraz? Czy nie proszę o nazbyt wiele? Nadal milczę. Czuję smutek, pojmując całkowitość otaczających ją ciemności. Podnoszę jej dłoń z biodra i kładę na swoich wargach. Mirabelle opiera się drugą ręką o poduszkę obok mojej głowy.

- Dziękuję, jesteś bardzo dobry. Z początku trzyma dłoń na moich ustach, delikatnie zmieniając ułożenie palców na wargach. Przypomina to pocałunek. Potem zaczyna łagodnie pieścić koniuszkami palców moje wąsy, przesuając delikatnie po sztywnych włosach aż po kąciki ust. Zaczyna mnie łaskotać, ale staram się nie ruszać wargami. Wrażliwość jej dotyku jest wprost niewiarygodna. Bada koniuszek mojego nosa, lekko penetruje nozdrza czubkami palców, przesuwa je czule po krawędziach. Ponownie wsuwa je do nozdrzy, zdaje się czegoś szukać.

- Jacques, masz tak wiele włosów w nosie. Czy tacy są wszyscy mężczyźni? Sama mam kilka włosków, ale nie są tak sztywne i nie ma ich aż tak wiele. Powstrzymuję chęć wybuchnięcia śmiechem, chwycenia ją za rękę.

- Nie wydaje mi się, bym miał więcej włosów w nosie niż inni mężczyźni, Mirabelle. Dawniej, kiedy chodziłem do fryzjera, przycinał wystające włosy końcami nożyczek. Palce Mirabelle badają teraz grzbiet mojego nosa. Zatrzymuje kciuk i jeden palec na jego bokach, a potem przesuwa w stronę kącików oczu. Zamykam oczy. Nie może dotknąć moich gałek ocznych, to chyba najcenniejsze, co mam. Wydaje mi się, że czyta w moich myślach. Może wyczuła jakiś drobny ruch mojej twarzy.

- Nie zrobię ci krzywdy. Odpręż się, uczę się tylko ciebie, mężczyzn. 190 Czule przesuwa każdym palcem po kolei po moich powiekach, delikatnie łaskocząc brwi paznokciami. Muszę przyznać, że to wspaniałe uczucie. Nie sądzę, by kiedykolwiek ktoś tak bardzo się mną interesował. Pociera kciukiem brwi, w ten sposób, że podnoszą się na baczność, a potem przygląda je na powrót. Przesuwa się tak, że opiera się teraz o mnie bokiem, a potem unosi obie ręce, aby równocześnie przesuwać kciukami po obu brwiach, jej dłonie spoczywają na moich skroniach.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, Jacques, ale chcę poznać różnice pomiędzy obiema polewami twojej twarzy. Wiem, że dwie strony twarzy nie są nigdy takie same, tak jest też w twoim przypadku. Myślę, że musi to mieć spory wpływ na wygląd. Czy jest tak naprawdę?

- Tak, Mirabelle, malarz zawsze musi o tym pamiętać, kiedy maluje portret. Każdy z nas jest dwojgiem ludzi o jednej twarzy i ciele.

- Masz głęboko osadzone oczy, Jacques, i bardzo wystające łuki brwiowe. Czy tak samo wyglądają wszyscy mężczyźni? Muszą zatem wyglądać bardziej prymitywnie od kobiet, jeśli inne kobiety są takie jak ja.

- Moje oczy są głębiej osadzone, a brwi bardziej wydatne niż u większości mężczyzn, Mirabelle. Ale w zasadzie dotyczy to wszystkich ludzi. Nie wszystkie kobiety mają tak delikatne i łagodne twarze jak ty. Myślę, że stało się tak dlatego, że chroniła cię twoja ślepotą. W twojej twarzy nie ma twardości, która cechuje oblicza niektórych kobiet. Kładzie teraz dłonie po obu stronach mojego czoła, łagodnie śledząc linie brwi. Jej palec przesuwa się z jednego końca na drugi, jedna dłoń robi dokładnie to samo co druga, palce poruszają się jednak niezależnie. Tylko niewidomy lub muzyk może mieć tak lekki dotyk, panować nad każdą dłonią z osobna, a Mirabelle jest przeciwieństwem niewidomym muzykiem. Czasami kładzie dłonie na mojej twarzy tak delikatnie, że prawie nie czuję dotyku, tylko suchy chłód. Przesuwa palcami po moich włosach. Mam szczęście, nie straciłem ich jeszcze zbyt wiele. Łysina nie zagraża jakoś członkom mojej rodziny. Jednak siwieję, siwizna przesuwa się bokami od uszu i w dół, w kierunku brody. Ciekawe, czy Mirabelle będzie w stanie odróżnić siwe włosy od pozostałych, twardych jak owłosienie łonowe włosów w mojej brodzie. Jej dłonie, jej palce delikatnie przesuwiają się pośród włosów, lekko naciągając skórę na czaszce.

- Masz takie cudowne włosy, Jacques, są chłodne, chłodniejsze od twojej twarzy. Bardzo podoba mi się ich dotyk. Są jak woda, przepływają pomiędzy moimi palcami.

- Ja też czuję się cudownie, kiedy dotykasz moich włosów. Jesteś bardzo delikatna. Zsuwa dłonie w dół, ku uszom, jej palce przesuwiają się najpierw dookoła małżowin, a potem pod nimi. Bada równocześnie oboje uszu. Aby to zrobić, musiała prawie położyć się na mnie. Bada ich wnętrza czułymi koniuszkami palców. To zaczyna mnie podniecać. Mam bardzo wrażliwe uszy. Czuję dreszcz, ale próbuję nie zwracać na niego uwagi. Koncentruję się na tym jako na uczuciu, a nie erotycznej stymulacji. W końcu to tylko moje uszy.

- Ależ, Jacques, masz więcej włosów w uszach niż w nosie. Jesteś pewien, że dobrze słyszysz? Nigdy nie próbowałeś ich wyciąć? Kiedy znajduję jakiś włos w moim uchu,

wycinam go natychmiast. Nie dbasz o siebie w ogóle. Zachowuje się tak samo jak moja matka. Uspokajam się.

- Podejrzewam, że po prostu nie zwracam na to dostatecznie dużo uwagi, Mirabelle. Musisz jednak pamiętać, że mieszkałem na ulicach, a potem na strychu. Nie miałem czasu na przycinanie włosów w nosie i uszach, a poza tym nie miałem lusterka.

- To nie jest wytłumaczenie, ja sama przycinam włosy, a nie widzę. Niedługo wytnę ci włosy z uszu. Możesz się nie bać, nie skaleczę cię. Potrafię obchodzić się z nożyczkami. Nie zapomina;', że mieszkam na rue des Ciseaux*. Kładę swoje dłonie na jej dłoniach. Powoli podnoszę je i trzymam przed swoją twarzą. Całuję kolejno koniuszki jej palców, trzymając jej dłonie złożone jak do modlitwy pomiędzy moimi.

- Myślę, że powinniśmy już iść spać, Mirabelle. Jutro czeka nas wiele pracy. Dowiedziałem się, że mają dostarczyć materiały o dziewiątej rano, a zatem po śniadaniu. Ja pójdę biegać, ty zajmiesz się jogą i gimnastyką, a potem zabiorę się do mojego pokoju. Czy masz drabinę? Będę jej potrzebował.

- Tak, wydaje mi się, że jest w piwnicy. Znajdziesz tam też jakieś narzędzia, które mogą ci się przydać. - Po tych słowach pochyła się nade mną i całuje mnie bardzo szybko i bardzo delikatnie w usta. Wstaje. - Nie było tak źle, prawda? Czuję, że znam cię teraz o wiele lepiej. Jesteś przystojniejszy, niż przypuszczałam. Odwraca się i wychodzi z pokoju. Po pięciu minutach leżenia w ciemnościach zasypiam. Marzenia w mroku Jesteśmy sobie tak bardzo bliscy, kiedy pracujemy razem, czuję, że wiem dokładnie, co robi Jacques, czego ode mnie oczekuje. Stajemy się jednością. Co jednak musiał sobie pomyśleć o mojej wymarzonej sypialni? To takie dziecinne, a jednocześnie rozpustne, sypialnia dziwki. Wiem jednak, że on zdaje sobie sprawę z tego, że tego właśnie chcę, i robi to dla mnie. Pomoże mi poczuć się jak królowa, ukochana królowa. Ciseaux (franc.) - nożyczki. 13 - Spóźnieni kochankowie 193 Kiedy staliśmy na placu Furstenberg, sprawił, że poczułam, iż maluje mój plac, plac z moich marzeń. Potrafi czasami zachowywać się jak dziecko. Podejrzewam, że to właśnie czyni go artysta, sprawia, że tak bardzo go kocham. Oboje zachowujemy się jak dzieci. Muszę jednak uważać, by nie okazywać zbyt wiele arogancji, pewności siebie w opisywaniu moich prywatnych światów. Jacques nie może poczuć, że widzę jego ślepotę. Ale nie, nic takiego się nie dzieje, czuję to w naszych wibracjach, naszej bliskości. Tak cudownie było dotykać jego twarzy, poczuć twardość jego skóry, cudowne luki nosa, uszu, ust. Siłą jego dala pode mną sprawiła, że chciałam prawie krzyknąć ze szczęścia.

* * *

Rozdział 9

Dostawa z BHV dociera na miejsce dokładnie na czas. Odbylem codzienna przebieżkę, wykąpałem się, właśnie kończymy kawę, kiedy Mirabelle nagle podnosi głowę.

- Słyszę obce kroki na schodach. Może to dostawa z BHV? Trudno mi w to uwierzyć, Francja nie słynie zbytnio z punktualności dostaw, ale to jednak oni. Otwieram drzwi, a mężczyzna w niebieskim kombinezonie podaje mi potwierdzenie dostawy. Przeglądam je, ceny zgadzają się z tymi, które sobie zanotowałem, mówię więc, by wnieśli wszystko na górę. Oddaję papiery Mirabelle i mówię, na jaką sumę powinna wystawić czek. Nie ma żadnej opłaty za dostawę. Nie pomagam im wnosić rzeczy na górę, ponieważ chcę sam wszystko sprawdzić, upewnić się, że dostaliśmy wszystko w takim kolorze i jakości, jak zamawiałem. Wszystko się zgadza, daję więc facetom dziesięć franków napiwku, a oni, tupiąc, zbiegają po schodach. Później schodzimy razem z Mirabelle do cave, piwnicy. Bierze klucz z wiszącej obok drzwi tablicy, schodzi po schodach, a ja idę w ślad za nią.

- Od wielu już lat nie byłam na dole. Konsjerżka dała mi klucze, zanim przeniosła się do maison de retraite. Jeden klucz otwiera drzwi prowadzące na dół, a drugi naszą cave. - Odwraca się ku mnie i pokazuje klucze. - Numer naszej piwnicy powinien być na tej plakietce. Idę za nią aż do końca ciemnego korytarza. Włączam światło. Do piwnicy prowadzą strome, kręcone, kamienne schody. Szukam wzdłuż ściany, znajduję drewniane 195 drzwi z takim samym numerem jak na plakietce. Wkładam duży klucz do dziurki i otwieram zardzewiały zamek. Mirabelle stoi obok mnie. Znajduję rozstawianą drabinę z ośmioma stopniami, stopniami właśnie, a nie szczeblami. Drabina wykonana jest z drewna, w dzisiejszych czasach prawie wszystkie są z aluminium. Nie przypominam sobie, bym widział podobną kiedykolwiek w swoim życiu. To dąb, drabina jest więc bardzo ciężka. Znajduję też skrzynkę z zardzewiałymi narzędziami. Wybieram dwa młotki, murarski i do gwoździ, zardzewiałe kombinerki, dwa śrubokręty z drewnianymi rękojeściami, małą piłę, również zardzewiałą i szpachelkę. W skrzynce są przeróżne fascynujące narzędzia, jak drewniane strugi czy suwmiarki różnych rozmiarów. Do niczego mi się jednak nie przydadzą. Mam przynajmniej nadzieję, że nie. Zastanawiam się, kto mógł się nimi posługiwać, nie są to chyba narzędzia przydatne do reliure.

- To narzędzia mojego ojca, Jacques. Wydaje mi się, że nikt ich nie dotykał od chwili, gdy poszedł na wojnę. Mój Boże, śmierdzi tu jak w grobie. Zapomniałam już o tym. Przed wyjazdem konsjerżka przynosiła mi na górę wina Rołande. Widzisz je tam? Teraz, kiedy oboje pijemy wino, moje zapasy w mieszkaniu wyczerpały się prawie całkowicie.

Może następnym razem zaniesiemy trochę na górę. Proszę, chodźmy już stąd, wyjdźmy na świeże powietrze. Zarzucam drabinę na ramię i podnoszę kilka narzędzi, które odłożyłem ze skrzynki na podłogę. Drabina jest upiornie ciężka. Obserwuję, jak Mirabelle wchodzi ostrożnie po kręconych schodach. Wychodzę z piwnicy, odwracam się, aby zamknąć drzwi. Unoszę drabinę i ruszam na górę po schodach. Już przy pierwszym zakręcie zdaję sobie sprawę z tego, że drabina nie zmieści się, jeśli chcę nieść ją pod pachą. Muszę złapać ją oburącz i trzymać pionowo. Ostrożnie odkładam narzędzia na stopień, pod ścianę. 196

- Uważaj na narzędzia, Mirabelle. Położyłem je po lewej stronie na szóstym stopniu od dołu.

- Dziękuję. Słyszałam, jak je kładłeś. Nie możesz zmieścić drabiny na zakręcie, prawda?

- Tak, Mirabelle. Muszę mieć obie ręce wolne, by ją przenieść. , Wyprostowuję drabinę, zamykam i ustawiam pionowo, teraz idzie świetnie. Przenoszę ją aż do samych drzwi. Są zatrzaśnięte. Mam nadzieję, że Mirabelle zabrała ze sobą klucz, bo ja kompletnie o swoim zapomniałem. Mirabelle nadchodzi z narzędziami w ręku. Odkłada je na podłogę, sięga do kieszeni tablier, fartuszka, który ma na sobie, i wyjmuje klucz. Mija mnie i otwiera drzwi, a wtedy wchodzę do środka.

- Nie musiałaś wnosić narzędzi na górę, Mirabelle. Wróciłbym po nie zaraz.

- To była dla mnie przyjemność, Jacques. Mogłam coś zrobić. Nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawia mi to, że mogę być w czymś pomocna. Tak niewiele mogę zrobić w prawdziwym świecie. * Kiedy już zabieram się do roboty, pracuję przez cały dzień. Robię sobie tylko krótką przerwę na lunch. Mirabelle chce, bym wyszedł po południu malować, ale robota wciąga mnie całkowicie. Zapomniałem już, jaką radość może sprawić uczynienie jakiegoś miejsca takim, jakim się chce, własną ciężką pracą. Nie zdarzyło mi się to od czasów, kiedy zamieszkaliśmy w małym domku przy South Street Bridge w Filadelfii. Mirabelle wychodzi, aby nakarmić i zająć się gołębiami, ale wraca, zanim dzwony zaczynają bić.

- Nie będę ci przeszkadzać, jeśli zostanę tutaj? Czuję taką wielką radość, kiedy słyszę, jak czyścisz ściany i uderzasz młotkiem. Próbuję domyślić się z dźwięków, co ukośnie robisz.

- Zostań, proszę, Mirabelle. Lubię twoje towarzystwo. Będę ci opowiadać, co robię. Tylko czy twoje gołębie 197 nie będą się czuły rozczarowane? Nie chcesz chyba okradać ich ze swojego czasu?

- Och, Jacques, wiem, że nie lubisz moich gołębi. Proszę, nie żartuj sobie ze mnie.

- Mówię poważnie. Im lepiej cię poznaję, tym bardziej zdaję sobie sprawę z tego, że myliłem się co do gołębi. Nie szanowałem ich, za to, kim są, za to, jak cudownie są niewinne, ufne, tolerancyjne. Może to efekt tak długiej pracy w MBI. Tam ceni się tylko inteligencję, współzawodnictwo, wyścig. Naprawdę myślę, że uczę się od twoich gołębi, tak jak to powiedziałaś. Co więcej, uczę się od ciebie, Mirabelle. Milczy, siedzi i uśmiecha się do mnie prawdziwym uśmiechem guru, czego normalnie nie znoszę. Wiem, że jest szczęśliwa. Prawdopodobnie myśli, że powiedziałem to tylko po to, by sprawić jej przyjemność, ale mówiłem prawdę. To część przemiany, którą właśnie przechodzę. Mirabelle przerywa tę magiczną chwilę.

- Gdybym mogła ci jakoś pomóc, po prostu powiedz. Tak bardzo bym tego chciała. Kiedy to mówi, myślę, że to tylko miły gest, jednak kiedy przychodzi do przyklejania akustycznych płytek na suficie, a potem korka na ściany, okazuje się znakomitym pomocnikiem, ponieważ nie muszę schodzić z drabiny. Mirabelle podaje mi płytki, ja zaś mówię jej, co robię: pokrywam je warstwą mastyksu i przyklejam na swoim miejscu.

- Czy nie byłoby łatwiej i szybciej, gdybym to ja rozprowadzała mastyks na dole, a dopiero potem podawała ci gotowe płytki?

- Byłoby to dość trudne, Mirabelle, mastyks powinien być rozprowadzony równomiernie na całej płytce. To brudna robota.

- Mam w kuchni gumowe rękawice. Spróbuję. Wraca z kuchni, naciągając różowe rękawiczki. Schodzę z drabiny z myślą, że tak naprawdę spowolni to całą robotę. Jak to możliwe, by niewidoma kobieta właściwie nakładała mastyks, skoro większość świetnie widzących ludzi nie potrafi sobie z tym poradzić? Rozkładam na podłodze gazety i ustawiam obok nich stos płytek. Daję Mirabelle ząbkowaną szpachelkę, którą kupiłem specjalnie do mastyksu. Przygotowuję jedną płytkę i pozwalam jej sprawdzić palcami, jak gruba powinna być warstwa. Mirabelle klęczy obok mnie. Kiwa głową na znak, że rozumie. Wchodzę na drabinę i przyklejam przygotowaną płytkę. Zaczynam od narożnika przy oknie, potem przesuwam się wzdłuż ściany, następnie zamierzam umieścić szeregi wzdłuż pozostałych ścian. Patrzę w dół, Mirabelle trzyma już w ręku gotową płytkę, doskonale pokrytą mastyksem. Biorę ją z jej rąk.

- Tak dobrze?

- Doskonale, Mirabelle, jesteś po prostu cudowna.

- Być może po prostu jestem szczęśliwa. Czuję się przy tym jak prawdziwa kobieta, która pracuje z mężczyzną, i sprawia mi to mnóstwo przyjemności. Przy tych słowach klęka ponownie, rozprowadzając mastyks na następnej płytce, która jest gotowa dokładnie

wtedy, kiedy po nią sięgam. Praca idzie teraz o wiele szybciej. Mirabelle klęka i podrywa się, podając mi płytki na szczyt drabiny. Szybko zdaje sobie sprawę z tego, że to mnie przypadła lekka praca, że to ona musi się porządnie napocić. Po około piętnastu minutach pokrywamy cały narożnik sufitu, tak daleko, jak mogę sięgnąć, przesuвам więc drabinę. Łóżko odsunąłem już na początku pracy. Wszystkie meble w tej części pokoju zakryłem starymi gazetami.

- Mirabelle, chcesz zrobić sobie przerwę?

- Zmęczyłeś się, Jacques? Musi ci być bardzo niewygodnie, stoisz tak wysoko na drabinie i sięgasz do sufitu. Nie potrafię sobie nawet tego wyobrazić.

- Nie, to twoja praca jest bardziej męcząca. Myślałem o tobie. Nie jesteś zmęczona?

199

- Powiem d, kiedy będę zmęczona. Nie jestem taka stara, mam niezłą kondycję. Do obiadu mijamy środek pokoju, wkrótce nadejdzie pora na dalsze przycinanie i dopasowywanie płytek. Dzwony właśnie przestały bić. Schodzę z drabiny, biorę Mirabelle za rękę i podnoszę ją na nogi.

- Zjemy coś teraz, Mirabelle?

- Och, tak, już najwyższa pora, nieprawdaż? Dzisiaj zjemy smakowitą boeuf bourguignon. Zaczęłam przygotowywać ją dziś rano, powinna więc już być gotowa. Zdejmuję rękawiczki i rusza do kuchni. Czuję zapach boeuf bourguignon, kiedy podnosi pokrywkę ciężkiego, czarnego garnka. Zapach jest silniejszy nawet od wszechobecnej woni mastyksu, który pokrywa moje dłonie, mam nawet kilka plam na włosach. Idę do łazienki, aby się domyć. Kiedy wychodzę, okazuje się, że Mirabelle nakryła już do stołu, miesza właśnie sałatkę. Nie widać po niej, że pracowała cały poranek. Nigdzie nie jest powalana mastyksem, włosy ma starannie zaczesane. Ustawiam sobie krzesło i siadam przy stole. Jemy jak król i królowa.

- Mirabelle, jak nauczyłaś się tak cudownie gotować? Nigdy w życiu nie jadłem tak smacznej boeuf bourguignon.

- Kiedy jeszcze żyła moja siostra, gotowałam dla niej. Pokazała mi wiele rzeczy, których nauczyła się od naszej matki. To przynajmniej mogłam robić. Kiedy traci się wzrok, pozostałe zmysły bardzo się wyostrzają. Bardzo lubię jeść, czuć zapach jedzenia, jego smak. Jadam niewiele, ale bardzo uważnie. Zawsze irytowało to biedną Rolande, ponieważ jadłam tak wolno. Bardzo podoba mi się, że i ty jesz powoli.

- Dopiero niedawno się tego nauczyłem, Mirabelle. Kiedy żyłem na ulicach, czasami potrzebowałem tylko alkoholu. Kiedy zacząłem z tego wychodzić, kiedy sam gotowałem

sobie posiłki na strychu, nauczyłem się na 200 prawdę smakować jedzenie, starałem się rozróżniać odmienne smaki w ustach, tak by poznawać połączenia różnych warzyw, smak marchewki zmieszanej z ziemniakami, porem czy cebulą. Po raz pierwszy w życiu nie spieszyłem się i mogłem się odprężyć. Nauczyłem się, że mój czas należy tylko do mnie, a drobne przyjemności, jak jedzenie czy delektowanie się stanowią znaczną jego część.

- To bardzo mądre z twojej strony. Jak na młodego człowieka wiele się nauczyłeś.

- Nie jestem już taki młody, Mirabelle. Powiedziałem ci już, że mam czterdzieści dziewięć lat. Niedługo będę miał pięćdziesiątkę, pół wieku.

- Ach, jesteś więc młody. Masz przed sobą długie, ekscytujące życie. Zapomniałem, ile lat ma Mirabelle. Zgodnie z moimi obliczeniami, jest ode mnie starsza o dwadzieścia dwa lata. Trudno w to uwierzyć. Patrząc na nią, starannie kroji kawałek mięsa i wkłada go do ust. Jakoś to wyczuwa, podnosi wzrok i uśmiecha się do mnie. Później ponownie spuszcza wzrok na swój talerz. Powiedzieliśmy sobie coś bez jednego słowa. * Pracujemy przez resztę popołudnia. Mam specjalny przyrząd do dopasowywania płytek. Najpierw przycinam je, potem Mirabelle pokrywa każdą mastyksem, a ja umieszczam na swoim miejscu. Szybko nam idzie, kończymy, zanim dzwony wybijają szóstą wieczorem. Schodzę z drabiny i patrzę na sufit. Płytki są śliczne, a cały pokój stał się jaśniejszy od odbitego światła. Mirabelle staje obok mnie.

- Możesz powiedzieć, jak to wygląda? Wiem, że jesteś z siebie dumny. Podobnie jak przy obrazach, wyczuwam to w twoim głosie, twoich ruchach. Spróbuj mi to powiedzieć, proszę.

- To proste, Mirabelle. W tej chwili zamiast poplamionego, ciemnego sufitu pełnego pęknięć, masz białą 201 płaszczyznę. Kwadraty przylegają do siebie, a w płytkach są niewielkie otworki ułożone w linie, prawdopodobnie wyczułaś to sama palcami. Teraz biel płytek odbija światło wpadające przez okno i drzwi. Jest tu o wiele jaśniej, a sufit wygląda jak nowy.

- Brzmi wspaniale. Dziękuję. Dobrze mi się z tobą pracowało, Jacques. To był następny dobry dzień, teraz chodźmy zjeść souper.

- Najpierw tu posprzątam i przesunę łóżko z powrotem na swoje miejsce. Ułożę gazety na komodzie, jeszcze się przydadzą. A przy okazji, Mirabelle, skąd bierzesz wszystkie te gazety?

- Dostaję je od konsjerżki z sąsiedztwa. Odkryłeś właśnie jeden z moich małych sekretów. Kiedyś pokażę ci, co z nimi robię. * Tej nocy czuję ból w mięśniach ramion i

pleców od trzymania rąk w górze. Czuję też, że na coś czekam. Nie trwa to długo, drzwi otwierają się odrobinę, w szparze widzę sylwetkę Mirabelle na tle okna za jej plecami.

- Mogę wejść, Jacques? Nie jesteś zbyt zmęczony?

- Wejdz, Mirabelle. Prawdę powiedziawszy, leżałem sobie w ciemnościach, czekając na ciebie. Staralem się zgadnąć, co niewidoma kobieta może robić z gazetami. Może tak naprawdę nie jesteś niewidoma, a grasz tylko w jakąś niezrozumiałą dla mnie grę. Mirabelle wchodzi do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Nie bądź okrutny, Jacques. O gazetach opowiem ci innym razem. Być może cel, do którego je wykorzystuję, jest nieco dziwny, ale niewidomi muszą korzystać ze wszystkich możliwości. Siada na łóżku obok mnie. W ciemnościach widzę jej otwarte oczy. Naprawdę trudno teraz uwierzyć, że jest niewidoma, albo że ma siedemdziesiąt dwa lata. Włosy zaplotła w warkocz, który przerzuciła przez lewe ramię tak samo jak poprzednim razem. Pachnie delikatnie różami i odrobinę bzem. Ma na sobie inną nocną koszulę ozdobioną koronkami na mankietach długich rękawów i nie tak obcisłą przy kołnierzyku. Wyciągam rękę i chwytam jej dłonie.

- Chcesz znowu mnie badać, Mirabelle? Czy chcesz dowiedzieć się o mnie czegoś więcej?

- Proszę, nie drażnij się ZA mną. Chcę wiedzieć o tobie tyle, ile tylko mogę. Chcę wiedzieć wszystko o tobie jako o człowieku, nie tylko jako o mężczyźnie. Czy to źle?

- Nie, to nie jest złe, Mirabelle. Bardzo dobrze to rozumiem. Musisz czuć się okropnie, taka samotna.

- Teraz nie jestem już samotna. Puszczam jej dłonie, a ona wyciąga ręce i kładzie obie dłonie na moich uszach. Trzyma je pomiędzy kciukiem a pozostałymi palcami, kciukiem zatykając dziurki, czuję się więc jak głuchy. Jej dłonie zsuwają się powoli wzdłuż mojej szyi, jak gdyby wkraczały na wrogie terytorium. Mirabelle leży na mojej piersi, jej dłonie spotykają się teraz na moim karku. Splata palce i ciągnie delikatnie, jak gdyby chciała zważyć moją głowę.

- Twoja głowa jest taka duża. Musi być dwa razy większa od mojej. Wiem, że jesteś ode mnie wyższy przynajmniej o trzydzieści centymetrów, ale nie sądziłam nigdy, że twoja głowa jest tak duża i ciężka. - Mówiąc te słowa, przesuwa dłońmi po głowie, twarzy. Jej dotyk przypomina muśnięcie motyla, jest taki lekki, wyczuwa każde wgłębienie, każdą szczelinę czy zmarszczkę, jak gdyby rzeźbiła, kształtowała moją głowę. Dłonie zatrzymują się na moim gardle, kciuki spoczywają we wgłębieniu powyżej mostka, pomiędzy

obojęczykami. - Powiedz coś, proszę, Jacques. Chcę poczuć, jak mówisz. Wiem, że moja krtań wibruje, kiedy mówię, myślę, że tak samo musi być i u ciebie.

- Co mam powiedzieć?

- Och, cudownie wibruje, silniej niż u mnie. Proszę, powiedz coś jeszcze, cokolwiek. Milczę. W pierwszej chwili nie mam pojęcia, co mam powiedzieć, a potem już wiem. 203

- Mirabelle leży w moim łóżku. Trzyma dłonie na mojej szyi, bada mnie. To cudowna kobieta, najbardziej niewiarygodna kobieta, jaką kiedykolwiek poznałem. Sprawia, że moje życie staje się z każdym dniem bardziej podniecające, mam nadzieję, że potrafię sprawić, by i jej życie stało się lepsze. Milknę. Mirabelle opuściła głowę na moją pierś, leży teraz z uchem na moim sercu, dłonie nadal trzyma na mojej grdyce.

- To było cudowne, Jacques, zarówno to, co usłyszałam, jak i to, co czułam, kiedy mówiłeś. Słyszę też twoje serce, bije bardzo mocno i bardzo wolno. Nigdy jeszcze nie słyszałam bicia serca. Czasami czuję puls w głowie czy w nadgarstku, czuję go też w swojej piersi, ale nigdy nie słyszałam prawdziwego bicia serca. Wcale nie przypomina bicia bębienka. Brzmi raczej jak cichy ryk; dźwięk toczy się, burczy, za każdym razem jest inny. Przypomina Bacha, na dwa, a może nawet trzy albo cztery głosy. Jest cudowny, to lepsze niż słuchanie wody czy bicia dzwonów. To dźwięk życia, spraw, które trwają w ciemnościach jak ja. Żyją niewiążące i niewidzialne. Unoszę ramiona w górę i lekko kładę je na jej plecach.

- Ja cię widzę, Mirabelle, czuję twój dotyk i twój zapach. Tej nocy jesteś wraz ze mną w łóżku. Pozostaje tak przez długą chwilę z głową na mojej piersi, aż wydaje mi się, że zasnęła. Czy powinienem położyć ją obok siebie? Nie, to mogłoby oznaczać wykorzystanie sytuacji. Przesuwam się i Mirabelle podnosi głowę. Kładę dłonie na jej dłoniach spoczywających na mojej szyi. Splatamy palce. Nie podnosząc głowy z mojej piersi, zaczyna delikatnie badać moje palce. Bierze dłoń w obie ręce i przesuwa powoli wzdłuż każdego palca, zatrzymując się na stawach, naciskając u podstawy. Trzyma kolejno każdy palec w dłoni, ściskając go lekko, później ściska tak po dwa palce, zaczynając od kciuka i małego palca. Bada wnętrze dłoni, przesuwając paznokciem wzdłuż wewnętrznych linii aż po nadgarstek, 204 jak chiromantka. Bada tak obie moje dłonie, jej palce poruszają się niezależnie od siebie, pieszcząc, gładząc moje ręce. Później odwraca dłonie i bada ich grzbiety, śledzi przebieg żył i knykcie, przesuwając dłoń po włoskach. W ciemnościach odkrywa dla siebie i dla mnie sprawy, o których tak naprawdę nie wiedziałem, kojąc mnie, uzdrawiając, odprężając. Przykłada swoje dłonie do moich i podnosi głowę.

- Wydaje się mi, że twoje dłonie są dwa razy większe od moich. O tym również nie pomyślałam. Czy nie masz wrażenia, że są zbyt duże? Wydają się takie silne, że mógłbyś zmiążdżyć moje ręce, nawet tego nie zauważywszy, gdybyś tylko chciał. Mężczyźni naprawdę są odmienni od kobiet, nieprawdaż?

- Nie mam szczególnie dużych dłoni, Mirabelle. Znałem kobiety, których dłonie były większe, były też bardziej zgrabne, miały dłuższe palce. Nie mam dłoni artysty, to raczej dłonie robotnika. Ludzie czują się często rozczarowani, kiedy widzą, że nie mam smukłych, delikatnych rąk artysty.

- Nie jestem rozczarowana. Myślę, że twoje dłonie są doskonałe. Nie wiedziałem w ogóle, że ręce mogą być takie jak twoje. Wiele się dzisiaj nauczyłam, Jacques, dziękuję. Pójdę już sobie, abyś mógł spać. Nie puszczając mojej dłoni, pochyla się i całuje mnie w usta, delikatnie, trwa to tylko chwilę. Próbuje odwzajemnić jej pocałunek, ale już jej nie ma. Przez kilka chwil stoi przy łóżku, a potem wychodzi z pokoju. Zapadam w sen. Czuję się cudownie dopieszczony, uspokojony w tym wielkim łóżu. * Następnego ranka przy śniadaniu postanawiamy, że po południu będziemy malować. Rano wystarcza nam czasu, aby wyłożyć korkiem jedną ścianę pokoju, wychodzącą na podwórko. Nawet nieźle wygląda. Z początku pewne trudności sprawia mi dobieranie faktury i do205 pasowywanie kwadratów bez brudzenia przodu mastyksem, ale po pewnym czasie udaje nam się opanować i tę umiejętność. Mirabelle pomaga tak jak wczoraj, smaruje kwadraty mastyksem i podaje mi. Pytam, czy mięśnie nie zesztyniały jej od kucania i prostowania się, ale odpowiada, że nie, joga i gimnastyka sprawiły, że jest bardzo sprawna i silna. Muszę przyznać, że kiedy tego dnia po raz pierwszy wchodzę na drabinę, czuję ból w mięśniach, ale kiedy robota się rozkręca, wszystko mija. A zatem po wspaniałym lunchu idziemy malować. Tym razem wybieramy się na rue des Canettes, wychodzącą na plac SaintSulpice. To jedno z ulubionych wspomnień Mirabelle. Chce, byśmy się ulokowali na chodniku około trzydziestu metrów od placu, na tej stronie, gdzie do rue des Canettes dochodzi rue Guisarde. Ustawiam się w tym właśnie miejscu, rozczarowany, ponieważ nie widzę większej części placu. Chciałbym umieścić na swoim obrazie fronton kościoła i fontannę, ale zasłonięte są teraz przez inne budynki. Siedzę przez minutę, próbując obmyślić jakąś sensowną kompozycję. Mirabelle zaczyna mówić.

- Czyż to nie piękne? Kolumny kościoła, woda tryskająca z fontanny i światło przebijające się wśród, drzew. Wiesz, że to jedno z nielicznych w Paryżu kasztanów o czerwonych kwiatach? Lubię oglądać plac z tego miejsca, ponieważ widać stąd, jak z szeregu ciemnych budynków wynurza się plac pełen światła i wody. Czy nie przypomina to

wychodzenia z tunelu na światło? Zastanawiam się, czy powinienem jej powiedzieć. Jeśli chcę namalować widok, który opisuje, musiałbym przejść około pięćdziesięciu metrów bliżej placu.

- Mirabelle, czy jesteś pewna, że chciałaś, byśmy stanęli właśnie w tym miejscu, z dala od placu, na przeciwnej stronie rue Guisarde?

- Tak, dlaczego pytasz, czy nie jest tu pięknie? 206

- No cóż, szczerze mówiąc, Mirabelle, prawie wcale nie widzę stąd placu, tylko wieże kościoła ponad budynkami i wolną przestrzeń pomiędzy kolumnami i fontanną. Czy jesteś pewna, że właśnie z tego miejsca chciałaś malować?

- Och, taś mi przykro, chyba wszystko pomieszało mi się trochę przez te lata. Myślałam, że widać stąd rue Guisarde. Wiem, że ją widzę w wyobraźni, ale to chyba nie może być prawda.

- Może połączyłaś w myślach dwa różne widoki, Mirabelle. Te domy mają na oko przynajmniej sto lat, nie sądzę, by coś się tu od tej pory zmieniło. Jestem pewien, że musimy przesunąć się bliżej placu.

- Dobrze, jeśli tak mówisz. Czy mógłbyś trochę zmienić rzeczywistość? Mógłbyś namalować budynki stąd, zostawiając wolne miejsce na plac? Potem przesunęlibyśmy się bliżej, tak byśmy widzieli cały plac i wstawiłbyś go w to miejsce. Czy mógłbyś to zrobić? W ten sposób moglibyśmy umieścić na pierwszym planie rue Guisarde odchodzącą w lewo. Szalony pomysł. Mirabelle tworzy kompozycję obrazu, nic nie widząc. Z początku wydaje mi się, że to szaleństwo, pogwałcenie rzeczywistości. Dopiero po chwili dostrzegam otwierające się przede mną możliwości. Nic nie powstrzyma mnie przed zrealizowaniem tego pomysłu. Jeśli istnieje w wyobraźni Mirabelle, ja mogę to zobaczyć i pozwolić dostrzec to innym. Dlaczego nie? Przechodzę kawałek ulicą i znajduję miejsce, z którego dostrzegam wszystko to, co opisała Mirabelle. Później wracam do miejsca, w którym się ustawiliśmy. W końcu nie tworzę architektonicznych rysunków miasta. Ma to być dzieło miłości, miłości do Paryża, miłości do Mirabelle, jej miłości do mnie. Siadam obok niej i wyjaśniam, co zamierzam zrobić.

- To będzie cudowne, Jacques. W ten sposób pokażesz wszystkim moje wizje, choć w rzeczywistości nikt nie może ich zobaczyć. Będzie to nasz osobisty widok Paryża, Paryż, który stworzymy sami. To cudowne. 207 Zaczynam szkicować. Poszerzam odrobinę ulicę, usuwam kilka budynków, aby mieć więcej przestrzeni na plac w tle. To okazuje się trudniejsze, niż przypuszczałem. Nie chcę za bardzo zniekształcać perspektywy i proporcji, tak by nie wprowadzać nieładu do mojego obrazu. Nie robię tego dla pozorów

rzeczywistości, a z przyczyn wyłącznie malarskich. W końcu udaje mi się stworzyć satysfakcjonującą „przednią” część obrazu i razem przesuwamy się bliżej placu. Maluję wszystko, co stąd widzę, fasadę kościoła z kolumnami, wieże, każda inna, jedna przypomina zwariowaną szpulkę nici, zbudowaną z kamienia. Przesuwam się w głąb placu, usuwam samochody, wciskam połowę fontanny. Na moim obrazie będzie tryskać wodą, choć naprawdę jest sucha. W miarę szkicowania wyjaśniam Mirabelle, co właśnie robię. Ona również opisuje dla mnie zachowany w pamięci widok, gry, w które grały właśnie tutaj, jazdę na łyżwach w zamrożonej fontannie pewnej zimy w czasie wojny. Opowiada mi o wieżach, o konkursie na projekt drugiej wieży, pierwsza stała samotnie przez długie lata. Architekt, który wygrał konkurs na projekt, był tak ostro krytykowany przez wszystkich, którzy zobaczyli zaprojektowaną przez niego wieżę, że wspinał się na sam jej szczyt i skoczył. Mirabelle twierdzi, że jego grób znajduje się obok krużganków kościoła. Ponieważ popełnił samobójstwo, nie mógł być pochowany w poświęconej ziemi. Wie to z opowiadania Rolande. Przypomina mi to opowieść o architekcie, który zaprojektował operę w Wiedniu i zapomniał o schodach i z rozpaczy również popełnił samobójstwo. Architekci to banda szaleńców, pół artyści, pół rzemieślnicy, zagubieni pomiędzy rzeczywistością i wyobraźnią. Przenoszę sztalugi i stołeczki na miejsce, gdzie zacząłem malować, w głąb rue Guisarde, wyciskam farby na paletę, aby rozpocząć podmalówkę. Miło jest mieć 208 w głowie szerszy, pełniejszy obraz placu SaintSulpice; kiedy pracuję, patrzę w górę długiej ulicy łagodnie skręcającej w lewo. Mirabelle mówi, że nazwa ulicy, rue Guisarde, pochodzi z czasów, kiedy książę de Guise miał tu swoje stajnie, a nad nimi mieszkała jego ochrona. Trudno nawet sobie wyobrazić, że kiedyś w tej starej, ale eleganckiej dzielnicy trzymano konie. Mirabelle pyta, jak wygląda niebo, czy są na nim chmury. Niebo jest bladobłękitne z białymi pasemkami obłoków. W nocy musiał spaść deszcz, ponieważ wszystko zdaje się takie czyste. Nawet budynki jakby lśnią, a może to tylko mnie się tak wydaje, bo sam czuję, że lśnię czystością. Mirabelle siedzi w słonecznej plamie, stworzonej przez promienie przebijające się pomiędzy budynkami tuż za mną. Tło maluję w żywych, ciemnych, mocno nasyconych kolorach, podobnie jak namalowałem cienie na placu Furstenberg. Później przesuwam sztalugi i stołeczek tak, by widzieć plac SaintSulpice. Jest tu pełno światła, wprost oślepiająco jasno. Fontanna zaczyna szumieć, ludzie, korzystając ze słońca, siedzą w małej kafejce na rogu, gdzie ulica dochodzi do placu. Przechodnie zatrzymują się, patrzą, a potem ruszają dalej. Zastanawiam się, czy domyślają się, że Mirabelle jest niewidoma. Posługuję się jasnożółtą ochrą i sjeną paloną oraz bladą, rozmytą zielenią na drzewa. Kontrast, nawet na tym etapie, jest fantastyczny. Przez cały

ten czas Mirabelle dzieli się ze mną swoją wizją tak jak ostatnim razem. Nie jest ona zbyt odmienna od tego, co widzę, z wyjątkiem przesunięcia miejsca. A może to ja zaczynam widzieć tak jak ona, jej wizja zastępuje to, co jawi mi się przed oczami. Nic mnie to jednak nie obchodzi. Farba znowu zdaje się sama płynąć z pędzla. Przerywam tylko wtedy, kiedy muszę wycisnąć na paletę dodatkową jej porcję. Odkrywam, że maluję z większym 14 - Spóźnieni kochankowie 209 impetem, szybciej, zawsze wiem, co robić, opuścił mnie lęk przed błędem, który prześladował mnie przy poprzednich obrazach. Coś w moim wnętrzu zmienia się zdecydowanie. Nre czuję się już tak kontrolowany przez Mirabelle, raczej posuwam się razem z nią, pracujemy równym rytmem. Czas jakby przestał istnieć. Kilka razy nieomal automatycznie zbliżam się i oddalam od placu, Mirabelle przechodzi wraz ze mną. Wielu tu przechodniów, dużo samochodów, ale ja nie zwracam na to uwagi, a ludzie po prostu nas omijają. Kiedy dzwony biją piątą, czuję, jak Mirabelle lekko dotyka mego ramienia.

- Tak spokojnie pracujesz, Jacques, tylko co pewien czas słyszę skrzypnięcie twojego krzeselka, albo pogwizdujesz cicho. Jestem pewna, że malujesz coś pięknego.

- Myślę, że malujemy to razem. Ten obraz może być jeszcze piękniejszy niż Plac Furstenberg, tak wiele światła i przestrzeni zmieściło się na tak niewielkim płótnie. Sam jestem zaskoczony, słysząc, że nazwałem płótno o rozmiarach 25 Figurę małym. Jeszcze kilka tygodni temu wydawało mi się, że to ogromna powierzchnia.

- Może powinieneś już skończyć na dzisiaj, póki jeszcze nie czujesz się zbyt zmęczony. Nie należy się przemęczać, wtedy nie chce się ponownie zabierać do pracy. Chodźmy, usiądziemy na kilka minut w kawiarni, wypijemy po filiżance Viandox, posłuchamy, jak dzwony biją szóstą. Ciężko pracowałeś, zasłużyłeś na nagrodę. Podnoszę się i przyglądam obrazowi. Mogę przerwać w tym momencie równie dobrze jak w każdym innym. Teraz muszę sobie radzić z cieniami rzucanymi przez jedne budynki na drugie, będę musiał poczekać do jutrzejszego wczesnego popołudnia, by uzyskać światło, w jakim zakomponowałem obraz.

- Masz rację, Mirabelle. Będę musiał się całkowicie skoncentrować, aby skończyć ten obraz. Kiedy jest się podnieconym, łatwo o pośpiech, a wtedy nie wszystko wychodzi jak należy. 210 Składam sztalugi, krzeselka i podaję ramię Mirabelle. Wchodzimy w nasz obraz, idziemy ulicą w stronę placu, który otwiera się przed nami. Żałuję, że ona nie może tego widzieć. Jak bardzo chciałbym, by mogła uczestniczyć w tym, co widzę i czuję. Znajdujemy wolny stolik przed Cafe de la Mairie. Słońce świeci, jeszcze chłodne o tej porze, mimo to jest bardzo przyjemnie.

- Nie jest ci zimno, Mirabelle?

- Nie, ale pozwól, że usiądę blisko ciebie. Może chłód to tylko wymówka. Lubię siedzieć blisko ciebie, czuć ciepło twojego ciała, twoje ruchy. To sprawia, że nie czuję się tak bardzo samotna, jestem wtedy szczęśliwa. Przysuwa się bliżej mnie i wsuwa mi ramię pod pachę. Kelner podchodzi do nas, zamawiam dwa razy Viadox, to rosół, rodzaj bulionu, zazwyczaj podawany z solą selerową. Kelner wraca po krótkiej chwili, chce, byśmy zapłacili od razu, ponieważ właśnie kończy zmianę. Daję mu pieniądze i niewielki napiwek. Przedziera nasz rachunek i wsuwa połówkę pod mój kubek. Parujący Viadox znakomicie smakuje w chłodnym powietrzu wczesnego wieczora. Obserwuję, jak Mirabelle orientuje się w przestrzeni. Puszczą moje ramię i wyszukuje brzeg blatu stolika, a potem kubek. Podaję jej sól selerową, wsypuje odrobinę. Bierze kubek za ucho, palcami drugiej ręki prowadzi ciężkie naczynie do ust. Pochyliam się nad swoim kubkiem i oglądam się na sztalugi. Wszystko w porządku, płótno ustawione jest przodem do ściany.

- Ten Viadox jest taki smaczny i ciepły, Jacques, zbyt gorący dla mnie. Moje wargi są bardzo wrażliwe. Próbuję. Ciepły, jednak nie nazbyt gorący, ale ja potrafię przecież pić prawie wrzącą kawę. Przyjemnie ogrzewa przełyk i żołądek. Wsypuję jeszcze odrobinę soli selerowej. Podaję solniczkę Mirabelle, kiedy odstawia swój kubek na stół. 211

- Chcesz jeszcze soli, Mirabelle?

- Nie, jest już dobry, tylko trochę za gorący. - Obraca głowę, wciąga powietrze, wacha, jak sędzę. - Czy sądzisz, że ktoś spośród przechodniów domyśla się, że jestem niewidoma, gdy tak siedzę, Jacques?

- Czasami nawet ja nie jestem tego pewien, Mirabelle. Myślę, że przeżywasz więcej niż ktokolwiek, wszyscy tutaj zdają się tak bardzo zamknięci w sobie. Nie widzę wokół nas ani jednego uśmiechu. Tylko my jesteśmy radośni. Mirabelle uśmiecha się do mnie.

- Może wiośnie dlatego wiedzą, że ja jestem niewidoma, być może wiedzą również, że jesteś artystą.

- Pewne jest, że kiedy widzą moje ubranie poplamione farbą i sztalugi oparte o ścianę za moimi plecami, wiedzą na pewno, że nie pracuję w Treser po przeciwnej stronie placu. Popijamy zupę, która robi się coraz chłodniejsza, podobnie jak wieczorne powietrze. Mirabelle dopija swój Viadox, wstajemy więc od stolika, zarzucam na ramię sztalugi i ruszamy do domu. Kiedy schodzimy w dół rue des Canettes, Mirabelle nuci coś cicho. Rozpoznaję preludium Bacha, które grała dla mnie ostatnio.

- Tak, Jacques, to preludium nadal chodzi mi po głowie. Muszę posłuchać go jeszcze raz, są w nim pewne części, których nie usłyszałam i nie zagrałam jak należy. Marzenia w

mroku Zeszłej nocy byliśmy sobie tak bliscy. Nigdy nie myślałam, że będę... że mogłabym być z kimś tak bardzo blisko. Wszystko było tak bardzo jasne. To było coś więcej niż widzenie czy dotyk. Jacques jest takim dobrym człowiekiem. Czasami prawie zdaje mi się, że i on mnie kocha. Ale to niemożliwe. Muszę pamiętać, że jestem starą, niewidomą kobietą. Wspólna praca, poczucie, że jestem potrzebna, że stanowią część czegoś, daje mi tyle nadziei i radości. Kiedy Jacques mówi, że pomagam, nie robi tego tylko z uprzejmości. Nie zrobiłby czegoś takiego, naprawdę biorę udział w jego pracy. Na ulicy, kiedy malowaliśmy plac od strony rue des Canettes, również byliśmy razem, tylko w odmienny sposób. Nasze umysły zlały się w jedno, tworząc nasz własny, osobisty świat, czułam, że chcę go przytulić, pocałować, sprawić, by i on mnie pokochał. Czy inni ludzie też to czują? Czy to właśnie mają na myśli, kiedy mówią, że są zakochani? Nie mogę w to uwierzyć, wiem, że to, czego doświadczamy razem z Jacquesem, to coś bardzo wyjątkowego, coś większego niż samo życie. Och, jak bardzo chcę ponownie dla niego zagrać. Muzyka jest jedynym sposobem, w jaki mogę mu podziękować za wszystko, co mi daje. Kiedy gram, muzyka unosi moje serce, wyobrażam sobie wtedy, jak przenika do jego uszu, jego wnętrza, a ja jestem częścią tej muzyki, należę do niego.

* * *

Rozdział 10

Tej nocy przychodzi znowu, kiedy leżę już w łóżku i odpoczywam. Czekałem na nią. Zastanawiam się, jaką tym razem posłuży się wymówką. Usuwa się i Mirabelle siada obok. Milczy przez kilka chwil.

- Jacques, bądź wobec mnie uczciwy. Czy jesteś zły, kiedy przychodzę do ciebie, gdy chcesz już spać?

- Nie, Mirabelle, jest mi bardzo miło, kiedy do mnie przychodzisz. Zastanawiam się, do czego to doprowadzi. Nie kłamię, miło mi, kiedy tak przychodzi, pachnąca czystością, delikatna, tak bardzo dziewczęca, kiedy łagodnie mnie dotyka.

- Czy uważasz, że jestem bezwstydna, czy nie boisz się tego, że chcę być razem z tobą i poznać cię fizycznie? Bądź wobec mnie uczciwy. Jestem bardzo szczęśliwa dlatego tylko, że mieszkasz ze mną wiesz przecież o tym.

- Mirabelle, powiem ci, gdybyś zrobiła coś, czego sobie nie życzę. Twój dotyk jest tak bardzo zmysłowy, że zaczyna mnie podniecać. Powiem ci, gdy będzie to zbyt silne.

- Czy mogę położyć się obok ciebie, Jacques? Nigdy nie leżałam tak z nikim, oprócz mojej matki. Czy to byłoby już zbyt wiele? Ciekawe, czy mówi teraz o chwili, kiedy położyła się do łóżka ze swoją martwą matką, czy też wspomina chwile, kiedy sypiała z nią jako dziecko. Powiedziała przecież, że Rolande myślała, że ucięła sobie z matką drzemkę, kiedy wróciła do domu i znalazła je obie w łóżku, możliwe więc, że chodzi tylko o to. Odchyłam kołdrę, Mirabelle wsuwa pod nią stopy. Są bardzo zimne. Przykrywam ją, a ona odwraca się ku mnie. Obejmuję ją. Przez długą chwilę nic nie mówimy.

- To dla mnie tak silne wrażenie, Jacques. Nie sądzę, by osoba widząca mogła zrozumieć, jak wiele znaczy dotyk dla niewidzącego. Jestem tak bardzo samotna. W odpowiedzi obejmuję ją jeszcze mocniej. Wydaje się tak krucha, taka lekka. Przytula się do mojego ramienia i czuję, że całe jej ciało drży. Mirabelle płacze. Przytulam ją jeszcze mocniej, unosi głowę tak, że w ciemnym pokoju mogę dostrzec jej twarz.

- To nie jest wobec ciebie uczciwe, prawda, Jacques? Wykorzystuję ciebie, twoją dobroć, twoją łagodność, twoją przyjaźń. Wiem, że jestem starą kobietą a ty młodym mężczyzną.

- Jestem szczęśliwy, Mirabelle. Cieszę się, że leżysz ze mną w łóżku; wiele czasu minęło od chwili, gdy po raz ostatni z kimś spałem.

- Dla mnie to ponad sześćdziesiąt lat, Jacques, sześćdziesiąt lat w pustym łóżku. Znowu milczymy przez chwilę, Mirabelle kładzie mi głowę na piersi. Wiem, że wsłuchuje

się w bicie mojego serca. Musi zdawać sobie sprawę z tego, że bije ono teraz szybciej i mocniej niż poprzednim razem. Szeptę jej do ucha.

- Chciałabyś jeszcze trochę mnie "pobadać", Mirabelle? Czy jeszcze coś chciałabyś o mnie wiedzieć?

- Chciałabym wiedzieć o tobie wszystko, Jacques, czy to cię przeraża? Sięgam rękami za głowę i ściągam górę od dresu. Przytulam ją do siebie, ale ona odpycha mnie gwałtownie, kładąc dłonie na mojej piersi.

- Och, Jacques, jesteś cały owłosiony! Przesuwa dłonią po klatce piersiowej, przebiegając palcami po mięśniach i wgłębieniu pomiędzy nimi. Rzeczywiście jestem bardziej owłosiony niż większość mężczyzn. Mam również włosy na plecach. Lorrie wstydziła się zawsze, kiedy wybieraliśmy się na plażę; nigdy tego nie powiedziała, ale czytałem to w jej oczach. Mirabelle bawi się moimi włosami, odsuwa je na różne strony, pociąga, trzymając między palcami, a potem pozwala, by ułożyły się na powrót.

są takie długie i sztywne. Naprawdę nie musisz nosić ubrania, z takimi włosami i tak powinno ci być ciepło. Nie przypuszczałam, że mężczyźni są tacy.

- Nie wszyscy są tak włosiaci jak ja, Mirabelle, poza tym w pewnych miejscach nie jestem owłosiony i aresztowano by mnie, gdybym spróbował chodzić bez ubrania. A poza tym byłoby mi zimno. Układa się na mnie, jedną nogę wciskając pomiędzy moje uda. W tej chwili trzyma obie dłonie na mojej piersi, pieści mnie delikatnie, przesuwając je w górę, w stronę obojczyka, później ponownie w dół, aż do miejsca, gdzie zaczynają się mięśnie brzucha. Równocześnie odnajduje sutki wśród gęstwy włosów. Powoli, delikatnie odsuwa włosy, aż obnaża je zupełnie. Sutki zaczynają twardnieć, czuję też, jak unoszą mi się włosy na karku. Zresztą nie tylko włosy na karku. Ciekawe, czy Mirabelle to czuje.

- A więc mężczyźni również je mają. Wiem, że mężczyźni mają mniejsze piersi niż kobiety. Mama powiedziała mi o tym, kiedy zaczęły mi rosnąć. Na trzynaste urodziny kupiła mi soutiengorge. Byłam wtedy taka dumna. Jeśli chcesz, Jacques, możesz dotknąć moich piersi, są większe od twoich, ale nie tak duże jak wtedy, kiedy byłam młoda. W tej chwili twardnieją, jak gdyby było mi zimno, choć wcale tak nie jest. Twoje małe sutki też zaczynają rosnąć i twardnieć, ale nigdy nie będą tak duże jak moje, prawda? Dlaczego jestem tak bardzo podniecony? Może dlatego, że żadna kobieta nigdy mnie jeszcze nie „odkrywała” w podobny sposób, a może po prostu żadna mi tego nie mówiła. Lorrie przed poznaniem Didiera wstydziła się i swojego, i mojego ciała. Prawie zawsze kochaliśmy się w ciemnościach. Teraz też jest ciemno, ale kiedy Mirabelle tak do mnie mówi, kiedy zadaje pytania, czuję się tak, jak gdyby w mojej głowie zapaliło się światło.

- Nie, Mirabelle, moje piersi nigdy nie będą tak duże jak twoje.

- Moje też nie są już duże. Tak bardzo chciałabym mieć dziecko, które ssaloby moje sutki. Wiele jest rzeczy, które chciałabym mieć, a których nigdy mieć nie będę. - Pochyla się nad moją piersią i zaczyna przesuwając twarzą po porastających ją włosach. Zsuwa dłoń w stronę pach. Jej dotyk sprawia, że omal nie podskakuję od łaskotek. - Jacques, czy mogę possać twoje piersi? Czy to głupi pomysł? Tak bardzo tego pragnę. Chcę cię posmakować. Smak jest bardzo ważny dla niewidomej osoby. Milczę, kiedy najpierw dotyka sutka językiem, a potem zaciska na nim wargi. Nie wiedziałem o tym, ale potrafię wyczuć różnicę pomiędzy językiem a wargami. Czuję się „uwrażliwiony” w sposób, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem. Ssie najpierw jeden, a potem drugi sutek, oblizując go dookoła językiem. Sutek, który przestała ssać, jest chłodny od wilgoci i staje się jeszcze twardszy, aż mam pojęcie o tym, co musi czuć kobieta, kiedy mężczyzna pieści, całuje jej piersi. Swędzenie opanowuje już czubeczki moich uszu. Mirabelle przysuwa się bliżej mojej głowy. Zaczyna językiem, ustami smakować moją szyję, najpierw z przodu, później boki aż do uszu, pieści ustami skórę wokół nich, a potem delikatnie wsuwa mi język głęboko do ucha, tak że zatyka je kompletnie i słyszę wyraźnie, jak przełykam ślinę. Leżę nieruchomo z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków. Mirabelle obejmuje dłońmi moją głowę, obraca ją na boki, w miarę jak ostrożnie "smakuje", oblizuje mnie jak kotka swoje kociątko. Próbuję się odprężyć, unosić z prądem. Podnosi moją głowę i całuje mnie prosto w usta wargami, spomiędzy których wysuwa koniuszek języka. 217

- Tak dobrze, Jacques? Tak bardzo chcę cię spróbować. Bardzo podoba mi się twój smak, smak soli i skóry, i czegoś, co przypomina niskie tony mojego klawesynu, miękkie i dźwięczne. Smakowanie ciebie sprawiło mi wiele przyjemności. Czy i tobie było przyjemnie?

- Tak, to wielka przyjemność, Mirabelle. Wsuwa głowę pod moje lewe ramię.

- Czy mogę zostać i dzisiejszą noc spędzić razem z tobą, Jacques? Powiedz mi, jeśli nie chcesz. Byłoby to dla mnie coś wprost cudownego.

- Oczywiście, Mirabelle, jeśli tylko masz na to ochotę. Chciałbym bardzo, abyś ze mną spała. Kładzie ramię na mojej piersi i przysuwa się nieco bliżej. Czuję się tak dobrze, tak naturalnie w jej towarzystwie. Nigdy jeszcze nie doświadczyłem podobnego podniecenia, pożądania pozbawionego „kierunku”. Wiem, że wszystko, co razem robiliśmy, nie prowadziło do seksu, ale do wzajemnego poznania, wzajemnego doświadczenia, zbliżenia. Nigdy nie zdołałbym wyjaśnić Lorrie czy komukolwiek z moich znajomych tego, co wydarzyło się tej nocy. Wyśmialiby mnie albo nie uwierzyli. Sam z

trudnością godzę się z tym, że to prawda. Z tą myślą odpływam w sen. * Kiedy się budzę, Mirabelle już nie ma. Przez okna wpadają do pokoju promienie słońca. W pierwszej chwili jestem zaskoczony, że nie mam na sobie bluzy. Później przypominam sobie wszystko. Uznaję, że w tak piękny dzień mogę biegać bez dresu. Na zewnątrz może być jeszcze chłodno, ale słońce świeci tak mocno, że nie chce mi się wierzyć, by mogło być naprawdę zimno. Rzucam okiem na zegarek, już prawie ósma. Dawno nie zdarzyło mi się spać tak długo. Wciągam strój sportowy i adidas. Cichutko wsuwam 91» się do dużego pokoju. Z pokoju muzycznego dobiegają mnie stłumione dźwięki - Mirabelle ćwiczy na klawesynie. Drzwi są zamknięte, prawdopodobnie nie chciała mnie budzić. Ciekawe, o której godzinie opuściła moje łóżko, może chwilę potem jak zasnąłem, a może dopiero wtedy, gdy dzwony wybiły szóstą rano. Zdejmuję klucz z tablicy przy drzwiach, ze swojego nocnego stolika biorę trochę drobnych i wychodzę. Zbiegam po schodach, biegnę przez Quartier des Canettes do Ogrodu Luksemburskiego. Czuję się bardzo lekki. Biegnę tak szybko, jak tylko mogę i wcale się nie męczę. Wspaniałe uczucie, prawie jak latanie. Biegnę tak przez cały czas, nie czując zmęczenia, droga wydaje się dziwnie gładka przy tym tempie. Kiedy zegar bije po raz trzeci, ruszam z powrotem rue Ferou, przez plac SaintSulpice, strasząc gołębie przy fontannie, dalej rue des Canettes, gdzie ostatnio malowałem. Zatrzymuję się i kupuję rogaliki w boulangerie na rogu, czekam, żeby przebiec na drugą stronę ulicy. Ruch jest o tej porze o wiele większy niż wcześniej rano. Wpadam sprintem na rue des Canettes i na górę po schodach. Mirabelle czeka na mnie na podeście.

- Dobrze ci się biegalo?

- Wspaniale. Prawie wcale nie dyszę. Zamykam drzwi i pochylam się, by pocałować ją w oba policzki. Cały ociekam potem. Mirabelle wyciąga ramię, aby dotknąć mojego ramienia, kiedy się całujemy.

- Czyżby padalo? Nic nie sfyszalam.

- Nie, to tylko pot. Mirabelle dotyka mojej koszulki, sięga w górę, bada brodę, twarz, włosy.

- Jesteś całkiem mokry. Przygotowałam dla ciebie kąpiel, ale nie będzie ci chyba wcale potrzebna. Czy wszyscy mężczyźni pocą się tak mocno jak ty?

- Tak, jeśli tylko biegają dostatecznie długo i szybko. 219Ś Tak dobrze, Jacques? Tak bardzo chcę cię spróbować. Bardzo podoba mi się twój smak, smak soli i skóry, i czegoś, co przypomina niskie tony mojego klawesynu, miękkie i dźwięczne. Smakowanie ciebie sprawiło mi wiele przyjemności. Czy i tobie byfo przyjemnie?

- Tak, to wielka przyjemność, Mirabelle. Wsuwa głowę pod moje lewe ramię.

- Czy mogę zostać i dzisiejszą noc spędzić razem z tobą, Jacques? Powiedz mi, jeśli nie chcesz. Byłoby to dla mnie coś wprost cudownego.

- Oczywiście, Mirabelle, jeśli tylko masz na to ochotę. Chciałbym bardzo, abyś ze mną spała. Kładzie ramię na mojej piersi i przysuwa się nieco bliżej. Czuję się tak dobrze, tak naturalnie w jej towarzystwie. Nigdy jeszcze nie doświadczyłem podobnego podniecenia, pożądania pozbawionego „kierunku”. Wiem, że wszystko, co razem robiliśmy, nie prowadziło do seksu, ale do wzajemnego poznania, wzajemnego doświadczenia, zbliżenia. Nigdy nie zdołałbym wyjaśnić Lorrie czy komukolwiek z moich znajomych tego, co wydarzyło się tej nocy. Wyśmialiby mnie albo nie uwierzyli. Sam z trudnością godzę się z tym, że to prawda. Z tą myślą odpływam w sen. * Kiedy się budzę, Mirabelle już nie ma. Przez okna wpadają do pokoju promienie słońca. W pierwszej chwili jestem zaskoczony, że nie mam na sobie bluzy. Później przypominam sobie wszystko. Uznaję, że w tak piękny dzień mogę biegać bez dresu. Na zewnątrz może być jeszcze chłodno, ale słońce świeci tak mocno, że nie chce mi się wierzyć, by mogło być naprawdę zimno. Rzucam okiem na zegarek, już prawie ósma. Dawno nie zdarzyło mi się spać tak długo. Wciągam strój sportowy i adidas. Cichutko wsuwam się do dużego pokoju. Z pokoju muzycznego dobiegają mnie stłumione dźwięki - Mirabelle ćwiczy na klawesynie. Drzwi są zamknięte, prawdopodobnie nie chciała mnie budzić. Ciekawe, o której godzinie opuściła moje łóżko, może chwilę potem jak zasnąłem, a może dopiero wtedy, gdy dzwony wybiły szóstą rano. Zdejmuję klucz z tablicy przy drzwiach, ze swojego nocnego stolika biorę trochę drobnych i wychodzę. Zbiegam po schodach, biegnę przez Quartier des Canettes do Ogrodu Luksemburskiego. Czuję się bardzo lekki. Biegnę tak szybko, jak tylko mogę i wcale się nie męczę. Wspaniałe uczucie, prawie jak latanie. Biegnę tak przez cały czas, nie czując zmęczenia, droga wydaje się dziwnie gładka przy tym tempie. Kiedy zegar bije po raz trzeci, ruszam z powrotem rue Ferou, przez plac SaintSulpice, strasząc gołębie przy fontannie, dalej rue des Canettes, gdzie ostatnio malowałem. Zatrzymuję się i kupuję rogaliki w boulangerie na rogu, czekam, żeby przebiec na drugą stronę ulicy. Ruch jest o tej porze o wiele większy niż wcześniej rano. Wpadam sprintem na rue des Canettes i na górę po schodach. Mirabelle czeka na mnie na podeście.

- Dobrze ci się biegało?

- Wspaniale. Prawie wcale nie dyszę. Zamykam drzwi i pochylam się, by pocałować ją w oba policzki. Cały ociekam potem. Mirabelle wyciąga ramię, aby dotknąć mojego ramienia, kiedy się całujemy.

- Czyżby padało? Nic nie słyszałam.

- Nie, to tylko pot. Mirabelle dotyka mojej koszulki, sięga w górę, bada brodę, twarz, włosy.

- Jesteś całkiem mokry. Przygotowałam dla ciebie kąpiel, ale nie będzie ci chyba wcale potrzebna. Czy wszyscy mężczyźni pocą się tak mocno jak ty?

- Tak, jeśli tylko biegają dostatecznie długo i szybko. 219

- Jesteś pewien, że to dla ciebie dobre? Czy nie może ci to zaszkodzić na serce?

- Ogólnie uważa się, że bieganie jest zdrowe, Mirabelle. Wzmacnia serce. - Podaję jej rogaliki. Zaglądam do łazienki, wanna jest pełna parującej wody. - Naprawdę mnie rozpuszczasz, Mirabelle.

- To dla mnie przyjemność. Proszę, oddaj mi swój wilgotny strój. Dobrze spałeś, Jacques?

- Jak niemowlę.

- Tak wiośnie myślałam. Kiedy obudziłam się dzisiaj rano, dotknęłam delikatnie twojej twarzy, wydawała się tak odprężona, twój oddech był tak spokojny. Naprawdę przypominałeś niemowlę. Siadam, aby zdjąć adidas. Ściągam wilgotną koszulkę i spodenki, zostaję w samych slipkach. Jedną z zalet tego, że Mirabelle nie widzi, jest to, że nie muszę przejmować się względami przyzwoitości czy czego tam jeszcze.

- Jacques, rozebrałeś się. Czy stoisz teraz przede mną nago? Boże, ona jest niemożliwa.

- No cóż, jestem prawie nagi, ale nie całkiem, Mirabelle. Czy masz coś przeciwko temu? Czy wykorzystuję fwoje kalectwo?

- Och, nie. Żałuję tylko, że nie mogę cię zobaczyć. Jeśli takie rzeczy będą mi się częściej przydarzać, może znowu zacznę widzieć. Odwraca się, wyraźnie ma ochotę się roześmiać. Wchodzę do łazienki, zdając sobie sprawę z tego, że zamykanie za sobą drzwi nie ma sensu. I tak jest tu zbyt parno i gorąco. W ten sposób mogę obserwować, jak Mirabelle ostrożnie wyjmuję z torby rogaliki, przynosi z piecyka gorącą kawę, stawia pomiędzy nakryciami słoiczek z dżemem truskawkowym. Wycieram się ręcznikiem, wypuszczam wodę z wanny, wycieram ją do czysta. Przechodzę do swojego pokoju i wkładam ubranie robocze. Później zabieramy 220 się do śniadania. Wszystko jest jeszcze smaczniejsze niż poprzednim razem. Mirabelle podgrzała rogaliki na piecu, skórka jest teraz chrupiąca. Boże, właśnie takie drobiazgi liczą się w życiu. Sam nie wiem, jak mogłem o tym zapomnieć. ' * Po śniadaniu ponownie zabieramy się do pracy w moim pokoju. Najpierw pokrywam korkowymi kwadratami trzecią ścianę, nie zajmuje mi to zbyt wiele czasu. Później skrobię i maluję na biało ścianę dzielącą mój pokój od łazienki i narożniki aż

do ściany wychodzącej na podwórze. Teraz, kiedy sufit pokryty jest akustycznymi płytkami, a ściana pomalowana na biało, pokój naprawdę napełnił się światłem. Postanawiam zwinąć stary ciemny dywan, chcę zobaczyć, co jest pod spodem. Jeśli podłogi są w dobrym stanie, wystarczy je tylko pomalować, a może zostawię naturalne drewno. Mirabelle bardzo mi pomogła. Nie może jednak zbyt wiele zrobić, kiedy maluję, sprząta więc naczynia po śniadaniu i zaczyna przygotowywać obiad, a potem wychodzi, aby zająć się swoimi gołębiami. Na zewnątrz nadal jest wspaniała pogoda. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie mógłbym się do niej przyłączyć, uznaję jednak, że najpierw powinienem skończyć remont. Myję właśnie pędzle, kiedy słyszę bicie dzwonów. Odsuwam meble, zwijam dywan, by spojrzeć, co jest pod spodem, kiedy słyszę kroki na schodach. Mieszkanie z Mirabelle wzmocniło moją wrażliwość na dźwięki. Podłoga pod dywanem wygląda wspaniale, naturalne dębowe klepki. Woskuję podłogę do połysku. Ten pokój naprawdę będzie pięknie wyglądać. Mirabelle staje w drzwiach, jestem tak podniecony, że chcę już powiedzieć: "Spójrz tylko, Mirabelle, spójrz na tę prześliczną podłogę", ale powstrzymuję się w ostatniej chwili. 221

- Skończyłem malowanie, Mirabelle, i zdjąłem dywan. Jest tak zdarty i stary, że musimy go chyba wyrzucić.

- Jak sobie życzysz. Wiem, że jeśli tobie się to podoba, mnie też będzie się podobać.

- Podejdz do mnie i dotknij podłogi, Mirabelle, naprawdę jest piękna. Mirabelle podchodzi ku mnie, wyciągam do niej rękę, pomagam uklęknąć. Przesuwam jej dłonią po deskach podłogi.

- Są takie gładkie, Jacques, czy są pomalowane?

- Nie, to naturalne drewno, pokryte dawno temu warstwą lakieru. To wspaniale, dębowe podłogi. Szkoda je zasłaniać, mogę nawoskować je do połysku, tak że będą odbijać światło i sprawią, że ten pokój stanie się jeszcze piękniejszy.

- Masz rację, Jacques. Wydaje mi się, że w czasach moich rodziców myślano inaczej. Ludzie chcieli mieć dywany we wszystkich pokojach. Myślę, że zamierzali w ten sposób pokazać, że są prawdziwymi bourgeois, gole podłogi były w domach biedaków lub wieśniaków. Pomagam jej podnieść się na nogi.

- Och, Mirabelle, tak żałuję, że nie możesz już teraz zobaczyć tego pokoju, a będzie jeszcze piękniejszy.

- Ja też bym tego chciała. - Urywa. - Obawiam się jednak, że nie dość mocno. Mogłabym widzieć, gdybym naprawdę tego pragnęła. Może to samo przyjdzie. To, że jestem z tobą, że opowiadasz mi, jaki piękny jest świat, sprawia, że chcę go zobaczyć.

Gdybym tylko nie bała się tak bardzo... Przyglądam się jej. Odwróciła twarz w stronę, z której dobiega mój głos. Jej policzki są zaróżowione od wchodzenia po schodach, ale nie oddycha ciężko. Mam nadzieję, że ja sam będę miał podobną kondycję, kiedy osiągnę jej wiek.

- Chodźmy jeść, Jacques, na przystawkę mamy dziś filets de harengs, a potem smacznego coq au vin, który gotował się przez cały poranek. Czy mógłbyś mi pomóc nakryć do stołu? 222 Stawia na stole talerze, sztucce, sól i pieprz. Wyjmuję z kredensu serwetki i kółka do serwetek, kładę je obok nakryć. Od wielu lat nie zdarzyło mi się nakrywać do stołu. Trudno mi nawet przypomnieć sobie, gdzie powinienem położyć nóż, a gdzie widelec. Mirabelle przynosi na małych talerzykach śledzie z gorącymi ziemniakami i stawia je na rozłożonych przeze mnie talerzach. Z lodówki wyjmuję butelkę białego wina, Sancerre. Będzie doskonale do takiego posiłku. Naprawdę jemy jak królowie. Otwieram butelkę korkociągiem, wycieram małym palcem szyjkę, aby usunąć resztki korka. Mirabelle siada. Jestem zaskoczony, pamięta o wszystkim, co powinno znaleźć się na stole, nigdy nie podrywa się i nie biega do kuchni po coś, czego zapomniała. Ona po prostu nie zapomina. Nalewam wino. Mirabelle wyciąga w moją stronę kieliszek. Szkło cicho dźwięczy.

- Za nas, za nasze szczęśliwe dni. Upijamy łyk; wino smakuje jak świeża, czysta woda. Śledzie utrzymane są w temperaturze pokojowej, posypane cebulą pokrojoną w talarki, ziemniaki ciepłe, ale nie gorące, podlane olejem. Z zimnym winem są wprost znakomite. Jemy w milczeniu. Obserwuję Mirabelle i zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo cieszy się z tego posiłku, jej twarz jaśnieje wewnętrznym blaskiem. Kończymy prawie jednocześnie, Mirabelle odnosi talerze do kuchni. Przynosi czyste sztucce. Krząta się tak szybko, że nawet gdybym chciał jej pomóc, wchodziłbym jej tylko w drogę. Mirabelle zwraca się ku mnie:

- Chyba najlepiej będzie, jeśli weźmiemy sobie od razu z garnka, bo jest ciężki i gorący. Robi mi miejsce przy kuchence. Biorę talerz ze stołu, wyławiam dla siebie dwa spore kawałki kurczaka i polewam je sosem. Mirabelle odkrywa drugi garnek, w którym znajduję ugotowane ziemniaki, które Francuzi na223 zywają pommes anglaises. Odnoszę swój talerz na stół i wracam z talerzem Mirabelle. Ona chce wziąć go z moich rąk, ale odsuwam ją delikatnie.

- Powiedz tylko, czego sobie życzysz, Mirabelle. Jaką część kurczaka lubisz najbardziej?

- Lubię niespodzianki. Kiedy jest się niewidomym, często się one zdarzają. Nauczyłam się je lubić.

- Dobrze, w takim razie zrobię ci niespodziankę. Sięgam łyżką do garnka i wyławiam spore udko i kawałek mięsa z piersi. Dokładam dwa ziemniaki i polewam całość sosem, a potem odnoszę jej talerz na stół.

- Rozpieszczasz mnie, Jacques. Mogłam sama to zrobić, a teraz wszystko ci wystygnie. Siadamy i ponownie zabieramy się do jedzenia. Mirabelle mówi, że czuje, iż niektóre z samiczek zabierają się już do budowania gniazd. Jak mówi, są teraz bardzo szczupłe, ruchliwe i niespokojne. Słyszy też, jak samczyki tańczą u jej stóp.

- Wiesz, Jacques, co roku rodzą się nowe pisklęta, można by myśleć, że stado będzie się powiększać, ale tak naprawdę nic się flie zmienia. Co twoim zdaniem dzieje się z tymi pisklętami? Wiem, że niektóre spośród nich pozostają w stadzie, ale większość znika, nim skończy się lato. Myślę, że wiele z nich umiera przy zrzućaniu piór późnym latem, to dla nich bardzo trudny okres, często nie mają też dosyć jedzenia, kiedy turyści już wyjadą.

- Życie gołębi musi być bardzo trudne w takim wielkim mieście jak Paryż. Nigdy o tym nie myślałem, ale stężenie dwutlenku węgla, smog, hałas muszą utrudniać przetrwanie i mnożenie się gołębiom, skoro nawet ludziom nie jest tutaj łatwo.

- Tak, ptaki ciągle znikają, nawet zdrowe i dorosłe. Zaprzyjaźniam się z nimi, a potem nagle nie wracają. To takie smutne.

- Takie jest życie, Mirabelle. Wszystkich nas czeka koniec. 224

- Tak, wiem, Jacques. Każdy z nas musi kiedyś odejść, ale mimo wszystko jest to smutne. Chcę ją zapytać, co myśli o śmierci, o swoim wieku, ale nie robię tego. Jest nam razem tak dobrze, czujemy się tacy szczęśliwi, jak można rozmawiać o czymś podobnym w tak piękny daeń. Sam też nie chcę o tym myśleć. Odnoszę naczynia do kuchni, Mirabelle zmywa je i zostawiamy je na suszarce. Oboje chcemy już wrócić do naszego obrazu. Mam nadzieję, że dzisiaj skończymy płótno przedstawiające widok placu z rue des Canettes. Wspaniale, że świeci tak cudowne słońce. * Rozkładam sztalugi i zaczynamy malować o drugiej po południu. W pierwszej chwili nie wiem, od czego zacząć, ale kiedy robię pierwszy krok, wyjaśniając Mirabelle każdą czynność, wszystko dzieje się już samo. Mija piąta i kończę, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. Chyba z dziesięć razy biegam z jednego końca ulicy na drugi, czasami ciągnę za sobą sztalugi, czasami sprawdzam tylko jakiś szczegół, którym się właśnie zajmuję. Udaje mi się uchwycić cienie padające na budynki w tle po prawej dokładnie tak, jak zamierzałem. Umieszczam nawet jeden słoneczny promień, który pomaga mi połączyć pierwszy i drugi plan, lewą i prawą stronę

obrazu. Kiedy ostatecznie uznaję, że obraz jest skończony, wstajemy i zajmujemy stolik w kawiarni. Tym razem, ponieważ nie jest już tak zimno, zamawiam demi, małe piwo, a Mirabelle verveine, odmianę herbaty ziołowej. Wspaniale jest siedzieć tak w gasnących promieniach słońca. * Tej nocy Mirabelle ponownie przychodzi do mojego łóżka. Spodziewałem się jej, podnoszę więc kódrę, aby mogła się pod nią wsunąć. Tym razem nie ma zimnych 15 - Spóźnieni kochankowie 225 stóp, ponieważ nie siedziała tak długo na krawędzi łóżka. Biorę jąw ramiona i leżymy nieruchomo. Chyba tak zaśniemy. Sam zaczynam powoli zapadać w drzemkę, kiedy czuję dłoń wędrującą po moich włosach. Mirabelle przesuwa się, kładzie głowę na mojej piersi.

- Chcesz spać, Jacques? Jesteś zmęczony?

- Jak sobie życzysz, Mirabelle. A ty jesteś zmęczona?

- Nie. Myślę, że nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy, że pozwoliłeś mi się dotknąć i posmakować, pozwoliłeś mi się poznać. Nikt inny na całym świecie nie byłby tak dobry.

- Powiedziałem ci już, Mirabelle, że dla mnie to też przyjemność. Nigdy w życiu nie znałem nikogo, kto byłby tak łagodny i delikatny jak ty. Nie wiedziałem, że dłonie mogą dotykać tak lekko, usta całować tak czule.

- Jestem bardzo szczęśliwa, Jacques. Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, bym zdjęła ci górę od pidżamy? Cały dzień wspominałam, co czułam, kiedy przyłożyłam twarz do twojej piersi, chciałabym poczuć to jeszcze raz. Podnoszę się nieco i zdejmuję bluzę przez głowę. Gdy się poruszam, czuję zapach swojego ciała. Kąpałem się rano, ale od tego czasu malowałem ściany i obraz, śmierdzę potem i terpentyną.

- Przepraszam cię za ten zapach, Mirabelle. Powiniennem był wykapać się, zanim położyłem się do łóżka. Nie pomyślałem o tym.

- Ależ nie ma za co. Cieszę się, że nie zmyłeś swojego zapachu. Powiedziałam ci już, że mi się podoba, jest taki prawdziwy, jak u zdrowego zwierzęcia. - Wtula twarz w moją pachę. Później czuję jej usta i język, zaczyna lizać mnie od pachy w dół. Teraz naprawdę mnie łaskocze. Podskakuję. - Bolało cię, Jacques? Ponownie kładzie głowę na mojej piersi.

- Nie, połaskotałaś mnie tylko.

- Połaskotałam? Ach tak, pamiętam, że kiedy byłam małą dziewczynką, Rolande mnie łaskotała, a potem ja łaskotałam ją. To było bardzo silne odczucie. Odkryłam, że nie można pola226 sfcotać się samemu. Kiedy wiesz, gdzie ktoś zamierza cię dotknąć, nie czujesz łaskotek. Myślę, że po części chodzi tu o zaskoczenie.

- Być może tak, Mirabelle. Ja jednak wiedziałem, gdzie jesteś, co robisz, a przecież mnie połaskotałaś. Istnieje jednak takie miejsce, gdzie można połaskotać się samemu. ,

- Naprawdę? Powiedz, gdzie to jest?

- W ustach, na przedzie podniebienia. Jeśli włożysz palec do ust i delikatnie przesuniesz nim po podniebieniu, poczujesz łaskotanie. Pokazuję jej, jak to zrobić, i nagle zdaję sobie sprawę z tego, że nie widzi przecież tego, co robię. Łaskoczę się, Mirabelle kładzie dłoń na mojej dłoni. Szybko wyciągam palec z ust i masuję podrażnione miejsce językiem, trę mocno, aby minęło to dziwne uczucie. Naprawdę silne uczucie, równocześnie przyjemne i bolesne. Mirabelle wkłada palec do ust tak samo jak ja to zrobiłem. Szybko jednak go wyciąga, słyszę, jak pociera językiem podrażnione miejsce.

- Ojej, Jacques. Czy to jest łaskotanie? Tak wiele minęło czasu, zupełnie zapomniałam. To bardzo dziwne uczucie, nieprawdaż? Próbuje jeszcze raz, wyjmuję palec z ust i potrząsa głową.

- To naprawdę bardzo dziwne uczucie. Czy wszyscy ludzie o tym wiedzą?

- Chyba nie, Mirabelle. Pokazał mi to wujek, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem.

- Czy mogłabym połaskotać ciebie w ten sposób? Czy można to zrobić tylko samemu sobie?

- Nie wiem, nikt nigdy mi tego nie robił.

- Mogę spróbować?

- Dobrze, uważaj tylko, żebym cię nie ugryzł. Odwraca dłoń i delikatnie pociera moje podniebienie palcem wskazującym. Wrażenie jest tak niesamowite, że muszę odsunąć jej dłoń. Jest silniejsze niż wtedy, kiedy zrobiłem to sam. Mocno pocieram podrażnione miejsce językiem.

- Tak, Mirabelle, można połaskotać w ten sposób kogoś innego. To bardzo silne uczucie.

- Proszę, Jacques, czy mógłbyś mnie połaskotać? Wyciągam dłoń w jej stronę, Mirabelle otwiera usta. Wsuwam palec wskazujący do środka i pocieram żeberkowane podniebienie. Niemal natychmiast odpycha moją rękę i gwałtownie pociera podniebienie językiem, kiwając głową przez kilka sekund.

- Me chce przestać, nie mogę się tego pozbyć. Oboje wybuchamy śmiechem, Mirabelle milknie po chwili i dalej trze podniebienie językiem. Wreszcie uspokajamy się. Mirabelle układa głowę na mojej piersi. Przesuwam dłoń delikatnie po jej włosach do miejsca, gdzie zaczyna się warkocz.

- Mamy teraz swój mały sekret, Mirabelle. Nikomu o tym nie powiemy, prawda?

- Nie, chyba nie. Nie chcemy przecież doprowadzić całego świata do szaleństwa. -
Leży nieruchomo przez kilkanaście minut, później jej dłonie ponownie zaczynają wędrować po moich żebrach, powoli, delikatnie posuwają się po moim ciele. - Powiedz mi, jeśli zacznę cię łaskotać. Chciałabym wiedzieć dokładnie, kiedy to się zaczyna. Czekam, ale nic się nie dzieje. Nie czuję łaskotania, a jedynie przyjemne podniecenie, podobne do tego, które odczuwałem, kiedy całowała i ssała moje sutki; swędzenie z tyłu głowy. Później kładzie jedną dłoń na porośnięty gęstymi włosami środek mojego brzucha.

- Tym razem nie było łaskotek, Jacques? Może już się przyzwyczaiłeś?

- Myślę, że to dlatego, że dotykałaś mnie tak powoli, Mirabelle. Nie zaskoczyłaś mnie, spodziewałem się tego.

- Czy moja ręka przeszkadza ci w tej chwili?

- Powiem ci, Mirabelle, gdyby coś mi przeszkadzało. 228 Opuszcza głowę nad moją pierś, drugą dłonią odsuwa włosy i zaczyna ponownie ssać sutki. Jestem całkowicie odprężony i bardzo podniecony. Przesuwa wargi od jednego do drugiego.

- Chciałabym mieć dwoje ust, Jacques. Wydaje mi się, że każdy z twoich sutfków smakuje nieco inaczej, ale nie jestem pewna. Kiedy zaczynam ssać jeden, już zapominam smak poprzedniego. - Jej dłoń znajduje mój pępek. Ostrożnie, jak badacz na krawędzi krateru, okręga go palcem, za każdym razem wsuwając się głębiej. - Ja też mam pępek, ale nie jest taki głęboki. Wydaje mi się, że twój nie ma w ogóle dna. - Wsuwa palec jeszcze głębiej. Dociera do pomarszczonej skóry na jego dnie, ale kontynuuje badania. Ś Tu jest, podobny do mojego, ale tak głęboko ukryty pośród włosów, że trudno go odnaleźć. Zsuwa się niżej, znikając całkowicie pod kołdrą. Czuję jej język na moim pępku, ostrożnie przesuwając się po jego brzegach coraz głębiej. To takie dziwne uczucie, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że pępek jest tak bardzo wrażliwy, może nie są to łaskotki, ale uczucie, które ledwo potrafię znieść. Mirabelle unosi głowę.

- Mogę wsunąć do środka cały język. Nie wiedziałam, że mężczyźni mają takie głębokie pępki. Ma cudowny smak, podobnie jak skóra za uszami, ale jeszcze mocniejszy. To po prostu wspaniałe.

- Myślę, że mam głębszy pępek niż większość mężczyzn, Mirabelle. Czasami muszę go czyścić, bo na dnie zbierają się drobne kłaczki i kurz. Nie wiem, jak to jest u innych mężczyzn, ale możliwe, że to wyjątkowe.

- Bardzo wyjątkowe, jestem tego pewna. Czy boli cię, kiedy wkładam do środka język?

- Nie, ale to bardzo dziwne uczucie. Nigdy nic podobnego nie czułem. Czuję też, że mój penis zaczyna nabrzmiwać. Nie jest to może jeszcze erekcja, ale wydłuża się i wyraźnie rośnie, co jest dla mnie zaskoczeniem. Próbuję się skoncentrować, aby to powstrzymać. 229 Spora niespodzianka. Przez ostatnich kilka lat głównym źródłem moich problemów erotycznych z Lorrie był brak spontanicznych erekcji. Dzięki stymulacji Lorrie potrafiłem się podniecić i wtedy mogliśmy się kochać. Podobne kłopoty nękały mnie szczególnie silnie po ujawnieniu jej romansu z Didierem, ale Lorrie tak znakomicie nauczyła się mnie pobudzać, że nie sprawiało nam to żadnego kłopotu. Jednak przez ostatnich kilka lat prawie nigdy nie zdarzało mi się to spontanicznie. A już co najmniej od dwudziestu lat nie zdarzyło mi się, bym musiał powstrzymać erekcję. Trudno oczywiście zaprzeczyć, że ta została wywołana przez stymulację. Nie całowaliśmy się wprawdzie, Mirabelle nie dotknęła moich genitaliów, ale wszystko, co robi, bardzo mnie podnieca. Być może powodem jest to, że tak długo żyłem bez seksu, może dzięki bieganiu nabrałem lepszej kondycji. Jakikolwiek jednak byłyby tego powody, muszę się opanować. Jeśli tego nie zrobię, mój ptak gotów jest dziobnąć biedną Mirabelle w policzek. Próbuję myśleć o obrazach, o czymkolwiek, ale nic nie pomaga. Mirabelle wysuwa język z mojego pępka.

- Jacques, czy to, co czuję, to twój penis? Wiedziałam, że mężczyźni mają penisy, nie wiedziałam jednak, że one mogą same się poruszać.

- Tak, Mirabelle, to jest mój członek, zazwyczaj rzeczywiście nie porusza się sam.

- Czy mogę go dotknąć? Czy byłbyś na mnie zły, gdybym go dotknęła? Milknie, a potem odsuwa kołdrę i widzę teraz jej twarz. Sięgam, biorę ją za rękę i delikatnie ją prowadzę. Powoli przesuwa dłoń, aż jej palce ostrożnie, płynnie dotykają członka u nasady, tam gdzie wynurza się z włosów łonowych. Czuję, jak obejmuje go palcami.

- Jest taki duży! Czy to właśnie mężczyzna wkłada w ciało kobiety, aby zasadzie nasienie, z którego powstają dzieci? To niemożliwe. Myślę, że niewiele wiem o tych sprawach. Jak to możliwe? 230

- Tak to się właśnie dzieje, Mirabelle. Mój penis nie jest tak duży przez cały czas. Podnieciłaś mnie, więc się powiększył. Normalnie jest o wiele mniejszy.

- Naprawdę cię podnieciłam, Jacques? Czy jesteś na mnie zły? Nie wiedziałam o tym.

- Tak, najdroższa Mirabelle, podnieciłaś mnie. Nie sądziłem, że to się zdarzy, ale tak się jednak stało. Nie jestem na ciebie zły, to dla mnie bardzo przyjemne.

- Czy mogę cię jeszcze raz dotknąć? Chciałabym dowiedzieć się o tym więcej. Jesteś dla mnie taki dobry, nie masz nic przeciwko temu?

- Tak, Mirabelle, ale ostrzegam cię, jeśli za bardzo mnie podniecisz, trochę nasienia może wydostać się na zewnątrz, bądź więc ostrożna. Gdyby miało się to zdarzyć, powiem ci, byś się odsunęła.

- Czy masz dosyć nasienia? Gniewałbyś się na mnie, gdyby trochę się wylało?

- Nie gniewałbym się na ciebie, Mirabelle, mam w sobie dosyć nasienia. Chcę cię tylko ostrzec, żebyś się nie przestraszyła. Trudniej przychodzi mi uwierzyć, że tak niewiele wie o sprawach seksu, niż pogodzić się z tym, że jest niewidoma. Jednak kiedy głębiej się nad tym zastanawiam, całe dorosłe życie spędziła z siostrą, z którą nigdy nie była specjalnie blisko, poza tym nigdy nie nauczyła się czytać, nie miała dostępu do innych ludzi, z którymi mogłaby porozmawiać o podobnych sprawach. Wszystko staje się jasne. Jest jak dziecko, bardzo naiwna czternastolatka z innych czasów, odległych ode mnie o dwa pokolenia. Ponownie wsuwa się pod kołdrę. Ściągam spodnie od pidżamy, kopnięciem spycham je w kąt łóżka. Jestem już bardzo bliski wytrysku. Po dwudziestu latach małżeństwa posiadam pewne doświadczenie z powstrzymywaniem go, ale nie wiem sam, dlaczego jest to teraz trudne jak nigdy dotąd. Mirabelle trzyma mój członek 911 jedną dłonią u nasady, drugą bada go ostrożnie, przesuwając wzdłuż niego koniuszkiem palca.

- Skóra jest taka miękka, Jacques, czuję też linie, jakby żyły, jest przy tym wygięty. Czy to normalne?

- Tak, Mirabelle.

- Skóra jest luźna, na samym końcu jest jej trochę więcej, przypomina tę na dnieniu pępka, tylko że tutaj jest jeszcze bardziej miękka.

- Jeśli chcesz, możesz ją odsunąć, odkryjesz wtedy prawdziwe zakończenie penisa, nazywa się ono żołądzia, Mirabelle. Skóra stanowi jedynie osłonę, podobnie jak powieka dla oka. Uśmiecham się do siebie na to porównanie. Ciekawe, czy niewidzące oczy Mirabelle są równie wrażliwe jak oczy osoby widzącej. Oczywiście, że tak, nie jest przecież naprawdę niewidoma, jej oczy są takie same jak moje. Delikatnie odsuwa oburącz napletek, odsłaniając żołądz. Dalsze powstrzymywanie się od wytrysku jest już prawie niemożliwe. Czuję, jak jej palec łagodnie przesuwa się po żołądzi. Nie jestem obrzezany, więc ta część penisa jest tak wrażliwa, że dotyk staje się prawie bolesny, ale jej palce dotykają mnie tak łagodnie, odczuwam jedynie, że się przesuwają. To tak, jak gdybym czuł muchę przechadzającą się po mojej skórze.

- Twoja żołądz jest bardzo dziwna, Jacques. W kształcie przypomina serce, z rowkiem u dołu i niewielkim otworkiem, przypomina też trochę żołądz, z której mógłby wyrosnąć dąb. Czy przez tę dziurkę siusiasz?

- Tak, tędy właśnie wydostaje się nasienie. To bardzo wrażliwe miejsce, bądź ostrożna.

- Sprawiam ci ból?

- Nie, jesteś bardzo delikatna.

- Nie wiedziałam, że mężczyźni są tak wrażliwi, niewiele różnią się od kobiet, prawda? To musi być cudowne uczucie, kiedy mężczyzna wprowadza swoją wrażliwą część do bardzo wrażliwych 232 części kobiety. Rozumiem teraz, dlaczego tak wiele mówi się o seksie i miłości. To naprawdę cud, prawda?

- Masz rację, Mirabelle, to cud. Cudem jest też, że tak długo wytrzymałem. Nie wiedziałem nawet, że to potrafię. Zaczynam zastanawiać się, czy zmieniłem się jakoś przez miniony rok, może alkohol, sypianie na ziemi, może nawet bieganie sprawiły, że nie jestem już zdolny do wytrysku. Wiem, że moje orzeszki ugotują się za chwilę, jeśli erekcja będzie trwała dłużej. Nic podobnego nie zdarzyło mi się od czasu piętnastych urodzin.

- Czy mogę posmakować twój członek, Jacques? Czuję jego zapach, przypomina zapach mężczyzny. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, co czuję, kiedy czułam zapach mężczyzny. Bardzo chciałabym go posmakować.

- Musisz być bardzo ostrożna, Mirabelle. Jestem bardzo podniecony, w każdej chwili mogę wytrysnąć nasieniem. Coraz trudniej mi się powstrzymać.

- Nie ugryzę cię, Jacques. Będę bardzo uważać.

- Nie boję się, że mnie ugryziesz. Większość kobiet boi się smakować czy połykać męskie nasienie. Nie chcą, by się to stało. Uważają, że to niewłaściwe.

- Dlaczego, Jacques? Czy męskie nasienie jest trujące? Właściwie coś, co po zmieszaniu z jajeczkiem kobiety tworzy nowego człowieka, musi być bardzo dobre, to ważna część życia. Dlaczego więc się boją? Wystawia głowę spod kołdry, trzymając oburącz mój zeszytniały członek.

- Nie wiem, Mirabelle. Nigdy o tym nie myślałem. Żadna kobieta nie połykała nigdy mojego nasienia, ale słyszałem, że inne to robią. Niektórzy mężczyźni również łykają nasienie innych mężczyzn. Lorrie nie chciała wziąć mojego członka do ust aż do ostatniego roku, kiedy poznała Didiera. Jednak nawet wtedy nie połykała mojego nasienia. Czuję, że moja erekcja zaczyna mijać, członek nadal 233 jest sztywny, ale nie czuję już, jakby jądra miały za chwilę zostać wessane do wnętrza brzucha.

- Ludzie są bardzo dziwni, nieprawdaż, Jacques? Tak często obawiają się tego, co najlepsze. Próbowaleś kiedyś nasienia mężczyzny? Jak ono smakuje?

- Nie, nie próbowałem, Mirabelle, nawet mojego własnego. Podejrzewam, że bałem się tak jak wszyscy inni. Nie wiem, dlaczego.

- Jestem niewidoma, jak wiesz, smaki i zapachy wiele dla mnie znaczą. Wydaje mi się, że czuję zapach twojego nasienia, jest bardzo przyjemny. Jeśli nie pozwolisz mi spróbować, poczuję się jak ktoś, komu nie pozwolono zobaczyć czegoś pięknego, jak wschód czy zachód słońca albo promienie słońca przebijające przez drzewa. Myślisz, że mam rację? Obiecuję, że powiem ci, gdyby nie smakowało mi twoje nasienie, wypluję je, jeśli tak wolisz. Tak będzie dobrze?

- Możesz posmakować, Mirabelle. Jeśli poczuję, że za chwilę wytrysnę, powiem ci i odsunę się, dobrze? Całowanie penisa jest bardzo podniecające dla mężczyzny, bądź więc ostrożna.

- Będę. Czy chciałbyś, abym skosztowała twego nasienia? Cudownie byłoby, gdybym mogła połknąć odrobinę. Nie jest trujące, nie będę od tego chora. Czym się tak bardzo przejmujesz? Zaczyna przesuwając wargami od nasady penisa, tam gdzie wynurza się on spośród włosów łonowych. Czuję, jak łagodnie posuwa się w górę. Rozsuwam szerzej nogi, by miała więcej miejsca. Przerzywa.

- Pod członkiem masz pomarszczoną skórę pokrytą włosami; coś jest w środku. Czy tam właśnie przechowujesz nasienie, Jacques? Czuję, jak jej dłonie ostrożnie badają moje jądra. Przesuwa palce prawie do samego odbytu.

- Tak, Mirabelle, to jądra. Tam właśnie mężczyźni przechowują nasienie.

- IV dotyku przypominają pestki brzoskwini, bardzo dziwne. Są pofałdowane i tak bardzo odmienne od członka, który jest gładki. 2.14

- Jeśli członek jest miękki, ta część również jest miękka, Mirabelle. Taki już jest mężczyzna.

- Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mężczyźni mogą być tak bardzo interesujący. Przesuwa dłonie ku podstawie członka, odsuwając napletek. Trzymając mocno oburącz, zbliża go ku ustom, wysuwa język i dotyka żołądź. Penis staje się ponownie twardy i sztywny, czuję wyraźnie jej język, szorstki, a jednocześnie wilgotny i giętki, oblizuje szczyt żołądź, a potem rowek wokół niej. Zaczynam więc się z rozkoszy, ostatkiem sił powstrzymuję namiętny jęk.

- Czy mogę objąć wargami czubek twojego członka? Obiecuję, że cię nie ugryzę. Nic już nie mogę powiedzieć. Czuję, że całe moje ciało przebiega dreszcz rozkoszy. Jej usta zamykają się wokół żołądź. Ciepło jej warg przenika do mojego członka, zaczynam powoli dochodzić, Mirabelle zaciska wargi, tracę kontrolę.

- Mirabelle, uważaj, za chwilę wytrysnę. Nie mogę się dłużej powstrzymać! W odpowiedzi zaciska wargi jeszcze mocniej, trzyma mnie mocno obiema dłońmi, kiedy rzucam się na łóżku w paroksyzmach rozkoszy. Jej warkocz ociera się o moje biodro, wystrzeliwuję z siłą proporcjonalną do rozkoszy, która wstrząsa moim ciałem. Czuję, że Mirabelle ssie, słyszę, jak łyka, przesuwa językiem, liżąc, ssąc, przelękając. Wydaje mi się, że wypija ze mnie życie. Stopniowo dochodzę do siebie, ciężko dysząc, mój członek kurczy się, mięknie, Mirabelle liże go nadal jak dziecko, które kończy jeść ulubiony deser. Jestem już całkowicie odprężony. Jej dłonie, jej palce pieczą mnie delikatnie, bierze w usta jedno z jąder i smakuje je. Przerzywa pieszczoty i kładzie głowę na moim brzuchu.

- Tak cudownie smakujesz, Jacques. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyło mi się kosztować czegoś równie znakomitego. Nigdy nie jadłam nic podobnego. To jak najlepszy beszamel, ale z odrobiną masła demisel na grzance. Nie, nie potrafię tego opisać. Dziękuję, że mi na to pozwoliłeś. Jestem pewna, że to bardzo dobre nasienie i mam nadzieję, że kiedyś pozwolisz mi go jeszcze raz spróbować. Teraz jednak twój członek i jądra stają się mniejsze i bardziej miękkie, czy to dlatego, że wydostało się z nich nasienie? Czy twój członek będzie znowu duży? Jestem już bliski zaśnięcia. Wyciągam ręce i przyciągam Mirabelle ku sobie, tak że jej usta znajdują się na wysokości moich. Całuję ją, w odpowiedzi zaciska mocno wargi. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie potrafi się całować; my nazywamy to „francuskim” pocałunkiem, a ona, która dała mi właśnie tak wiele rozkoszy, nie ma pojęcia o najbardziej powszechnym erotycznym zabiegu.

- Otwórz usta, Mirabelle. Chcę, byś posmakowała także mego języka. Myślę, że ci się to spodoba. Otwiera usta. Przyciskam wargi do jej warg, czuję, jak się zaciskają. Powoli wsuwam język do jej ust, pomiędzy zębami, pieszczę jej język i podniebienie. Czuję smak nasienia mężczyzny, mojego własnego nasienia. Wydycham powietrze do jej ust i wciągam je nosem. Ciało Mirabelle napina się i odsuwamy się od siebie.

- Czy to naprawdę był pocałunek? Czy może to twój specjalny sposób całowania? Sprawia, że kręci mi się w głowie, czuję się tak, jak gdybym za chwilę miała zemdleć. Czy próbowałaś polaskotać moje podniebienie językiem? To było miłe, ale wcale nie łaskotało.

- Myślisz, że było to miłe?

- Ależ tak! Kiedy otrząsnęłam się z zaskoczenia, było to bardzo przyjemne. Twój język ma cudowny smak, ale nie jest tak dobry jak twoje nasienie. Czy poczułeś w moich ustach smak swojego nasienia?

- Myślę, że tak, Mirabelle. Czy mogę jeszcze raz posmakować twojego języka, zanim pójdziemy spać? 236 Układam się tak, że Mirabelle kładzie się obok mnie i całujemy się

ponownie. Tym razem bardzo nieśmiało, ostrożnie, tak jak smakowała całe moje ciało, bada wnętrze moich ust, przesuwa swoim językiem po moim i dalej po podniebieniu. Pieścimy się nawzajem językami. Wszystko to jest bardzo delikatne, pełne miłości. Nie ma pośpiechu, jest zaufanie. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że miłość może oznaczać taki spokój. Nigdzie już nie dążymy, jesteśmy u celu. Zastanawiam się, w jaki sposób ta wspólna noc w łóżku wpłynie na nasz związek, jak będziemy się czuli, kiedy staniemy twarzą w twarz w świetle dnia. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że dla Mirabelle nie ma nocy ani dnia. Zawsze osłania ją miękki koc ciemności. Zaczynam powoli rozumieć, dlaczego nie chce widzieć. Nie potrzebuje tego z wielu powodów; zdaję sobie teraz sprawę z tego, jak wiele utraciłaby ze swojego obecnego życia, gdyby odzyskała wzrok. Marzenia w mroku Nigdy nie będę już taka jak dawniej. Kiedy zasnęłam w ramionach Jacquesa, czułam się tak, jak gdybym wpadała do głębokiej czarnej dziury. Jak mogłam żyć tak długo, nic o tym nie wiedząc? Jest tak dobry i nieśmiały, a jednocześnie tak silny i wrażliwy. Tak cudownie było poczuć jego gruby penis przyciśnięty do mojego uda, a potem dotknąć go dłońmi, palcami. Kiedy poczułam smak jego nasienia, zrozumiałam, jak wspaniale potrafi być życie. Czym zatem musi być prawdziwy seks, kiedy mężczyzna wsuwa swój duży penis w delikatne części kobiety? Trudno wprost uwierzyć, że może być coś jeszcze bardziej podniecającego. Obawiam się, że moje biedne, stare serce stanęłoby, gdyby przydarzyło mi się coś tak ekscytującego. 237 Mam nadzieję, że bliskość, która pojawiła się pomiędzy nami, będzie trwać. Czuję, że Jacques troszczy się o mnie. Chciałabym zęby wiedział, jak cudowne jest dla mnie to wszystko. Teraz nie boję się już, że umrę dziewicą. Wydaje mi się, że nie jest to już dla mnie takie ważne jak dawniej. Tak wiele się dowiedziałam, tak wiele doświadczyłam, czy może być coś jeszcze lepszego? Muszę porozmawiać o tym z Jacquesem, może on pomoże mi to zrozumieć. Kocham życie bardziej niż kiedykolwiek, ale nie obawiam się wcale, że będę musiała je porzucić, ponieważ on zawsze będzie ze mną.

* * *

Rozdział 11

Nasze wspólne dni upływają niepostrzeżenie. Każdy kolejny sprawia, że coraz mocniej zakochuję się w Mirabelle i nie próbuję już tego powstrzymać. Za dnia zajmujemy się nadal remontem mieszkania, malujemy ściany, zrywamy linoleum, wieszamy firanki, pozbywamy się starych mebli, których nie da się już naprawić, z niektórych usuwamy farbę, zdarza się, że odkrywamy pod jej warstwami wiśnię czy dąb. Uzgadniam każdą decyzję z Mirabelle, najczęściej się zgadzamy. Pomaga mi we wszystkim, w czym tylko może. Zmienia obicia krzeseł i starej kanapy, prawie bez pomocy. Całe mieszkanie pełne jest teraz światła i powietrza. Żałuję, że nie może tego oglądać razem ze mną. Co kilka dni Mirabelle pyta mnie, jak wszystko wygląda, prosi, bym usiadł i siada u mojego boku. Obejmuję ją ramieniem i wyjaśniam z najdrobniejszymi szczegółami wszystko, co widzę. Prawie czuję, jak wizja mieszkania pojawia się w jej umyśle. Przypomina to trochę wprowadzanie informacji do komputera, kiedy wie się, że zapamięta wszystko i stworzy wzór zgodnie z programem. Tylko że ten program nazywa się Mirabelle. Nie przerywamy też wspólnego malowania. Kończy się wprawdzie lista miejsc, które Mirabelle pamięta z najdrobniejszymi szczegółami, jej specjalnych miejsc. Opisuję to, co robię, co maluję, jak wygląda, jak pada na to światło, jak komponuję obraz. Mirabelle słucha uważnie z typową dla siebie koncentracją, uśmiecha się, widzi 239 to wszystko w swoim niezwykłym, prywatnym świecie. Coraz więcej jednak maluję ze swojego wnętrza. Słucham, a Mirabelle dzieli się ze mną swoją wizją, która łączy się z tym, co sam widzę, coraz ważniejsza jednak staje się dla mnie moja wizja osobista. Nauczyłem się widzieć więcej, niż mogą pokazać oczy. Staję się artystą. Ciągle mam nadzieję, że Mirabelle zobaczy moje obrazy, że znajdzie w sobie dosyć wiary, aby pozwolić sobie widzieć, ale nie dochodzi do tego. * Każdej nocy przychodzi do mojego łóżka. Stopniowo biorę coraz bardziej aktywny udział w naszej miłości, pieszczę ją, odwdzięczam się rozkoszą za rozkosz. Mirabelle chce, bym kochał się z nią naprawdę, wszedł w nią, ale jest na to zbyt wąska. Pomimo najczulszych pieszczot, którymi ją obdarzam, pozostaje wciąż sucha. To jedna ze smutnych stron starości. Dla mnie nie jest już starą kobietą, w tak wielu sprawach jest ode mnie młodsza, żywsza i bardziej skłonna do nowych doświadczeń. Próbujemy przeróżnych lubrykantów, „smakuję” ją długo i namiętnie, wkładając w to całą miłość, jaką do niej czuję, ale nadal nie może się otworzyć, nie ma też naturalnego nawilżania. Nawet palec czy język, niezależnie od tego, jak ostrożnie próbuję je wprowadzić, sprawiają jej ból. Mirabelle płacze z rozczarowania.

- Wygląda na to, że umrę jako dziewica, Jacques, kochanie. Zbyt długo czekałam. Naszej miłości nie powstrzymują jednak podobne fizyczne przeciwności. Mirabelle jest tak pełna namiętności w swym pragnieniu, by dać mi rozkosz, że ogarnia mnie poczucie winy. Nie wiem, jak mógłbym odplacić jej za wszystko, co ofiarowuje. * 240 Od chwili opuszczenia domu dotrzymywałem obietnicy danej Lorrie. W co drugi wtorek zachodziłem do biura American Express, by sprawdzić, czy nie ma do mnie listów. Później na małym stolyczku przy oknie pisałem, że czuję się świetnie, często o nich myślę i wszystkich kochana. Odebrałem tylko dwa listy, obydwa od Lorrie, ani słowa od dzieciaków. W pierwszym, wysłanym zaledwie dwa miesiące po moim odejściu, napisała, że wraca do domu, do Minneapolis. Wyglądało na to, że Didier nie potrafił zdobyć się na porzucenie rodziny i nie chciał już się z nią spotykać. Poczulem, że oskarża mnie o to, iż ją zostawiłem, zapytałem w swoim liście, czy naprawdę tak sądzi. Nigdy nie odpowiedziała na ten list. Ja zaś staczałem się wtedy na samo dno, nie byłem tak naprawdę sobą, całymi dniami włóczyłem się po Paryżu. Być może pomysł, że mogłaby mnie oskarżać, pojawił się tylko w pijackim zamroczeniu. Opowiedziałem Mirabelle o tym liście, trudno jej było zadecydować, ale była raczej przekonana, że nie miałem racji, Lorrie chciała tylko poinformować mnie o tym, co się wydarzyło i była bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwa z powodu utraty Didiera. Drugi list otrzymałem prawie rok po odejściu z domu. Przyszedł właśnie wtedy, kiedy zaczynałem dochodzić do siebie, kiedy zamieszkałem już na strychu, kilka miesięcy przed spotkaniem z Mirabelle. Lorrie napisała, że sprzedała dom. Był dla niej zbyt duży, zwłaszcza że dzieci już się z niego wyprowadziły. Zamierzała wynająć dla siebie mieszkanie z dodatkowym pokojem, na wypadek gdyby któreś z dzieci zechciało ją odwiedzić. Dalej pisała, że u niej wszystko w porządku, dostała pracę. Robiła to, czego zawsze chciała, kierowała personelem w niewielkiej firmie w St Paul. Napisała, że praca stanowi dla niej wyzwanie, jest 16 - Spóźnieni kochankowie 241 trudna, ale polubiła ją. W ostatnich słowach listu dodała, że jest szczęśliwa. W odpowiedzi napisałem długi list, w którym wyjaśniłem jej, że zacząłem malować i choć nie wychodzi mi to, nie maluję jeszcze tak, jak bym chciał, czynię wyraźne postępy. Nie wspomniałem o tym, gdzie mieszkam. Napisałem, że nadal ją kocham i poprosiłem, by powiedziała dzieciom, że je również kocham i bardzo za nimi tęsknię. Chciałem poprosić, by powiedziała im, żeby również do mnie napisały, ale uznałem, że nie chciałbym wywierać na nie nacisku, już i tak cała ta sprawa była dla nich dostatecznie trudna. Kiedy przeniosłem się do Mirabelle, napisałem o tym do Lorrie. Napisałem, że mieszkam z siedemdziesięciodwuletnią Francuzką, która jest cudowną osobą. Napisałem, że gdyby chciała, może do mnie napisać i podałem adres. Dopisałem

jednak, że nadal będę pytał o listy w biurze American Express. Napisałem, że malowanie idzie mi coraz lepiej. Przez wszystkie te miesiące, które spędziłem razem z Mirabelle, co dwa tygodnie pisywałem do Lorrie długie listy. Pisałem o tym, że moje obrazy są coraz lepsze, że czuję, iż wreszcie staję się artystą. Napisałem o remoncie mieszkania. Napisałem też o tym, co czuję do Mirabelle, że prawdopodobnie się w niej zakochałem. Nie chciałem być okrutny, obawiałem się, że Lorrie tego nie zrozumie, ale nauczyłem się już, że strzegąc swoich tajemnic, trudno jest utrzymać przy życiu miłość. Napisałem Lorrie o Mirabelle tyle, ile tylko mogłem, o jej muzyce, znajomości języków, nawet o gołębiach. Miałem nadzieję, że zrozumie. * Jest poranek, koniec lata, wracam właśnie z joggingu. Mirabelle nadal ma na sobie trykot. Albo ćwiczyła dzisiaj dłużej niż zwykle, albo ja biegałem krócej. Od 242 razu przechodzi do swojej sypialni, by się przebrać. Pomimo łączącej nas intymności, jest nadal bardzo zasadnicza w sprawach stroju. Nigdy nie widziałem, by jakakolwiek część jej garderoby leżała na wierzchu. Nawet w jej sypialni wszystko jest w doskonałym porządku, być może tylko tak może przetrwać niewidoma i samotna osoba. Jej sypialnia wygląda teraz dokładnie tak, jak sobie tego życzyła. Jestem zaskoczony uzyskanym efektem. Na środku stoi białe łóżko z baldachimem, dywan barwy czerwonego wina pokrywa całą podłogę, wspaniale uzupełniając głęboki brąz ścian wybitych adamaszkami. Pomalowałem sufit na białą, tak jak łóżko, nie jest więc zbyt ciemno. Oczywiście dla Mirabelle nie ma to żadnego znaczenia, ale tego wymagało moje poczucie estetyki. Nie miałem uprzednio żadnego doświadczenia w projektowaniu wnętrz, ale ten eksperyment dał mi wiele radości. Prawie co wieczór Mirabelle przychodzi do mojego łóżka, ale zawsze odchodzi przed moim przebudzeniem. Myślałem o tym, że ja mógłbym pójść do niej, ale z jakichś powodów nigdy się na to nie zdecydowałem. Obecna sytuacja ma w sobie coś magicznego, nie chcę więc, by cokolwiek się zmieniło. * Tego ranka Mirabelle wychodzi ze swojej sypialni ubrana w barwy ziemi, barwy mojej sypialni. Podchodzi do stołu i podnosi kopertę.

- Mógłbyś powiedzieć mi, od kogo ten list, Jacques? Nie znam nikogo, kto mógłby napisać do mnie w takiej kopercie. Dostaję wyłącznie listy urzędowe, a one przychodzą w innych kopertach, które są ze śliskiego papieru albo mają foliowe okienka i nie ma na nich timbres*. * Timbres (franc.) - znaczki pocztowe. 243 To od Lorrie.

- To list od mojej żony, Mirabelle. Uśmiecha się.

- Tak właśnie myślałam. Mirabelle przechodzi do wnęki kuchennej. Kuchnia jest teraz jasna i wesoła. Oświetlają światło odbite przez żółte ściany w dużym pokoju, dodatkowo umieściłem nad zlewem lampki. Wszystko to nie ma żadnego znaczenia dla

Mirabelle, zrobiłem to dla siebie. Jestem przy tym przekonany, że jeśli mieszkanie wygląda teraz tak, jak życzyła sobie tego Mirabelle, może pewnego dnia będzie chciała je zobaczyć. Za moją namową zaczęła nawet zapalać i gasić światło, gdy wchodzi czy wychodzi z pokoju. Uznała, że to bardzo zabawne. Z początku zdarzało się, że przypadkiem gasiła światło w pokoju, kiedy siedziałem w środku, co bywało nieco kłopotliwe, ale na pewno zabawne. Zdarzało się też, że po cichu zapalałem ponownie światło, nie mówiąc ani słowa, ale nie da się oszukać Mirabelle. Od razy orientowała się, co robię i nalegała, bym mówił po prostu „Światło”, gdyby coś podobnego zdarzyło się ponownie. Teraz jednak nie przydarza się to zbyt często. * Uznaję, że przed zabraniem się do lektury wezmę kąpiel, którą jak co rano przygotowała dla mnie Mirabelle, chociaż chciałbym jak najszybciej dowiedzieć się, o co chodzi. Mam tylko nadzieję, że nikomu nic się nie stało. Cały jednak ociekam potem, mamy bardzo ciepły dzień, a biegałem bardzo ostro. Nie wyleguję się w wannie zbyt długo. Kończę kąpiel zimnym prysznicem. Ubieram się w swoim pokoju i wracam do jadalni. Mirabelle postawiła właśnie na stole kawę i jajka sadzone polaną roztopionym camembertem. Nauczyłem się od niej jeść jajka w ten właśnie sposób i stało się to moim nałogiem. Wie dokładnie, 244 kiedy stawiać jedzenie na stół, ponieważ słyszy wyraźnie wszystko, co robię. Siadam przy stole i rozrywam kopertę. Dłonie mi drżą. Biorę głęboki wdech, przez chwilę wstrzymuję oddech. To najdłuższy list, jaki do tej pory dostałem od Lorrie. Czytam go pobieżnie, obawiając się tego, co w nim znajdę. Wszystko jest jednak w porządku. Pomimo to czuję się wytrącony z równowagi. Podnoszę wzrok na Mirabelle, która je kupiony właśnie przeze mnie rogalik, ostrożnie popijając kawą.

- Chcesz się dowiedzieć, co jest w tym liście, Mirabelle?

- Chcesz mi go przeczytać? Twoja żona nie będzie na ciebie zła, jeśli to zrobisz?

- Nie, sędzę, że nie. Najpierw jednak zjedzmy śniadanie, zanim wystygnie. Delektuję się jedzeniem, tak jak nauczyła mnie tego Mirabelle. Kończę jajka, dopijam ostatni łyk wyśmienitej kawy. Mirabelle również kończy śniadanie. Patrzy na mnie, nic nie widząc, w kącikach jej oczu zbierają się łzy.

- Czy to złe wieści? Wydajesz się tak bardzo spokojny, wyczuwam w powietrzu napięcie. Czy wszystko jest w porządku?

- Przeczytam ci ten list, a wtedy sama ocenisz. Ponownie wyjmuję list z koperty i zaczynam czytać. Prawdę powiedziawszy, czytam go teraz po raz pierwszy. Przedtem byłem tak bardzo przerażony, obawiałem się, że coś złego przydarzyło się Lorrie albo któremuś z naszych dzieci, że niewiele z niego zrozumiałem. Czytam... Przerwywam lekturę, nie mogę czytać dalej. Czuję ucisk w gardle, łzy napływają mi do oczu. Znowu biorę głęboki wdech.

- Jacques, nie czytaj, jeśli nie chcesz. To musi być dla ciebie bardzo trudne. Podnoszę ku niej wzrok i widzę łzy spływające po jej twarzy. Wyglądam przez okno, mamy dzisiaj piękny dzień. Znowu opuszczam wzrok ku listowi, teraz mogę już czytać dalej... Odkładam list. Siedzimy oboje przy stole i oboje płacemy. Płacę nad tak wieloma sprawami. Nad Lorrie, nad dziećmi, nad sobą, swoją głupotą. Cały ten czas tylko czekałem. Najbardziej jednak płacę nad nami, nad Mirabelle i mną. Czuję się tak, jak gdybyśmy wybudowali wspólnie miasto, cywilizację, na gruzach dwóch starych miast - jej i mojego. Ruiny wychodzą jednak ciągle na powierzchnię, zawsze kiedy bierzemy się do kopania, do budowy. Nieważne, jak piękny jest świat, który dla siebie tworzymy, stare światy czyhają pod nami, gotowe wynurzyć się w każdej chwili. Sięgam przez stół i biorę Mirabella za rękę. Ścisza mnie mocno.

- Ona cię bardzo kocha, Jacques. Nie wiedziałam o tym.

- Wydaje mi się, że sam nie potrafiłem w to już uwierzyć i dlatego ci o tym nie powiedziałem, Mirabelle. Tak naprawdę nie wiedziałem o tym do chwili, gdy przeczytałem ten list. Byłem ślepy.

- Nie mów tak, proszę. To ja jestem ślepa. Ty też nadal bardzo ją kochasz.

- Tak, masz rację. Nigdy nie powiedziałem, że jej nie kocham. Zawsze ją kochałem. To, co zrobiłem, było błędem, głupotą, ale byłem wtedy ślepy, oślepiiony moim własnym egoizmem.

- Może to prawda, ale i tak zachowałeś się lepiej niż większość mężczyzn w podobnej sytuacji. Da/es jej swobodę, której, jak sądziła, potrzebowała. Nawet ona nie wiedziała wtedy naprawdę, czego chce, prawda? Czuję, że za chwilę załamie się i rozplacze. Ściszam mocniej piękne, wrażliwe dłonie Mirabelle, później puszczam je jednak, lękając się, że zrobię jej krzywdę. Czy muszę ranić wszystkie bliskie mi osoby? Przełykam łzy, próbuję się opanować. Siedzimy tak naprzeciwko sobie bardzo długo. Łzy, które spływały po twarzy Mirabelle, wysychają. Uśmiecha się do mnie.

- Co teraz zrobimy, Jacques?

- Właśnie próbuję się nad tym zastanowić. Najpierw 250 napiszę do Lorrie, podziękuję za cudowny list. Napiszę, jak bardzo chciałbym dostać listy od dzieci, zwłaszcza od Helen. Poproszę, by częściej do mnie pisała. - Patrzę Mirabelle prosto w oczy, jest taka spokojna, pełna radości. - Powiem jej, że nie chcę rozwodu. To nie ma sensu. Urywam. Wyraźnie uśmiecha się do mnie.

- A zatem wrócisz do domu, do nich?

- Jeszcze nie teraz, Mirabelle. Nie jestem jeszcze gotowy. Jestem tu szczęśliwy. Z tobą. Nie mam wcale pewności, czy chciałbym zamieszkać w Minneapolis, nawet razem z Lorrie. Zmieniłem się. Moje życie jest tutaj, z tobą, z moimi obrazami, w tej dzielnicy, w tym mieszkaniu. Nie jestem też wcale pewien, czy chciałaby, abym wrócił.

- Ona przyjmie cię z powrotem, Jacques, kocha cię przecież. Wiem, że ja pozwoliłabym ci wrócić niezależnie od wszystkiego. - Urywa, ponownie ściska moją dłoń. - Kiedy obchodzisz urodziny? Nic mi o tym nie mówiłeś. Wydaje mi się, że ten list od Lorrie to specjalny prezent urodzinowy dla ciebie.

- Chyba tego sobie właśnie życzyła, Mirabelle. Masz rację. Jest jednak tak jak pisze Lorrie: nie zawsze wiemy, czego chcemy tak naprawdę. Do moich urodzin pozostały niecałe dwa tygodnie, wypadają siedemnastego września. Zapomniałem o nich, nie chciałem wcale tego przed tobą ukrywać. W pewien sposób zapomniałem całkiem, czym jest czas, jak długo żyłem, jak długo nie żyłem. Nasze życie wydaje się „odcięte od czasu”. Nie sądzę, bym kiedykolwiek był w stanie je porzucić.

- Moje urodziny wypadają dziesiątego września, Jacques, obchodzimy je więc prawie tego samego dnia. Ja próbowałam utrzymać to w tajemnicy, skończę przecież siedemdziesiąt dwa lata. Sama nie mogę w to uwierzyć. Przez wszystkie te dni, które spędziłam razem z tobą, czułam się jak mała dziewczynka. Wydaje mi się stale, że jesteś ode mnie nawet troszeczkę starszy. Jesteśmy tylko dziećmi, które bawią się w dom. Przecież tak właśnie było, nieprawdaż? 251

- Dlaczego nie mielibyśmy naprawdę uczcić naszych urodzin, Mirabelle? Chodźmy do najelegantszej paryskiej restauracji i zjedźmy wystawną kolację. Ubierzesz się w najpiękniejszą suknię, a ja kupię sobie nowe ubranie jako urodzinowy prezent. Zgoda?

- Cudowny pomysł, Jacques. Możemy udawać, że jesteśmy starym małżeństwem i obchodzimy dwudziątą piątą, a może nawet pięćdziesiątą rocznicę ślubu, i cudownie się bawić. Szybko otwieram ponownie list od Lorrie i spoglądam na datę. Napisała go dwudziestego pierwszego sierpnia, to nasza rocznica ślubu, dwudziesta piąta rocznica naszego ślubu. Dlatego właśnie napisała, a nie wspomniała o tym nawet słowem.

- Co się stało, Jacques, poruszyłeś się tak gwałtownie i znieruchomiałeś?

- Mirabelle, Lorrie napisała ten list w dwudziątą piątą rocznicę naszego ślubu. Nawet o tym nie pamiętałam. Boże, czuję się tak okropnie. Chyba nadal jestem taki jak dawniej. Mirabelle wydaje się wpatrywać we mnie ze skupieniem, zastanawia się nad tą informacją.

- Dlaczego do niej nie zadzwonisz, Jacques? Powiesz jej, że zapomniałeś, ale nie znaczy to wcale, że mniej ją kochasz. Możesz zadzwonić z budki przy Le Drugstore. Ona zrozumie.

- Nie znam nawet numeru jej telefonu, Mirabelle. Tak bardzo się od niej oddaliłem. Poza tym minęło już kilka dni. Usiądę i napiszę do niej długi list, zbyt wiele mam jej do powiedzenia, by przekazać to przez telefon. Nienawidzę telefonów. Mirabelle podnosi się od stołu, przynosi pióro i papier. Kładzie dłoń na mojej głowie.

- Bądź dla niej dobry, Jacques. Napisz wszystko, co uważasz za konieczne, ale bądź dla niej dobry. Bierze woreczki z ziarnem dla gołębi i skórzany przybornik.

- Wrócę, kiedy zaczną bić dzwony. 252 Wychodzi. Jeszcze kilka razy czytam list Lorrie. Przez cały ten czas czekałem na taki list, myślałem, że nigdy go nie dostanę, a teraz, kiedy nadszedł, nie wiem, co powinienem zrobić. Wpatruję się w pustą kartkę papieru, starając się ułożyć sobie wszystko w głowie. Tak trudno jest być uczciwym. 28 sierpnia 1975 Najdroższa Lorrie? Dziękuję za Twój cudowny list, który przywrócił mnie do życia, choć nie chcę przez to powiedzieć, że moje życie tutaj jest nudne i puste. Pozwolił mi powrócić do siebie, do naszego dawnego, wspólnego życia. Przepraszam za to, że zapomniałem o dwudziestej piątej rocznicy naszego ślubu. Straciłem rachubę czasu aż do chwili, gdy przeczytałem twój list, nie pamiętałem też wcale, że zbliżają się moje pięćdziesiąte urodziny. Trudno mi nawet teraz wytłumaczyć, jak bardzo oddaliłem się od zegarów i kalendarzy. Kiedy żyje się z kimś, kto ma siedemdziesiąt jeden lat i jest niewidomy, minuty stają się tak cenne, że w ogóle ich się nie liczy, bo liczenie zajmuje nazbyt wiele czasu. Proszę, powiedz dzieciom, by do mnie napisały, będę bardzo wdzięczny, jeśli prześlesz mi listy Helen. Obiecuję odpowiedzieć na każdy, który otrzymam. Przepraszam za to, że nie sprawiłem, aby nasze życie było szczęśliwe. Myślałem, że robię wszystko, co w mojej mocy, aby takie właśnie było, teraz widzę jednak wyraźnie, że się myliłem. Tak trudno jest rozpoznać, co jest dobre, nawet kiedy ma się jak najlepsze zamiary. Nie wrócę do Ciebie jeszcze przez pewien czas, Lorrie. Mam nadzieję, że nadejdzie taki dzień, kiedy będziesz w stanie przyjąć mnie z powrotem, a dzieci mi wybaczą. Na razie jednak muszę zostać tutaj, gdzie toczy się moje 253 życie. Moja praca, poczucie własnej wartości związane są z tym, gdzie jestem, co robię. Mirabelle karmi wiośnie swoje gołębie, a ja piszę do Ciebie przy stole kuchennym. Jest tu ciepło, promienie słoneczne odbijają się w oknie wychodzącym na podwórze. Pisatem Ci już, że wyremontowałem całe mieszkanie, jest teraz bardzo piękne. Styszę, jak dobiegają mnie odgłosy Paryża, chciałbym bardzo podzielić się nimi z Tobą. Mirabelle uważa, że

powiniennem wrócić do domu, spróbować ponownie znaleźć dla siebie miejsce w Waszym życiu. Myślę, że nie ma racji. Wydaje mi się, że utraciłbym wszystko, co zyskałem przez te trudne, długie miesiące. Mój rozwój artystyczny znalazł się w takim punkcie, że łatwo mógłby zostać przerwany, i znowu byłbym nikim. Proszę, okażcie mi odrobinę cierpliwości. Wiedziecie, że bardzo Was kocham i mam nadzieję, że kiedyś znowu będziemy razem. W moich marzeniach jesteś tutaj ze mną, ale wiem, że nie jest to możliwe. To nierealny, niemożliwy do spełnienia sen. Ucieszyłem się bardzo, że tak wspaniale Warn się układa. Jestem z Was bardzo dumny. Cudownie, że każdy odnalazł siebie i buduje dla siebie własne miejsce w świecie. Najważniejszą rzeczą w życiu jest uświadomić sobie, co chce się osiągnąć i wprowadzić to w czyn; to najważniejsza rzecz w każdym życiu, na każdym jego etapie. Przerwywam pisanie. Nie wiem, co jeszcze mógłbym im powiedzieć. Tak wiele rzeczy dotyczy Mirabelle i mnie, pisząc o nich, pogwałciłbym jej prywatność. Czytam raz jeszcze to, co napisałem, dorzucam „ Kocham Was wszystkich i podziwiam” i podpisuję „Jack i Tata”. Myślałem, że będzie to o wiele dłuższy list, zaskoczyło mnie, jak szybko go napisałem. 254 Składam list, wsuwam go do jednej z kopert Mirabelle. Piszę na niej adres, który podała mi Lorrie, przyklejam znaczki, w prawym dolnym rogu koperty dopisuję drukowanymi literami PAR AVION. W lewym górnym narożniku wypisuję swoje nazwisko i adres naszego mieszkania. O mało co nie piszę*„Jacques”. To jest teraz moje imię. Wychodzę i wrzucam list do skrzynki przy urzędzie pocztowym na rogu rue du Four i rue de Rennes. Znajduję Mirabelle pod pomnikiem pośród gołębi. Odwraca się ku mnie.

- Postanowiłeś nie pisać?

- Sprawa załatwiona, Mirabelle, napisałem i wysłałem. Dwa gołębie siedzą na jej dłoni, właśnie karmi je ziarnem. Skupia na nich całą swoją uwagę.

- Cóż zatem zrobisz?

- Jeśli tego chcesz, zostanę z tobą, Mirabelle. Nic się nie zmieniło, oprócz tego, że teraz jestem szczęśliwszym człowiekiem. Jeśli zechcesz, możemy żyć dalej tak, jak żyliśmy dotychczas. Na długą chwilę zapada cisza. Obserwuję, jak zajmuje się gołębiami. Wcale się mnie już nie boją. Myślę, że gdybym tylko wystawił palec, któryś z nich natychmiast by na nim wylądował.

- Bardzo bym tego chciała. Jesteś pewien?

- Niczego już nie jestem pewien, Mirabelle. Teraz jednak wiem, czego chcę. Właśnie w tej chwili dzwony zaczynają bić. Ptaki krążą wokół nas. Szum skrzydeł i bicie dzwonów zagłusza zupełnie hałas ulicy. W sierpniu Paryż pełen jest turystów. Znakomita większość Francuzów wyjechała, wrócić dopiero za parę dni, na grandę rentree. Mirabelle składa swój

przybornik, razem z woreczkami z ziarnem wkłada go do swojej torby, wstaje, strąca z siebie kilka ziarenek i piórek. Biorę ją za ramię i całuję w szyję. 255

- Jakie smakołyki przygotowałaś dla nas dzisiaj, ukochana? Może tak naprawdę wcale cię nie kocham, a liczy się dla mnie tylko twoja kuchnia? Mirabelle ścisła mnie mocno za ramię, trzymając laskę pomiędzy nami.

- Jacques, mam aparat fotograficzny, który należał do Rolande, możesz wykorzystać go do sfotografowania swoich obrazów. Dam ci go, kiedy wrócimy do domu. A jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, zjemy dzisiaj blanquette de veau. - Uśmiecha się do mnie, słońce oświetla jej twarz, podkreślając przezroczystość skóry, delikatną siateczkę zmarszczek, jasnobrązowe plamki na czole, drobnutki żyłki, które popękały na policzkach. Pochyliam się i całuję ją raz jeszcze. - Ależ, Jacques! Robisz się gorszy od moich gołębi. Nie może opanować chichotu. Kto mógłby pomyśleć, że siedemdziesięcioletnia kobieta potrafi tak chichotać. Przyciskam ją mocniej do siebie i wchodzimy na rue des Ciseaux, kiedy za naszymi plecami milkną ostatnie dźwięki dzwonów. Po obiedzie Mirabelle daje mi aparat. Prawdziwy zabytek z wysuwającym obiektywem, który pozwala ustawić ostrość. Sprawdzam mieszek, ale nie znajduję żadnych szpar. Pewne problemy sprawi ustalenie paralaksy przy fotografowaniu obrazów, ale jakoś sobie poradzę. Do takiego aparatu potrzeba filmu sto dwadzieścia. Od dzieciństwa nie zdarzyło mi się używać innego niż trzydzieści pięć. Udaje mi się kupić odpowiedni film, dokonuję obliczeń na podstawie tabel ASA i DIN, w pudełku znajdują się też odpowiednie tabele, uznaję, że mogę spróbować szczęścia bez światłomierza. Ustawiam obrazy w słonecznej smudze wpadającej przez okno do pokoju, tak by było widać fakturę i impast. Zajmuje mi to prawie całe popołudnie. Mam w tej chwili prawie dwadzieścia obrazów, a do tego należy jeszcze doliczyć te osiem, które sprzedałem. Chciałbym je odzyskać. Boże, tak trudno jest wyzbyć się chęci posiadania przedmiotów i ludzi, których się kocha. Zrobiwszy zdjęcia wszystkich obrazów, zanoszę klisze do zakładu fotograficznego. Będą gotowe za trzy dni. Może do tej pory poukładałam sobie wszystko w głowie i będę w stanie napisać lepszy, bardziej spójny list. Wiem, że nadal jestem w szoku. Tego popołudnia nie mam ochoty na malowanie. Wybieramy się więc razem z Mirabelle do cienistej części Ogrodu Luksemburskiego i rozkładamy się na leżakach w pobliżu uli, w przebijających się przez gałęzie promieniach słońca. Wspaniale tak się odprężyć, wsłuchać w brzęczenie pszczół, poczuć pieszczotę słońca, zapachy kwiatów i trawy. Niewiele rozmawiamy. Wystarczy nam, że jesteśmy sami, razem. Kładę dłoń Mirabelle na swoim kolanie.

- Wyglądamy teraz jak kochankowie w parku, nieprawdaż, Jacques?

- Jesteśmy kochankami w parku, w Ogrodzie Luksemburskim w Paryżu. Nie zapominaj o tym.

- Nigdy o tym nie zapomnę, ale nadal nie potrafię w to uwierzyć. Idziemy spacerem do domu w to cudowne letnie popołudnie. Niebo jest srebrzystoszare z fioletowymi pasmami. Nigdy nie próbowałem malować w takim świetle, ale myślę, że teraz mógłbym. Kłopot polega na tym, że podobne światło zmienia się tak szybko, trwa tak krótko. Spoglądam na Mirabelle, która trzyma mnie za ramię. Nie wzięła dzisiaj swojej laski. Tej nocy kochamy się długo i czule, powoli stając się jednością. Opierając się na kolanach i łokciach, zawisam nad nią, dłońmi obejmuję jej twarz. Mirabelle pieści mój członek, jądra, gładzi je delikatnie. Posmakowała mnie już, doprowadziła do łagodnego końca, teraz jednak ponownie zaczyna mnie podniecać. Pociera główkę 256 17 - Spóźnieni kochankowie 257 członka o wejście do swojej pochwy. Wsuwa mnie czule, jak gdyby otulała kołdrą, czuję, że zaczynam twardnieć i jednocześnie wnikam do jej wnętrza. Mirabelle zaciska mocno wargi, jej otwarte oczy zdają się przenikać mnie na wylot.

- Nie ruszaj się, Jacques, najdroższy! Nie ruszaj się, proszę! Próbuję trwać nieruchomo, ale czuję narastającą erekcję, ciasne ciepło jej pochwy, które mnie otacza. Nie ruszam się. Mirabelle oddycha płytko, szybko, prawie dyszy. Jeszcze bardziej mnie to podnieca. Rzuca głową na poduszce.

- Och, Jacques, nigdy nie wyobrażałam sobie, że to będzie coś takiego. Jak można czuć się samotnym, kiedy doświadczyło się takiej bliskości? Nie, nie ruszaj się! Proszę!

- Czy to cię boli, Mirabelle? Nie chcę cię skrzywdzić.

- Nie, nie boli mnie. To jednak więcej niż potrafię znieść, to uczucie jest takie silne. Zostań tak, proszę. Nie ruszam się. Próbuję nic nie robić, ale czuję, jak narasta w moim wnętrzu przypływ energii, gromadzi się, wzmacnia, aż nie mogę go już powstrzymać. Osiągam orgazm. Orgazm bez ruchu, czuję tylko przepływający przeze mnie strumień, nasienie wypływa silnymi falami. Mirabelle leży cicho pode mną. W świetle świecy, którą ustawiłem obok łóżka, wydaje się blada. Mięknię, ale nie wysuwam się z niej. Opuszczam się powoli na nią. Płacze.

- Udało nam się, Jacques, kochanie. Zasadziłeś we mnie swoje nasienie. Nie jestem już dziewicą, prawda? Jestem prawdziwą kobietą.

- Zawsze byłaś prawdziwą kobietą, Mirabelle.

- Jak bardzo chciałabym mieć w sobie coś, w czym twoje nasienie mogłoby urosnąć. Jak bardzo chciałabym mieć z tobą dziecko. Czy to nie głupie? Zawsze chcę mieć więcej, nawet jeśli to niemożliwe. Chcę jednak być wobec ciebie szczerą. Unoszę się, kładę obok

niej i przytulam ją mocno do siebie. Jej serce bije tak mocno, tak szybko, że czuję je na swojej piersi.

- Nic ci nie jest, Mirabelle? Dobrze się czujesz?

- Muszę chwilę odpocząć, przytul mnie mocno. - Leżymy tak przez dłuższą chwilę; kiedy wydaje mi się już, że zasnęła, Mirabelle zaczyna mówić: - Najdroższy, muszę ci coś powiedzieć. To tajemnica, którą przed tobą ukrywałam. Czekam w ciemnościach, czuję zapach jej włosów, pachnie jak niemowlę.

- Rok po śmierci Rolande ja również miałam pewne kłopoty ze zdrowiem. Musiałam iść do szpitala. Lekarze stwierdzili, że mam słabe serce. Dlatego właśnie zajęłam się jogą i gimnastyką. Dlatego też gram na klawesynie, aby się uspokoić. Nigdy więcej nie miałam podobnych problemów, ale poczułam to właśnie teraz. Nie było tak źle jak za pierwszym razem, ale poczułam ucisk w piersiach, który mnie przestraszył. Minał jednak, może jestem już wyleczona. Jacques, mówię ci o tym wszystkim, ponieważ w zeszłym miesiącu sporządziłam testament. Po śmierci Rolande i moich rodziców nie mam już żadnej rodziny, o której bym wiedziała. Chcę, byś zatrzymał to mieszkanie i pieniądze, które pozostawiła mi Rolande, kiedy odejdę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Może twoja żona przyjedzie tutaj i zamieszkacie razem. Sama nie wiem. Chciałam tylko powiedzieć ci o tym na wypadek, gdyby coś się stało. Jestem przerażony. Nie mogę nawet myśleć o tym, że coś mogłoby się stać Mirabelle. Nie chcę wiedzieć, że jest tak słaba, że jej serce może zawieść w każdej chwili. Wiem, że nie potrafiłbym tu mieszkać po jej śmierci. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć, by jej nie zranić.

- Mirabelle, proszę, nie rozmawiajmy o tym. Nie chcę tu mieszkać, kiedy ty odejdiesz. Wiesz o tym. Poza tym, nic ci się nie stanie. Przeżyjemy razem każdy nadchodzący dzień, a będą ich całe setki.

- Tak, Jacques, masz rację. Chciałam tylko, byś wiedział. Czy jesteś na mnie zły? 259

- Jak mógłbyś być zły na ciebie? Kocham cię. Jesteś dla mnie najcudowniejszą osobą na świecie. Jestem tak bardzo szczęśliwy, że nie jesteś już dziewczicą. Teraz oboje jesteśmy dorosłymi, szczęśliwymi ludźmi. Idziemy spać. * Zazwyczaj, kiedy się budzę, Mirabelle nie ma już w moim łóżku, wstaje i cichutko odchodzi. Przywykłem już do tego, sprawia to, że wszystko wydaje się takie nowe, nie tak jak gdybyśmy byli małżeństwem. Jakby odwiedzała mnie tylko nocą, a trochę tak, jak gdybym był dzieckiem, którego matka wstała już, by ogrzać dom i przygotować śniadanie. Kiedy budzę się tego ranka, Mirabelle jak zwykle już przy mnie nie ma. Zakładam ręce za głowę i powoli otwieram oczy, wspominając minioną noc. Dostrzegam Mirabelle w koszuli nocnej, siedzącą na podłodze u

stóp łóżka. Nogi ma w pozycji kwiatu lotosu, wpatruje się w ścianę. Ściany mojego pokoju obwieszane są obrazami od podłogi aż po sufit. Lubię na nie patrzeć. Czuję się wtedy tak, jakbym liczył diamenty czy złoto, które wykopałem razem z Mirabelle. Uczę się z nich i daję mi to mnóstwo przyjemności. Proszę, Mirabelle w świetle wczesnego poranka patrzy na ścianę obwieszoną naszymi obrazami. Przechodzę na kolanach bliżej Mirabelle. Odzywa się do mnie, nie odwracając głowy.

- Są piękne, Jacques, piękniejsze niż mogłam to sobie wyobrazić czy wymarzyć. Jesteś wielkim artystą. Jestem wstrząśnięty. Zsuwam się na podłogę i klękam obok niej.

- Co powiedziałaś, Mirabelle? Co to znaczy?

- Widzę! Kiedy obudziłam się dzisiaj rano, a w pokoju zrobiło się jasno, zobaczyłam obrazy na ścianach. Przyglądam im się już bardzo długo. Zapomniałam już, jakie cudowne rzeczy mogą zobaczyć oczy, i wcale się nie boję. Nie mogę w to uwierzyć. Mirabelle nie zrobiłaby mi jednak czegoś podobnego, nie udawałaby, nie potrafi droczyć się, czy robić złośliwych psikusów.

- Co teraz widzisz, Mirabelle? Mówi bardzo cicho, ale z wielkim napięciem, na twarzy widzę łzy, które spływają z jej oczu.

- Widzę cudowną przemianę placu SaintSulpice, jakiej dla mnie dokonałeś. Twój obraz jest taki prawdziwy, o wiele piękniejszy od wszystkiego, co rzeczywiście. Dziękuję. Odkrywam, że ja też mówię bardzo cicho. Po części próbuję opanować zaskoczenie tym, że Mirabelle widzi. Nie mogę w to uwierzyć.

- A ten obok, czy ten też widzisz?

- Och, tak, to miejsce, gdzie gołębie przylatują po pożywienie na małe uliczki przy placu Furstenberg. Bardzo dobrze pamiętam, jak go malowałeś. Są jeszcze piękniejsze od mojej wizji. Naprawdę umieściłeś nas oboje w tym obrazie, prawda, Jacques? Nie wiem nawet, jak mogłabym ci za to podziękować. Siedzimy długo na podłodze. Dzień jest ciepły, więc nie jest nam zimno. Mirabelle opowiada mi o obrazach. Nie popełnia żadnych błędów, pamięta dokładnie, jak malowaliśmy każdy z nich, potrafi nawet powiedzieć, kiedy uczyniłem jej wizję wyrażniejszą dla niej samej. Staję przed nią.

- A ja, Mirabelle? Co sądzisz o mnie? Jesteś rozczarowana moim wyglądem? Wiem, że nie jestem szczególnie przystojny.

- Jestem pewna, że jesteś piękny, Jacques, ale nie widzę cię.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Mirabelle? Nie rozumiem.

- Nie widzę nic poza obrazami. Kiedy odwrócę od nich wzrok, w stronę okna, w stronę ciebie czy czegokolwiek innego, unosi się mgła i wszystko staje się czerwone, a

potem na powrót czarne. Przepraszam, wiem, jak bardzo chciałbyś, żebym ciebie zobaczyła, być może ujrzę cię pewnego dnia, ale jeszcze nie teraz. Nie sądzę, abym była na to przygotowana, mój umysł nadal się lęka. 260 261 Z początku nie potrafię się z tym pogodzić. Każę jej skupić się na obrazie, odzyskać wzrok, a potem powoli albo szybko odwrócić głowę z zamkniętymi lub otwartymi oczami, ale to nic nie daje. Nie jest jeszcze gotowa do tego, by zobaczyć mnie czy cokolwiek innego. * To jednak wielki krok naprzód. Mam nadzieję, że ten postęp się nie cofnie. Ciekawi mnie, co wydarzy się, kiedy pójdziemy razem malować i opowiem jej, o tym, co maluję, kiedy będzie w stanie zobaczyć nowy obraz. Pochylam się i obejmuję ją.

- Wszystko w porządku, kochanie? Czy to dla ciebie zbyt wielki wstrząs? Może powinnaś wrócić do łóżka i odpocząć? Mirabelle wstaje, a ja podnoszę się wraz z nią.

- Nie, Jacques, powinniśmy żyć tak, jak żyliśmy dotychczas. Myślę, że tak właśnie musimy postąpić. Wszystko ma swój czas, nie możemy niczego wymusić. Przechodzi do swojego pokoju. Ściągam pidżamę i zakładam strój sportowy. Dłonie mi drżą. Teraz, kiedy Mirabelle zaczęła widzieć, czuję się tak, jak gdybym sam po części odzyskał wzrok. Wychodzi z pokoju i siada na podłodze w pozycji półłotosu z jedną nogą wyciągniętą, uśmiecha się do mnie, kiedy obok niej przechodzę, wychodzę i zbiegam po schodach. Po śniadaniu Mirabelle przechodzi do pokoju muzycznego. Pakuję sztalugi, przygotowuję się do wyjścia. Chcę namalować ujęcie rue Mabillon, gdzie dawniej była fosa, w której jeszcze w dziewiętnastym wieku pokazywano niedźwiedzie. W fosie rośnie drzewo, a z wybranego przeze mnie miejsca roztacza się wspaniały widok na prowadzące do niej schody. Mirabelle odwraca się ku mnie.

- Dzisiaj rano chciałabym trochę popracować nad specjalnym koncertem, który dla ciebie przygotowuję. Chciałabym zagrać go 2fi2 wieczorem, aby podziękować ci za twoje obrazy. Później zajmę się gołębiami. Czy możesz wrócić do domu, kiedy zaczną bić dzwony?

- Oczywiście, jeśli ty gotujesz, wrócę nawet gdybym musiał się przyczołgać. Teraz, kiedy widzisz moje obrazy, nigdy już się mnie nie pozbędziesz. Uśmiecha się spokojnie i odwraca. Schodzę po schodach na dół. Wspaniały dzień na malowanie, ciepły, ale nie wilgotny. Cudownie się maluje, kiedy zapach spalin nie jest tak natarczywy jak przez resztę roku. Kończę szkic i podmalówkę. Ciekawe, czy Mirabelle będzie mogła to zobaczyć. Bicie dzwonów dobiega mnie dokładnie w chwili, gdy zakręcam tubki z farbą. Wchodzę właśnie po schodach, gdy dzwony przestają bić. Mirabelle otwiera drzwi. Wstawiam sztalugi do środka płótnem na wierzch. Obserwuję ją. Widzę, że patrzy, ale wiem, że go nie widzi.

Jemy następny wyśmienity obiad. Zbyt wiele się jednak dzisiaj wydarzyło. To, co nas łączyło do tej pory, zmieniło się. Tęsknię za naszym dawnym związkiem. Nie wiem jednak, co mogę zrobić.

- Maluję *Losse des ours* przy *rue Mabillon*, *Mirabelle*. Myślę, że zacząłem następny dobry obraz. Chcesz przejść się tam ze mną dzisiaj po południu?

- Powinnam popracować jeszcze trochę nad *Bachem*, *Jacques*. Próbuję właśnie połączyć trzeci i czwarty głos z pierwszym i drugim, które potrafię już zagrać, a nie jest to proste. Ale zgoda, bardzo chciałabym z tobą malować. Czy będziesz mówił mi, co właśnie malujesz, tak jak zawsze to robisz?

- Oczywiście, potrzebuję twojej pomocy, wiesz o tym przecież.

- Nie, myślę, że nie potrzebujesz mnie już do malowania. Jesteś już dojrzałym, wybitnym malarzem. Jednak bardzo chciałabym być z tobą. A zatem, pozmywawszy naczynia, idziemy razem na *rue Mabillon*, niosąc dwa składane stołeczki. To nie jest daleko, zaledwie trzy małe uliczki od naszego domu. 263 Ustawiłem się na wąskim mostku przerzuconym przez jeden z końców fosi, znajduję miejsce dla *Mirabelle* i zabieram się do roboty. Przygotowując się do malowania, opisuję szczegółowo wszystko, co już zrobiłem.

- Widzisz, *Mirabelle*, ponad połowę obrazu zajmuje sama fosa, z której wyrasta drzewo, jego liście zasłaniają niebo. Blżej środka fosi umieściłem schodki prowadzące z mieszkania, zrobiłem je trochę większe, mocniejsze, niż są naprawdę. Dałem głęboką, przesadną perspektywę wzdłuż ściany fosi przylegającej do ulicy. Po lewej stronie nie pokazałem zbyt dużo ściany, z wyjątkiem kawałka za budką. Wyżej, na poziomie ulicy namalowałem ludzi, którzy oddalają się ode mnie, nie przedstawiłem ich zbyt szczegółowo, na razie są to raczej cienie niż ludzie. Nie namalowałem też żadnych samochodów. Naszkicowałem jedynie studencką kantinę po drugiej stronie ulicy. W tle obrazu, tam gdzie najwięcej światła, jest *rue du Four*. Na razie namalowałem ją w jasnej żółci, żółcieni indyjskiej i odrobinie ochry, na koniec jeszcze bardziej ją rozjaśnię. Opisuję tak cały obraz, aż gotów jestem przejść do impastu. Mówię *Mirabelle* dokładnie, co zamierzam osiągnąć, co naprawdę robię z farbą, jaki efekt ostateczny mam nadzieję uzyskać: kontrast pomiędzy dwoma poziomami a niebem, efekt zamknięcia dzięki liściom drzew: zielonym i niebieskim, jasnobłękitnym i fioletowym jak drzewa na placu *Furstenberg*, te liście są tylko starsze, bardziej zmęczone, pojawiają się już na nich żółte i brązowe plamki, czują zbliżający się koniec lata. Nadal są jednak wielkie i miękkie, rzucają przesuwające się powoli cienie. Opowiadam *Mirabelle*, jak różnorodnie ujmuję cienie, inaczej w samej fosse, ciemniej na ulicy. Potrafię teraz jednocześnie mówić i malować, nauczyłem się przy

Mirabelle. Prawdę powiedziawszy, mówienie sprawia, że wszystko staje się dla mnie wyraźniejsze, pozwala uświadomić sobie, co powinienem dalej robić. 264 Kiedy Mirabelle nie rozumie czegoś do końca, zadaje pytanie i to też mi pomaga. Nigdy nie uwierzyłbym, że będę potrafił tak malować. Mam nadzieję, że pomoże to Mirabelle ujrzeć mój obraz. Myślę, że jeśli uda się jej zobaczyć go tutaj, kiedy powstaje, a nie na ścianie mojego pokoju, będzie to następny wielki krok naprzód. Około szóstej wieczorem, właśnie kiedy zaczynam nasłuchiwać, czy biją już dzwony, i wydaje mi się, że obraz jest już bliski ukończenia, Mirabelle pochyla się ku mnie i szepcze mi prosto do ucha:

- Widzę go, Jacques. To było takie dziwne. Zebrałam sobie w głowie wszystko, co powiedziałaś i zobaczyłam swój obraz na twoich sztalugach, a potem stopniowo, tak że prawie nie zdawałam sobie z tego sprawy, mój obraz zlał się z twoim, stając się tym, który lutaśnie matujesz, a nie tylko tym, co mi opowiedziałaś. To było jak czary. Cudowny obraz. Nigdy nie zrozumiem, jak ty to robisz. Wiem, że mówisz mi wszystko, nadal jednak nie wiem, jak się to dzieje. To jest jak sen.

- Naprawdę go widzisz, Mirabelle?!'. Opowiedz mi o nim! Czy możesz powiedzieć, jakie światło nas otacza? Powiedz, proszę!

- Dzwony będą bić za chwilę, światło nie jest więc zbyt jaskrawe. Myślę, że słońce już zaszło, jest zbyt chłodno, ale na twoim obrazie widzę słońce, zwłaszcza na drugim planie, na rue du Four, dokładnie tak, jak powiedziałaś. Na płótnie niebo jest błękitne, ale nie wydaje mi się, by było tak naprawdę. Na twoim obrazie Jest niewielu ludzi, słyszę jednak wiele kroków, ludzie mijają nas, idą do domu na souper. Nie pyta; mnie, czy cię widzę, Jacques. Wiem, że nie mogę. Nie widzę nawet prawdziwego widoku, który namalowałaś, choć jest tuż przede mną. Czuję zapachy, słyszę dźwięki, prawie czuję, ale nie potrafię jeszcze pozwolić sobie go zobaczyć. Przepraszam. Obracam się na stołeczku, wycieram ręce w szmatkę i chwytam jej dłonie.

- Nie przepraszaj mnie, Mirabelle. Jestem rozczarowany tylko dlatego, że nie jesteś w stanie wraz ze mną 265 doświadczyć tego, co życie pozwoliło mi przelać na płótno. Tak bardzo chciałbym podzielić się z tobą tym wszystkim.

- Zrobiłeś to już w najlepszy możliwy sposób, poprzez swój obraz. Czy naprawdę nie potrafisz zrozumieć, że nie potrzebuję widzieć, zwłaszcza teraz, kiedy ty widzisz za mnie?

- Mirabelle, to sprawia, że jestem częścią twojej ślepoty, jednym z jej powodów! Spróbuj! Czy nie mogłabyś zrobić tego dla mnie?! Pozwól, żebyśmy pomogli ci zobaczyć!

- Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz, Jacques.

- Dobrze, chcę, byś zobaczyła tylko mnie, powinno pójść łatwiej niż z całą ulicą. Chcę, byś patrzyła na obraz, aż zobaczysz go wyraźnie w swoim umyśle, a potem zamknęła oczy i otworzyła je ponownie. Mirabelle wpatruje się w obraz. Widzę wyraźnie, jak mu się przygląda. Później zamyka oczy. Ustawiam swoją głowę tak, by znalazła się pomiędzy Mirabelle a obrazem.

- Otwórz oczy, Mirabelle. Co widzisz?

- JV;c nie widzę. Poczułam, że się poruszyłeś, lecz nic nie widzę.

- Wiem, że umysł jest szybszy od oka, Mirabelle. Następnym razem spróbujemy powoli. Kiedy dopowiadam te słowa, z ulicy dobiegają pierwsze tony dzwonów SaintSulpice.

- Tym razem popatrz na ten obraz tak długo, aż go zobaczysz. Przesuń wzrok, jak gdyby był to rzeczywisty świat, przesuń się w najodleglejszy, najgłębszy punkt obrazu. Udawaj, że przyglądasz się rzeczywistemu miejscu, a nie płótnu, które pokryłem farbą. Spójrz na to, jak gdybyś sama to namalowała, jak gdybyś właśnie ukończyła ten obraz. Czy potrafisz to zrobić?

- Mogę spróbować. Siedzę spokojnie obok niej, wsłuchuję się w bicie dzwonów SaintSulpice i SaintGermaindesPres, które 266 odpowiadają im z oddali. Mirabelle naprawdę się koncentruje. Czekam. Odzywam się cicho:

- Mirabelle, teraz obróć powoli głowę w moją stronę, spróbuj się odprężyć, pozwól mi stać się częścią obrazu, nie zmuszaj się do niczego. Powoli odwraca głowę, aż staje twarzą w twarz ze mną, patrzy prosto w moje oczy. Trzyma głowę nieruchomo, a potem uśmiecha się powoli.

- To takie dziwne, Jacques. Kiedy obróciłam głowę, najpierw jakby ponownie podniosła się mgła, na krawędzi obrazu stała się czerwona, a potem była już tylko ciemność. Przykro mi, że cię nie widzę. Tylko że naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Nie potrzebuję cię widzieć. Dzwony przestały bić. Nie chcę jej zmuszać, wszystko to jest takie dziwne.

- Po prostu nie jesteś jeszcze gotowa, Mirabelle. Jestem pewien, że w końcu zobaczysz mnie i wszystko inne. Możemy poczekać. Zaczynam składać swoje rzeczy. Teraz sam przyglądam się obrazowi. Jest dobry. Czuję się tak, jak gdybym nie mógł już zepsuć obrazu. Nie jestem pewien, czy straciłem instynkt krytyczny i nie potrafię już dostrzec, co robię niewłaściwie, czy moje obrazy są naprawdę tak dobre, jak mi się wydaje. W końcu mój jedyny krytyk jest niewidomy. Trudno spodziewać się obiektywizmu, skoro to ja je namalowałem, a osoba, która kocha je tak jak ja, nie widzi niczego poza nimi i kocha mnie

do szaleństwa. Jej oczy stały się więźniem, więźniem naszej miłości. Po kolacji Mirabelle prowadzi mnie do pokoju muzycznego. Siadam na tym samym krześle co zawsze. Patrzę, jak Mirabelle podchodzi do klawesynu. Umieściłem tam małą lampkę, która w normalnej sytuacji oświetlałaby nuty, chcę, by żyła tak, jak gdyby widziała. Zdejmuję z instrumentu pokrowiec, dokonuje jeszcze kilku koniecznych poprawek. Później podchodzi do dużej armoire stojącej pod ścianą. Ostrożnie podnosi z półek kilka przedmiotów, każdy osłonięty jest pokrowcem i ustawia je na pokrywie klawesynu. Jest ich dziewięć.

- Obiecałam ci, Jacques, że powiem ci, do czego używam gazet. Byłeś dla mnie niezwykle dobry i nie nalegałeś, abym ci to powiedziała, teraz jednak gotowa jestem ci to pokazać. Być może to tylko jeszcze jedno moje szaleństwo, ale sprawia mi to wiele radości. Widzisz, ze starych gazet robię papiermache. Moczę je w garnku z klejem, później ugniatam na jednolitą masę. Podsuszam ją wtedy i formuję z niej takie przedmioty. - Uśmiecha się i odsłania jeden ze swoich „przedmiotów”. Jest to bryła o łagodnych łukach, wysokości około ośmiu cali. - Kiedy gram muzykę, widzę ją w moim umyśle. Oczywiście, nie pod postacią nut. Postrzegam ją jako jedną ze swoich wizji. Każdy utwór muzyczny ma dla mnie pewien kształt i barwę. W miarę jak uczyłam się różnych suit, preludiów, fug i bardziej skomplikowanych kompozycji próbowałam kształtować swoje wizje w wyobraźni i urzeczywistniać je. To rzeźby mojej muzyki. - Przesuwa delikatnie dłonią po figurze, którą ustawiła na klawesynie. Patrzy w moją stronę. - Tę próbowałam pomalować na ciemnopurpurowo, prawie czarno, przedstawia Tombeau de Monsieur Blancrocher, które dla ciebie zagrałam. W Tombeau próbowałam ukazać wolność, jaką czuję, grając ten utwór, a jednocześnie spokojny smutek. Nie widzę, mogę jedynie czuć moje "przedmioty". Pewien człowiek w sklepie z farbami jest na tyle miły, by mnie wysłuchać i sprzedać mi farby, o które proszę. Wiesz tak wiele o muzyce baroku, Jacques, czy udało mi się pokazać to, co chciałam? Zastrzeżiła mnie zupełnie. Jej niewielka rzeźba jest naprawdę piękna. Podchodzę bliżej i przesuwam po niej dłonią. Gdyby mi nie powiedziała, nie odgadłbym, co przedstawia, ale dobrze oddaje falowanie muzyki, porządek bez rytmu, tak jak utwór ten brzmi dla mnie. Mirabelle zaczyna kolejno odsłaniać swoje rzeźby. 268

- Spójrz, to giga, dla mnie jest pomarańczowa, pełna Tycia, dlatego ukośnie jest tak powyginana i pokrzywiona. A to sarabanda, czerwona o długich, miękkich łukach. Tutaj stoi allemande, brązy ziemi, jest nieco bardziej wyciszona i płaska. Jak widzisz, każda jest inna. Czyż to nie dziwne, Jacques? Nigdy nikomu ich nie pokazywałam, ale jestem szczęśliwa, że je zobaczyłeś, tworzenie ich sprawiło mi u)ie(ką przyjemność. Poczułam, że nie jestem tak bardzo niewidoma, mogę tworzyć te niewielkie przedmioty, poprzez które

wyraziłam uczucia, jakie wzbudza we mnie muzyka. Obejmuję ją ramieniem. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Ciągłe mnie zaskakuje.

- Mirabelle, jesteś cudem, znowu ci się udało. Twoje rzeźby są niewiarygodnie piękne. Jestem zaskoczony, że żaden „widzący” rzeźbiarz nie próbował nigdy stworzyć czegoś podobnego. Prawdopodobnie tylko ty mogłaś zrobić to tak pięknie, ponieważ jesteś niewidoma, a jednocześnie jesteś tak znakomitym muzykiem, dlatego potrafiłaś przełożyć muzykę na formę. Każda z tych rzeźb naprawdę jest muzyką, zastygłą muzyką. Dziękuję, za to, że zechciałaś mi je pokazać. Spędzam ponad pół godziny, przechodząc od jednej rzeźby do drugiej, moje dłonie, palce, wzrok wędrują po ich powierzchniach. Czasami przymykam oczy, aby poznać je tak, jak zna je Mirabelle, starając się przyjąć je do swojego umysłu, tak jak pojmują je ona.

- Teraz schowam je i zagram dla ciebie mój koncert. Bierze kolejno każdą rzeźbę, okrywa ją i odstawia z powrotem do szafy. Później podnosi pokrywę klawesynu, przysuwa sobie stołeczek. Wyciąga przed siebie poziomo prawą rękę, dotykając instrumentu małym palcem. Stołeczek przysuwa tak, że kciukiem może dotknąć brzucha, w ten sposób dzieli ją od klawesynu odległość równa szerokości dłoni. Wracam na swoje krzesło, wyłączwszy najpierw światło.

- Ponieważ nie luidzę - tłumaczy mi - muszę zawsze znajdować się w takiej samej odległości od klawiatury. Dlatego ustalam odległość za pomocą dłoni. Wiem, że musi to dla ciebie dziwnie wyglądać, dlatego wyjaśniam. Dziś wieczorem chcę zagrać dla ciebie koncert, w którym przejdę stopniowo od najprostszych do najbardziej skomplikowanych utworów, jakie potrafię zagrać. Zaczę od Francois Couperina, a potem zagram Johanna Sebastiana Bacha. Myślę, że spodoba ci się postęp wyrażony w muzyce. Zagram wszystkie małe preludia Couperina, a jest ich osiem. Kiedy będziesz ich słuchać, spróbuj pomyśleć o moich rzeźbach. Powinnam była je zostawić, tak byś mógł trzymać je w dłoni, czuć ich dotyk, kiedy będę grała kolejne utwory. Może zrobię tak innym razem. Gdybyś zmęczył się słuchaniem, po prostu powiedz mi. Próbuję stworzyć własny styl. To mieszanina wykonań z różnych kaset; słuchałam różnych wykonawców grających te same utwory. Być może będziesz mógł stwierdzić, czy mi się to udało. Po tych słowach zaczyna grać. Gra cudownie, w sobie tylko właściwy sposób, rytm i urok tych prostych preludiów zaczynają nabierać nowego wymiaru, precyzji, a jednocześnie ciągłości, jakiej nigdy w nich nie słyszałem. Niektórych z utworów nie rozpoznaję w ogóle. Gdy kończy, kładzie dłonie na kolanach i obraca się ku mnie.

- Teraz usłyszysz prawie to samo, tylko że pióra monsieur Bacha. Wiesz już, że czułem się zawsze pedagogiem. Czasami zdaje mi się, że lubił muzykę nie za to, że tańczy i potrafi trafić do serca, ale za to, że wszystko w niej doskonale pasuje. Wydaje się, że zawsze próbuje pokazać nam, do czego jest zdolny, jak bystry i żywy jest jego umysł. To piękne na swój własny sposób. Posłuchaj teraz Six petits preludes pour les debutants du piano. Myślę, że będą ci się podobać. Zagram je według tonacji. Najpierw Cdur, potem cmoll, dmoll, Ddur, Edur i emoll. Przypomina to budowę schodów do osobistego muzycznego nieba. Był bardzo miły, że zechciał zabrać nas tam ze sobą. Ponownie zaczyna grać. Przymykam oczy i słucham. Jest wierna muzyce, ale ciągle słyszę w niej samą Mirabelle. Jestem pewien, że Bach nie byłby zadowolony, dla mnie jednak jest to bardzo piękne. Zdaje mi się, że nie mija nawet chwila, gdy kończy. 270

- Chcesz jeszcze posłuchać?

- Tak, proszę, Mirabelle, to piękne.

- Bien. Zagram teraz cykl prostych tańców, które monsieur Bach napisał dla swojej żony, Anny Magdaleny. Musiał być dobrym człowiekiem, ale ciągle wszystkich pouczał. Ach, tak. To najróżniejsze tańce, menuet, polonez, musette, marsz. Mam nadzieję, że będą ci się podobać. Bardzo lubię je grać. Musi to przypominać taniec, ale ja nigdy nie tańczyłam. Ponownie zaczyna grać. Tańce są czarujące, znam większość z nich. Mają w sobie coś cudownie dzieciennego. Myślę o tym, jak wspaniale byłoby zatańczyć z Mirabelle, gdyby jej serce mogło wytrzymać taki wysiłek. Wyobrażam sobie, jak tańczy z wdziękiem i godnością. Słucham i popuszczam wodze fantazji. Czas upływa z magiczną szybkością i Mirabelle kończy. Otwieram oczy, siedzi z dłońmi na kolanach.

- Podobało ci się? Kiedy zaczynałam uczyć się gry na klawesynie, zawsze gdy byłam nieszczęśliwa albo smutna, grywałam sobie te tańce i wszystko znowu było dobrze. Teraz nasz nauczyciel, monsieur Bach, wymaga od nas więcej. Nazwał te utwory inventio et sinfonia. Jest ich po piętnaście. Właśnie przy nich zdałam sobie sprawę z tego, jak trudno przyjdzie mi nauczyć się dobrze grać. Inventiones nie były zbyt trudne, ponieważ jest w nich tylko jeden głos, ale w sinfoniae są aż trzy. Musiałam słuchać bardzo uważnie, aby wydzielić poszczególne głosy, a potem związać je na powrót. Zastanawiałam się nad tym, czy nie zapisać się do specjalnej szkoły, gdzie niewidomi uczą się gry na instrumentach, ale uznałam, że jestem na to zbyt stara, a poza tym chciałam sama do tego dojść. Pracowałam zatem bardzo ciężko. Teraz będziesz mógł tego wysłuchać i powiesz, czy mi się powiodło. Zagrać ich zajmie mi sporo czasu, ponieważ jest ich tak wiele. Gdybyś zmęczył się słuchaniem, powiedz mi po prostu. Jedyne światło w pokoju pali się nad klawesynem. Za

oknem zapadły już kompletne ciemności. Czuję, że mógłbym tak siedzieć i słuchać przez całą wieczność. To takie cudowne zakończenie dnia pracy nad obrazem. 271

- Mirabelle, myślę, że nigdy nie mógłbym się poczuć zmęczony, słuchając twojej gry. Proszę, zagraj coś jeszcze, jeśli możesz. Przez wiele wieczorów zdarzało mi się słuchać moich taśm i kaset całymi godzinami, to sprawiało, że znowu wierzyłem, iż coś na tym świecie naprawdę ma sens. Lorrie szła w takich chwilach do łóżka, twierdziła, że dla niej to już nazbyt wiele. A twoje wykonanie jest o wiele lepsze od wszystkiego, co kiedykolwiek słyszałem. Zaczyna grać, przerywa na krótką chwilę pomiędzy kolejnymi inventiones, są wspaniałe. Później robi dłuższą przerwę, bierze głęboki wdech i zaczyna grać symfonię. Mój umysł przemieszcza się wespół z poszczególnymi głosami. W jakiś sposób, chyba dlatego, że musiała je rozdzielić, brzmią prawie tak, jak je zapisano, jak oddzielne głosy, które toczą pomiędzy sobą tę samą rozmowę. Wydają się rzucać w przód i w tył, nakładają się na siebie, niosą siebie nawzajem. Kiedy kończy, nie potrafię wprost uwierzyć w to, co usłyszałem.

- Mirabelle, to było niewiarygodne. Teraz wiem już, że zawsze słuchałem nazbyt pasywnie. Sprawiałaś, że wszystko to stało się dla mnie tak bardzo rzeczywiste, tak naturalne, pojąłem logikę tej muzyki.

- Tak, monsieur Bach jest bardzo logiczny. Cieszę się, że usłyszałeś to wraz ze mną. Musisz wiedzieć, że twoje obrazy sprawiają iż czuję podobnie. Czynisz je tak pięknymi, że moje osobiste wizje wydają się blade. Czuję, że wiem, o czym myślałeś, malując je, dlaczego tak myślałeś. Robisz wszystko, aby świat wydawał się jednością, całością. Czy gotów jesteś jeszcze trochę posłuchać?

- Tak, bardzo proszę. Na pewno nie jesteś zmęczona?

- Gra dla ciebie nie może mnie zmęczyć, Jacques. Nauczyłam się całej tej muzyki tylko dla siebie. Nigdy nie poznałam radości, jaką daje dzielenie się nią z kimś innym. Zagram teraz Suites Francaises monsieur Bacha. Nie wiem, dlaczego je tak 272 nazwano, dla mnie nie brzmią wcale z francuska, ale nie to jest ważne. Milknie na minutę, unosi dłonie z kolan, prostuje ramiona i zaczyna grać. Grała już dla mnie niektóre z nich. Tym razem obserwuję jej twarz. Jest doskonale spokojna, z wyjątkiem ruchów ramion, kiedy musi sięgać szczególnie daleko, lub kiedy ruch jest wolny, kołysze się wtedy łagodnie w rytm muzyki. Po każdym ordre przerywa, pytając, czy nie mam już dosyć, czy nie powinna przerwać. Za każdym razem zapewniam ją, że nie, proszę, by grała dalej. Gra tak, jak gdyby nie miała nigdy skończyć, aż do chwili, gdy wykonuje ostatnią z Suit francuskich.

- Teraz powinniśmy skończyć i iść do łóżka. Najpierw jednak chciałabym zagrać jeszcze jeden z moich ulubionych utworów Francois Couperina. To osiem morceaux, piąta część szóstego ordre. Nazywa się Les Bamecades Misterieuses. Jak sądzę, po angielsku znaczy to Tajemnicze barykady. Czasami wydaje mi się, że moja choroba to taka prywatna barricade misterieuse, może dlatego grywam ten utwór tak często. Posłuchaj. Zaczyna grać. Znam ten utwór, ale nigdy nie słyszałem, by ktoś grał go tak jak Mirabelle. Kryje się w nim głęboka, mroczna tajemnica nieznanego. W pewnych ustępach wyczuwam wręcz jej ślepotę. Kontrast z lżejszymi fragmentami jest silny, a ciągle powtarzane niskie tony oddane niezwykle pięknie. Jestem wstrząśnięty, tracę wręcz kontakt z rzeczywistością. Kiedy Mirabelle kończy grać, wstaję, zapalam światło, podchodzę do niej i obejmuję ją od tyłu ramionami. Kładzie dłonie na moich, są ciepłe, wiem, że muszą być zmęczone.

- Dziękuję, Mirabelle. To był najcudowniejszy wieczór w moim życiu.

- To tylko niewielkie podziękowanie za wszystko, co mi dałeś, najdroższy. Wstaje, a ja biorę ją w ramiona. Potem pomagam jej opuścić pokrywę klawesynu i naciągnąć pokrowiec. Kł18 - Spóźnieni kochankowie 273 dzie dłoń na wyłączniku światła i gasi je, gdy wychodzę z pokoju. Zaczyna zachowywać się tak, jak gdyby wiedziała, jak żyją osoby widzące, choć sama nic nie widzi. * » Tej nocy kochamy się powoli, wręcz w rytmie muzyki. W mojej głowie nadal rozbrzmiewa taniec jej dłoni na klawiszach, wydaje mi się, że razem odgrywamy kadencje, wydobywając czasami jasne i czyste, a czasami miękkie, głębokie i ciemne nuty. Wchodzę w nią, tym razem jest to łatwiejsze niż poprzednio. Powstrzymuję się, napinam, gdy przyciąga mnie do siebie, wtedy szczytuję miękkim strumieniem, starając się nie poruszać, aby nie sprawić jej bólu. Obserwuję jej twarz, aby przekonać się, że wszystko jest w porządku, ale nie widzę na niej bólu, jedynie radość, przyjemność, rozkosz. Powtarza moje imię, Jacques, oh, Jacques, je faime, comme je faime. Po raz pierwszy odezwała się do mnie po francusku, z wyjątkiem wtrąconych tu i ówdzie pojedynczych słów. Zасыpiamy razem, nie rozdzielając się, mój członek wysuwa się z niej wolno i oboje zapadamy w głęboki sen. Marzenia w mroku To takie możliwe dla Jacquesa, bym go zobaczyła. Jak to możliwe, że nie wie, iż go widzę? Czy to możliwe, że nie czuje w mojej muzyce, że dla nikogo innego nie mogłabym tak zagrać? Widzę go w jego obrazach. Jestem pewna, że widzę go w ten sposób o wiele wyraźniej, niż gdybym mogła zobaczyć jego twarz. Jest w nich cały, jego ciekawość, witalność, siłę, dobroć. Nie mogłabym kochać go bardziej niż teraz. Każde z nas jest jednak tylko sobą. Jestem niewidomą kobietą i to, co dla mnie znaczy bardzo wiele, niewiele znaczy dla innych. Dla Jacquesa oczy są najważniejsze, jeśli nie widzi albo nie jest widziany, wydaje mu się, że nie istnieje.

Wszystko to Jest dla niego takie trudne, nie wie, jak ma zareagować na cudowny list od żony. Wiem, że mnie kocha, ale ją również. Miłość nie odrzuca, Wiary w siebie wszystko, chciałabym pomóc mu to zrozumieć. Myślę, że pokochałabym Lorrie i dzieci, gdybym tylko mogła ich poznać. Nie ma jednak po co o tym myśleć. Muszę skupić się na tym, Jak wypełnić dni, które jeszcze spędzimy razem, jak najlepiej je luykorzystać. Boję się. Czasami, kiedy się kochamy, czuję, że znajduję się na krawędzi czegoś, co może mnie iuciqgnqć do środka. Nie boJę się o siebie, ale o Jacquesa. Chcę, by został tu i malował, Jeżeli będzie to możliwe.

* * *

Rozdział 12

Następnego dnia jest sobota. Po ćwiczeniach i śniadaniu idę po Mirabelle, która zajmuje się swoimi gołębiami. Dziwi się, dlaczego nie maluję.

- Kiedy już skończysz, Mirabelle, chcę, byś poszła ze mną i pomogła mi w wyborze stroju na wielkie przyjęcie z okazji naszych urodzin. Odwraca się do mnie i uśmiecha.

- Sprawi mi to wiele radości, Jacques. Mam na myśli zakupy, ale same urodziny również będą cudowne. Spieszy się bardzo, rozsypuje ziarno na ławce i wokół siebie. Nawet ja widzę wyraźnie, że gołębie są zaskoczone. Po trzydziestu latach, a zatem po trzydziestu pokoleniach gołębi, codzienny rytuał został złamany. Zastanawiam się, czy gołębie myślą. Wątpię, może potrafią się uczyć, ale myśleć chyba nie. Nie dzielę się jednak tą refleksją z Mirabelle. Mam ze sobą dwa bilety na metro, które ważne są również na autobus. Wsiadamy do autobusu linii 86, na przystanku odległym zaledwie o kilka kroków od miejsca, gdzie monsieur Diderot strzeże spokoju naszych gołębi. Bilety wystarczą, by dojechać do Bastylli. Pomagam Mirabelle wsiąść do autobusu, znajduję wolne miejsca. To pierwszy przystanek na tej linii, autobus jest więc prawie pusty. Zajmuję swoje ulubione miejsce za plecami kierowcy. Siadam przy oknie, ponieważ Mirabelle nie sprawia to żadnej różnicy. Kiedy autobus rusza, Mirabelle pochyla się ku mnie.

- Opowiedz mi, proszę, o wszystkim, co widzisz, Jacques. 276 Bardzo dawno już nie jeździłam autobusem. Tak trudno mi prosie konduktora, by powiedział, kiedy dojeżdżamy na przystanek, na którym muszę wsiąść. Kiedy jadę gdzieś dalej, na przykład do szpitala okulistycznego na rue de Charenton, zawsze zamawiam taksówkę. Rolande jeździła ze mną tym właśnie autobusem. Opowiadam Mirabelle e wszystkim, co mijamy, jadąc bulwarem SaintGermain. Opisuję jej Carrefour de l'Odeon, potem plac Maubert. Przejeżdżamy Pont Sully. Opowiadam o przepływających dołem łodziach, o zieleni wody i szarym niebie z błękitnymi plamkami i kilkoma puchatymi obłokami szybującymi poniżej szarej masy chmur. Próbuję opisać widok NotreDame od tyłu, potężne ramiona przypominające pajęczę łapy trzymające ją przy ziemi. Opowiadam o małym parku na cypelku Ile StLouis. Nasz autobus posuwa się bulwarem Henri IV i wreszcie wyjeżdżamy na plac Bastylli. Moglibyśmy pojechać kawałek dalej, kasując po jeszcze jednym bilecie, chcę jednak przejść się razem z Mirabelle Faubourg SaintAntoine. To moja dawna dzielnica, tu właśnie mieszkałem na strychu. Zabieram ją na Marche d'Aligre, moje ulubione miejsce zakupów. Przepychamy się przez tłum na rue d'Aligre do samego marche. Mirabelle trzyma mnie mocno za ramię, ja zaś trzymam dłoń na jej ramieniu. Białą laskę niosę w drugiej ręce.

Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu handlarzy używaną odzieżą. Mirabelle ściska moje ramię.

- Jacques, czy naprawdę jest tu tak wielu ludzi, jak mi się wydaje? Nigdy jeszcze nie przebywałam w takim tłoku, to jeszcze gorsze od targu przy rue de Setne. Chichocze. Staram się ochronić ją przed napierającymi przechodniami, ale panuje tu naprawdę okropny ścisk. Zastanawiam się teraz, czy nie nazbyt wiele od niej oczekuję. Wiem, że musiała powiedzieć mi o swoim słabym sercu, ale czasami wolałbym o tym nie wiedzieć.

277

- Tak wiele tu zapachów, ludzi, owoców, jarzyn, mięsa, tak dużo hałasu. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że ludzkie głosy mogą narobić tyle zgiełku. To cudowne! Naprawdę czuję feraz, że żyję! Znajduję wreszcie wieszaki z ubraniami, zaczynam je przeglądać. Mirabelle bada dotykiem materiał. Jakiś facet usiłuje nam coś wcisnąć, ale nie zwracam na niego uwagi. To tylko część gry. W końcu znajduję to, czego szukałem, kompletny strój wieczorowy, frak. Rozkładam, szukając dziur, plam, których nie dałoby się wywabić. Jednak nic takiego nie widzę. Ten frak spędził ostatnie trzydzieści lat w worku przeciwmolowym na jakimś strychu. Przymierzam marynarkę, pasuje na mnie prawie doskonale. Spodnie są trochę za szerokie w pasie, ale długość nogawek jest akurat. Mirabelle bada materiał, zbliża go do twarzy. Pochyla się ku mnie.

- To bardzo dobry materiał, Jacques, z podobnego uszyty był garnitur, w którym mój ojciec brał ślub. Trzymałyśmy go w szafie przez wiele lat, a potem Rolande oddała go dla biednych do SaintSulpice. Na rue Vaugirard są takie drzwi, można tam zanościć podobne rzeczy. Facet, który próbował mnie już zaczepiać, zaczyna opowiadać o zaletach tego fraka. Wieszam jednak marynarkę z powrotem na swoje miejsce i odchodzę. Odwracam się i od niechcenia rzucam pytanie.

- Combien*? Podaje cenę, czterdzieści franków. Odchodzę bez słowa. Mirabelle pochyla się ku mnie.

- Czterdzieści franków to niewiele za taki garnitur, Jacques. Musisz go kupie, jeśli ci się podoba.

- Kupię go, Mirabelle, nie bój się, ale nie za czterdzieści franków. Spacerujemy po całym targu, przyglądając się prze* Combien? (franc.) - He? różnym rzeczom, choć raczej to ja się przyglądam i opowiadam Mirabelle, co widzę. Chodzimy tak sobie przez dziesięć minut, a potem niby przypadkowo mijamy straganik z ubraniami. Sprzedawca zauważył mnie, tak jak się tego spodziewałem. Prawdopodobnie nie spuszczał mnie w ogóle z oka, prawie na pewno świetnie zdaje sobie sprawę z tego, co robię. To zawodowiec. Nienawidzę

się targować, ale zdążyłem już do tego przywyknąć. Ściąga frak z wieszaka i rozkłada go jak szatę koronacyjną. Zatrzymuję się, rzucam na niego okiem, po czym potrząsam głową. Sprzedawca chwytając staromodny cylinder, wyciąga rękę i umieszcza go zgrabnie na mojej głowie. Mój Boże, pasuje! Jestem zgubiony.

- Trenteciną francs, monsieur, avec le chapeau. Vous serez comme le roi d'Angleterre*. Mógłbym chyba jeszcze trochę utargować, ale nie potrafię się oprzeć, kapelusz łamie wszelkie moje opory. Zdejmuję go z głowy. Jest bez zarzutu, prawdziwy jedwabny szapokłak. Zakładam go z powrotem i przyglądam się swojemu odbiciu w małym, pękniętym lusterku wiszącym na burcie półciężarówki. Szkoda, że Mirabelle nie może mnie zobaczyć. Sięgam do kieszeni, wyciągam trzy banknoty po dziesięć franków i pięciofrankówkę. Wręczam pieniądze sprzedawcy, biorę frak i cylinder. Odchodzimy.

- Cieszę się, że kupiłeś ten frak, będziesz w nim wspaniale wyglądał. Nadal mam cylinder na głowie, pochylałam się ku Mirabelle.

- Mirabelle, kupiłem sobie ten garnitur, żeby pasował do mojego nowego kapelusza, dotknij go tylko. Wyciąga w górę rękę i dotyka mojego kapelusza szybką, wrażliwą dłonią. * Trenteciną francs, monsieur, avec le chapeau. Vous serez comme le roi d'Angleterre. (franc.) - Trzydzieści pięć franków, proszę pana, razem z kapeluszem. Będzie pan wyglądać jak angielski król.

- Mon Dieu, Jacques, mógłbyś teraz zostać samym ministre des finances, a nie tylko roi d'Angleterre. Musisz teraz wspaniale wyglądać. Czy robisz to wszystko po to, bym tak bardzo zechciała de zobaczyć, że nie będę już mogła się powstrzymać? Czy to dlatego?

- Chyba częściowo tak, Mirabelle. Teraz jednak minister czy może król musi poszukać sobie pary butów. Nie dam za nie więcej niż dziesięć franków, a muszą być wygodne, ponieważ po naszej gali zamierzam używać ich do malowania. Znajdujemy starą parę butów, wyglądają na pantofle do tańca, jakie mógł kiedyś nosić Fred Astaire, sądząc po cienkiej podeszwie ze skóry. Nie będą się wprawdzie nadawać do malowania, ale pasują i kosztują tylko dziesięć franków. Nie można dostać wszystkiego od razu, kupuję je więc. Po powrocie z naszej wyprawy jemy razem wyśmienity obiad. Mirabelle każe mi włożyć frak i dokonuje pomiarów do poprawek jak doświadczony krawiec. To następna z jej umiejętności, o których nie miałem pojęcia.

- Nie wiedziałaś, Jacques, że wszystkie niewidome kobiety potrafią szyć? To jedna z umiejętności, które powinnyśmy opanować, jak wyplatanie koszyków czy naprawianie paille w krzesłach. Rolande powtarzała zawsze, że mam mains d'or, złote rączki. Będziesz wspaniale wyglądał. Kiedy kończy przymierzanie, przebieram się ponownie w wygodne

ubranie, którego używam do malowania, zarzucam na plecy sztalugi, w drugą rękę biorę płótno na blejtramicie i wyruszam w miasto malować. Prawdopodobnie zdążę tylko zrobić rysunek, ale nie chcę stracić całego dzisiejszego dnia. Z pewnego miejsca na ulicy, tam gdzie wychodzi ona na plac Furstenberg, widać niezliczone budynki, złożoną płataninę okien, dachów, ścian, mansard i kominów wystających pod przeróżnymi kątami. Może wyjdzie mi z tego dobry obraz na pionowo ustawionym płótnie 25 Figure. * Następnego dnia spędzamy na przygotowaniu naszych strojów. Mirabelle poprawiła mój frak, później zaniósł go do pralni chemicznej. Kosztowało to więcej niż samo ubranie, ale Mirabelle nalegała. Sprzedałem obraz, nad którym wczoraj pracowałem, prosto ze sztalug, za następne tysiąc pięćset franków, czuję się więc teraz jak milioner. Dzwonię do Le Grand Vefour, niewiarygodnie eleganckiej restauracji, jednej z najbardziej znanych w Paryżu, która mieści się w podcieniach Palais Royal. Zamawiam stolik na dziewiąty września. Długo rozmawiamy o tym, co zamierzamy zamówić. Jeśli chodzi o wino, zgadzamy się na zwykle Cotes du Rhone. Właśnie ceny win mogą doprowadzić człowieka do bankructwa w podobnych restauracjach. Każdej nocy kochamy się. Stało się to naturalne, nie rezygnujemy jednak z żadnej z przyjemności, których doświadczaliśmy przedtem, zanim zdołaliśmy po raz pierwszy odbyć stosunek. Zastanawiam się, czy Mirabelle doznaje orgazmu. Nie potrafię, a może po prostu nie mogę tego stwierdzić. Kochając się z Lorrie, nigdy nie byłem tego pewien. Postanawiam ją zapytać.

- Co to jest orgazm, Jacques? Jezu! Jak mam wytłumaczyć kobiecie, na czym polega orgazm? Jak to możliwe, że przeżyła tyle lat i nigdy się tego nie dowiedziała? Ciekawe, czy nigdy nie próbowała się masturbować, nie chcę jej jednak o to pytać.

- No cóż, kiedy wydostaje się ze mnie nasienie, oznacza to orgazm u mężczyzny, ale jest on inny od orgazmu u kobiety.

- Czy ze mnie wydostają się jajeczka albo nasionka?

- Nie, to coś całkiem innego. Poczulałyś się wtedy tak podniecona, że nie byłabyś w stanie tego opanować. Poczulałyś ciepło i rozkosz, poddałaś się własnemu ciału, które samo dawałoby ci rozkosz. Przynajmniej tak mi mówiono. 280 281

- To brzmi cudownie, jak muzyka. Czuję się wspaniale, kiedy wchodzisz we mnie, całe moje ciało jest wtedy ciepłe, jestem bardzo szczęśliwa, nie sądzę jednak, by był to orgazm. Co musiałabym zrobić, aby osiągnąć orgazm? Bardzo bym tego chciała.

- Nie musisz nic robić, Mirabelle, prawdopodobnie przyjdzie to samo. Będiesz wiedziała, kiedy to się stanie. Zaczynam wycofywać się z tego pomysłu. Możliwe, że prawdziwy czterogwiazdkowy orgazm okazałby się czymś, czego jej serce nie byłoby już w

stanie znieść. Poza tym nie chcę, by tak bardzo skupiała się na pragnieniu przeżycia orgazmu, aby przeszkodziło jej to w osiągnięciu go. Zaczynam żałować, że w ogóle o tym wspomniałem.

- Mam nadzieję, że tak się stanie. Pomóż mi, jeśli potrafisz.

- Pomogę ci, Mirabelle. I na tym zamykamy sprawę. * Prawie co wieczór, zanim kładziemy się do łóżka, Mirabelle gra dla mnie koncert. Trwają one zazwyczaj od trzydziestu minut do dwóch godzin, stały się dla mnie i, jak sądzę, dla niej również, częścią naszej miłości. Przechodzi do trudniejszych utworów, zwłaszcza kompozycji Bacha, które nazywa Le Clavecin Bien Temperę. Pracuje nad cyklem preludiów i fug z trzema lub czterema głosami ze Suit angielskich, przygotowując się do trudniejszych utworów z Clavecin Bien Temperę. Gra też kilka utworów Scarlattiego i parę kompozycji Couperina, jak Double de Rossignol i Le PetitRien. Innego wieczora gra Le Forçeray Duphly'ego. Sprawia mi tym ogromną radość. A sama Mirabelle, choć tak bardzo krytykowała Bacha za skłonność do uczenia, uczy mnie teraz delikatnie, łagodnie, dzieli się ze mną swoją niewiarygodną znajomością muzyki baroku. Kiedy 282 wchodzimy do pokoju muzycznego, ja tylko słucham, a ona panuje nade mną całkowicie. Stanowi to zupełne odwrócenie sytuacji, kiedy maluje razem ze mną i ja wyjaśniam jej wszystko, co widzę i robię. Każdego ranka, gdy się budzę, siedzi już u stóp łóżka, wpatrując się w moje obrazy. Wydaje się, że nigdy nie ma dość, jak gdyby je piła. Czasami po przebudzeniu obserwuję ją, patrzę, jak powoli obraca głowę. Każdy artysta powinien mieć podobną publiczność, kogoś wrażliwego, kto pokocha jego pracę, kto dosłownie nie będzie w stanie zobaczyć czegokolwiek innego. Wiem, że obrazy również stanowią część naszej miłości, podobnie jak muzyka wykonywana przez Mirabelle. * Wieczorem dziewiątego września postanawiamy przejść się piechotą na nasze rendezvous w Le Grand Vefour. Wieczór jest wprost cudowny, prawie godzinę spędzamy na kąpieli, przebieraniu, wzajemnym sprawdzaniu. Mirabelle przycina mi nawet brodę i włosy. Nie uwierzyłbym nigdy, że niewidoma potrafi zrobić coś podobnego, ale jej dłonie wędrują po mojej głowie, dotykają, badają, mierzą, a gdy kończy, mam włosy przycięte tak wspaniale, jak nigdy dotąd. Oczywiście, oprócz własnych nieudolnych prób" nigdy nie strzygłem brody. Nigdy zresztą nie nosiłem jej, zanim nie zacząłem żyć na ulicach. Mirabelle nalega też, bym zabrał ze sobą wspaniały parasol, który należał kiedyś do jej ojca. Parasol ma rzeźbioną rączkę w kształcie kaczej głowy ze złotym kołnierzem. Jest wspaniale złożony, nie zamierzam go rozwijać, boję się, że po pięćdziesięciu latach mógłby rozpaść się na kawałki. Mirabelle wyciąga jeszcze jedwabny szalik i drapuje go na moich ramionach.

- Żałuję, że cię nie widzę, Jacques, wydaje mi się, że musisz cudownie wyglądać. 2K.1 Przesuwa dłonią po mojej twarzy, przystrzyżonej brodzie, po delikatnej jedwabnej koszuli, którą również dla mnie znalazła, i po jedwabnych klapach mojej marynarki. Prawdopodobnie widzi mnie lepiej, niż sam mógłbym kiedykolwiek siebie zobaczyć. Namawiam Mirabelle na włożenie starego boa, które znaleźliśmy w szafie. Włożyła ciemną suknię, którą miała na sobie tylko raz, na pogrzebie Rolande, na nią narzuciła czarne karakułowe futro, które należało kiedyś do jej siostry. Na głowę włożyła czarny kapelusz z woalką, który również został jej po pogrzebie. Kiedy przyglądam się naszemu odbiciu w lustrze wiszącym w pokoju obecnie należącym do mnie, uznaję, że wyglądamy tak, jak gdybyśmy wyszli z starego dagerotypu. Lustro jest zmętniało, srebro zaczyna się łuszczyć, nie jestem wcale pewien, czy naprawdę żyjemy. Na pewno jednak robimy spore wrażenie. Staję wyprostowany, wyglądam bardzo arystokratycznie, a Mirabelle jest jak zwykle czarująca. Jaka szkoda, że nie widzi, jak wspaniale wyglądamy. Prawdopodobnie długo by chichotała. Uznajemy, że pójdziemy piechotą, aż się zmęczymy, a wtedy weźmiemy taksówkę. Z całą pewnością nie zamierzamy przyjść do Le Grand Vefour. Wyruszamy zatem, najpierw przechodzimy na drugą stronę bulwaru SaintGermain i wchodzimy w rue de Seine. Wymachuję parasolem, wskazuję Mirabelle to, co widzę. Jest mi bardzo wesoło, Mirabelle chyba też świetnie się bawi. Przechodzimy przez Pont des Arts na Prawy Brzeg, staram się widzieć dla Mirabelle, przekazać jej piękno miasta, tej nocy.

- Na Conciergerie palą się złote lampy, Mirabelle, a światło latarni wzdłuż rzeki jest bursztynowe. Samochody jadące bulwarami z jednej strony wyglądają jak strumień bursztynu, a z drugiej jak strumień czerwieni. Zatrzymujemy się w połowie mostu, przechylamy przez barierkę, patrząc na cypel l'Ile de la Cite.

- Przód wyspy przypomina dziób statku z piękną wierzwą płaczącą rosnącą na pokładzie. Dalej widać Pont Neuf, jego cudowne latarnie migocą odbite na powierzchni rzeki. Przejeżdżają po nim autobusy i samochody, przechodzą ludzie, widać też oświetlone wieże NotreDame. Na nabrzeżu wyspy widzę młodych ludzi cieszących się ciepłym wieczorem. A jeśli obrócimy się w lewo, zobaczymy złotą, oświetloną fasadę Luwru, wielką błyszczącą, kamienną ścianę. Właśnie w tej chwili jeden z wielkich bateaux mouches nadpływa zza naszych pleców spod mostu, oświetlając ciemną zieleń wody potężnymi reflektorami. Słysząc odgłosy kolacji, wielojęzyczną paplaninę przewodników. Próbuję wyjaśnić, jak tajemniczy, prawie przerażający wydaje mi się ten wielki, podobny do rekina statek, a jednocześnie jak miękkie światło stojących na stolikach lampek nadaje mu przyjazny, prawie przytulny wygląd. Przechodzimy przez most. Mijamy Luwr i Arc du

Carroussel. Staram się opisać wszystko, co widzę, ale wiem, że to niewystarczające. Jest to coś całkowicie odmiennego od tego, co czuję malując, kiedy zmuszony jestem widzieć wszystko naprawdę, a nie tylko zewnętrzne kształty. Czuję się rozczarowany.

- Co się stało, Jacques? Proszę, nie przerywaj. W mojej głowie pojawia się cudowny obraz. Nigdy tu nie byłam jako dziecko, a jeśli byłam, nie pamiętam tego. F>rzychodzifam tu czasami z Rolande, ale ona nie lubiła spacerów i nigdy nie opowiadała mi o tym, co widzi. Proszę, opowiedz coś jeszcze. Uznajemy, że nie weźmiemy taksówki. Poczekamy z tym na powrót do domu. Wkraczamy więc pod arkady Palais Royal trochę ukradkiem. Wykorzystujemy chwilę, kiedy odźwierny odprowadza parę, która przyjechała potężnym rollsroyce'em, by ustawić się odpowiednio 284 285 i ruszyć powoli po schodach. Czekamy, aż drugi odźwierny otworzy nam drzwi, i wchodzimy do środka. Maitre d'hôtel rusza szybko w naszą stronę, zastanawiając się pewnie, z jakiego wehikułu czasu wysiedliśmy. Podaję mu nazwiska, a on prowadzi nas do znakomicie ulokowanego stolika, zajmując ławeczkę przy ścianie. Maitre odsuwa dla Mirabelle krzesło naprzeciwko mnie, ale ona chce usiąść u mego boku. Ustaliliśmy to wszystko już wcześniej. Chce, bym pomógł jej w doborze menu, a także opisywał wszystko, co widzę. Maitre reaguje na to autentycznym, francuskim wzruszeniem ramion, ale nie sprzeciwia się. Rzuca błyskawiczne polecenia kelnerowi i po chwili sztucce, kieliszki i talerze ustawione są tak, jak sobie tego życzymy. Zanim Mirabelle siada, staje za nią szatniarz, czeka, aż poda mu swoje futro.

- Mirabelle - mówię po angielsku z wyraźnym brytyjskim akcentem. - Nie wydaje mi się, by było tu szczególnie chłodno, możesz oddać temu człowiekowi swój płaszcz. Mirabelle posyła mi szybki uśmiech i zaczyna odpinać futro, ja zaś pomagam jej je zdjąć. Wyciąga szpilkę z kapelusza i podaje go szatniarzowi. Później, badając najpierw dłońią krawędź stołu, wsuwa się na miejsce obok mnie. Jak na razie nieźle.

- To było cudowne, Jacques. Powinna być pomyśleć o futrze. Wszystko jednak poszło znakomicie, nieprawdaż?

- Och, tak. Mogli nawet pomyśleć, że naprawdę jesteśmy członkami brytyjskiej rodziny królewskiej, arystokratami pozostałymi po minionym stuleciu. Wyprawa charytatywna do slumsów. Wspaniała zabawa. Kiedy sommelier, otyły, zadowolony z siebie mężczyzna przychodzi zapytać nas, czy życzylibyśmy sobie napić się czegoś przed kolacją, zamawiamy niedbale Kir Royal, decyzję podjęliśmy jeszcze w domu. Kłania się i odchodzi. Kelner wręcza mi menu. Ponieważ siedzimy obok siebie, domyślam się, iż uznał, że jedna karta wystarczy nam w zupełności, a ja mogę zamówić dla nas dwojga. Dokładnie odpowiada to naszemu planowi. Jak na razie wydaje mi się, że nikt nie zauważył, że

Mirabelle jest niewidoma. Prawdopodobnie uznali mnie za żigolaka zajmującego się starszą panią dla pieniędzy, to też jest zabawne, prawie równie zabawne jak udawanie członka rodziny królewskiej. Kilkakrotnie jadałem w tej restauracji eleganckie obiady. Byłem jednak zawsze nazbyt zajęty tym, by zrobić jak najlepsze wrażenie na moim szefie albo przechytryć konkurentów, nie miałem więc specjalnie czasu na to, by zwrócić uwagę na jakość podawanych tutaj potraw. Zapamiętałem jednak znakomitą, typowo francuską dekorację wnętrza, żałuję, że Mirabelle nie może tego oglądać. Ktoś, kto posłałby nam przypadkowe spojrzenie, uznałby pewnie, że dywagujemy nad menu, ja jednak szczegółowo opisuję wszystko, co dzieje się wokół nas, co widzę. Uznają pewnie, że nie potrafimy zdecydować, na co mamy ochotę, ale niech sobie myślą, co chcą.

- Są tutaj wysokie sufity, Mirabelle, a z nich zwieszają się kryształowe żyrandole. Podłoga pokryta jest dywanem koloru czerwonego wina, prawie tej samej barwy co dywan w twojej sypialni. Siedzimy teraz na ławeczce wybitej grubym, czerwonym aksamitem pod ciemną drewnianą boazerią. - Rzucam okiem na oparcie. Do ciemnego drewna przymocowana jest niewielka plakietka. Pochyliam się, aby przeczytać wypisane na niej słowa. - Przykro mi to powiedzieć, Mirabelle, ale nie jesteś jednak członkiem angielskiej rodziny królewskiej. Siedzisz na tym samym miejscu, na którym siadywała cesarzowa Józefina.

- Od początku wiedziałam, że nie jestem Angielką, Jacques. Dobrze, że znalazłam odpowiednie dla siebie miejsce. W jej słowach nie ma ani cienia uśmiechu. Naprawdę zaczynamy się wciągać. 286 287 Potem opisuję tłumek siedzący wokół nas przy stolikach, na których leżą nieskazitelnie białe obrusy, serwetki są tak wielkie, że mogłyby służyć jako serwety w normalnych domach. Opisuję, jak kieliszki błyszczą i świecą, odbijając światło padające z kandelabrow. Mirabelle pochyła się bliżej, aby mnie lepiej słyszeć, wydaje się nie spuszczać oczu z menu.

- Wszystko to brzmi cudownie, Jacques. Czy robisz to tylko po to, by zmusić mnie, abym zobaczyła? Czy tylko dlatego jesteś dla mnie taki dobry?

- Oczywiście. Wydaje ci się, że wydawałbym takie pieniądze na byle obiad? Mam wobec ciebie pewne plany, kochanie.

- Dessins*? Co to ma znaczyć? Chcesz mnie narysować, pomalować? Nie rozumiem.

- Zrozumiesz we właściwym czasie, kochanie. Podkręcam wąsa gestem stuprocentowego łajdaka. Później opisuję ten gest i wyjaśniam, że nie "zaplanowałem" wytatuowania jej. To już nazbyt wiele. Mirabelle przyciska do ust chusteczkę, by ukryć chichot, ponieważ w tej samej chwili na naszym stole pojawia się Kir Royal. Unoszę swój

kieliszek, Mirabelle znajduje swój bez pomocy i chwytą jego cienką nóżkę. Unosi go nieco w górę i udaje, że patrzy mi prosto w oczy. Stukamy się kieliszkami.

- Za nasze powodzenie i długie życie, pani hrabino.

- Och, Jacques, to już nazbyt wiele.

- Dla hrabiny de Rochambault wszystko jest możliwe.

- Przestań już, Jacques, pij swój Kir. Pociągamy po łyku. Nie piłem tego koktajlu od ponad dwóch lat. Pamiętam czasy, kiedy żaden Amerykanin nie potrafił sobie wręcz wyobrazić, by przed eleganckim obiadem zamówić jakikolwiek inny napój. Smak Ś

- Dessins (franc.) - rysunki, plany. 288 świeży, jedyny w swoim rodzaju, delikatnie owocowy Ś niosą bąbelki szampana.

- Wyśmienite, Jacques. Nie sędzę, bym kiedykolwiek próbowała takiego szampana.

- Ma cudownie różowy kolor, Mirabelle, bąbelki unoszą się w kieliszku jak»balony wlatujące ku niebu.

- Chyba jesteś pijany, Jacques, a jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

- Jestem pijany, Mirabelle. Upijmy się razem. Biorę ją pod stołem za rękę. Jej dłoń jest chłodna i sucha. Chowam ją w swojej ciepłej dłoni. Drugą ręką otwieram menu.

- Czy zaczniemy od les escargots*, kochanie, czy też wolałabyś jakieś inne przystawki?

- Tak przecież zdecydowaliśmy już w domu, nieprawdaż, Jacques? Czy możemy zamówić po sześć escargots Jako hors d'oeuvre**?

- Masz rację, Mirabelle, później ty zjesz blanquette de veau, a ja zamówię boeuf bourguignon. Szukam właśnie tych potraw w menu, ale nie mogę ich znaleźć. O ile sobie dobrze przypominam, podają tu wyłącznie bardzo eleganckie dania. Możliwe, że nie mają tutaj takiej chłopskiej potrawy jak boeuf bourguignon, ale równie dobrze może się ona ukrywać pod elegancką nazwą. Och, znalazłem blanquette de veau. Mamy szczęście. Dokładnie w tej samej chwili podchodzi do nas kelner. Staje przy końcu stołu, jego twarz nie wyraża żadnych uczuć, w ręku bloczek i ołówek. Mówię, że zaczniemy od escargots, deux fois six***. Zapisuje to w bloczku.

- Et ensuite****?Ś pyta, uśmiechając się sztucznie.

- Dla madame blanquette de veau, a dla mnie un bon boeuf bourguignon.

- Les escargots (franc.) - ślimaki. Ś* Hors d'oeuvre (franc.) - przystawka. *** Escargots, deux fois six (franc.) - ślimaki, dwa razy po sześć. **** Et ensuite? (franc.) - A potem? 19 - Spóźnieni kochankowie 289 Zamykam z trzaskiem menu. Kelner stoi z uśmiechem zamarłym na wargach.

- Nous n'avons pas le boeuf bourguignon, monsieur*. No cóż, przynajmniej uczciwie. Otwieram ponownie menu. Znajduję coq au vin. To porządne, pożywne danie, dobre dla mnie, wybieram więc drób. Wiem, że nie będzie tak smaczne jak przygotowany przez Mirabelle, ale lubię tę potrawę. Zamawiam, a kelner skrobie coś w swoim bloczku i odchodzi.

- Jacques, powiedz, co jeszcze widzisz. Rozglądam się dookoła i zaczynam wskazywać co bardziej zabawnie wyglądające postacie siedzące przy niektórych stolikach. Muszę przyznać się, że moje opisy to karykatury, swego rodzaju słowny Daumier. Mirabelle to chichocze, to próbuje mnie uciszyć. Sommelier wraca do naszego stolika.

- Qu'estce que je peux vous offrir comme vin, monsieur**! Wręcza mi kartę win. Nie otwieram jej nawet i odpowiadam po angielsku.

- Co może mi pan zaproponować ze zwykłych Cotes du Rhone, monsieur? Kelner pochyla się nade mną, przerzuca szybko kartki, aż dociera do strony z Cotes du Rhone. Odzywa się poprawną, choć skażoną mocnym obcym akcentem angielszczyzną.

- Oto zwykle, choć krzepkie Cotes du Rhone, monsieur. Wskazuje ołówkiem wino, które kosztuje sto siedemdziesiąt pięć franków. Rzeczywiście krzepkie. Rzucam zaledwie okiem na kartę win. Niech pomyśli sobie, że jestem niepiśmienny. * Nous n'cwon.s pas le boeuf bourguignon, monsieur (franc.) - Nie mamy wołowiny po burgundzku, proszę pana.
** Qu'estce que je •peux vous offrir comme vin, monsieur? (franc.) Ś Jakie wino mogę panu zaproponować? 290

- Dobrze. Proszę przynieść butelkę, to powinno wystarczyć. Kelner jakby kurczy się, robi znaczek w swoim bloczku, prostuje się i bierze z moich dłoni kartę win. Uśmiecham się do Mirabelle.

- Jacques, poznaję po twoim głosie, że jesteś zły na tych ludzi. Czy zrobili coś niewłaściwego? Chwytni obie jej dłonie. Są zdecydowanie zimne.

- Nie, Mirabelle. Są świetni, a ja znakomicie się bawię na swój sposób. Tylko że wszystko to wydaje się całkowicie nienormalne, kiedy myślę o tym, jak żyłem, jak my żyjemy, o prawdzie naszego życia. Wszystko to jest tak sztuczne, oderwane nawet od jedzenia, wszystko tu jest tylko formą, robieniem tego, co należy. Myślę, że za bardzo przypomina mi o tym, jak przeżyłem większą część mego dorosłego życia, i jestem zły przede wszystkim na siebie. Obiecuję, że dam sobie z tym spokój.

- Może powinniśmy stąd wyjść. Co mogliby nam zrobić? Zapłacilibyśmy za Kir Royal i po prostu wyszli.

- Nie kuś mnie, Mirabelle. Bawmy się, chcę cieszyć się tym wszystkim razem z tobą, a nie zepsuć cały wieczór. Obiecuję, że będziemy się znakomicie bawić na naszych wspólnych urodzinach. I tak też się stało. Śmialiśmy się, ale teraz śmialiśmy się już z właściwych rzeczy. Przestałem wyśmiewać się z siedzących wokół nas ludzi, zaczęliśmy chichotać z naszych prywatnych żarcików, śmialiśmy się z siebie i naszych kostiumów. Poczulem współczucie dla kelnerów, maztre d'hôtel, nawet sommelier. Do diabła, przecież oni zarabiają w ten sposób na życie. Prawdopodobnie nie wierzą w cały ten szpan ani odrobinę bardziej niż my. Kończymy kolację mousse au chocolat i kawą.

- Jacques, jeśli zjemy czekoladę i wypijemy kawę, nie uda nam się dzisiaj zasnąć.

- Naprawdę chcesz dzisiaj spać, Mirabelle? 291 Ściskam najpierw jej dłoń, a potem kolano pod stołem. Ciekawe, czy jeszcze ktoś w tej sali robi to samo co ja w tej chwili. Chyba na to nie wygląda, pozostali goście podchodzą do całej sprawy bardzo poważnie.

- Nie, Jacques, nie chcę spać. Chcę cię posmakować. Wiem już, że jesteś smaczniejszy od wszystkiego, co potrafią ugotować czy choćby wymyślić w tej restauracji. Twój smak jest tak naturalny i różnorodny. Czy jestem bezwstydną?

- Myślę, że jesteś cudowna, nie tylko masz dobry smak, ale na dodatek sama wyśmienicie smakujesz. * Wracamy do domu na piechotę. Mirabelle nie chce, byśmy zamawiali taksówkę. Twierdzi, że zawsze śmierzdzą dymem papierosowym, perfumami i potem obcych ludzi. Idziemy więc spacerem. Nie wiem, która godzina, ale budynki nadal są oświetlone. Ruch na bulwarach już osłabł. Idziemy powoli, czując, jak mieszają się w nas wino, kawa i czekolada, które sprawiają, że stajemy się miękcy i bezbronni. Docieramy do domu, rozbieramy się nawzajem i razem idziemy do łóżka. Kochamy się tak, jak chciała Mirabelle, a potem idziemy spać. Nie mamy żadnych kłopotów z zaśnięciem pomimo czekolady, wina i kawy. Nasza miłość sprawiła, że wszystko zlało się w jedno, jesteśmy teraz już tylko my. Kiedy już prawie zasypiam, Mirabelle szepcze do mojego ucha.

- Chyba nie przeżyłam jeszcze orgazmu, kochany Jacques, ale zaczynam się domyślać, co to może być. * Kiedy budzę się rano, Mirabelle nie siedzi u stóp łóżka jak zwykle. Wchodzę do dużego pokoju, stoi właśnie na głowie. Teraz wiem już, że to trzecia pozycja w jej porannych ćwiczeniach jogi. Wracam do pokoju i przebieram się do biegania. 292 Kiedy wracam z przebieżki, śniadanie jest prawie gotowe, woda w wannie już czeka. Mijając Mirabelle, całuję ją w szyję. Odwraca się ku mnie.

- Wczorajsza noc była wprost cudowna, Jacques, cała noc. Mam nadzieję, że ty też tak myślisz. Czuję się teraz tak, jak gdybym przez całe życie przygotowywała się do tych

urodzin. Nadal nie mogę uwierzyć w to, że mam siedemdziesiąt dwa lata. To chyba niemożliwe.

- Masz rację, Mirabelle, dzisiaj są twoje urodziny. Wszystkiego najlepszego. Pozwól, że to ja ugotuję dzisiaj obiad. Mogę przygotować jakąś amerykańską potrawę, jestem pewien, że będzie to coś, czego nigdy w życiu nie jadłaś.

- Naprawdę masz na to ochotę, Jacques?

- Tak, jeśli i ty tego chcesz.

- Wiesz, że uwielbiam niespodzianki.

- W takim razie idź do swoich gołębi i wróć, kiedy zaczną bić dzwony, a wtedy będzie tu na ciebie czekać niespodzianka. Będzie o wiele smaczniejsza niż jedzenie w Le Grand Vefour, a na pewno mniej kosztowna. Po śniadaniu idę na zakupy. Mirabelle twierdzi, że poćwicz trochę, a później pójdzie do swoich gołębi. Szukam po całej okolicy, aż znajduję wszystko, czego mi potrzeba. Nawet przypomnienie sobie odpowiedniego słowa wymaga nie lada łamania głowy, ale na haku u rzeźnika znajduję to, czego szukam, później idzie już łatwo. Kupuję wszystkie potrzebne składniki. To przynajmniej potrafię przyrządzić, w domu była to moja specjalność. Lubię gotować, ale przez wszystkie te lata, kiedy pracowałem dla MBI, nie miałem jakoś po temu okazji. Boże, co za marnotrawstwo, jak gdybym starał się zniszczyć wszystko, co miało jakąś wartość w moim życiu, wszystko, co kochałem. Właśnie próbuję po raz ostatni moje przysmaki, kiedy dzwony zaczynają bić. Kilka minut później Mirabelle staje w drzwiach. ani

- Co gotujesz, Jacques? Nigdy nie czutam podobnego zapachu. Jest smakowity.

- Usiądź, Mirabelle, wszystko w swoim czasie. Najpierw podaję połówkę avocado z sosem z octu, oliwy i czosnku w dziurce po wyjętej pestce. Mirabelle nigdy jeszcze nie jadła avocado, widzę to ze sposobu, w jaki się do niego zabiera. Ostrożnie bierze do ust odrobinę miększu, w pierwszej chwili jest zaskoczona, z jej twarzy widzę jednak, że podoba jej się cudowny orzechowy aromat.

- Co to jest? Wyśmienite. Czy to owoc, czy warzywo, a może sam to przyrządziłeś?

- To avocado, Mirabelle. Można je teraz kupić we Francji. W Kalifornii je się przez cały rok. Pochodzi z Martyniki. To jedna z moich ulubionych potraw. Moją pièce de resistance stanowią amerykańskie żeberka w sosie słodkokwaśnym. Przygotowałem też kaczany kukurydzy. Mirabelle siedzi przy stole. Delikatnie dotyka jedzenia koniuszkami palców.

- Co to jest, Jacques, jak się to je? Czuję się teraz jak niemowlę.

- To jedzenie wymaga oblizywania palców, Mirabelle, nie obserwują cię teraz żadni kelnerzy, możesz złapać mięso i zjeść je tak, jak chcesz. Jeśli się ubrudzisz, posłuż się serwetką. Może chcesz odrobinę masła, soli czy pieprzu do kukurydzy? Obgryzaj po prostu kolby.

- Nie żartujesz sobie ze mnie, Jacques? Nie bądź wobec mnie okrutny.

- Ależ wcale nie, Mirabelle. Gdybyś mogła mnie teraz widzieć, zobaczyłabyś, że robię dokładnie to samo. Spróbuj, myślę, że ci się spodoba. Idzie za moim przykładem. Pałaszujemy żeberka, niewiele teraz mówimy. Nie pomyślałem o tym, jak nowym doświadczeniem będzie dla niewidomej osoby jedzenie rękami, ale Mirabelle szybko opanowuje tę sztukę.

- Czuję się tak, jak gdybym cofała się o wiele tysięcy lat, jem palcami, bez noża czy widelca, odrywam zębami mięso. To takie wyśmienite. Może właśnie dlatego Amerykanie są tacy jacy są, jedzą niebiańskie potrawy piekielnymi sposobami. Ociera podbródek. Naprawdę świetnie się bawię. Udało mi się osiągnąć w sosie dokładnie odpowiedni stosunek słodczy i kwaskowatości, czuć w nim pomidory, nie jest jednak zbyt kwaśny. Znakomicie pasuje do kukurydzy. Mirabelle szuka pośród kości i kaczanów nie zauważonych kawałków jedzenia.

- Jacques, to był jeden z najsmaczniejszych obiadów w moim życiu. Naprawdę mógłbyś doprowadzić do bankructwa restaurację, w której jedliśmy wczorajszą kolację. Będziesz musiał przygotować dla nas jeszcze jakieś amerykańskie dania.

- Przykro mi, Mirabelle, ale nie umiem gotować zbyt wielu potraw. Postaram się jednak coś wymyślić. Teraz dopiero pora na niespodziankę.

- Mirabelle, napijmy się teraz odrobinę twojego cudownego likieru z gruszek. Znakomicie zakończy wspólny urodzinowy obiad.

- Ależ nic już nie zostało, Jacques. Schowałam butelkę, jest już pusta.

- Proszę, Mirabelle, zrób to dla mnie, poudawajmy przez chwilę. Wpatruje się we mnie przez chwilę niewidomymi, ale jak gdyby widzącymi oczami, wstaje powoli i podchodzi do kredensu, gdzie schowała butelkę. Kiedy wraca do stołu, widzę na jej twarzy uśmiech.

- Co zrobiłeś, Jacques? Butelka jest teraz pełna. Nalałeś do środka wody, próbujesz przemienić wodę w Poire William, jak Chrystus zamienił ją dla swojej matki w wino?

- Przynieść kieliszki, Mirabelle? Ustawia butelkę na stole i rusza w stronę kredensu, delikatnie, w swój specjalny sposób trzyma kieliszki za wąskie nóżki i ustawia je obok butelki. Siada przy stole.

- Otwórz, proszę, butelkę, Jacques, tak jak poprzednim 295 razem. Wcisnęłam korek bardzo głęboko, aby gruszka nie zgniła na powietrzu. Wręcza mi tirebouchon*. Wkręcam go w korek i wyciągam z łatwością. Nalewam hojnie do obu kieliszków. Mirabelle słucha. Nie mówimy ani słowa. Unoszę swój kieliszek, Mirabelle wyczuwa to i podnosi swój.

- Za Mirabelle, najcudowniejszą kobietę na świecie, dla której, podobnie jak dla gruszki zamkniętej w tej butelce, czas się zatrzymał. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Pijemy. Z niepokojem oczekuję jej reakcji. Podjąłem ogromne ryzyko. Nie chciałem zniszczyć czegoś, co jest dla niej święte, z drugiej jednak strony zbieg okoliczności był wprost niewiarygodny. Mirabelle pociąga łyk, pochyla głowę, jakby zaglądała do kieliszka, pociąga jeszcze jeden łyk.

- Bardzo smaczne, Jacques, ale to nie to samo. Ma całkowicie odmienny aromat.

- No cóż, Mirabelle, chciałem kupić ci prezent na urodziny, nową butelkę z gruszką. Szukałem jej po całym Paryżu, ale nie udało mi się jej znaleźć. Wreszcie natrafiłem na niewielki specjalistyczny sklep z likierami w pobliżu Panteonu. Właściciel miał Poire William, ale bez gruszki w butelce. Opowiedziałem mu trochę o nas. Powiedziałem, że chcę kupić taki likier dla cudownej kobiety imieniem Mirabelle. Zobaczyłem błysk w jego oku. Odwrócił się szybko i zniknął w drzwiach prowadzących do piwnicy. Po chwili wrócił z zakurzoną butelką i postawił ją na kontuarze pomiędzy nami. "Mój panie, oto dwudziestoletnia butelka Mirabelle zrobionej przez mojego ojca. Jestem pewien, iż przekona się pan, że jest wyśmienita. Aby przygotować Mirabelle we właściwy sposób, należy powstrzymać się ze zrywaniem owoców, aż zaczną same spadać. Wtedy należy zebrać * Tirebouchon (franc.) - korkociąg. 296 je ostrożnie, umieścić w drewnianej beczce i pozostawić do fermentacji. Tak zrywany owoc nie potrzebuje prawie wcale cukru. W ten właśnie sposób mój ojciec przygotowywał tę Mirabelle. To jedna z ostatnich butelek. Tutaj widzi pan datę wypisaną jego pismem, 1953". Kupiłem więc tę butelkę, Mirabelle, i przyniosłem do domu. Zamierzałem dać ci ją w prezencie na urodziny. Później pomyślałem, że przeleję likier do twojej butelki. Wydawało mi się, że to dobry pomysł. Jestem pewien, że właściciel sklepu nie byłby zbyt uszczęśliwiony, gdyby dowiedział się, co zrobiłem ze wspaniałym trunkiem jego ojca, ale mam nadzieję, że ty nie masz nic przeciwko temu. Tylko twoja opinia liczy się teraz dla mnie. Po twarzy Mirabelle znowu spływają łzy. Obchodzi stół dookoła i po raz pierwszy siada na moich kolanach. Choć jesteśmy sobie tak bliscy, nadal jednak zaskakuje mnie, jak bardzo jest lekka, jak gdyby miała puste kości Śjak ptaki. Trzyma w dłoni kieliszek.

- Proszę, Jacques, napij się z mojego kieliszka, a ja napiję się z twojego. Sprawisz mi tym wiele radości. To stary zwyczaj, moja matka i mój ojciec robili tak w każde urodziny, które pamiętam. Pijemy, a potem Mirabelle wtula głowę pomiędzy moją szyję i ramię. Siedzimy tak przez długą chwilę. * Wieczorami, kiedy Mirabelle ćwiczy grę na klawesynie, piszę listy do mojej rodziny. Mirabelle nadal pracuje nad Suitami angielskimi. Lorrie przesłała mi listy Helen, przeczytałem je w takiej kolejności, w jakiej zostały napisane. Niektóre z nich doprowadziły mnie do łez, inne sprawiły, że wybuchiałem śmiechem, wszystkie jednak ukazały mi w nie znany dotychczas sposób, jako bardzo poważną osobę obdarzoną ogromnym poczuciem humoru. Na ogół dość lekko, jak na tak młodą osóbkę, traktuje moją separację z Lorrie. Czasami jednak z jej słów przebija 297 rozzalenie, tak jej, jak i Lorrie. Nazywa mnie „wyrzutkiem”. Dzięki tym listom zaczynam rozumieć, jak bardzo mnie kocha, jak bardzo chciała się do mnie zbliżyć, ale ja zawsze byłem zbyt daleko. Odpowiadam na każdy list, w miarę jak je czytam. Staram się wyjaśnić jej, dlaczego odszedłem, uczucie zatracenia samego siebie, które mnie ogarnęło, chęć wyruszenia na poszukiwanie siebie, moją prywatną krucjatę. Piszę, że, jak mi się wydaje, odnalazłem swoje prawdziwe ja i jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Szczegółowo opisuję wszystko, przez co przeszedłem. Wiele spośród listów opisuje, jak radzi sobie w szkole, jej chłopaków i przyjaciółki. Wiem, że wszystkie te sprawy zdążyły się już nieco zdezaktualizować, ale odpowiadam na jej pytania tak, jak gdyby były to najświeższe wiadomości. Jeśli było to istotne dla niej, dla mnie również powinno być ważne. Dostaję również listy od pozostałych dzieci. Jack wydaje się pełen rezerwy. Domyślam się, że jako najstarszy i najbardziej zasadniczy ma mi najbardziej za złe moje zniknięcie. Jego list jest jednak serdeczny, pisze w nim o swojej nowej pracy. Pozostała dwójka połowę miejsca poświęciła wyjaśnieniom, dlaczego dotychczas do mnie nie pisali, nie pytają jednak, dlaczego odszedłem. Domyślam się, że Lorrie poprosiła ich, by byli dla mnie mili. Staram się odpowiadać na wszystkie listy, jak odpowiadałem na listy Helen, w nadziei, że w ten sposób zmniejszę dzielącą nas przepaść. Spędzam całe godziny nad kartkami papieru listowego, próbuję wyjaśniać, nie skarżąc się i nie błagając jednocześnie. Przede wszystkim chcę nadrobić cały stracony czas, nie tylko te długie miesiące, ale wszystkie lata, kiedy w domu obecny byłem jedynie ciałem, a i to nieczęsto. Piszę coraz bardziej intymne listy do Lorrie. Zaczynam od samego początku mojej sagi, opowiadam o wszystkim, co mi się przydarzyło. Przelanie na papier najaa» ważniejszych wydarzeń i odczuć tego okresu zajmuje dwadzieścia pięć stron i trzy wieczory. Później próbuję napisać o Mirabelle i o sobie. Piszę o kupieniu fraka i cylindra na marche, o wyprawie do Le Grand Vefour.

Opowiadam o gołębiach Mirabelle, o tym, jak się nimi opiekuje, oż klawesynie, o tym, jak wielu języków nauczyła się całkowicie samodzielnie, tylko za pomocą taśm. Opisuję jej codzienne ćwiczenia jogi, którymi się zajmuje, kiedy ja biegam. Opisuję, jak straciła wzrok, straszliwy wstrząs związany z tym wydarzeniem, piszę, że teraz widzi moje obrazy, ale nadal nie udaje jej się zobaczyć niczego oprócz nich. Nie piszę jednak, jak doszło do tego, że Mirabelle odzyskała wzrok. Napisałem o tym, że zaczęliśmy wspólnie malować, jak otworzyła moje serce i umysł na piękno świata, tak że moje obrazy nagle nabrały nowego sensu. Trudno jest pisać o tym wszystkim, nie raniąc Lorrie. Jestem jednak przekonany, że muszę to zrobić, jeśli kiedyś znowu mamy być razem. Nie chcę ukrywać przed nią tego, kim się stałem, kim teraz jestem. Na przykład kiedy opisuję naszą wyprawę do Le Grand Vefour, wspominam o tym, że Mirabelle przycięła mi brodę i dopiero wtedy orientuję się, że Lorrie nie wie w JOgóle o tym, że noszę brodę. Cofam się zatem i piszę, że mam teraz brodę i bardzo mi się to podoba. Pytam, czy nie będzie jej zbyt trudno się do tego przyzwyczaić, pogodzić z tym. Piszę też o tym, że zupełnie osiwiiałem. Rok temu miałem jedynie szpakowate skronie, dziś moje rzednące nad czołem włosy mają barwę soli z pieprzem. Broda jest jeszcze bardziej biała. Lorrie pisze w odpowiedzi najwspanialsze listy, opowiada w nich o swoim życiu, dzieciach, zapewnia, że nie mają mi za złe, może z wyjątkiem Jacka. Cudownie jest znowu nawiązać z nimi kontakt. Obawiam się jednak trochę o Mirabelle. Nie przebywamy ze 299 sobą często, pisanie listów i malowanie bardzo mnie pochłaniają. Poza tym kiedy kończę, jestem śmiertelnie wyczerpany w sposób, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem. Co wieczór, gdy kończę pracę, Mirabelle wyczuwa tę chwilę. Wychodzi z pokoju muzycznego, staje za krzesłem, kładzie dłonie na mojej głowie, zaczyna masować ją łagodnie, potem przesuwa się w dół, ku szyi i plecóm. Jej ręce, choć tak drobne i łagodne, są bardzo silne. Wyciska ze mnie całe zmęczenie, w poprzek barków i w dół ramion. Często zaprasza mnie do pokoju muzycznego i gra specjalnie dla mnie. Ma ogromny repertuar, gra Scarlattiego, Haendla i innych kompozytorów, o których nigdy dotąd nie słyszałem. Wydaje mi się, że jej siła przechodzi na mnie poprzez muzykę. Przypuszczam, że dzieje się tak, ponieważ sam nie potrafię grać. Muzyka, bardziej niż cokolwiek innego, stanowi pożywienie dla mojej duszy. Biorę ją do serca, przepływa przez całe moje ciało. Czasami, zwłaszcza wtedy, gdy całe popołudnie spędzam przy sztalugach, jej muzyka usypia mnie. Mirabelle twierdzi, że wcale jej to nie przeszkadza, ponieważ wie, że tego mi właśnie potrzeba. Kiedy zasypiam, podchodzi do mnie, delikatnie pieści czoło, całuje powieki, nos, usta, aż budzę się, a wtedy prowadzi mnie półprzytomnego do łóżka. Czasami ponownie zapadam w sen, zanim Mirabelle położy się obok mnie. Dotyka mnie

wtedy i dzięki swym wrażliwym palcom wie, że chce już spać. Zazwyczaj, niezależnie od tego, jak bardzo jestem zmęczony, podnieca mnie i nasza miłość odbywa się jak gdyby we śnie, miękkie, płynne, powolne ruchy, które nie ustają w chwili, gdy w nią wnikam, a potem delikatne i łagodne, jakbyśmy kochali się pod wodą. Czasami zasypiam w chwili, gdy osiągam orgazm, zwłaszcza że teraz Mirabelle nauczyła się kochać się w pozycji "na jeźdźca" i sama kontroluje moment złączenia. Jest tak lekka, że prawie wcale nie czuję jej ciała, jedynie intensywność jej uczuć. * Malowanie idzie mi świetnie. Kiedy pada deszcz, maluję w mieszkaniu, najpierw to, co widzę z okna, potem przechodzę do komponowania w swoim pokoju małych martwych natur. Jako student nigdy nie lubiłem martwych natur. Teraz jednak nauczyłem się, że osobista wewnętrzna wizja liczy się bardziej od tematu obrazu, i odkryłem, że martwa natura stanowi interesujące wyzwanie. Dla Mirabelle również jest to miłe. Siedzi przy mnie i nie musi znosić hałasu i ruchu ulicy. Pewnego deszczowego dnia zaczynam drugi portret Mirabelle. Zabieram się do tego, ponieważ portret, który namalowałem, kiedy się poznaliśmy, jest jedynym obrazem, którego nie widzi. Gdy tylko płótno znajduje się w jej polu widzenia, automatycznie staje się niewidoma. To naprawdę dziwne. Tego ranka, gdy nagle odzyskała wzrok, wisiał na ścianie nad moim łóżkiem, oddzielnie od wszystkich innych. Lubię patrzeć na niego, kiedy rozbieram się do snu. Dlatego nie mogła go zobaczyć. Teraz jednak próbuję ją malować, posługując się swoim nowym sposobem widzenia, nowymi umiejętnościami, wiedzą i miłością. Kiedy kończę, porównuję nowy portret z poprzednim. Ogromnie się różnią. Nie potrafię stwierdzić, na ile Mirabelle się zmieniła, a na ile zmiana dokonała się we mnie. Na pierwszym obrazie wydaje się sztywna, nieruchoma. Tak niewiele jest w niej życia i radości młodej dziewczyny, które w niej odkryłem. Na nowym portrecie ruchy pędzla są wyraźnie widoczne, pomagają opisać Mirabelle lepiej, a przynajmniej taką, jaką znam. Na żadnym z obrazów nie widać niewidomej. Przypuszczam, że nigdy nie postrzegalem jej w ten sposób. 301 Kiedy jednak kończę go i pokazuję Mirabelle, choć ustawiłem za sobą lustro, by mogła, gdyby tylko chciała, patrzeć, jak obraz powstaje, choć wyjaśniałem jej wszystko, co robiłem i dlaczego to robiłem, tak, by mogła brać udział w jego powstawaniu, nie widzi go.

- Przepraszam, Jacques. Wydaje mi się, że po prostu nie chcę zobaczyć siebie jako starej kobiety. Sprawileś, że poczułam się taka młoda i szczęśliwa. Wiem, że coś we mnie się tego obawia.

- Ależ Mirabelle, namalowałem cię tak, jak cię widzę, z całą moją miłością, głębokim podziwem i szacunkiem, namiętnością. Wszystko to jest w tym portrecie. Tak bardzo chciałbym, abyś pozwoliła sobie to zobaczyć.

- Wiem, Jacques. Może przyjdzie to z czasem. Obawiam się, że nie zobaczę siebie tak, jak ty mnie widzisz. Nawet jeśli namalowałeś mnie tak, jak mówisz, będę musiała zobaczyć siebie swoimi oczami i boję się tego. Trudno to wyjaśnić, ale czasami wydaje mi się, że żyję pod szklanym kloszem, który sprawia, że jestem szczęśliwa i żyję. Kiedy widzę twoje obrazy, ten okrutny świat zostaje przefiltrowany przez ekran twojej miłości, mój klosz pozostaje więc nienaruszony. Nadal jestem bezpieczna. Nie dość wierzę w siebie czy też we wszystko, co jest poza mną, by naprawdę stać się częścią zewnętrznego świata. Proszę, okaż trochę cierpliwości. * W niedzielę lubimy chodzić około jedenastej trzydzieści do kościoła SaintSulpice. Są tam jedne z najwspanialszych organów na świecie, na których grywali niektórzy z najbardziej znanych współczesnych organistów, a wśród nich sam Marcel Dupre. Wkrótce po wpół do dwunastej, kiedy kończy się msza, organista grywa muzykę klasyczną, nie hymny czy proste utwory liturgiczne. Najczęściej gra Bacha, a ten brzydki kościół o wysokim sklepieniu ma cudowną akustykę. Mirabelle znalazła miejsce, gdzie grzmiące tony wielkich i drżące nuty małych piszczałek zlewają się razem, równocześnie jednolite i złożone. Siedzimy cichutko, muzyka wywołuje w nas dreszcze. To darmowy koncert dla wszystkich, którzy zechcą zostać i posłuchać. Siedzimy tak, aż dzwony zaczynają bić południe i koncert się kończy. Czuję ogromną radość, kiedy przechodzimy przez" całą długość nawy w stronę balkonu, na którym umieszczone są organy, poniżej rozety. Wychodzimy przez otwarte drzwi na plac, gdzie igrają fontanny. Cudowna przemiana dźwięków organów w muzykę dzwonów i fontann jest jak czary. Jest to coś, czym mogę podzielić się z Mirabelle. Chciałbym jeszcze tylko, by mogła spojrzeć na wysokie sklepienie łukowe oświetlone słońcem sączącym się przez witraże, a potem wyszła z mrocznego wnętrza kościoła przed jego kamienny portal i spojrzała na migocący plac z posągami biskupów siedzących plecami do siebie, z ogromnymi lwami, które przycupnęły u ich stóp, gdy woda rozpryskuje się wokół nich, odbijając światło słoneczne. Jednak bardziej niż ja cieszy się dźwiękami, nic jej w tym nie przeszkadza. * Życie posuwa się naprzód, powoli robi się coraz chłodniej. Zbliży się Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny. Na Wszystkich Świętych zabieram Mirabelle na cmentarz na Montparnasse, znajdujemy grób Rolande, położony obok grobu jej rodziców. Mirabelle nie przychodziła tu od śmierci siostry. Groby odszukujemy przy pomocy dozorca, który odnajduje je na ogromnym planie pociętym poziomymi niebieskimi kreskami i nielicznymi pionowymi czerwonymi liniami. Mirabelle pochyła się nad grobami i bada palcami nazwiska swoich rodziców i Rolande wykute na nagrobkach. U stóp grobów kładziemy doniczkę z kwiatami. Wszystko jest tu okropnie zarośnięte, kamienie pokryte są mchem. Zaczynam wyrywać chwasty

rosnące wokół grobów, pomiędzy pomnikami a ścieżką. Mirabelle przyłącza się do mnie i przez dwie godziny gołymi rękami pielimy oba groby, aż nabierają zadbanego wyglądu.

- Czy w tej chwili wyglądają jak należy, Jacques?

- Znakomicie, możesz być z nich dumna. Moim zdaniem to jeden z najpiękniejszych grobów na tym cmentarzu. Nie kłamię. Tak wiele grobów wykonanych jest z masywnego marmuru ze złotymi literami, są ozdobione plastikowymi kwiatami albo małymi emaliowanymi plakietkami, na których wypisano czarno na białym Souyenirs d notre pere et merę albo Nos regrets.

- Tu właśnie powinnam zostać pochowana, Jacques, obok rodziny. Nie chcę jednak leżeć tutaj. Czy to okropne?

- Nie myśl o swoim pogrzebie, Mirabelle. Ciesz się wraz ze mną tym pięknym jesiennym dniem.

- Bardzo się nim cieszę. Mogę jednak myśleć o swoim pogrzebie i cieszyć się nim jednocześnie. Wiesz, gdzie chciałabym, aby mnie pogrzebano? Chciałabym zostać pochowana w niebie. Nie znaczy to, że chcę, aby moje ciało zostało spalone, to coś okropnego, chciałabym, aby uniosło się w górę i tam już pozostało. Nie mówię też o raj. Chcę znaleźć się w powietrzu, dokąd wznosi się i gdzie znika muzyka. Rozumiesz? Przytulam ją do siebie. Teraz jesteśmy kochankami na cmentarzu. Myślę o siostrach Bronte, o tym, jak blisko wiążą się niekiedy romantyka i groby, jak bardzo są sobie czasem pokrewne.

- Wydaje mi się, że rozumiem, Mirabelle. Gdybyśmy tylko potrafili pokonać grawitację albo zostali wystrzeleni w przestrzeń kosmiczną, moglibyśmy unosić się tam na zawsze, samotni, nietykalni; to byłoby takie czyste, tak bardzo oderwane od wszystkiego tak jak muzyka.

- Rozumiesz, Jacques. Czasami wydaje mi się, że muzyka jest jak gwiazdy. Chciałabym, by tak się stało. * 304 Dziewiętnastego listopada wypadają urodziny Lorrie. Ona również kończy w tym roku pięćdziesiąt lat. Napisała długi, cudowny list o tym, jak bardzo podobały się jej zdjęcia moich obrazów, które jej wysłałem. Píše, że teraz naprawdę zrozumiała, co musiałem czuć przez wszystkie te lata, kiedy pracowałem, by zapewnić wygodny byt swojej rodzinie, podczas gdy tak wspaniała wizja jątrzyła się w moim wnętrzu. Dokładnie tych słów użyła - „Jątrzyła się”. Wiele nad tym myślałem, domyślałam się, że ona tak to odczuwa. Prawdopodobnie to właśnie jest najlepsze określenie. Wiem jednak, że nie była to jej wina, próbuję wyjaśnić, że duma, chęć współzawodnictwa, potrzeba zwrócenia na siebie uwagi szefów były w równym stopniu jak chęć zapewnienia

bytu rodzinie powodem, dla którego trzymałem się MBI. Zachowywałem się jak małe dziecko. Wiem, że wielokrotnie zapominałem w ogóle, że kiedyś chciałem być malarzem. Czasami żartowałem sobie na ten temat z moimi kolegami, traktując to jako niewiarygodne mrzonki z młodości. Mówię Mirabelle, że chciałbym wysłać Lorrie jeden z naszych obrazów jako prezent urodzinowy.

- To cudownie, Jacques. Jestem pewna, że będzie bardzo szczęśliwa. Mamy ich tak wiele, nie powinniśmy być egoistami, prawda? Wybór okazuje się jednak o wiele trudniejszy niż przypuszczaliśmy. Z jednej strony chcielibyśmy wysłać jej ten, który uważamy za najlepszy i który naszym zdaniem naprawdę sprawiłby jej radość. Z drugiej jednak strony niełatwo jest nam rozstać się z którymkolwiek z nich. Siedzimy przez całe popołudnie, próbując podjąć decyzję. Cudownie się bawię. Czuję się prawie tak, jak gdybyśmy oglądali razem telewizję, magiczną telewizję, w której sami jesteśmy aktorami i w ogóle wszystkim. Jak gdybyśmy razem żyli w jednym śnie. 20 - Spóźnieni kochankowie
305

- Będziesz musiał sam zdecydować, Jacques. Nie mam dość siły. Nadal nie potrafię zrozumieć, jak możesz je sprzedawać. Wiem, że chcesz być niezależny, mieć swoje pieniądze, ale tak trudno się z nimi rozstawać. Musisz sam zdecydować. Wstaje i przechodzi do dużego pokoju. Siedzę i w końcu podejmuję decyzję: obraz przedstawiający widok z rue Princesse. Na tej ulicy mieszkał kiedyś Chardin. Wiem, że to jeden z ulubionych malarzy Lorrie. To dobry obraz, a fakt, że przedstawia dom Chardina, sprawi, że będzie dla niej szczególnie cenny. Śrubokrętem wyciągam pinezki, potem zwijam płótno farbą na zewnątrz, by nie pokruszyła się przy rozwijaniu. Wsypuję pinezki do plastikowego woreczka, później rozbieram blejtram, a pojedyncze deseczki wsadzam w płótno. Całość wsuwam w tekturową tubę, piszę na niej IMPRIME* - PLAKAT i zabieram na pocztę. Na deklaracji celnej wpisuję tylko AFFICHE, co znaczy plakat. Wywiezienie obrazów z Francji może sprawiać wiele kłopotów, ale w ten sposób, jeżeli ma się trochę szczęścia, nie jest to szczególnie trudne. Następnego dnia zaczynam malować autoportret. Znowu zaczyna padać; nawet mimo to, że odsunąłem zasłonki, a światło stuwatowej żarówki pada prosto na mnie i na płótno, prawie nic nie widzę. Ustawiam wszystko co trzeba i przyglądam się sobie przez chwilę, tak jak się tego nauczyłem. Niewiele ostatnio na siebie patrzyłem. Pod pewnymi względami wyglądam starzej, pod innymi młodziej. Stanowczo wyglądam zdrowiej, myślę, że zaczynam nabierać ciała pomimo codziennego biegania. Jemy wprost fantastycznie, a metabolizm zaczyna już zwalniać. Maluję przez całe popołudnie, dopóki jest choć trochę światła. Następnego ranka zabieram się ponownie do pracy. Maluję, a

Mirabelle zajmuje się gołębiami. Przy* Imprime (franc.) - druki. 306 gotujemy razem coq au vin i co pewien czas muszę mieszać gotującą się potrawę. Nic dziwnego, że zaczynam tyć. Sam zapach sprawia, że przybywa mi kilka funtów. Po obiedzie, kiedy naczynia są już pozmywane, Mirabelle przychodzi do mojego pokoju i siada za moimi plecami. Próbuję wyjaśnić jej, co właśnie robię, co sprawia mi kłopoty, jakie części obrazu mi się podobają. Kończę właśnie, zastanawiam się, czy Mirabelle będzie w stanie zobaczyć obraz. Wiem, że skończyłem, ale pracuję dalej, w nadziei, że usłyszę jej okrzyk, iż już go widzi, nic podobnego jednak się nie dzieje. Odkładam pędzle.

- Skończyłeś, Jacques?

- Tak, Mirabelle, myślę, że wszystko, co mógłbym jeszcze zrobić, popsułoby tylko ten obraz.

- A zatem skończyłeś. Przykro mi, ale nie widzę go. Przez chwilę myślałam, że go zobaczę, że chmury i ciemności się rozjaśnią, ale właśnie wtedy, kiedy myślałam, że tak się stanie, mój umysł zamknął się i nic nie ujrzałam. Myślę, że podobnie jest z przeżyciem orgazmu. To musi się stać samo, nie można próbować. Uznaję, że skoro Mirabelle nie widzi tego obrazu, wyślę go Lorrie i dzieciakom, kiedy wyschnie. W ten sposób choć częściowo mogę być razem z nimi. Przed spakowaniem farb długo patrzę na ten obraz. Czuję się tak, jak gdybym patrzył na kogoś obcego, nawet twarz w lustrze wydaje mi się należeć do kogoś innego. Właściwie ten portret bardziej przypomina moje odbicie w lustrze niż sposób, w jaki sam wyobrażam sobie swoją twarz. Jednak nikt nie wie, jak sami w różnych sytuacjach wyglądamy w oczach różnych ludzi, nawet w naszych własnych oczach. Tego wieczora nie piszę. Od kilku dni nie odbierałem żadnych listów, to co robię, co dzieje się w moim życiu, prawdziwym życiu, wyraziłem na płótnie. 307 Mirabelle mówi, że gotowa jest zagrać mi kilka utworów z Les Suites Anglaises. Zabieram swoje krzesło do ciemnego pokoju, a ona zaczyna grać. Trudności tego utworu giną w opanowanym, ale pełnym osobistego ognia wykonaniu Mirabelle. Przenoszę się w świat muzyki, gwiazd, matematyki, postępów, powtórzeń, rozwinięć do chwili, gdy nie czuję już swojego ciała. Nie mogę w to uwierzyć, nawet wtedy, gdy ona przestaje grać. Nie mam pojęcia, jak wiele czasu upłynęło. Podchodzę do niej niepewnym krokiem.

- To było cudowne, Mirabelle, tak cudowne, że nie potrafię tego opisać. Wprowadziłaś mnie do swojego umysłu, przedstawiłaś mi Bacha, jakiego nigdy jeszcze nie znałem. Nie wiem, czy kiedykolwiek czułem, że jesteśmy sobie tak bardzo bliscy. Dziękuję.

- Zagrałam to specjalnie dla ciebie, Jacques. Nigdy jeszcze nie grałam tak dobrze, a wiem, że stało się tak dlatego, iż robiłam to dla ciebie, dla nas. Myślę, że czułam w sobie

twój umysł, podobnie jak myśli Johanna Sebastiana Bacha. Tak miło było poczuć nas oboje w tej muzyce. * Tej nocy przychodzi do mojego łóżka, muzyka w jakiś tajemniczy sposób jest nadal pomiędzy nami. Stajemy się sobą nawzajem, unosząc się w naszej własnej muzyce, wyrywając piosenki z naszych ciał, wznosząc dłonie w podniecających crescendach, pieszczotą wydobywając długie nuty, wyczuwając wzajemne wibracje. Jak zwykle postawiłem na stoliku przy moim łóżku zapaloną świecę, przede wszystkim dla siebie, abym widział Mirabelle, gdy podchodzi cichutko, staje w drzwiach, patrzy na mnie, nic nie widząc, a potem wsuwa się pod uniesioną kołdrę. To część naszego rytuału. Odsuwam ciężką kołdrę i badam jej ciało w przyćmionym świetle. Zawsze kochamy się w ten sposób, dajemy sobie nawzajem znać, czego oczekujemy, po308 przez ofiarowanie tego samego drugiej osobie. Niewiele tu słów, więcej jęków rozkoszy. Wnikam w nią twardy, napięty, siada na mnie, jej warkocz spada mi na twarz. Widzę, że za chwilę znajdzie się zupełnie gdzie indziej. Porusza się silniej, rzuca się jak nigdy dotąd.

- Och, Jacques, myślę, że to się zbliża. Muzyka jest coraz głośniejsza, silniejsza. Je suis perdue. Je suis*... Trzymaj mnie mocno, Jacques! Nie puszczaj mnie, nigdy! Trzymaj mnie. Wydaje z siebie głośny jęk, niemal krzyk, który wydobywa się z głębi jej piersi. Opiera się na rękach, pochyła się nade mną, lekki skrzat o pobladłej twarzy i ciemnych oczach zawisa w ciemnościach. Poruszam się i czuję, jak przenika mnie spazm, nasienie wytryska, dochodzę wewnątrz niej. Czuję, że przyłączam się do jej radości. Obserwuję jej twarz, głowę odchylną w tył, przymknięte oczy. Nagle spogląda na mnie. Światło świecy odbija się w jej oczach. Na jej twarzy maluje się przerażenie.

- Jacques, ja cię widzę! - szepcze. - Widzę cię! Mon dieu, jesteś stary! Jesteś starszy od mojego ojca! Jak to możliwe? Nie wiem, jak powinienem zareagować. Jestem szczęśliwy, że widzi, ale to ostatnia reakcja, jakiej się spodziewałem, choć powinienem był się na to przygotować. Patrzę jej w oczy.

- Jesteś pewna, Mirabelle?

- Tak, masz siwe włosy i białą brodę, twarz dojrzałego mężczyzny. Nie wiedziałam.

- Wiedziałaś, że mam pięćdziesiąt lat, żonę i czwórkę dorosłych dzieci. Jesteś pewna, że mnie widzisz?

- Oczywiście, że tak. Nie wiedziałam. Miałam w głowie zupełnie inny obraz twojej osoby. Proszę, nie obrażaj się. Daj mi trochę czasu, bym mogła się przyzwyczaić. To takie dziwne. Kładzie się na mojej piersi i odwraca głowę. Czuję, jak jej łyzy zaczynają spływać na moją pierś. Budzi się we mnie podejrzenie, że nigdy już nie będzie widzieć. * Je suis perdue. Je suis... (franc.) - Jestem stracona. Jestem... 309

- Wszystko w porządku, Mirabelle?

- Tak. Masz rację. Jestem głupiotką staruszką o umyśle małej dziewczynki. Tak trudno mi się z tym wszystkim pogodzić. - Unosi się ponownie na ramionach, patrzy mi w twarz. Ś Obróć głowę, tak bym mogła zobaczyć ją całą. Proszę, Jacques. Powoli kręć głowę na poduszce.

- Tak, naprawdę jesteś przystojny, kiedy patrzę na ciebie tak, jak powinnam, a nie oczami małej dziewczynki. Musisz wiedzieć, że to wielki wstrząs. Jestem zaskoczona, że nadal widzę. - Ostrożnie odwraca głowę, rozgląda się po pokoju. - Sprawiliś, że to miejsce wygląda cudownie. Jest o wiele piękniejsze niż to, co pamiętam. - Zaczyna chichotać, a potem chichot przeradza się w śmiech. Śmieje się tak głośno, że zaczynam się o nią obawiać. Kilka razy próbuje coś powiedzieć, ale musi przestać, ponieważ śmiech tylko narasta. - Och, Jacques... Tak mi przykro... Musiałeś poczuć się okropnie, kiedy nazwałam cię starym człowiekiem, podczas gdy ja sama jestem starą kobietą... To takie śmieszne, takie dziwne. Naprawdę mi przykro. Czy potrafisz to zrozumieć, wybaczyć mi? Zaczynam dostrzegać śmieszność całej tej sytuacji. Opuszcza mnie lęk, słabnie szok, wybucham śmiechem, a to sprawia, że Mirabelle zaczyna śmiać się jeszcze głośniej. Przyciskam ją mocno do siebie i razem trzęsiemy się, drżymy od śmiechu. Nie wiem, jak wiele czasu mija, zanim Mirabelle odzywa się ponownie:

- Jacques, jeśli uważam, że wyglądasz staro, to jak ja muszę wyglądać? Obiecuj mi, że ukryjesz moje portrety i wyniesiesz z domu wszystkie lustra. Jeśli tego nie zrobisz, jestem pewna, że ponownie stracę wzrok. Nie sądzę, bym mogła na siebie spojrzeć.

- Nie żartuj, Mirabelle. Nie byłoby mnie tutaj, gdybyś nie była bardzo piękną kobietą. Czy nie wystarczy ci, że ja uważam, iż jesteś śliczna? Czego jeszcze chcesz?

- Jesteś artystą, Jacques, widzisz mnie poprzez swoje marzenie. Ja nie jestem artystką. Obawiam się, że zobaczyłabym tylko starą kobietę, którą jestem naprawdę. Nie chcę tego. - Układa się spokojnie na mojej piersi, jej serce bije jak skrzydła 310 motyla o szybę. - Jestem bardzo zmęczona, Jacques, czy moglibyśmy iść już spać? Będziemy się martwić tym wszystkim jutro rano. Proszę, do rana pozostań po prostu moim cudownym, pięknym, przystojnym, dobrym, kochającym mężczyzną i przytul mnie mocno do siebie, ochroń mnie przez całym światem. Po tych słowach milknie. Zасыpia po kilku minutach, a ja powoli zsuwam ją \ siebie na łóżko. Układam jej głowę na poduszce. Ma zamknięte oczy. Jest taka piękna. Zawsze spała z zamkniętymi oczami, nawet wtedy, kiedy nie widziała. Ciekawe, czy robią tak wszyscy niewidomi? Marzenie Jestem gotowa. Mam już wszystko, o czym śniłam w moich ciemnościach. Jacques będzie na zawsze mój w moim sercu i

myślach. Spędziliśmy cudowne dni, bawiąc się, pracując razem, kochając się. Czy jakakolwiek inna kobieta doświadczyła tak cudownej, skoncentrowanej miłości? Wie też, że go kocham, wie, jak wiele dla mnie znaczy. Wiek nie ma żadnego znaczenia. Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, od razu wiedziałam, jak bardzo jest ode mnie starszy w głębi serca. Ma w sobie tak wiele smutku, ale i tak wiele odwagi, by stawiać czoło życiu. Nigdy nie potrafię być taka jak on. Mam nadzieję, że zrobi to, o co go proszę, kiedy do tego dojdzie. Ta chwila nie może być już odległa. Staram się to ukrywać, ale często nawiedza mnie łagodne uczucie gasnięcia, odpływania. Wiem, że znajdzie w sobie dość siły, by stracić mnie w ten sposób, ponieważ ma tak wiele - swoją pracę, żonę, dzieci. Dla nas czas się już kończy. Jak długo potrwa, zanim odnajdzie mój list? Obawiałam się, że nastąpi to, zanim odejdę, ukryłam go więc starannie. Trudno niewidomej kobiecie schować coś przed osobą widzącą. Ślepa babka, chyba tak nazywa się ta gra dla dzieci. Ta nazwa wyjątkowo pasuje do tej sytuacji. Muszę już spać. Jestem tak bardzo zmęczona.

Rozdział 13

Kiedy się budzę, wszystko wydaje się nieruchome. Leżę z zamkniętymi oczami i nasłuchuję. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że mam takie wrażenie, ponieważ nie słyszę, by Mirabelle krzątała się po domu. Zazwyczaj porusza się tak cicho, że trudno ją usłyszeć, jeśli nie nasłuchuję bardzo uważnie. Słucham więc. Otwieram oczy i zdaję sobie sprawę z tego, że Mirabelle nadal leży u mojego boku. Po raz pierwszy została tak długo, zazwyczaj znikwała, a ja nawet o tym nie wiedziałem. Patrząc w jej stronę, śpi, leżąc na plecach, tak cicho i spokojnie, na jej wargach drga delikatny uśmiech. Czuję nagły przypływ uczucia. Wydaje się taka krucha, taka drobna i bezbronna, trudno uwierzyć, że jej delikatne ciało kryje w sobie tak wiele siły. Ciekawe, czy będzie widzieć, kiedy się obudzi. To byłoby cudowne, niewiarygodne. Pochyliam się nad nią i całuję w usta. Jej wargi są zimne, nie czuję żadnej reakcji. Przyglądam się jej bardziej uważnie. Chyba nie oddycha! Podrywam się i klękam obok niej.

- Mirabelle? Mirabelle! Dobrze się czujesz? Nadal żadnej reakcji! Obejmuję dłońmi jej głowę i delikatnie przesuwam palcami po powiekach. To chyba niemożliwe, nawet oczy wydają się zimne. Serce zaczyna mi walić tak mocno, że jego bicie wstrząsa całym ciałem. Odruchowo osłaniam ją całym sobą, obejmuję, przyciskam do siebie. Jest zimna, choć nie sztywna, nie reaguje wcale na mój dotyk. Wybucham płaczem. 312 Płacę, nie potrafiąc się opanować, wiem, że płaczę w równym stopniu nad samym sobą co nad Mirabelle. Nie wiem, dlaczego nie żałuję bardziej Mirabelle, nigdy już nie będę tego wiedział. To przecież ona umarła, to jej życie zgasało tej nocy, właśnie wtedy, kiedy odzyskała wzrok, kiedy zaczęła żyć w tym świecie. Czy możliwe, że w głębi serca wiedziałem, że jeśli przejrzy, będzie skazana na śmierć? Nie wiem. Odchodzę prawie od zmysłów, egoistycznie pograżając się w żalu. To niemożliwe. Leżę tak, przytulam ją, pieszczę, płaczę, teraz wiem już, co musiała czuć jako dziecko, kiedy znalazła swoją matkę. Nigdy nie doświadczyłem śmierci w takiej bliskości, moi rodzice nadal żyją. Nie mogę się z tym pogodzić. W jednej chwili była tutaj, dzieliła ze mną najbardziej intymne chwile, a teraz odeszła i nigdy już nie wróci. Nie wiem, jak długo leżę tak, przytulając ją ciasno do siebie; na przemian łkam i zapadam w głuche milczenie, w ciszę taką, że chciałbym zmusić moje serce, by ucichło, by połączyło się z ciszą, w jakiej znalazła się Mirabelle. Układam ją ostrożnie na środku łóżka, mojego łóżka, wygląda teraz tak bardzo samotnie. Wyglądam jej białą koszulę nocną, starannie składam dłonie na piersi, jedną na drugiej, często je tak składała, gdy była czymś szczególnie poruszona. Nadal płaczę, ale czuję, jak ogarnia mnie rezygnacja, drętwe, nieme

przyzwolenie. Wyglądzam pościel, starannie okrywam jej ciało, tylko ciało, nie twarz, jakby spała samotnie. Zaczynam do niej przemawiać, klękam obok niej.

- Mirabelle, widzę po twojej twarzy, że umarłaś szczęśliwa, tak jak żyłaś. Muszę w to wierzyć. Będiesz żyć we mnie i w moich obrazach. Opowiem o tobie Lorrie i dzieciom, abyś mogła trwać i w nich, pomożesz, by nasze życie stało się lepsze. Spróbuję powiedzieć wszystkim, jaką cudowną byłaś osobą. Przez większą część swojego życia żyłaś w ciemnościach, jeśli więc teraz odeszłaś w ciemność, będzie ona dla ciebie jak dom. Chcę tak właśnie myśleć. Jeśli tak się nie stało, a jest tak, jak było w twoich snach, znowu widzisz. Mam nadzieję, że patrzysz na mnie i wiesz, co dzieje się w moim sercu, jak bardzo cię kochałem, zawsze będę kochać. Zaskakują mnie moje uczucia, Mirabelle. Jestem prawie spokojny, szczęśliwy, że jestem z tobą, wiem, że będziemy razem przez całe moje życie, niezależnie od tego, co się stanie. Długo klęczę tak na podłodze obok łóżka. W końcu wstaję i ubieram się. Przez cały ten czas mówię do Mirabelle. Tak wiele trzeba zrobić. Wydaje mi się prawie, że ona mówi do mnie, przypomina o tym, co muszę zrobić. Tak ciężko przychodzi mi zostawić ją samą w tym pokoju. Nie zamykam drzwi. Idę tam, gdzie Mirabelle trzyma pieniądze na codzienne potrzeby. Ku swojemu zaskoczeniu w małej emaliowanej puszczyce znajduję szesnaście tysięcy franków. Nigdy dotąd jej nie otwierałem. Wszystkie pieniądze, które zarabiałem, sprzedając obrazy, a których nie potrzebowałem na zakup materiałów, oddawałem Mirabelle, a ona składała je tutaj. Dla Mirabelle pieniądze liczyły się tylko o tyle, o ile były potrzebne, jak mydło. Nie oszczędzała ich tak naprawdę, nie liczyła na nie zbyt wiele. Wiem, że zgodziłaby się z tym, co zamierzam teraz z nimi zrobić. Na dnie puszczyki widzę niewielką kopertę. Wypisano na niej tylko jedno słowo: JACQUES. Otwieram ją, w środku znajduję list. Trzymając go w ręku, wracam do pokoju, w którym leży Mirabelle. Ponownie klękam obok łóżka, przypominając sobie modlitwy, które odmawiałem jako dziecko. Czytam: 314 11 WRZEŚNIA 1975 NAJDROŻSZY JACQUES! JEST WŁAŚNIE WCZESNY PORANEK, NADAL CZUJĘ CHŁÓD NOCY PO CUDOWNYM CIEPLE NASZEGO ŁÓŻKA. CHCĘ TERAZ NAPISAĆ TEN LIST DO CIEBIE, PO NASZEJ WSPANIALEJ KOLACJI URODZINOWEJ, GDY JESZCZE ŚPISZ. KŁOPOTY Z MOIM SERCEM SĄ POWAŻNIEJSZE, NIŻ CI POWIEDZIAŁAM. MOGĘ ODEJŚĆ NAGLE W KAŻDEJ CHWILI. WYDAJE MI SIĘ, ŻE POWINNAM BYĆ WOBEC CIEBIE UCZCIWA, NAPISAĆ TERAZ, WŁAŚNIE W TYM MOMENCIE. TRUDNO PRZYCHODZI MI PISANIE, POSŁUGUJĘ SIĘ LINIJKĄ I SPECJALNYM PRZYRZĄDEM, KTÓRY SAMA WYMYŚLIŁAM, ABY PISAĆ PROSTO. NIE ZDARZA MI SIĘ TO ZBYT CZĘSTO, NAJŁATWIEJ WIĘC PISAĆ DUŻYMI

DRUKOWANYMI LITERAMI. JEŚLI CZYTASZ TEN LIST, ZNACZY TO, ŻE NAJPRAWDOPODOBNIJ JUŻ NIE ŻYJĘ. NIE SĄDZĘ, BYŚ ZAGLĄDAŁ DO TEJ PUSZKI W INNYM WYPADKU. JESTEŚ UCZCIWYM CZŁOWIEKIEM. TAK BARDZO CIĘ KOCHAM, JACQUES. JEŚLI UMARŁAM, NIE PŁACZ PO MNIE. WIEM, ŻE BĘDZIE TO DLA CIEBIE TRUDNE, O WIELE TRUDNIEJSZE NIŻ DLA MNIE, ALE TAK WIELE MIELIŚMY, NIE ZAPOMINAJMY O TYM. DAŁEŚ MI WSZYSTKO W TYM ŻYCIU, CZEGO MOĞŁAM CHCIEĆ. W CIĄGU OSTATNICH MIESIĘCY SPRAWIŁEŚ, ŻE BYŁAM PRAWIE ZADOWOLONA Z TEGO, ŻE JESTEM NIEWIDOMA. ZOSTAŁAM OCALONA SPECJALNIE DLA CIEBIE, DZIĘKI TEMU MOĞLIŚMY POZNAĆ SIĘ I POKOCHAĆ. PRAWDOPODOBNIJ ODKRYŁEŚ JUŻ, ŻE POD WIELOMA WZGLĘDAMI NADAL JESTEM TĄ SAMĄ MAŁĄ DZIEWCZYNKĄ. KTÓRA WRÓCIŁA DO DOMU ZE SZKOŁY I ZNALAZŁA SWOJĄ MARTWĄ MATKĘ W WANNIE, A POTEM DOWIEDZIAŁA SIĘ, ŻE JEJ OJCIEC ZGINĄŁ W BŁOTNISTYM OKOPIE W DALEKIM KRAJU. PÓŹNIEJ NIE CHCIAŁAM DOROSNAĆ" NIE POTRAFIŁABYM ZNIEŚĆ STRACHU ZWIĄZANEGO Z DOROSŁOŚCIĄ I CIERPIENIA, JAKIEGO DOŚWIADCZYLI MOI 315 RODZICE. DLATEGO STRACIŁAM WZROK. ZAWSZE DZIWIŁO MNIE, ŻE NIE STRACIŁAM RÓWNIEŻ SŁUCHU I MOWY. NIE CHCIAŁAM ŻYĆ NORMALNYM ŻYCIEM. CHCIAŁAM POZOSTAĆ "NIEWINIĄTKIEM", A PRZYNAJMNIEJ NA TYLE, NA ILE NIEWINNA MOŻE BYĆ CZTERNASTOLETνια PARYŻANKA. A BYŁAM BARDZO NIEWINNA, NAWET JAK NA SWÓJ WIEK I CZASY, W KTÓRYCH ŻYŁAM. NIEWINNOŚĆ BYŁA NAJCENNIEJSZĄ RZECZĄ, JAKA MI POZOSTAŁA. NAUCZYŁAM SIĘ KONCENTROWAĆ NA ZAUFANIU I TOLERANCJI. ODKRYŁAM, ŻE TO NAJWAŻNIEJSZE ELEMENTY NIEWINNOŚCI. POCZUCIE WINY POJAWIA SIĘ TYLKO WTEDY, GDY NIE UFA SIĘ SWOIM NATURALNYM IMPULSOM LUB NIE TOLERUJE SIĘ INNYCH LUDZI, GDY PODDAJĄ SIĘ SWOIM IMPULSOM, ODMIENNYM OD NASZYCH. WIELE NAUCZYŁAM SIĘ OD GOŁĘBI, STAŁY SIĘ DLA MNIE NAJWAŻNIEJSZYMI NAUCZYCIELAMI. SĄ TAK BARDZO UFNE, ŻE WIĘKSZOŚĆ LUDZI PRZEKONANA JEST, ŻE SĄ GŁUPIE; WYDAJE MI SIĘ, ŻE WIELU LUDZI SĄDZI, ŻE NIEWINNOŚĆ W OGÓLE JEST GŁUPOTĄ. GOŁĘBIE NAUCZYŁY MNIE WIELE O TOLERANCJI. CZASAMI SIEDZĄC NA PLACU SŁYSZAŁAM, JAK DZIECI UGANIAJĄ SIĘ ZA NIMI, GOŁĘBIE JEDNAK NIGDY SIĘ NIE SKARŻYŁY, ODSUWAŁY SIĘ TYLKO Z ICH DROGI. NIGDY NIE DOWIESZ SIĘ. JACQUES, JAK BARDZO BYŁY MI BLISKIE. KIEDY CIĘ SPOTKAŁAM, POCZUŁAM OD RAZU, ŻE POSZUKUJESZ NIEWINNOŚCI SZUKAŁEŚ SPOSOBU, BY WIDZIEĆ "CZYSTO",

"JASNO" BEZ PRETENSJONALNOŚCI. PRAWDOPODOBNIENIE JUŻ WIESZ, ŻE MOJA MUZYKA, TAK JAK SIĘ JEJ NAUCZYŁAM, JEDYNIENIE JAKO DŹWIĘK, BYŁA BARDZO WAŻNA W MOICH PRYWATNYCH POSZUKIWANIACH I W NAUCE TOLERANCJI WOBEC SAMEJ SIEBIE. NAUCZYŁA MNIE TEŻ UFAĆ, UFAĆ MUZYCE. MYŚLĘ, ŻE RAZEM OSIĄGNEŁIŚMY STAN ZAAWANSOWANEJ NIEWINNOŚCI. ZAUFALIŚMY SOBIE, WIERZYLIŚMY, ŻE NIE SKRZYWDZIMY SIEBIE NAWZAJEM. WIERZĘ TEŻ, ŻE JUŻ ³¹⁶ OD PIERWSZEJ CHWILI KAŻDE Z NAS WIEDZIAŁO, ŻE ZROBI WSZYSTKO, CO W JEGO MOCY, BY OCHRONIĆ DRUGĄ OSOBĘ. CO JESZCZE WAŻNIEJSZE, KAŻDE Z NAS CHCIAŁO DAĆ DRUGIEMU PRZYJEMNOŚĆ, ZMAKSYMALIZOWAĆ, TAM GDZIE TO MOŻLIWE, NASZE MOŻLIWOŚCI, DZIELIĆ SIĘ MYŚLAMI, NASZĄ TERAŹNIEJSZOŚCIĄ NASZYMI NADZIEJAMI, NASZYMI PRZESZŁYMI TRAGEDIAMI. JESTEM PEWNA, ŻE KIEDYŚ W PRZYSZŁOŚCI, KIEDY BĘDZIESZ TO CZYTAŁ, W ŚWIETLE WYDARZEŃ OSTATNIEJ NOCY I WSZYSTKICH TYCH CUDOWNYCH NOCY, BIORĄC POD UWAGĘ "BEZBOŻNĄ" CHEĆ, BY SIĘ Z TOBĄ KOCHAĆ, MÓWIENIE O NIEWINNOŚCI MOŻE WYDAĆ CI SIĘ DZIWACZNE. TAK PRAWDOPODOBNIENIE POMYŚLAŁABY WIĘKSZOŚĆ LUDZI, ALE, JACQUES, JESTEM PRZEKONANA, ŻE SEKS, NAMIĘTNOŚĆ ŁĄCZĄCA LUDZI BEZ POCZUCIA WINY JEST BARDZO ZAAWANSOWANĄ FORMĄ NIEWINNOŚCI UWAŻAM, ŻE TYLKO DLATEGO, IŻ LUDZIE OBCIĄŻYLI TO CUDOWNE DOŚWIADCZENIE BAGAŻEM ZOBOWIĄZAŃ, POSIADANIA I ODPOWIEDZIALNOŚCI, STAŁO SIĘ ONO SYMBOLEM UTRATY NIEWINNOŚCI. BYĆ MOŻE STAŁO SIĘ TAK DLATEGO, ŻE SEKS ZWIĄZANY JEST Z REPRODUKCJĄ I WSZYSTKIM, CO SIĘ Z NIĄ WIĄŻE. DOPIERO WTEDY, GDY PO RAZ PIERWSZY ZASADZIŁEŚ WE MNIE SWOJE NASIENIE, POCZUŁAM TOLERANCJĘ DLA LUDZI, KTÓRZY PRZEMIENILI TEN CUDOWNY AKT W RYTUAŁ. KIEDY UŚWIADOMIŁAM SOBIE, ŻE NIE MA WE MNIE JAJECZKA, KTÓRE MOGŁOBY POŁĄCZYĆ SIĘ Z TWOIM NASIENIEM, ŻE W NASZEJ MIŁOŚCI NIE MOŻE BRAĆ UDZIAŁU ŻADNA TRZECIA STRONA, POCZUŁAM ROZMIAR MOJEJ TRAGEDII. WTEDY DOPIERO W PEŁNI ZDAŁAM SOBIE SPRAWĘ Z OGROMNEGO ZNACZENIA SEKSU. WIERZĘ, ŻE JESTEŚ ZDOLNY DO WIELKIEJ NIEWINNOŚCI, JACQUES. MAM NADZIEJĘ, ŻE POTRAFISZ DALEJ PROWADZIĆ SWOJE POSZUKIWANIA, JESTEM PEWNA, ŻE TAK WŁAŚNIE ZROBISZ. CHCIAŁABYM BARDZO, ABYŚ NADAL MIESZKAŁ W TYM MIESZKANIU, MALOWAŁ I WSPOMINAŁ MNIE, ³¹⁷ ALE WIEM, ŻE TO BARDZO EGOISTYCZNY I NA PEWNO NIE NIEWINNY POMYSŁ. PRAGNĘ, ABYŚ WRÓCIŁ DO SWOJEJ RODZINY. WIEM, ŻE W GŁĘBI SERCA NIGDY NIE

BĘDZIESZ CZUL SIĘ NIEWINNY, JEŚLI TEGO NIE ZROBISZ. NADAL KOCHASZ LORRIE I DZIECI, NIE ZAUFALĘŚ JEDNAK SWOIM NAJGŁĘBSZYM UCZUCIOM. NAJBARDZIEJ CHCIAŁABYM, ABYŚ ZAMIESZKAŁ WRAZ Z LORRIE W TYM MIESZKANIU, POMÓGŁ JEJ ODNALEŹĆ W SWYM SERCU ODROBINĘ ZROZUMIENIA DLA DIDIERA, DLA JEGO SŁABOŚCI USTALIŁAM WSZYSTKO Z NOTAIRE, KTÓREGO NAZWISKO UMIEŚCIŁAM NA KOŃCU TEGO LISTU WSZYSTKO, CO POSIADAM, PRZEJDZIE NA CIEBIE Z CHWILĄ MOJEJ ŚMIERCI NOTARIUSZ NIE ZNA TWOJEGO NAZWISKA, ALE UZGODNILIŚMY, ŻE TEN LIST POZWOLI CI UDOWODNIĆ, ŻE CHODZI WŁAŚNIE O CIEBIE. BANK ZAPŁACI AUTOMATYCZNIE PODATEK SPADKOWY I DOCHODOWY, PODOBNIIE JAK BĘDZIE PŁACIĆ RACHUNKI ZA GAZ I ŚWIATŁO. OKAZALI SIĘ BARDZO MIŁI DLA NIEWIDOMEJ STARUSZKI. JEŚLI NIE PÓJDZIESZ DO NOTARIUSZA, WSZYSTKO NADAL POZOSTANIE DO TWOJEJ DYSPOZYCJI, WYSTARCZY, ŻE PRZEDSTAWISZ TEN LIST W CIĄGU DWUDZIESTU LAT JEŚLI NIE ZGŁOSISZ SIĘ W TYM CZASIE, WSZYSTKO ZOSTANIE SPRZEDANE, A DOCHÓD PRZEZNACZONY NA OCHRONĘ GOŁĘBI MIESZKAJĄCYCH NA WIEŻY KOŚCIOŁA SAINTGERMAINDESPRES. WIEM, ŻE OKROPNIE JEST PISAĆ O PODOBNYCH SPRAWACH, ALE CZASAMI PO PROSTU TRZEBA. ZBYT DŁUGO TO ODKŁADAŁAM W PUSZCE JEST DOŚĆ PIENIĘDZY, BY POKRYĆ KOSZTY POGRZEBU. NIE CHCĘ, BY MOJE CIAŁO ZOSTAŁO SPALONE. MOGĘ ZOSTAĆ POCHOWANA W RODZINNEJ KWATERZE, W PROSTEJ DREWNIANEJ TRUMNIE. CHCIAŁABYM, ABY MOŻNA BYŁO ZROBIĆ TO INACZEJ, TAK JAK O TYM ROZMAWIALIŚMY, ALE NIECH JUŻ TAK BĘDZIE. 318 KOŃCZĘ TEN DŁUGI LIST, JACQUES. ZA CHWILĘ ZACZNĘ ĆWICZENIA, DZWONY WYBIJA SZÓSTĄ, A TY SIĘ OBUDZISZ. PISZĘ TO PRZY STOLE, PRZY KTÓRYM ZJEDLIŚMY RAZEM TAK WIELE WSPANIAŁYCH POSIŁKÓW, TAK CUDOWNIE SIĘ BAWILIŚMY. NIGDY NIE BĘDĘ MOGŁA CI PODZIĘKOWAĆ ZA WSZYSTKO, CO WNIOŚLEŚ W MOJE ŻYCIE. POCZUŁAM SIĘ NAPRAWDĘ JAK DOJRZAŁA KOBIETA, PO RAZ PIERWSZY BEZ LĘKU. I NADAL CZUJĘ SIĘ BARDZIEJ NIEWINNA NIŻ KIEDYKOLWIEK MOGŁABYM W TO WIERZYĆ. JESTEŚ WSPANIAŁYM MALARZEM I WSPANIAŁYM CZŁOWIEKIEM. JESTEM TAK BARDZO SZCZĘŚLIWA, ŻE MOGŁAM DZIELIĆ WIZJĘ TWOJEJ PRACY. "CZYSTE" WIDZENIE JEST DOWODEM NIEWINNOŚCI, TEGO, ŻE NIE JEST SIĘ UWIĘZIONYM POŚRÓD WSZYSTKIEGO, CO ISTNIEJE NAPRAWDĘ. DZIĘKUJĘ CI ZA TO, ŻE PODZIELIŁEŚ SIĘ TYM ZE MNĄ. PAMIĘTAJ. ŻE ZAWSZE BĘDĘ CIĘ KOCHAĆ TWOJA MIRABELLE

Poniżej widnieje jeszcze nazwisko notariusza. Kładę list na łóżku obok Mirabelle, opieram

głowę na poduszce i ponownie wybucham płaczem. To takie podobne do niej, pełne miłości, a jednocześnie inteligentnie przygotowane. Czuję się tak, jak gdyby mówiła do mnie z łóżka. Podnoszę wzrok i próbuję zapamiętać na całe życie jej spokojną, piękną twarz. Wkładam list na dno puszeki, a potem odkładam ją do kredensu, tam gdzie zawsze leżała. Wsuwam szesnaście tysięcy franków do swojego portfela razem z carte de sejour i carte de travail. Wracam raz jeszcze do pokoju i stoję wpatrując się w Mirabelle.

- Mirabelle, zrobię, co w mojej mocy. Mam nadzieję, że zgodzisz się z tym, co zamierzam zrobić. Prawdopodobnie jest to nielegalne, niektórzy uznaliby pewnie, że to niemoralne, a nawet szalone, ale to jest niewinne. Moje najgłębsze przekonanie mówi mi, że muszę to zrobić. Zamykam mieszkanie i schodzę na dół. Największym wstrząsem jest dla mnie to, że wszystko wygląda tak samo. Gdybym nie wiedział, że Mirabelle leży zimna samotnie w łóżku, nie mógłbym wprost uwierzyć, że nie żyje. Wszystko, co dzieliliśmy, pozostało nie zmienione. Idę do automatu przy Le Drugstore i dzwonię do biura American Express. Udaje mi się zarezerwować bilet na poranny lot do Minneapolis na następny dzień. Zapłacę i odbiorę bilet na lotnisku. Wracam na górę. Przygotowuję sobie dzbanek kawy, przeciągam stół z dużego pokoju do mojej sypialni i ustawiam go obok łóżka, na którym leży Mirabelle.

- Mirabelle, jadę do domu, do swojej rodziny. Wiem, że tego właśnie chciałaś. Nie mogę zostać tutaj bez ciebie. Wiem, że tego też chciałaś, ale to niemożliwe. Najpierw jednak muszę napisać do rodziny, dać im znać o tym, co się stało. Ogarnia mnie uczucie, że Mirabelle słyszy mnie i rozumie. Uśmiech na jej wargach jest bardzo tajemniczy, a jednocześnie pełen wyrazu. Wcale nie czuję się samotny. Lorrie! Chcę, byś przeczytała ten list dzieciom. Mirabelle nie żyje. Nie potrafię wyrazić swojego żalu. Ogarnia mnie jednak równocześnie nieziemiska radość. Dla mnie Mirabelle na zawsze pozostanie żywa, jej duch i wszystko, co mi dała, będzie żyć we mnie, w moich obrazach, w naszych obrazach. Chcę, byś wiedziała, co czuję wobec siebie samego. Ciasne okowy egoizmu, które zawsze więziły mnie wewnątrz mojego ego, zostały na zawsze skruszone. Czuję teraz, że stanowią integralną część świata, nie walczę, nie spieram się z nim, jestem tylko jego częścią. Jestem też, jak powiedziana Mirabelle, bardziej niewinny. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo kocham Ciebie i dzieci. Nigdy nie przestanę żatować, że zadatem Ci tak wiele bólu. Jednak jakaś część mojej osoby jest przekonana, że dobrze się stało, teraz mogę już być prawdziwym mężem i ojcem naszej rodziny, a nie jedynie dostarczycielem chleba. Kiedy to piszę, jestem o tym głęboko przekonany. Skoro jestem teraz częścią wszystkiego, jestem też częścią Ciebie. Zjawię się w Minneapolis w przyszłym tygodniu, zadzwonię do Ciebie z

hotelu, kiedy już przyjadę. Nie chcę się narzucać, chcę tylko podzielić się z Tobą tym, czym mogę. Mam nadzieję, że przywiozę ze sobą obrazy, abyście Ty i dzieci mogli zobaczyć, czym się zajmowałem. Obiecuję, że spróbuję odpowiedzieć na wszystkie Wasze pytania. Z niecierpliwością czekam na to spotkanie, mam nadzieję, że i Warn sprawi ono radość. Tak wieloma myślami chciałbym się z Wami podzielić, ale muszę jeszcze załatwić tutaj wiele spraw, chcę spędzić z Mirabelle tak wiele czasu, jak tylko można. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy Kocham Was Jack Kończę i czytam list na głos Mirabelle. Być może wszystko to wydaje się dziwaczne lub makabryczne komuś, kto nie doświadczył nigdy śmierci ukochanej osoby, ale mnie wydaje się to doskonale naturalne. Mam nadzieję, że przez całe życie będę potrafił i chciał z nią rozmawiać. Straciłem część swego szacunku dla postrzegalnego świata. Każdy malarz, który naprawdę odkrywa swoją sztukę, osiąga ten punkt. Mirabelle знаła go również, dzięki 21 - Spóźnieni kochankowie 321 swojej ślepotcie. Zajmowała się dźwiękami, a nie zapisem nutowym, który staje na drodze większości muzyków. Kiedy słuchała, odbierała dźwięki, znaczenie, a nie drukowane substytuty słów. Dla niej to był jedyny rzeczywisty język. Myślę, że właśnie dlatego łatwo przyszło jej nauczyć się tak wielu języków, a także muzyki. Nawet jej uszy były niewinne. * Dzwony biją południe. Ponownie klękam obok łóżka, kładę swoje dłonie na rękach Mirabelle złożonych na jej piersi. Klęczę tak w ciszy, z zamkniętymi oczami, słyszę nie tylko bicie dzwonów, ale szum i trzepot skrzydeł gołębi, które zlatują z wieży na ulicę. Zastanawiam się, w jaki sposób zareagują na to, że Mirabelle już na nie nie czeka. Być może nauczyły się przez wszystkie te lata, aby jej oczekiwać, ale czy mają jakieś wspomnienia? Czy jej obecność jest konieczna, by rozpoczął się rytuał karmienia i badania? Przez chwilę myślę, że mógłbym pójść tam, zająć jej miejsce, ale odrzucam tę myśl. Nikt nie jest w stanie zająć miejsca Mirabelle, nawet dla gołębi. Wyciągam moją starą wojskową torbę, w której trzymałem wszystkie rzeczy, kiedy mieszkałem jeszcze na strychu. Zrobiono ją z grubego płótna z płóciennym paskiem i metalowymi oczkami na górze, zapina się na haczyk. Z tą torbą wróciłem do domu z wojny, z tą samą torbą porzuciłem mój dom. Przysuwam krzesło bliżej łóżka, na którym leży Mirabelle i kładę torbę na stole. Rozglądam się za małym śrubokrętem, którym posługiwałem się przy naprawianiu i wymianie przełączników. Później zdejmuję ze ściany wszystkie obrazy. W sumie jest ich dwadzieścia osiem, prawie wszystkie rozmiaru 25 F, ten format wypełnia pole widzenia, ale nie da się wsadzić do torby. Dziewięć sprzedałem, więc przez ostatnie sześć miesięcy namalowałem łącznie trzydzieści 322 siedem płócien. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że stworzyłem ich tak wiele. Myślę jednak, że bardziej od liczby znacząca jest jakość. Zaczynam wyciągać pinezki,

które mocują płótna do deseczek blejtramów. Na każdym blejtramie jest czterdzieści pinezek, zajmie mi to więc trochę czasu. Sekret polega na tym, by wbić śrubokręt pod główkę pinezki i odgiąć go tak, że sama wyskakuje z drewna. Prawie zawsze udaje mi się to za pierwszym razem. Zaczynam mówić. * Staram się powiedzieć Mirabelle, jak trudno jest artyście pozostać niewinnym. Przez sam fakt, że artysta zwodzi ludzi, każe im wierzyć, że rozmazana na płótnie farba przedstawia coś zupełnie innego, niebo, światło, powietrze, przestrzeń, nie może pozostać niewinny.

- Masz rację, Mirabelle. Kiedy spotkaliśmy się właśnie tutaj, w Paryżu, zbliżałem się do stanu niższej niewinności. Dni, które spędziłem wędrując po Paryżu, pozwalając, by miasto wniknęło we mnie, były zaczątkiem nowego życia. Wtedy właśnie nabrałem odwagi, by spróbować pierwszych szkiców, akwarel, aby w ten sposób złożyć hołd pięknu, które przepływało przeze mnie. Jednak nawet wtedy, kiedy malowaliśmy razem, a ty uwolniłaś moje emocje, pozwoliłaś im przeniknąć na płótna, tak że obrazy przepływały przez mój umysł, nadal nie byłem szczery. Świadomie starałem się tworzyć przedmioty, które skłoniłyby, ułatwiłyby drugiej osobie doświadczenie niewinności. Same nie były jednak niewinne. Mówię tak, jednocześnie wyciągając pluskiewki, zwijam płótna, do środka wkładam rozłożone blejtramy, płócienna torba napęnia się powoli. W moich obrazach chcę wyrazić podziw i podniecenie, jakie czuję, kiedy widzę, wyrazić, jak to, co widzę, odnosi się do tego, czym, jak sądzę, jestem. 323 Milknę, przez chwilę koncentruję się na pinezkach. Kończę rozbierać kilka następnych obrazów. Niełatwo przychodzi mi przekazać Mirabelle i sobie to, co mam do powiedzenia. Zwijam następne płótno, przedstawiające widok z rue des Canettes w stronę rue du Four.

- Widzisz, Mirabelle. Nie, oczywiście, że nie widzisz. Po pierwsze, nie żyjesz, a nawet gdybyś żyła, nie jestem wcale pewien, czy mogłabyś widzieć. To bez znaczenia. Znowu jestem bliski załamania. Oddycham głęboko. Nie uda mi się zdjąć tych płócien drżącymi dłońmi. Oczy mam pełne łez.

- Chcę, by ludzie patrzyli na moje obrazy, aby dzielili ze mną radość. Są też pewne elementy kompozycji, struktury farby, pociągnięcia pędzlem, które sprawiają, że kawałek płótna wydaje się czarodziejski jak okno na inny świat, które związane jest z jedną chwilą w czasie, jednym miejscem, widzianym przez jednego człowieka, przeze mnie. Jest to jednak coś więcej jak okno wychodzące na miejsce wyobraźni, piękna, podniecenia. Staram się sprawić, by to złudzenie światła i przestrzeni stało się prawdą. Teraz jestem już bliżej. Patrzę na płótno nadal na wpół przymocowane do blejtramu, które samo zaczyna się zwijać. Czy naprawdę wierzyłem w istnienie miejsca, które sugeruję poprzez ten obraz, czy

wszystko to jest jedynie autohipnozą, która ma na celu sprawienie mi przyjemności? Czy sztuka jest tylko samooszukiwaniem, samozadowoleniem, udawaniem przed samym sobą? Odwracam obraz, naciągam płótno. Nie, nadal wpadam po uszy do środka. Działa na mnie, nawet po miesiącu. Na tym jednak właśnie polega cały problem czy działa to także na innych?

- Mirabelle, zawsze gdy malowałem nasze obrazy, myślałem o tobie. Chciałem, byś je zobaczyła. Nie wystarczyło, że sprawiają mi przyjemność, chciałem, by stały się miejscem, gdzie możemy być razem. Ponieważ jesteś niewidoma, mogłem dzielić twoją wewnętrzną wizję, wydawało mi się, że tak się dzieje. Czułem, wiedziałem, że dla nas dwojga obraz był jedynym w swoim rodzaju przedmiotem, który zbliżał nas do siebie. Później, zaczęło się to od pary spotkanej na placu Furstenberg, poczułem, że nasza wizja może sama z siebie znaczyć coś także dla innych. Jednak jak wielu ludzi potrafi dostrzec te czary? Chcę podzielić się nimi z tak wieloma osobami, jak tylko to możliwe, a jednocześnie pozostać wierny sobie i przedmiotowi. Tu właśnie kryje się niebezpieczeństwo, Mirabelle, czasami odkrywam, że chcę zwabić do siebie ludzi, jakbym zakładał barwne piórka na haczyk. Być może chcę nazbyt wiele, a może zbyt wiele się uczyłem, być może zależy mi na sukcesie, pieniądzach. Myślę, że tak nie jest, ale sam nie wiem. Jeśli chodzi o to, nigdy nie potrafię być niewinny, Mirabelle. Potrzebuję twojej siły. Boję się, że kiedy wrócę do Ameryki i będę żył wśród innych ludzi, naszych przyjaciół, którzy ponad wszystko cenią sobie sukces, a sukces znaczy dla nich pieniądze i uznanie, przegram, popadnę w te koleiny, stracę swoje czary. Czy będę w stanie kontynuować to, co tutaj zacząłem, nasze osobiste, delikatne, swobodne zaangażowanie w obrazy, które namalowałem? Naprawdę tego nie wiem i to właśnie mnie przeraża. * Spoglądam na Mirabelle, leży cicha, uśmiechnięta. Ściany wokół nas są puste, kiedy zdjąłem z nich obrazy. Przynajmniej stanowiły dobrą dekorację. Jednak jeśli malowanie daje tylko tyle, wolałbym już wrócić do MBI. Biorę następne płótno ze stosu, przyglądam mu się przez kilka minut, próbuję udawać przed samym sobą, że to nie ja je namalowałem, że właśnie zobaczyłem je po 325 raz pierwszy w galerii czy w domu albo na sztalugach innego malarza. Nie potrafię tego zrobić. Te obrazy w tak wielkim stopniu stanowią część mnie samego, a może to ja jestem ich częścią. Nie potrafię już patrzeć na nie jak na przedmioty.

- Och, Mirabelle, tak bardzo za tobą tęsknię. W swojej ślepotcie nauczyłaś mnie widzieć. Teraz potrafię widzieć, nie pasywnie, a aktywnie, jako malarz, nie jestem tylko pewien, czy starczy mi odwagi, by robić to dalej na własną rękę. Wiem, że moje obrazy będą podobać się Lorrie. Jej reakcja już na fotografie była taka wspaniała. Tylko dlaczego

się jej spodobały? Czy tylko dlatego, że wyglądają jak obrazy? Jak właściwie powinien wyglądać obraz? Malarze nie mogą się co do tego zgodzić. Wydaje mi się, że zmienia się to z czasem, podobnie jak moda czy style w architekturze. Jednak niektórzy malarze potrafili przekroczyć granice czasu i mody, Mirabelle. Rembrandt, Chardin, Tycjan, van Gogh, Monet i wielu innych byli po prostu wierni sobie w najlepszych swych dziełach, tak bardzo wierni, że prawie nikt nie może iść ich śladem. Kiedy teraz patrzę na ich dzieła, w pewien sposób staję się nimi w mistycznej komunii poprzez czas. Tak, coś w tym jest, tylko czy ja kiedyś zdołam to osiągnąć? Czy warto? Tak wiele bólu sprawiłem mojej rodzinie, czy potrafię usprawiedliwić te szalone poszukiwania marzenia, które wydaje się tak niedostępne, że można zwątpić, czy w ogóle istnieje? Czy to, co robię, ma w ogóle jakiś sens, Mirabelle? * Pracuję przez całe popołudnie, kubek napęlnia się pinezkami, a płócienna torba puchnie od zwiniętych obrazów. Jakie to dziwne, cała moja radość, wszystko, co stworzyłem, tak łatwo jest zwinąć i wsadzić do worka, jak stos brudnej bielizny. Kiedy wisiały na ścianach, 326 wydawały się więcej warte, budziły we mnie uczucie uniesienia, pełni, jakiego nigdy przedtem nie poznałem, a teraz wydają się niczym. Mógłbym wyrzucić je do kosza, trafiłyby do maszyny mielącej, a potem sprasowano by je i wyrzucono na śmietnisko. Słyszę, że dzwony biją "szóstą wieczorem. Nie jestem głodny, choć nic nie jadłem przez cały dzień. Nie chcę nawet myśleć o tym, że mógłbym coś zjeść sam, bez Mirabelle. Przyznałbym w ten sposób przed sobą, że naprawdę odeszła. Nadal nie czuję, że powiedziałem Mirabelle, dlaczego tak ważna jest dla mnie moja niewinność, moja zdolność kontynuowania malowania, malowania tak, jak ona mnie tego nauczyła.

- Bardziej niż cokolwiek innego, Mirabelle, martwi mnie, że możliwe jest, iż maluję jedynie dla bardzo niewielkiej elity, głównie dla bardzo bogatych ludzi, którzy mają dość czasu i zainteresowania, by oglądać, a nawet kupować obrazy. Byłaby to sytuacja dokładnie przeciwna do moich zamiarów, powodów, dla których chcę malować. Jeśli malarstwo ma dzielić ludzi według podziałów ekonomicznych czy klasowych, jak muzyka, teatr czy literatura, nie chcę stać się tego częścią. Ta myśl nęka mnie jeszcze od czasów studenckich. Ludzie, którzy opanowali świat sztuki, którzy mają dostęp do galerii, do muzeów, reprodukcji obrazów w książkach czy nawet na kartkach pocztowych, wcale mnie nie interesują. Zdobyli władzę nad obrazami jako przedmiotami, targują się, promują, handlują, sprzedają je jak każdą inną ruchomość. Opanowują dystrybucję, a wszystko, co jest jedyne w swoim rodzaju, czułe, wierne sobie i artyście, nie ma praktycznie żadnej szansy na przebicie się do ludzi. Dotyczyło to prawie wszystkich wielkich malarzy. Niewielu artystów dożywa chwili, kiedy przekonują się, że życie tysięcy, milionów ludzi polepszyło

się dzięki ich poświęceniom. Czy wystarczy mi sił, by żyć i umrzeć jak 327 Vincent van Gogh, który nie sprzedał ani jednego obrazu i umarł jako dłużnik swojego brata? Jemu nie wystarczyło sił, nie sędzę też, bym ja miał ich dosyć. Był prawdziwie niewinny, Mirabelle, umarł tak, jak żył. Nie sędzę, że ja sam jestem niewinny, ufny, dostatecznie tolerancyjny, by być tak bardzo wielkoduszny. Czy to rozumiesz? Poddaję się. Sam nie jestem już pewien, co właściwie chcę powiedzieć. Zapalam światło i zdejmuję resztę płócien. Kiedy zwijam ostatnie i wciskam je do torby razem z pozostałymi, jest już ciemno. Torba jest cięższa niż przypuszczałem, ale mogę ją unieść. Opuszczam ją kilka razy na podłogę, by obrazy zsunęły się na dno, potem zaciągam rzemienie i zaciskam haczyk. Zarzucam ją na plecy, ciężka, ale jakoś dam sobie radę. Razem ze sztalugami będzie stanowić cały mój bagaż w drodze do domu. Został jeden obraz, ostatni, który namalowałem, przedstawiający widok placu SaintSulpice. Jest zbyt wilgotny, by go zwinąć. Zostawiam też pierwszy portret Mirabelle. Drugi zabieram ze sobą. Zaczynam doprowadzać do porządku moje sprzęty. Specjalnym nożem czyszczę paletę. Ugniatam zakręcone tubki, tak by farba znalazła się w górnej części. Starannie myję wszystkie pędzle, najpierw w terpentynie, potem nad kuchennym zlewem, pocierając nimi o kostkę mydła pod strumieniem gorącej wody. Malowałem prawie bez przerwy, nie dbałem więc jak należy o przybory. Jeden obraz prowadził do następnego, zawsze malowałem w tak wielkim pośpiechu. Kilka pędzli jest tak starych, że pozostały w nich tylko pojedyncze włoski, więc je wyrzucam. Wylewam na papierowe ręczniki werniks i terpentynę z małych słoiczków i czyszczę je starannie. Robiąc to wszystko, nie przestaję mówić do Mirabelle. Wspominam wspaniałe chwile, czasami płacząc, czasami 328 wybucham śmiechem. Zawsze tak uważnie słuchała mojej gadaniny, czuję się teraz tak, jak gdyby nadal mnie słuchała, kiwała głową, śmiała się w duchu. Nadal nie potrafię się z nią rozstać. Kończę, obwiązuję sztalugi sznurkiem, aby nogi nie odgięły się i nie połamały w luku bagażowym samolotu. Jest już ciemno. Wracam do sypialni i wyciągam się w ciemnościach obok Mirabelle. Próbuję się pozbierać. Wiem, że robię to wszystko automatycznie, muszę upewnić się, że nie popełniam żadnych błędów. Obracam się na bok, pieszczę czoło Mirabelle, opuszki moich palców zsuwają się na jej powieki, nos, wargi, podbródek, szyję. Przypominam sobie, jak mnie badała, i znowu wybucham płaczem. Obejmuję ramionami jej stygnące ciało, wtulam twarz w poduszkę. To niemożliwe. Wreszcie zbieram się w sobie, zaczynam sprzątać mieszkanie. Najpierw zapalam światło we wszystkich pokojach. Przez chwilę chodzę po prostu po mieszkaniu, ciesząc się urokiem tego miejsca, które przez minione miesiące było naszym domem. Następnie zbieram wszystkie swoje rzeczy, każdą część ubrania, w tym mój frak, śmieszne

pantofle, nawet szczoteczkę do zębów. Wrzucam to wszystko do plastikowego worka na śmieci. Wyjmuję jedzenie z lodówki, zdejmuję z półek wszystko, co mogłoby się zepsuć, i wrzucam do drugiego worka. Zostawiam tylko ubranie, które zamierzam włożyć przed podróżą. Nalewam wodę do wanny, przypominając sobie kąpiele, które Mirabelle przygotowywała mi co rano. Wyciągam się w wodzie, próbuję się odprężyć. Szoruję całe ciało, jak gdybym próbował zedrzeć z siebie skórę. Gdy skóra jest zaczerwieniona, wyciągam korek, płuczę wannę i wycieram się ręcznikiem. Myślę o matce Mirabelle i o Mirabelle, która wyciągnęła prawdopodobnie ten sam korek, by spuścić z wanny wodę zmieszaną z krwią. 329 Ponownie wkładam ubranie, które nosiłem przez cały dzień, to, w które zamierzam ubrać się na podróż, rozkładam na łóżku obok Mirabelle. Raz jeszcze rozglądam się po mieszkaniu, później zawiązuję oba worki plastikowymi troczkami. Wracam do sypialni.

- Zaraz wrócę, Mirabelle. Muszę teraz załatwić parę spraw. Z tablicy przy drzwiach biorę klucz do mieszkania i do dzwonnicy kościoła. Zabieram też małą zmiotkę i jeszcze jeden plastikowy worek. Wchodzę do pokoju muzycznego Mirabelle, otwieram armoire, w której przechowywała swoje muzyczne rzeźby. Starannie wkładam je kolejno do worka. Nie są ciężkie, przypominają Mirabelle, tak wiele miłości i koncentracji na tak niewielkiej przestrzeni. Zabieram zapasowe świece, paczkę zapalek i portret Mirabelle, którego nie zapakowałem. Jest około dziesiątej wieczór, ale mamy poniedziałek, więc na ulicy nie powinno być zbyt wielu ludzi. Zamykam drzwi i schodzę na dół. Panuje spory ruch, ale nie jest to nic wyjątkowego. Gdyby nie obraz, wyglądałbym jak śmieciarz, który trochę wcześniej zabiera się do roboty, albo jak kloszard, biorąc pod uwagę worki ze śmieciami. Przechodzę jedną przecznicę, później wsadzam worki z zapasowymi ubraniami i jedzeniem do kosza na śmieci stojącego przy krawężniku. Przechodzę na drugą stronę bulwaru Saint Germain i kieruję się do kościoła. Rozglądam się ostrożnie i przeskakuję przez płot otaczający prezbiterium. Z łatwością odnajduję drzwi prowadzące do dzwonnicy. Klucz obraca się w dziurce z trudem i w przeciwną stronę niż się spodziewałem, ale drzwi otwierają się w końcu. Zamykam je za sobą i znajduję się w egipskich ciemnościach. Uznaję, że nie zapalę na razie świeczki, wymacam sobie drogę na górę po wytartych kamiennych stopniach. Nie jest to wcale tak daleko, jak sądziłem. Docieram 330 do klapy, otwieram ją, jest zaopatrzona w przeciwwagę, i już jestem w dzwonnicy. Patrzę w dół, pomiędzy kamiennymi łukami widzę samochody i ludzi na ulicy. Patrzę dalej, widzę budynek, w którym znajduje się mieszkanie Mirabelle. Myślę o niej, leży teraz wyciągnięta na łóżku. Przez szpary pomiędzy łukami wpada dostatecznie wiele światła, bym widział,

gdzie jestem i co robię. Wspinam się na potężną dębową belkę wspierającą dzwony. Mam nadzieję, że nie zaczną teraz dzwonić, prawdopodobnie straciłbym wtedy słuch, stał się głuchym malarzem, uczniem niewidomej. Dzwony nie powinny teraz bić, jest w końcu dziesiąta wieczór, nie ma ślubów, chrztów, odbędzie się tylko cichy, nie zapowiedziany pogrzeb. Płoszę kilka gołębi, które latają przerażone w ciemnościach, sztywne pióra tłuką o ściany. Tak jak powiedział czyściciel dzwonnicy, na szerokiej belce znajduję kilka martwych gołębi. Składam je na kupkę przy klapie. Belka ma prawie metr szerokości. Szarobłękitnozielone dzwony majaczą w ciemnościach ponad moją głową. Pod nimi widzę czarną dziurę. Wspinam się na belkę, zamiatając ją przed sobą, zmiatając śmieci w ciemność. W ciągu kilku lat, które minęły od ostatniego sprzątnięcia zebrano tu sporo brudu. Kiedy kończę, cofam się na kolanach do miejsca, gdzie mogę na nowo stanąć na nogi. Cały ociekam potem od wysiłku, strachu i zdenerwowania. Raz jeszcze przełażę na drugi koniec belki, ustawiam portret Mirabelle po przeciwnej stronie niż kłapa, przez którą wszedłem. Worek z rzeźbami i świece kładę w rogu, obok martwych gołębi. Cicho schodzę po schodach. Wychodzę, ostrożnie sprawdzam, czy nikt mnie nie widzi, zamykam je szybko i przekręcam klucz w zamku. Przełażę przez płot, wychodzę na ulicę, mijam biegiem monsieur Diderota, przebiegam rue des Ciseaux i wpadam do domu. 331 Myję się starannie w łazience, potem wracam do sypialni, do Mirabelle. Zanim skończę, będę prawdopodobnie musiał wykapać się jeszcze raz. Słaby poblask neonu wpadający przez okno wydaje się ożywiać twarz Mirabelle. Ponownie wyciągam się obok niej na łóżku, przygotowuję się do następnego etapu.

- Mirabelle, mam nadzieję, że będziesz zadowolona z tego, co zaplanowałem. Nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy, ale w ten sposób mogę zbliżyć się do tego, co mi opisałaś. Naprawdę nie chcę chodzić tam jeszcze raz, ale jednocześnie chcę załatwić wszystko, jak należy, choć wszystko jest bardzo niezwykle. Pod ścianą nadal stoi jeszcze wilgotny obraz przedstawiający plac SaintSulpice. Biorę go pod pachę, ostrożnie, by nie rozmazać farby. Ze swojego miejsca w kredensie biorę butelkę Poire William, jest już prawie pusta, została w niej tylko gruszka. Biegnę na drugą stronę ulicy, przeskakuję płot i wpadam na wieżę, składam rzeczy i bez żadnych kłopotów biegnę z powrotem do mieszkania. Teraz pozostaje tylko czekać i liczyć na odrobinę szczęścia. Czekam, leżąc w półmroku obok Mirabelle, przemawiam do niej cicho. Opowiadam o wszystkim, co razem przeżyliśmy, od chwili, gdy na mnie wpadła, aż do ostatniej cudownej nocy. Czy to możliwe, że dopiero wtedy zobaczyła mnie po raz pierwszy? Omal nie wybucham śmiechem, przypominając sobie, jak śmiała się Mirabelle. Musi być około czwartej nad

ranem, kiedy decyduję, że mój czas już nadszedł. Większość turystów i żądnych rozrywki paryżan zniknęła już z ulic, a śmieciarze jeszcze się nie pojawili. To najspokojniejsza część nocy. Najpierw owijam Mirabelle w prześcieradło, później raz jeszcze w koc. Kawałkiem koca zasłaniam jej twarz, jak ojciec mógłby osłonić twarz dziecka, kiedy niesie je nocą. Gdyby ktoś mnie zobaczył, mam nadzieję, że tak 332 sobie właśnie pomyśli. Jest w końcu moim dzieckiem, tak jak ja jej. Bez kłopotów przebiegam na drugą stronę bulwaru. Na ulicy nie ma właściwie nikogo. Śpieszę się, ale staram się tego nie zdradzać. Wchodzę na placyk przed kościołem, zarzucam sobie Mirabelle na plecy i przeskakuję płot, wchodzę do przedsionka i otwieram drzwi. Trzymam nadal klucz w ręku, automatycznie zamykam za sobą drzwi. Udało mi się wykonać najtrudniejszą część zadania. W ciemnościach trudno mi nieść Mirabelle, zwłaszcza na zakrętach kamiennych schodów, ponieważ jej ciało całkiem już zeszytywniało, ale docieram jakoś na sam szczyt dzwonnicy. Wychodząc stąd poprzednio, zamknąłem za sobą klapę. Otwieram ją i ponownie zamykam nogą. Ostrożnie kładę Mirabelle na końcu belki obok martwych gołębi. Znowu budzę kilka śpiących ptaków, trochę trzepocą skrzydłami, potem uspokajają się, popiskują tylko cicho. Czy możliwe, że wiedzą, kto tu z nimi zostanie? Zapalam jedną ze świec. Ostrożnie, na kolanach, przesuвам się po belce. Ustawiam świecę przed portretem Mirabelle. Później na przeciwległym końcu belki ustawiam obraz przedstawiający plac SaintSulpice, a przed nim zapaloną świecę. Nie ma niebezpieczeństwa, że dębowa belka zapali się od świec, zgasną same. Później powoli, delikatnie układam Mirabelle, aż leży wyciągnięta na samym środku belki. Odslaniam jej twarz. Światło świec oświetla ją, rzucając głębokie cienie na jej twarz, oczy wydają się teraz otwarte, jak gdyby mnie obserwowała. Kiedy ją niosłem, jej uśmiech chyba lekko się poszerzył, ale nadal czytam w nim aprobatę. Myślę, że uznała mój pomysł za dość zabawny. Mówię do niej przez cały czas.

- Jesteś teraz w wieży w niebie, Mirabelle. Zostaniesz tu razem ze swoimi przyjaciółmi, gołębiami. Wydaje mi się, że to odpowiednie miejsce. 333 Biorę martwe gołębie i układam je wokół Mirabelle jak orszak. Pomiedzy ptakami ustawiam jej rzeźby. W migocącym świetle przysiągłbym, że słyszę drżący dźwięk klawesynu, kiedy gra utwory, które przedstawiają poszczególne rzeźby. Nie sądzę, że tracę zmysły, ale to możliwe. Zapalam pozostałe dwie świece i ustawiam je po obu stronach ciała. Później zapalam ostatnią świecę i ustawiam ją u jej stóp. Obok niej stawiani butelkę z gruszką. Cofam się, by spojrzeć na Mirabelle po raz ostatni. Długo tak klęczę, jej stopy opierają się o moje kolana. Staram się stworzyć w sobie wizję na wiele nadchodzących lat. Wreszcie nadchodzi czas.

- Mam nadzieję, że ci się to spodoba, Mirabelle. Myślę, że miną całe lata, zanim ktoś przyjdzie tu, by cię odnaleźć. Jesteś blisko domu i tych, których kochasz. Chciałbym zostać tutaj z tobą, ale muszę już iść. - Wstaję i patrzę na nią z góry. Wydaje się taka drobna, taka samotna, ale to wszystko, co mogę zrobić. - Usłyszysz dzwony, Mirabelle. Kiedy będę słuchać dzwonów, pomyślę o tobie, bo ty będziesz ich częścią. Nikt więcej nie będzie wiedział, co znaczą, tylko my. Nigdy cię nie zapomnę, ukochana. Żegnaj, Mirabelle, żegnaj. Wiesz, jak bardzo cię kocham. Otwieram klapę w podłodze, zaczynam zstępować po kamiennych schodach. Zamykam za sobą drzwi. Schodzę z trudnością, kolana mi drżą, płaczę. Otwieram drzwi do wieży, wychodzę i zamykam je za sobą. Patrzę na klucz w mojej dłoni, postanawiam, że go zatrzymam, będę go zawsze nosił przy sobie - klucz do tego, co nas łączyło. Ponownie przechodzę przez płot i biegnę na drugą stronę bulwaru, z powrotem do naszego mieszkania. Kąpię się raz jeszcze, przebieram w czyste ubranie, brudne rzeczy, które miałem na sobie, zwijam w kłębek i wrzucam do kolejnego niebieskiego plastikowego worka. 334 Obchodzę całe mieszkanie, zamykam wszystkie okiennice i okna. Po raz ostatni patrzę na piękny klawesyn Mirabelle, później na jej śliczne białe łoże stojące w czerwonym pokoju. Łzy spływają mi po twarzy, zaczynam łkać. Gaszę wszystkie światła, biorę torbę z obrazami, sztalugi i ostatni plastikowy worek. Wychodzę i zamykam za sobą drzwi. Klucz do mieszkania kładę na liczniku. Jest umieszczony tak wysoko, że muszę podskoczyć. Nikt nigdy go nie znajdzie. Później wrzucam worek z przepoconym ubraniem do innego kosza na śmieci, ustawiam się na postoju taksówek przed Le Drugstore. Czekam parę minut, zanim jakaś się pojawia. Robi się coraz jaśniej. Podnoszę wzrok w stronę wieży kościoła SaintGermaindesPres. Myślę o Mirabelle, która tam została. Wydaje mi się, że dostrzegam delikatny blask świec. Odwracam się do kierowcy, mówię, że chcę jechać na lotnisko Roissy. Kiwa, żebym wsiadał do środka. Wysiada z wozu i pomaga mi wsadzić sztalugi i torbę do bagażnika. Właśnie wtedy wszystko się zaczyna. Dzwony zaczynają wybijać szóstą rano. Te dzwony obudzą Mirabelle. Biorę torbę z rąk taksówkarza. Gapi się na mnie. Potrząsam głową przecząco, nadal wpatruję się w wieżę, nasłuchuję. Ktoś inny zajmuje taksówkę. Słucham jak biją dzwony, potem słyszę odległą odpowiedź z kościoła Saint-Sulpice. Wiem, że pora już ruszać, ale nie, jeszcze chwila. Potrzebuję jeszcze trochę czasu. Patrzę, jak słońce wschodzi.

KONIEC